

P. 9786 Cht. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 7/286 - 8/287

1971



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

Zb. BYRSKI: **CZY AMERYCE GROZI FASZYZM ?**

M. GŁOGOCZOWSKI: **FREEDOM ON FREEWAY**

S. MROŻEK: **SŁOWO**

L. KOŁAKOWSKI: **UMILKNIĘCIE**

G. HERLING-GRUDZIŃSKI: **POZYTYWIZM BARAKOWY**

SPIS RZECZY

Zbigniew Byrski:	Czy Ameryce grozi faszyzm?	3
Marek Głogoczowski:	Freedom on Freeway	7
Paweł Zdziechowski:	Lodówki czy poznanie siebie?	25
Stanisław Vincenz:	Żniwo górskie	33
(—uk):	Vincenz w zwierciadle sowieckim	53
Zygmunt Haupt:	Meldunek o nieprzybyciu Wetnowskiego ..	55
Jan Warski:	Jakie jest twoje hobby?	64
Andrzej Chciuk:	Jasio z archipelagu	72

ARCHIWUM POLITYCZNE

Londyńczyk:	Kronika angielska	82
Brukselczyk:	Widziane z Brukseli	83

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	W sowieckiej prasie	93
Marcin Wyziembło:	Majakowski był i pozostanie	98
Dalimil:	Koniec czeskiej partii komunistycznej ..	102
—	Ostatnie wiadomości z Czech	106

POLEMIKI

Stawomir Mrozek:	Słowo	107
Leszek Kołakowski:	Umilknięcie (Odpowiedź na „Słowo”) ..	111
—	List ze Sztokholmu	115
Gustaw Herling-Grudziński:	Pozytywizm barakowy	121

KRAJ

Aleksander Matejko:	Świadomość inteligencka	126
Aleksander Zabrzeński:	Technika a polityka	137
—	Żale Machejka	143

SPRAWY I TROSKI

Edward Puacz:	Kolegium Związkowe	145
Richard Lourie:	Wstęp do studium o polonikach	157
Damian Wandycz:	2-gi Kongres Naukowców Polskich w Ameryce	161
—	Komunikaty	
	a) Deklaracja PPS i PSL	164
	b) 30-tolecie Polonia Technika	166
	c) Tablica dla gen. Sosnkowskiego ..	168

KRONIKA KULTURALNA

Roman Palester:	Po śmierci Igora Strawińskiego	170
Riccardo Picchio:	Giovanni Maver (1891-1970) i jego szkoła	180
Jerzy Kowalski:	Teatr Wielki w Warszawie	185
E. O. Kolesnyk:	Krzemienieckie zbiory w Kijowie	191
Maria Danilewiczowa:	Krzemienieckie post-scriptum	194
Aleksander Sołżenicyn:	Bóg	196
—	Biblioteka Polska w Paryżu	196

KSIĄŻKI

M. Broński:	Sprawy cieniste	197
Wiktor Weintraub:	W malstroemie epistolografii Krasin- skiego	204
Benedykt Heydenkorn:	Przyczynki do historii Polonii Kana- dyjskiej	214
Maria Danilewiczowa:	Krajowe nowości wydawnicze	217
—	Nadane nowości wydawnicze	223
Zofia Hertz:	Humor krajowy	225

—	Wydarzenia miesiąca	227
J. G. Görlich, M. Kałuski,	Listy do Redakcji	236
W. Leitgeber, St. Wiszniew- ski, Redakcja:		

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-Sierpień-Juillet-Août 1971

INSTYTUT



LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Leszek KOŁAKOWSKI, ur. 23. X. 1927 w Radomiu, filozof i historyk filozofii. Studia w Łodzi 1945-1949. W latach 1947-1949, jako student, asystent prof. Kotarbińskiego na Uniwersytecie Łódzkim. Od r. 1949 mieszka w Warszawie i pracuje na Uniwersytecie oraz w Partyjnym Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych (późniejszy Instytut Nauk Społecznych) i w 1949-50 w redakcji *Nowych Drog*; w latach 1957-58 w redakcji *Nowej Kultury*; w latach 1956-59 — naczelny redaktor *Studiów Filozoficznych*; od r. 1959 kierownik Katedry Historii Filozofii Nowożytnej; od r. 1964 prof. Uniw. Warszawskiego.

W r. 1945 wstąpił do AZWM, a w 1946 do PPR. Wyrzucony z partii w październiku 1966, zaś z Uniw. Warszawskiego w marcu 1968. W latach 1968/9 wykładał jak *visiting professor* na McGill Uniw. w Montrealu, zaś w 1969/70 na Univ. of California w Berkeley. Członek Institut International de Philosophie oraz honorowy członek American Academy of Arts and Sciences.

Głównymi dziedzinami zainteresowań Kołakowskiego są: filozofia i prądy mistyczne w XVII wieku oraz filozofia współczesna; jest autorem esejów filozoficznych, uprawia publicystykę, tłumaczy dzieła filozoficzne (m.in. listy Spinozy). Główne prace: *Szkice o filozofii katolickiej* (1955), *Wykłady o filozofii średniowiecznej* (1956), *Światopogląd a życie codzienne* (1957), *Jednostka i nieskończoność* (1958), *Filozofia XVII wieku* (1959), *Klucz niebieski...* (1964), *Świadomość religijna i więź kościelna* (1965).

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Aleksandra B., Warszawa, po raz drugi	F. 110,00
Michel Clark, Arlington, Va (USA)	F. 283,00
Dr Tadeusz Gasiński, Honolulu (Hawaje)	F. 55,00
Koło Przyjaciół Paryskiej „Kultury” w Melbourne — połowę dochodu z podwieczorku przy mikrofonie	F. 525,39
Aniela Kosińska, Poughkeepsie, N.Y., po raz trzeci	F. 60,00
Henry Lepucki, Battle Creek, Mich. (USA), zamiast kwiatów na trumnę śp. Stefanii Czapliny z Kalifornii	F. 110,00
Dr Jan Morelowski, Woodside, N.Y. (USA)	F. 55,00
Dr Tadeusz Paradystal, Orebro (Szwecja), po raz drugi	F. 20,00
Zdzisław Pechnik, 92-Meudon (Francja), po raz drugi	F. 100,00
„Polonia Technica”, Inc., New York, po raz piąty	F. 137,50
Inż. Zbigniew Szpikowski, Toronto, Ont. (Kanada), po raz trzeci	F. 550,00
Bezimiennie, Sydney (Australia)	F. 30,00

DZIĘKUJEMY!

Imprimé en France.

Czy Ameryce grozi faszyzm ?

W drugiej połowie maja zakończyły się w Stanach Zjednoczonych dwa, ponad półtora roku trwające, procesy sądowe przeciwko członkom skrajnie lewicowej murzyńskiej partii Czarnych Panter. Epilogiem pierwszego procesu prowadzonego w New Yorku przeciwko 13 członkom organizacji oskarżonym o działalność terrorystyczno-spiskową był wyrok uniewinniający, wydany przez 12-osobową ławę przysięgłych, z których większość stanowili biali. W drugim wypadku sprawa toczyła się przeciwko dwóm członkom Partii — Robertowi Seale i Eryce Huggins — oskarżonym o storturowanie i zabójstwo członka partii, podejrzanego o pełnienie funkcji konfidenta policji.

W ostatniej sprawie ława przysięgłych nie osiągnęła jedno-myślności, która w większości stanów jest warunkiem wydania wyroku. Przeciwno werdyktowi uniewinniającemu sprzeciwiło się dwóch przysięgłych. Tego typu wypadki braku jednomyślności nie są bez precedensu, i w normalnym trybie postępowania sąd powołuje nową ławę przysięgłych dla ponownego rozpatrzenia sprawy. W tym wypadku zaszła jednak zupełnie nowa okoliczność. Prezydujący sędzia, Harold Mulvey, orzekł, że nie ma szans powołania zespołu przysięgłych, którzy mogliby wydać bezstronny wyrok. W związku z tym zdecydował zwolnienie oskarżonych bez rozpatrzenia sprawy.

Tego typu decyzja, na tle kampanii kół lewicowych, która poprzedziła decyzję sądu, stanowi punkt zwrotny w historii amerykańskiej kapitalistycznej demokracji, której jednym z fundamentów jest niezależność od wpływów partii politycznych wymiaru sprawiedliwości. W swej decyzji zwalniającej Roberta Seale i Erykę Huggins, i w motywach wykluczających powołanie nowej ławy przysięgłych, sędzia Mulvey dał wyraz przekonaniu, że w pewnych sprawach politycznych Stany Zjednoczone nie dysponują już więcej legalnym wymiaru sprawiedliwości. Innymi słowy, są one wobec pewnej kategorii przestępców politycznych bezbronne...



P.9786 Chr. Arch.

To rewelacyjne oświadczenie amerykańskiego sędziego nie wowało żadnych szczególnych komentarzy w prasie amerykańskiej. Przyjęto je jako dalszy kolejny przejaw kryzysu amerykańskiej demokracji. Niemniej decyzja ta, według mnie, ma swą bezprecedensową wymowę i pociągnąć może za sobą daleko idące konsekwencje. Jeśli bowiem istniejący system prawnokonstytucyjny nie daje społeczeństwu możliwości legalnej obrony przeciwko pewnej kategorii oponentów, którzy usiłują ten system zniszczyć; jeśli nie można orzec ich winy lub niewinności, to sytuacja taka otwiera z jednej strony nieograniczone możliwości bezkarnych, z punktu widzenia prawa, wszelkich form walki z systemem, z drugiej zaś — może doprowadzić do uruchomienia sił samoobrony, działających poza strukturą prawną państwa, ewentualnie zaś do zmiany tej struktury.

Nie poddaję w niniejszych uwagach kwalifikacji społeczno-etycznej rządów i ustroju panującego w USA, tym bardziej że czyni to codziennie prasa całego świata, przede wszystkim zaś amerykańska. Pozostaje jednak bezspornym faktem, że pod ochroną tego systemu żyło i żyje wiele milionów ludzi, którzy nie tylko nie pragną jego unicestwienia, ale odwrotnie — pragną jego zachowania. Ochrona policyjna porządku społecznego, której funkcją jest zwalczanie terroru i bandytyzmu, kamuflowanego często pozorami politycznymi, działa od szeregu lat wadliwie, z czego Amerykanie zdają sobie sprawę. Policja bywa sterroryzowana i bezbronna. Niemniej z nielicznymi wyjątkami działalność sądów nie budziła zastrzeżeń. Oznaczało to, że człowiek podejrzany o przestępstwo, który raz znalazł się w trybach wymiaru sprawiedliwości, jeśli jest winny — zostanie ukarany, jeśli niewinny — zwolniony. Sędzia Mulvey decyzyjną swą, zwalniającą Seale i Erykę Higgins bez rozpatrzenia dowodów ich rzekomej lub prawdziwej winy, pokazał że system ten zaczyna zawodzić. Ostrość kryzysu staje się tym bardziej wyrazista, jeśli się zważy, że decyzja sędziego była z praktycznego punktu widzenia jedynym wyjściem. Następna z kolei ława przysięgłych powołana przez sąd stanęłaby przypuszczalnie w obliczu dwóch alternatyw: uniewinnienia podsądnych, lub storpedowania werdyktu uniewinniającego przez głos jednego lub kilku dysydentów, przy czym sytuacja tego rodzaju nie wynikałaby ze słabości dowodów, ale z terroru, na jaki narażeni są przysięgli. Nazwiska ich są podawane do wiadomości publicznej, podobnie jak i ich stanowisko wobec oskarżenia, po zakończeniu sprawy. Wielu z nich zdaje sobie sprawę, że głosowanie za winą podsądnych może oznaczać wyrok śmierci dla nich samych z rąk niezidentyfikowanego zamachowca, którego policja amerykańska nigdy nie wykryje. Członkowie ławy przysięgłych, bez względu na swą przynależność rasową, są na ogół ludźmi ustabilizowanymi, obciążonymi obowiązkami rodzinnymi. Iluż z nich zechce dobrowolnie kłaść głowę pod Ewangelię?

Istnieje w Stanach Zjednoczonych coraz liczniejsza grupa ludzi, która zaczyna stawiać przed publicznością amerykańską za-

gadnienie: co jest gorsze: ograniczenie tradycyjnej amerykańskiej wolności czy anarchia. Na pytanie to duży procent ludzi odpowiada, że gorsza jest anarchia. Jest to psychologicznie zrozumiałe. Wolność dla wielu z nich jest przywilejem abstrakcyjnym, tak długo póki jej nie utracą. Natomiast anarchia — manifestująca się obniżeniem powagi prawa i zmniejszeniem poczucia bezpieczeństwa osobistego nie jest abstrakcją. Życie dostarcza jej codziennych próbek, zwłaszcza w wielkich miastach. Ci są już obecnie nie tylko za ograniczeniem swobód nadużywanych przez terrorystów i przedstawicieli najrozmaitszych grup skrajnych ugrupowań, ale za surowym tępieniem ludzi o ultralewicowych poglądach. Poglądy takie są dla nich nie tylko nie do przyjęcia. Są w ich przekonaniu objawem degeneracji i rozpamiętania obyczajów. Wraz z potęgującym się totalitaryzmem Lewicy rośnie nietolerancja klasy średniej, czyli tej warstwy, która łącznie z farmerami stanowi w Stanach Zjednoczonych 80 % ludności. Oczywiście to czego chce większość nie zawsze musi być decydujące, zwłaszcza gdy większość ta jest nie tylko milcząca, jak sądzi prezydent Nixon, ale i bierna. Rzecz jednak w tym, że to bierność, nie manifestująca się na zewnątrz niezadowolonych ma swą temperaturę, która w trybie normalnie zachodzących socjalnych procesów osiąga w pewnej chwili swój stan krytyczny.

W Ameryce, podobnie jak w każdym zaawansowanym gospodarzu kraju o potężnej bazie ekonomicznej i rozwiniętej infrastrukturze, nie jest możliwy ani przewrót wojskowy ani powołanie jakiegokolwiek władzy dyktatorskiej, która by jednorazową i arbitralnie powziętą decyzją mogła przekreślić swobody demokratyczne kraju. Natomiast możliwe jest, że zainteresowane w tym kierunku czynniki stopniowo zaczną mobilizować społeczeństwo pod hasłem walki z anarchią i zagrożeniem porządku społecznego. Tego typu hasła były w przeszłości przedwojennej Europy straszakami faszystowskich „uzdrowicieli”, którzy zresztą skądinąd nie ukrywali wstrętu i pogardy dla instytucji demokracji parlamentarnej. Innowacją sytuacji amerykańskiej jest to, że apele niektórych konserwatywnych polityków o zagrożeniu porządku i anarchii nie są, niestety, demagogicznymi sloganami, będącymi jedynie instrumentem do zdobycia władzy. Groźba anarchii i próby sparaliżowania maszyny państwowej są najzupełniej realnymi. Dzwonek alarmowy, mający poruszyć zaniepokojone, ale wciąż jeszcze bierne masy społeczeństwa, nie będzie więc alarmem fałszywym. Natomiast ostateczne efekty przywrócenia porządku i autorytetu prawa mogą wyjść daleko poza założone cele. Jeśli bowiem „apetyt rośnie w czasie jedzenia”, to zdarza to się głównie nie smakoszom, ale politykom.

Trudno w tej chwili ocenić realny stopień zagrożenia demokracji amerykańskiej. Jedno wszakże wydaje się pewne: stopień tego zagrożenia jest funkcją agresywności skrajnej lewicy i bezkarności stosowanego przez nią terroru. Ukazanie publiczności amerykańskiej tego dość prostego związku jest, zdawać by się mogło, elementarnym obowiązkiem amerykańskich publicystów

oraz ludzi intelektu, mających bądź co bądź doniosły wpływ na prasę i telewizję. Niestety, jest to dokładnie to czego prasa i amerykańska TV nie robią. Poważni skądinąd komentatorzy, których artykuły rozchodzą się po Stanach Zjednoczonych w milionach egzemplarzy, ukazują prawdę o rzeczywistości społecznej swego kraju w odwróconym zwierciadle. Ilekroć władze stanowe lub federalne posłużą się instrumentem samoobrony wobec inwazji terroru lub prób sparaliżowania czynności administracyjnych państwa, piętnują je mianem represji. Oczywiście są to z pewnością *jakieś represje*, ponieważ najbardziej demokratyczne państwo nie przestaje być z natury rzeczy instrumentem ucisku wobec pewnych grup ludności zwłaszcza, gdy grupy te bardziej aktywne i ambitne usiłują narzucić swą wolę innym — mniej aktywnym i mniej światoburczym. Gdyby szermierze amerykańskiego liberalizmu i protektorzy samowoli Lewicy występowali pryncypialnie przeciw instytucji państwa, stanowisko takie można by przynajmniej zrozumieć. W rzeczywistości jednak tak bynajmniej nie jest. Ludzie ci deklarują bowiem niezmiennie poparcie dla systemu amerykańskiej demokracji, a więc kapitalistycznej organizacji państwa, które z natury rzeczy musi chronić istniejący porządek społeczny. Stosowane środki samoobrony tego państwa, które w obecnej fazie nie *wykraczają poza granice obrony koniecznej*, a często są wręcz niedostateczne, nazywają gwałtami, zaś gwałty — korzystaniem z przywilejów konstytucyjnych. W taki to sposób, bez totalitarnej władzy Partii, bez działalności władz bezpieczeństwa, mogących dokonywać arbitralnych aresztów lub zsyłek, w cieniu wciąż jeszcze surowo przestrzeganego prawa *habeas corpus*, rośnie gigantycznych rozmiarów bzdura.

Ludziom ze starszego pokolenia, którym ciężko jest zasnąć, śni się czasem po nocach George Orwell z gimnastykującym się przed teleekranem Winstonem Smithem. Młodzi radykałowie z Lewicy nie czytają Orwella. Jest to książka, która dawno już wyszła z mody w Ameryce, a młodemu pokoleniu jest prawie zupełnie nieznana. Ci młodzi ludzie obwieszają się symbolami pokoju i braterstwa ludów. Ostatnio jest modny znaczek z wykrzywną w księżycowym uśmiechu twarzą. Ma to symbolizować radość i miłość życia. Nienawidzą tylko kapitalizmu i amerykańskiego imperializmu. Choć kochają wolność, podziwiają obywateli Chińskiej Republiki Ludowej za ich dyscyplinę. Za to, że robią wszystko w takt, do rytmu i chórem. Pewno wierzą, że to wszystko z miłości do Przewodniczącego. Jak do tego doszło — nie wiedzą. Zresztą pewno ich to nie obchodzi. Obraz ich świata wymaga skróconej perspektywy historii. Co najwyżej do ostatniego dziesięciolecia i wojny w Wietnamie.

Zbigniew BYRSKI

Wynik ostatnich wyborów we Włoszech potwierdza obawy Z. Byrskiego. Jak się okazuje są one również aktualne w Europie. (Red.).

Freedom on Freeway

Wywiad ze starym górale z Bukowiny:

— No i co, wytracą Was?

— A żeby to, panoczku. Oni nas zanudzą!

W ostatnich numerach *Kultury* często pojawiają się artykuły poświęcone Ameryce, bądź to opisujące rzeczy nowe i dziwne, które się w tym kraju dzieją, bądź stawiające pytania dlaczego w kraju, który od 200 lat szczycił się „najlepszym” modelem społecznym nagle coś się rozłazi, płoną banki i biblioteki, a tysiące, może już i miliony młodych długowłosych ludzi zaczyna masową ucieczkę przed osiągnięciami swych rodziców.

Mnie samemu, już ukształtowanemu w Polsce i Europie zdawało się znaleźć w tym kraju nie po to, by się „dorobić” i „ustawić”, ale po to, by się czegoś nauczyć. Nie przekroczyłem jeszcze 30 lat, tej „przepaści pokoleń”, więc znalazłem się po stronie brudnych studentów, hippisów, marihuany i orgazmów doskonałych w przeciwiwielistwie do mych sterylnych, choć już trochę wątpiących profesorów, standartowych, ciężko pracujących „przeciętnych Amerykanów”, a przede wszystkim w kontraście do armii czarno-garniturowych *executives* wiodących ten kraj w pochodzie postępu.

Z tą pierwszą, młodszą grupą nie potrafię się utożsamiać, choć by przez mą polską przeszłość, ale ją chyba dość dobrze rozumiem i nie czuję do niej antypatii; w stosunku do tej drugiej grupy, od której jestem zależny, do której mam wejść, a nawet już byłem jej członkiem, czuję chwilami wprost zwykłą wrogość.

Te dwie społeczności, oprócz wyglądu i zachowania różnią

* *Freedom on freeway* — wolność na „wolnej drodze” (autostradzie).

się także pod względem psychicznym. Starsi, na stanowiskach, są obowiązkowymi optymistami i entuzjastami, młodszy pesymistami. Ja sam, w tym kraju racjonalnego absurdu, stosuję polską zasadę: „Jakoś to będzie”. Mając nieco socjalistycznego doświadczenia nauczyłem się już wątpić w „optymizm mas” i gdy wszyscy wyrażają się „z wysokim entuzjazmem” o przyszłości, to już jest coś w tym bardzo podejrzanego. Prof. Leszek Kołakowski w jednej ze swych książek napisał, że każda optymistyczna ideologia musi być samobójcza, a więc praca naprzód Nowa Wspaniała Rewolucja Amerykańska może się zakończyć ponurym *happy-end*’em, natomiast jest jakaś nadzieja w pesymizmie.

Ta nowa rewolucja opiera się głównie na dwóch potęgach: Nauce i jej zastosowaniu — Technologii.

Nauka, technologia to postęp. Postęp, który jest celem samym w sobie, w który uczono mnie wierzyć i wierzyłem już od pierwszych dni szkoły. Jeszcze kilka lat temu fakt, iż należy być postępowym, rozwijać technikę, budować lepszy ustrój, uszczęśliwiać ludzi przez danie im bogactwa i wykształcenia i wszystkie te rzeczy przez które rozumiemy „postęp” wydawały mi się jak najbardziej godnymi pochwały i postęp, jako cel w życiu, był czymś oczywistym. Przecież polski marzec 1968 to była właśnie nieudana bitwa o postęp. A w niespełna dwa miesiące później zaczęło się we Francji dziać coś, czego wtedy w Polsce nie potrafiłem zrozumieć, czego nie rozumiałem nawet żyjąc dostatnio w Danii, a co zaczęłem dopiero pojmować od prawie pierwszych chwil pobytu w Stanach Zjednoczonych: — rozpoczęła się walka z postępem.

Postęp można osiągnąć tylko dzięki ciężkiej i racjonalnie zorganizowanej pracy. Kraje największego postępu — Ameryka, może już nawet Związek Sowiecki, zapłaciły za swój postęp cenę ogromnych wyrzeczeń. W Ameryce głównie osobistych wyrzeczeń psychicznych. By oddać się całkowicie pracy, w Ameryce został chyba najsilniej stłumiony indywidualny element przyjemności — eros, jak go nazwał H. Marcuse, przez element ochoczo wykonywanej konieczności — pracy. Sprzyjała temu niewątpliwie protestancka religia, według której człowiek został stworzony po to, by „w pocie czoła pracować na życie”.

Tymczasem, w miarę postępującej mechanizacji, praca fizyczna została w Ameryce prawie zupełnie wyeliminowana i jeżeli widziałem tam kogoś kto w znoju zarabiał na swe marne życie, to meksykańskich robotników rolnych w Kalifornii, zresztą najgorzej opłacaną i najmniej efektywną klasę społeczną. Jednak mit ciężkiej pracy jest bardzo silnie zakorzeniony w tym społeczeństwie i choć od pracy można tam najwyżej dostać odcisków na siedzeniu, to jednak tłumy rozmaitych *self-made-man*’ów prześcigają się, kto na swym siedzeniu wysiedzi najlepiej. Wszystko

byłoby dobrze, gdyby nie zwykła fizjologia ludzka, która mimo postępu technicznego niewiele się zmieniła i dla wielu ludzi używanie tylko siedzenia, kilku palców u rąk i wyspecjalizowanej części mózgu jest po prostu wbrew ich biologicznej naturze. Posiadamy przecież jeszcze nogi, które są obecnie raczej elementem estetycznym (a więc w Ameryce już podejrzanym), pięć zmysłów, które chciałyby coś odczuwać — nie tylko degradujący je komfort i monotonię. Nawet umysł, którym człowiek się od wieków chwalił, iż dzięki niemu zawdzięcza swe człowieczeństwo, umysł ten jest kształtowany przez coraz to bardziej sztuczne i stereotypowe doznania (telewizja), a w skutek poddania go przez lata działaniu sterylnej i specjalistycznej edukacji jest formowany w coraz bardziej ograniczonych i sztywnych ramach. Wszystko to powoduje iż ten cały ogromny system społeczno-mechaniczny, który sobie człowiek ku własnej wygodzie i bezpieczeństwu zbudował, zaczyna się obracać przeciwko niemu, przeciwko jego własnej naturze.

Z Naturą, z naturą ludzką człowiek walczył już od dawna, mnisi zamykali się w celach, kobietom zakładano pasy cnoty. Była to jednak forma, którą jakoś można było obejść; w klasztornych refektarzach lało się wino, do pasów cnoty znajdowano klucze, a o postępie myślało wtedy paru postrzeleńców.

„Postęp” został po raz pierwszy zdefiniowany w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej, 200 lat temu: dała ona światu hasła wolności, równości i wyzwoliła nowe siły produkcyjne. Dlaczego więc właśnie teraz te wartości zaczyna się kwestionować?

Chyba dlatego, że po raz pierwszy produkcja, poprzez automatyzację, zaczęła się rozrywać do niespotykanych rozmiarów, że po raz pierwszy grozi nam udławienie się nią, zaczyna brakować powietrza nie tylko z nadmiaru ludzi, ale przede wszystkim z nadmiaru samochodów, że posiadający wspaniałe narzędzia do przekształcania świata, możemy ogarnieć bezmyślną choć racjonalną pasją konstruktorską zamienić go w pustynię przypominającą księżyc, na który tak bardzo chcieliśmy lecieć.

Prymitywny człowiek z łopatą czy siekierą nie jest zbyt niebezpieczny dla otoczenia; dół jaki wykopie, ilość drzew które może ściąć jest wyraźnie ograniczona jego możliwościami fizycznymi. Za to prymitywny człowiek wyposażony w buldożer i piłę mechaniczną może siał zniszczenie (nazywając to budową) na niepomniernie większą skalę. Ale i ten typ klasy pracującej zaczyna być już przestarzały. Zaczyna się pojawiać jeszcze większe niebezpieczeństwo — prymitywny człowiek wyposażony w komputer. Komputery to największe osiągnięcie cywilizacji. Tak jak wiek przemysłowy dał nam maszyny eliminujące pracę fizyczną, tak nowy, wspaniały wiek po-industrialny zaczął się dziesięć lat temu,

z chwilą zastosowania nowego narzędzia eliminującego uciążliwą pracę umysłową — komputera.

Co to jest komputer? Jego sposób myślenia jest banalnie prosty. W zasadzie kończy się on na kilku elementarnych działaniach matematycznych, na przykład $1+1=2$, $1+0=1$. Z tych działań można jednak złożyć najbardziej skomplikowane obliczenia matematyczne czy rozważania logiczne. Potrafi on wykonać tych działań tak dużo i tak poprawnie że wyklucza to jakkolwiek z nim konkurencję żywego rachmistrza. Posiada on w dodatku prawie nieograniczoną pamięć.

Gdzie znalazły przede wszystkim zastosowanie te cudowne maszyny? Do zorganizowania nuklearnych systemów obronnych i do umożliwienia podboju Kosmosu. Pierwsze jest dla mnie czymś magicznym, bo jeśli zostanie zastosowane, nie będzie czasu ani znaczenia zastanawiać się nad tym, a Kosmos, jak dotąd, kończy się dla mnie na okienku telewizora — perspektywa przeniesienia się na Księżyc czy Marsa jakoś mnie nie podnieca. Gdzież jeszcze te maszyny, w bardziej mi bliskich sprawach, zaczynają ingerować? Dzięki zmatematyzowaniu teorii ekonomicznych potrafią one skutecznie programować i optymalizować rozwój ekonomiczny, przewidywać reakcję konkurencji, nabywców itp. Niewątpliwie dzięki temu zostanie wyprodukowanych więcej rozmaitych zmechanizowanych „symboli szczęścia”, np. samochodów, a komputer zatroszczy się o to aby je jakoś mnie upchnąć, czyli że „już mnie on urządzi” — jak to się potocznie mówi. Ale to da się jeszcze wytrzymać, zwłaszcza że trzeba się liczyć z demokratyczną opinią większości, dla której „urządzanie się” czy „bycie urządzanym” stanowi podstawowy cel. Natomiast komputer ma jedną cechę, która mnie bardzo niepokoi, którą, jak dotąd, przypisywali sobie jedynie bogowie, papieże, tudzież partia komunistyczna: On wie lepiej ode mnie. I nie myli się. Dzięki możliwości opisu wszystkich zjawisk, nawet nas samych, w sposób numeryczny, można w jego pamięci zapisać bardzo szczegółowo wiedzę dostarczoną mu przez ogromną ilość ludzi. Już sama jego konstrukcja przypisywana jest nie pojedynczym, wybitnym jednostkom, jak to było w przypadku lokomotywy czy samolotu, ale ogromnemu i ciągle powiększającemu się zespołowi anonimowych specjalistów, z których każdy poświęca swe życie konstrukcji jakiegoś elementu tej maszyny, nie mając i nie mogąc mieć pojęcia jaki jest ogólny cel jej zastosowania.

Jeden ze znanych profesorów tej dyscypliny z dumą opowiadał nam jak to lekarze w Bostonie sprzęgli swe przyrządy do badania mózgu z centralnym komputerem w M.I.T.* Dzięki temu udało

się skatalogować przebieg bioprądów w tysiącach ludzkich głów, określić, w sposób ilościowy (a więc obiektywny) parametry odróżniające głowy normalne od nienormalnych. Teraz wystarczy dowolnego delikwenta (może na przykład mnie) wsadzić do tej maszyny i za chwilę komputer dostarczy gotową diagnozę mego zachowania. Proste? Oczywiście na tę diagnozę będę się musiał zgodzić ja — bo nie znam się na medycynie, a także lekarz mnie dozorujący, bo komputer przeanalizował niepomniernie więcej przypadków niżby on mógł poznać w całej swej życiowej praktyce, w końcu decyzja o moim stanie psychicznym została zaprogramowana przez jakiegoś anonimowego technika, który w sposób obiektywny, korzystając z precyzyjnych obliczeń statystycznych (przy demokratycznym założeniu że większość jest normalna a mniejszość nienormalna) zdefiniował próg „nienormalności”.

Oczywiście, od tej anonimowej, ale „naukowej” i „statystycznej pewnej” decyzji może zależeć całe moje życie, na co powinienem się biernie zgodzić, bo „On wie lepiej”, gdy tymczasem dla zachowania równowagi psychicznej wystarczyłoby mi wyjechać w góry, jak najdalej od komputerów, czego jednak „normalna”, statystyczna ludzka masa nie robi, a więc komputer nie rozumie.

Komputer nie tylko ustala autorytet „odgórny”, podobny do „wszechwiedzącego” — Boga, degraduje on także wartość pracy umysłowej w zawodach, które jeszcze kilka lat temu posiadały duży prestiż. Weźmy na przykład lekarza w szpitalu o którym mówiłem, kapitana statku, czy prezydenta Stanów Zjednoczonych. Lekarz, który jeszcze niedawno podejmował decyzje w których ważnym elementem było „wycucie” czy „intuicja” — czyli jeszcze coś z pogranicza „sztuki” — został zredukowany do pozbawionego decyzji laboranta, odczytującego kartki dostarczone mu przez maszynę, co i ja sam mógłbym zrobić. A kapitan statku? Postać mityczna, obdarzona ogromną odpowiedzialnością? Pracowałem na nowoczesnym statku oceanograficznym, który wyróżniał się od innych tym, że wyposażony był w komputer. Kiedyś, kiedy byłem jeszcze żeglarzem, uczyłem się trochę nawigacji. Był to przedmiot trudny, acz dający poczucie przyjemności — określić precyzyjnie pozycję statku z położenia słońca, gwiazd itp. Na tym statku oceanograficznym pełniłem wachtę przy komputerze. Co pewien czas jego *printer* ozywał i drukował bardzo dokładne zliczenia pozycji statku z przelatujących satelitów, które ja przez telefon przekazywałem na mostek kapitański. No i na co te tygodnie ślęczenia nad przyrządami i mapami, które spędził każdy oficer morski ucząc się nawigacji? Ta umiejętność staje się obecnie czymś wręcz zażytkowym, jak np. umiejętność powożenia końmi. Przecież prowadzić nawigację statku mógłbym równie dobrze ja, bo w końcu wszystkie informacje przeze mnie przechodziły, a najprościej w

* M.I.T. — Massachusetts Institute of Technology.

ogóle nikt, bo komputer sam zaznaczał na mapie naszą aktualną pozycję i kurs.

A co z zawodem, niewątpliwie najważniejszym i najodpowiedzialniejszym, o którym według statystyki marzy większość Amerykanów, a może i „większość” ludzi na świecie — z zawodem prezydenta Stanów Zjednoczonych? Aktualnie nazywa się on Richard Nixon, nazywał się przedtem Johnson i — jak powiedział jeden z publicystów amerykańskich — nazwisko takie mogłoby z powodzeniem zostać zaprogramowane przez system Univac.

Ale nie o to chodzi. Otóż pan Nixon, jako prezydent, co pewien czas podejmuje bardzo ważne decyzje — np. interwencja w Kambodży, ułaskawienie zbrodniarzy wojennych itp. Naturalnie nie są to jego własne decyzje, czy decyzje małej autokratycznej grupy, jak to było czy jest w przypadku de Gaulle'a czy sowieckich *boss'ów*, ale są to decyzje, z których każda jest opracowana i reakcja na nią sprawdzona przez odpowiednich specjalistów posługujących się maszynami, które obliczają komu się będzie w masie statystycznej podobało wystąpienie prezydenta, a komu nie i jak ma on postąpić, aby uzyskać nominację w przyszłych wyborach.

Dzięki temu, gadanie że Nixon to, Nixon tamto, staje się zupełnie próżne, bo to tak jakby kwestionować wyroki maszyny, która i tak wie lepiej, a jakakolwiek dyskusja z nią jest niemożliwa z braku naszej kompetencji. Nixon zaś jest kukłą podskakującą tak, aby wygrać wybory, czyli w takt maszyn mających mu to umożliwić; jest pozbowionym wszelkiej godności obiektem rozrywki tłumów, które naciskając rozmaite gałki będą decydowały czy ich bożyszczem będzie Mr. Nixon czy Mr. Dixon, a może jakiś inny elektronowy idol, gdyż będą go widzieć jako niezbyt ostry obrazek w magicznym pudełku.

Ale były to pierwsze moje spotkania z komputerami; brałem przeróżne kursy by rozgryźć o co w tej cudownej *gadget* chodzi.

Na jednym z kursów rozwiązywaliśmy problemy z „ekologii” (bo jest to aktualnie modne). Do tego jak uratować mordowaną przez industrializację naturę postanowiono zastosować najlepszy produkt tej industrializacji — komputer. Rzeczywiście, poznawszy dokładnie zależności między populacją jeleni a ilością trawy, ilością trawy a pogodą etc... można było skutecznie programować jak będzie wyglądała ta ilość jeleni po kilku latach. Uśmiercałem więc na papierze stada jeleni odebrawszy im trawę i patrzyłem jak to długo będzie trwało zanim się odrodzą. Wysypywaliśmy na pola tony DDT i czekaliśmy kiedy z tego zaczną zdychać ludzie. Aby obraz tego był pełny, wyposażaliśmy jedno państwo w bombę atomową i patrzyli jak się będzie bać drugie. Przy pomocy nowoczesnej medycyny obniżaliśmy śmiertelność dzieci w Afryce i obliczaliśmy, ile z nich będzie głodować — z przeludnienia. Nie trzeba do-

dawać, że jelenie, ludzie, strach, medycyna, to były dla nas tylko odpowiednio powiązane liczby, które można było dowolnie zmieniać aby wywołać pożądany efekt.

Pożądany? Co to znaczy pożądany? Na to pytanie odpowiedź z drugiej strony katedry była: To czego pożądamy to możliwość *całkowitej kontroli*; kontroli zatrucia wód i powietrza, kontroli zbrojeń, kontroli urodzin, kontroli inflacji, kontroli ilości drzew w lesie i kontroli ilości ptaków na drzewach, kontroli własnego postępowania i kontroli postępowania innych. A dzięki totalnej kontroli — możliwości przewidywania przyszłości (rzecz jak dotąd przypisywana tylko bogom i wróżbitom).

Na próżno próbowałem przekonać moich Amerykanów, że jest to całkowita bzdura, że Natura jakoś zupełnie dobrze dawała sobie radę gdy komputerów nie było, natomiast od chwili pojawienia się tych wspaniałych maszyn jej degradacja zaczęła przybierać wprost kosmiczne (dosłownie) rozmiary. Że ja nie chcę się zbyt samo-kontrolować i swej przyszłości znać nie chcę, bo jeśli bym znał, to chyba bym się od razu powiesił z nudów, by nie musieć przeżyć jeszcze tego, co już wcześniej mi zostało obliczone, a gdybym się powiesił to całe obliczenie na nic. Nie przemawiało to zupełnie do moich kolegów. No cóż, ja wychowałem się w Polsce gdzie co kilka lub kilkanaście lat coś się działo, czego żaden komputer nie potrafił obliczyć, oni zaś w Ameryce, gdzie od ponad stu lat wszyscy trudnili się dość prymitywnym ale skutecznym liczeniem i zabezpieczaniem sobie przyszłości.

Nie było to jeszcze sedno tajemnicy tej maszyny. Pod koniec trymestru, gdy rozmawiałem z profesorem o moich wątpliwościach, zaproponował mi on, abym sobie przy pomocy komputera przeprowadził wybór najwłaściwszych kursów do wzięcia w bieżącym kwartale. Nad tym problemem głowiłem się rzeczywiście od dawna i nie wiedziałem co będę robił. Komputer miał mi w tym pomóc. Ja miałem wyjąć z głowy moje własne myśli, wyrazić je w postaci obiektywnych numerków, poddać bezbłędnemu aparatowi logiki, już gdzieś poza mną, i otrzymane rozwiązanie wsadzić sobie z powrotem do głowy i postępować według niego. Czyli, że ja mam zaprogramować komputer aby komputer zaprogramował mnie! I ma to zrobić dla mnie maszyna, o której wiem że jest bezbłędna, posiada logikę i wiadomości nieporównanie większe ode mnie, ale jest dla mnie niczym więcej niż zagadkową czarną skrzynką, do której wtykam pewne kartki z jednej strony by otrzymać inne z drugiej.

Muszę przyznać, że nie posłuchałem mądrej rady, nie pozwoliłem się pozbawić mego niedokładnego, ale sprawiającego mi przyjemność myślenia. Zamiast robić optymalną karierę według danej mi instrukcji uciekłem na ten kwartał do Europy, gdzie

tych maszyn jest mniej, aby pisać me osobiste, nieobiektywne, pełne błędów impertynencje pod adresem cudownej maszyny. A przecież ona chciała, aby było mi łatwiej!

Oczywiście, obrońca komputerów może powiedzieć, że samo jego zaprogramowanie wymaga niejakich umiejętności, pracy umysłowej itp. Jeżeli ktoś miał możliwość robienia tego, to wie, że chyba największą trudnością w zrobieniu programu jest bezwzględnie dokładne stosowanie się do reguł, każde niewłaściwe postawienie kropki czy przecinka uniemożliwia jego wykorzystanie. W dodatku musi on być napisany bardzo elementarnie, krok po kroku, jakiegokolwiek przeskoki myślowe czy niedomówienia, tak urozmaicające i wzbogacające myśl ludzką są niedopuszczalne, gdyż maszyna żadnej nie zdefiniowanej numerycznie finezji w sobie nie ma. Natomiast raz dobrze zaprogramowana, może powtarzać ten swój program nieskończoną ilość razy, tak iż dla wygody, chcąc coś obliczyć, wykorzystuje się programy pisane przez innych, bezosobowych autorów, do których wsadza się własne informacje, zupełnie się nie troszcząc ani nie rozumiejąc w jaki sposób są one procesowane, gdyż można być pewnym, że wyniki będą dobre.

Komputer to mózg Wielkiej Nauki, a do czego doszła ona sama?

Niewątpliwie jest ona cudownym narzędziem, które pozwoliło nam podbić kompletnie świat, a nawet rozpocząć podbój przestworzy, pozwoliła naszemu gatunkowi rozmnożyć się w niewiarygodnej ilości i według powszechnego wierzenia ma nam dać ona panaceum na wszystkie nasze dolegliwości fizyczne i psychiczne.

Kiedyś uczeni (a było ich jeszcze niewiele) ustanowili podstawowe prawa fizyki. Potem, ze wzrostem ilości uczonych, doskonaleniem instrumentów pomiarowych i obliczeniowych, zaczęli badać wszelkie otaczające ich materiały, wdarli się z precyzyjnymi pomiarami do wiedzy, które do niedawna były jeszcze opisowe i trochę „artystyczne”, jak geologia (geofizyka), biologia (biofizyka). W końcu nastąpił szturm ostateczny — matematyka i elektronika wdzierają się by zaprowadzić ład i porządek we wnętrzu nas samych, naszych myśli i doznań. Zaczyna się kompletne formalizowanie, na kształt ilościowych praw fizycznych, takich nauk jak socjologia (socjofizyka?), psychologia. Pozostała jeszcze filozofia, choć i tu zaczynają się pojawiać szanse dokładnych pomiarów np. estetyki (Wittgenstein), a może po prostu zaczeka się aż filozofia jako jedyna metafizyczna a więc niepożyteczna dyscyplina, umrze śmiercią naturalną?

Co to jest socjo-fizyka? Dlaczego już niedługo nasze zacho-

wanie będzie można dokładnie zmierzyć i przewidywać, tak jak przewiduje się ruchy planet czy kółek w zegarku? W jednym z podręczników tej nowej wiedzy autor podaje przykład: w pewnym mieście władze miejskie dziwiły się cyklicznym, prawie co pół godziny, gwałtownym fluktuacjom w zużyciu wody przez sieć wodociągową. Później wyjaśniło się to — działo się to dokładnie w momentach kilkuminutowych przerw w programach telewizyjnych, które widzowie wykorzystywali by wyjść do ustępów. Tak więc znając program telewizji można by doskonale przewidzieć zachowanie się tysięcy ludzi i zużycie wody przez miasto, zupełnie niezależnie od tego, że ktoś mógłby się w tym czasie wspinać w górach. Po górach chodzą jednostki, będące marginesem statystyki, a liczące się miliony na komendę spuszczaają wodę w milionach ustępów.

W życiu codziennym, w miarę wzrostu naszego bogactwa, coraz więcej przebywamy w zasięgu rzeczy dostarczanych nam przez przemysł, a więc zuniformizowanych i wymagających jednakowego obchodzenia się z nimi na przykład telefon, samochód, pieniądz, czy muszla sedesowa. W dodatku czytamy te same gazety, oglądamy te same filmy i słyszymy te same melodie. W związku z czym nasze umysły kształtowane są podobnie, a więc można być coraz bardziej pewnym, że miliony ludzi będą myśleć i postępować tak samo. Oczywiście, natura ukształtowała nas nie jednakowo, jedni się urodzili chudsi, drudzy grubszy, jedni mniej drudzy bardziej głupi, ale skoro chcemy korzystać z dostarczanych przez industrializację stereotypowych ułatwień, musimy się zachowywać jednakowo i to coraz bardziej precyzyjnie, gdyż maszyny tego wymagają.

Istnieją już dzisiaj całe, dobre zorganizowane i wyposażone, armie naukowców zajmujących się opisem tego uproszczonego przez jednolitość zachowania się ludzi. Przy zastosowaniu więc odpowiednich technik i maszyn liczących można już obliczyć dość precyzyjnie życie „przeciętnego modelu człowieka” dla każdej sklasyfikowanej grupy społecznej czy zawodowej, który to opis będzie niewątpliwie dokładniejszy od subiektywnego, pełnego nieprecyzyjnie sformułowanych subtelności, opisu żywotów rozmaitych (również „reprezentatywnych”) bohaterów powieściowych, stworzonych przez dawnych i współczesnych pisarzy-dyletantów.

Niewątpliwie ten model społeczeństwa „naukowego” ma z racjonalnego punktu widzenia przewagę nad pełnym niuansów, zaźdrości, pasji i irracjonalnego gwałtu poprzednich i obecnych systemów opierających się na tradycji, ideologii, religii etc... Jednak i w tym najlepszym, najlogiczniejszym z systemów coś zaczęło zgrzytać, bo nagle, w ciągu ostatnich kilku lat zaczęły się dziać

rzeczy, których 10 lat temu nikt z najtęższych specjalistów tego kraju nie podejrzewał, pojawiły się całe grupy społeczne w jawnej i zorganizowanej opozycji do „naukowego” systemu. Ale system rządzi się prawem większości, więc choćby opozycjonistów były miliony to jednak „unaukowiona” większość rządzi, a nauka dzięki swemu ogromowi, podziałowi na niezliczone specjalności sama się zabezpieczyła przed kimkolwiek, kto mógłby jej gmach dokładnie spenetrować, z wyjątkiem może komputera, który jednak w swej konstrukcji nie może posiadać żadnej wyobraźni i myślenia innych niż zaprogramowany postępek.

A gdzie nas prowadzi praktyczna strona Postępu — Nauka zastosowana, Technologia?

Wielokrotnie zastanawiałem się jak maszyny zmieniają mentalność ludzi. W Polsce było porzekadło „z kim przestajesz, takim się stajesz” i coś mi się wydaje że ta mądrość ludowa znajduje pełne zastosowanie i w Ameryce. W tym kraju komputerów jest około 50 tysięcy zaś przypisanych do nich ludzi jest nie więcej niż kilka milionów; ci zaś choć stanowią w tej świątyni technologii kastę najwyższą, nie stanowią jednak jeszcze większości, ale niedługo już mogą — dzieci w szkołach uczą się już programowania, a często uczone są przez komputery.

Istnieje jednak maszyna inna, starsza, ale chyba najważniejsza, której populacja jest równa połowie ludności Stanów Zjednoczonych i, jak wykazują statystyki, każdy „przeciętny” Amerykanin spędza w niej 10-20 % czasu swego życia. Jest to oczywiście samochód.

Samochód ma to do siebie, że lubi jeździć. Aby mógł jeździć maksymalnie wygodnie zbudowano dla niego autostrady. Autostrada jest chyba najbardziej dominującym elementem pejzażu amerykańskiego, jedynym elementem budowanym trwale i solidnie, wszystko obok niej, domy, składy, fabryki, ludzie są czymś przypadkowym, byle jak i bez znaczenia, jedynie jej potworne zwoje wznoszą się ponad miastami jak świątynie racjonalistycznego boga-molocha, w których odprawiają swój obrzęd sznury metalowych pudełek. Jednak w tych puszkach siedzą ludzie (zazwyczaj po jednym w każdej) i spędzają w nich najważniejszą część wolnego czasu, jeśli odliczyć spanie, jedzenie i pracę, a jedyną konkurencję z nimi stanowią telewizory, gdzie odbywa się druga z kolei najważniejsza część misterium ich swobodnego życia.

Przypatrzmy się jakich umiejętności wymaga jazda samochodem, zwłaszcza w Ameryce, gdzie kult ten doszedł do największego rozkwitu. W Europie do jego prowadzenia potrzeba reflek-

su, wyczucia odległości, „nerwu”. Bez pewnej dozy agresywności i odwagi nie ma mowy o przejechaniu przez plac de l'Etoile-de Gaulle*. Jadąc po europejskich autostradach, gdzie nie ma zazwyczaj ograniczenia szybkości, większe samochody mogą wykazywać swą przewagę nad mniejszymi, niedostatecznie silnymi. No i poza Niemcami po autostradach nie jeździ się zbyt często.

Tymczasem w Ameryce autostrada jest elementem podstawowym, a ze względu na ilość i moc samochodów szybkość na niej jest drastycznie ograniczona, do 100-110 km/godz. Jeżeli zaś wjedziesz już na nią, to przez godziny możesz pozostawać w stanie zupełnego bezruchu, nie zmieniając linii ani szybkości i najważniejsze abyś w tym bezruchu pozostał. Każde mocniejsze docisnięcie gazu jest przestępstwem, każda zmiana pasa czy naciśnięcie hamulca może grozić nieobliczalnymi skutkami, a dla wygody, szybkości i bezpieczeństwa swojego i innych najlepiej abyś się w ogóle nie ruszał, aż sygnały cię powiadomią, że już masz zjechać w bok.

Aby zupełnie nie tracić czasu możesz otworzyć sobie radio, by wysłuchać standardowej muzyki i reklam, czy rozmawiać z pasażerami (jeśli są), ale to dość szybko ci się znudzi, bo oni wiedzą to samo co ty i myślą tak samo, więc wymiana poglądów, dyskusja nie może po prostu istnieć. A w ogóle to najbezpieczniej jeśli się skupisz na otepianiu swych mięśni i zmysłów, bo to tylko może zaprowadzić cię do celu.

Celu? Jakiego celu? Kiedyś wracaliśmy z nart autostradą koło Sacramento. Kłóciliśmy się z mym amerykańskim kolegą (jednym z tych nielicznych, którzy jeszcze chcą gadać) na temat degradacji wartości podróży w nowoczesnym świecie. On był entuzjastą, że każdy Amerykanin może zobaczyć Paryż, Londyn etc., ja pesymistą, gdyż na widok amerykańskich turystów w Wenecji zdarzyło mi się z niej uciec, w ogóle „turystyka masowa” powoduje, że nabrałem wstrętu do turystyki jako takiej. Za szybami samochodu odwijał się niekończący łańcuch ogromnych supermarketów, „Woolworth”, „Rexall”, „Safeway” etc. Znużony, zdrzemałem się na chwilę. Gdy się obudziłem, za szybą odwijał się niekończący łańcuch supermarketów, „Woolworth”, „Rexall”, „Safeway” etc. Ogłuszonemu snem powiedziało mi się półświatomie — „przecież myśmy tu już byli — tylko, że te sklepy były po drugiej stronie”.

Niejednokrotnie zdarzało mi się porównywać Amerykę do autostrady. W książce „The management of intelligence” (brr!) jeden z wybitnych profesorów, wychowawca *manager’ów* — ludzi mających objąć kierownicze stanowiska w produkcji, polityce

* Niedawno otworzono tam przejazd podziemny, więc już jest łatwiej!

i *business*'ie, także przyrównywał ich pracę (oczywiście wyrażając się o niej z „wysokim entuzjazmem”) do kierowców samochodów na autostradzie której końca nie widać, ale którzy muszą nieustannie przyspieszać swe pojazdy aby nie wypaść z konkurencji, aby nie dać się prześcignąć przez obce mocarstwo, aby nieść postęp dalej i dalej. Nie wolno im zwolnić, bo ich rozjadą inni, ani zmienić linii, bo inne są już zajęte. Muszą tylko bezustannie zwiększać swoją czujność, ani na chwilę nie odejść od obowiązującej ich normy, gdyż grozi to nieobliczalnymi skutkami, a w przyszłości te wymagania będą się nieustannie zwiększać.

Nie stać było tego profesora na sięgnięcie wyobraźnią nieco dalej. Już tylko trochę znajomości fizyki wystarczy by wiedzieć, że ruch bezustannie przyspieszony nie może trwać w nieskończoność, że gdzieś musi być jego kres, jeśli nie znajdzie się w porę hamulców to musi nastąpić kataklizm, tym większy im szybciej będziemy pędzić. A tym czasem na tej drodze, do przodu muszą się wysforowywać ci, którzy najlepiej pasują do tej roli. Ludzie o doskonałej samokontroli, a więc pozbawieni jakichkolwiek ludzkich odczuć, ludzie przestrzegający ściśle instrukcji i reguł i nie posiadający ani chwili zwątpienia w celowość swego postępowania, zwątpienia które mogłoby być objawem jakiejś samodzielnej myśli czy odruchu, mogącego zrujnować ich karierę. Ludzie o zwirotczastych mięśniach (bo siedząc to się najszybciej porusza), o tchórzliwych sercach, bo gdyby się przestali bać, to przestaliby iść naprzód, ludzie pozbawieni i pozbawiający się świadomości tradycji (bo idąc w przód nie można patrzeć wstecz), pozbawionych poczucia estetyki (bo dla maszyny to ona nie potrzebna), czy zwykłej wyobraźni (jak samochód może mieć wyobrażnię?). I tacy ludzie muszą iść w tym systemie w górę, bo demokratyczna większość życzy sobie aby postęp był, bo inaczej „większość” nie zarobi więcej pieniędzy. I choć rozlegają się już głosy, że polucja, że naruszenie równowagi ekologicznej, ale są to głosy pięknoduchów, którzy zamiast pracować martwią się, że ptaszki już im nie śpiewają, a przecież można zrobić elektroniczne ptaszki śpiewające lepiej i wtedy kiedy trzeba.

Ale jednak problem polucji nagle rozdał się niemożliwie. Dlaczego? Przecież do kilku lat wstecz Ameryka radośnie produkowała, zostawiała hałdy śmiecia, ale się tym zbyt nie przejmowała. Niewątpliwie technologia ostatnich lat skoczyła niepomiernie, kraj wielki stał się nagle mały i od produkowanego przez siebie śmiecia coraz trudniej było uciec. W dodatku masowe środki przekazu znalazły jakiś nowy pokarm by wypełniać głowy swych trochę znudzonych odbiorców, kandydaci na stanowiska, element który chwycił w wyborach, a co najważniejsze, armia byznesmenów, naukowców i techników, którym automa-

tyka zaczęła zagrażać bezrobociem, zwietrzyli nowy *business* — będzie można robić nowe maszyny do zwalczania innych maszyn, produkować raporty o stanie zatrucia, komputery do obliczania uszkodzeń mózgu spowodowanych hałasem itd.

Z pozoru mogłoby to się wydawać piękne, odkryto błąd, znaleziono środek zaradczy i maszyna może pędzić dalej. Czy znaleziono rozwiązanie? Prawie w każdym swym przemówieniu Nixon, Reagan i inni Wielcy Amerykańscy zajmują się, naturalnie obok Wietnamu, problemem zatrucia powietrza i wody, a jednocześnie chwalać się wzrostem dochodu narodowego, kreślą plany nowych konstrukcji, fabryk i autostrad, że nie potrafią znaleźć relacji między tymi dwoma zjawiskami? Przecież wysokość dochodu narodowego jest niczym innym jak dokładną miarą szybkości przetwarzania rzek, skał, drzew, zwierząt i tego wszystkiego co nazywamy Naturą, na samochody, autostrady, telewizory, stalowe nym społeczeństwie chodzi o to, aby były to elementy jak najszybciej skonsumowane, więc w końcowym efekcie dochód narodowy jest miarą ilości wydzielanych spalin, *slums*'ów i hałasu wydawanego w czasie „konsumowania”.

Naturalnie o tej hipokryzji żaden polityk głośno powiedzieć się nie ośmieli, gdyż kosztowałoby to jego stanowisko, nie zostałaby demokratycznie wybrany przez *silent majority* — milczącą większość, która o polucji przy whisky będzie mówiła, ale powiązać to ze swoją od pokoleń wpajaną ambicją by kupić większy dom, większy samochód i przejechać więcej mil, zupełnie nie może — gorzej, kwestionowanie tych oczywistych wartości jest dla niej świętokradztwem, herezją, drwieniem z boga, dla którego się poświęciło całe swe życie.



Jednak najwięksi specjaliści coś myślą o tym co się w obecnym świecie dzieje. Co myślą? Popularny *Saturday Review* podał wyniki specjalnej 2-tygodniowej konferencji na temat przyszłości świata, w której wzięli udział najwybitniejsi znawcy nauk przyrodniczych i społecznych, z najpoważniejszej chyba uczelni świata, M.I.T. w Bostonie. Uczni, korzystając z niezliczonych danych, sporządzili specjalny program, który — rozwiązany przez komputer — dał prognozę na sytuację na świecie do roku 2000. Wynik w postaci wykresu był także z dumą przytoczony. Na wykresie było kilka krzywych, każda przedstawiająca inny ważny element współczesnego świata — „całkowita liczba ludzi na świecie”, „polucja”, „zużycie surowców” i niezbyt jasno określo-

ny wskaźnik „jakość życia” (jak oni to zwymiarowali?). Gdzieś do roku 1980 sytuacja była w pewnym stopniu kontynuacją lat wcześniejszych, ludzkość eksponencjalnie wzrastała do 6 miliardów, surowce były w dalszym ciągu eksploatowane, choć ekspansja była już nieco bardziej umiarkowana, zatrucie rosło, ale też umiarkowanie, natomiast „jakość życia” już w roku 1970 wykazywała tendencje spadkowe w stosunku do lat poprzednich. Koło 1980 nastąpiły gwałtowne zaburzenia, ludność w ciągu 10 lat zmalała do 2 miliardów, w tym samym czasie „jakość życia” skoczyła tak wysoko w górę, że aż wyszła poza wykres (może dostaliśmy się do nieba?). Koło roku 2000 wszystko się uspakajało z powrotem, „jakość życia” wracała na ziemię ale była dość wysoka, polucja, zużycie surowców i ludność pozostawały ustabilizowane. A więc będzie lepiej.

Komentarz do tego wykresu był dokładnie taki, jak ja go tu przedstawiłem. I nic więcej. A co to znaczy spadek ludności świata o 4 miliardy w ciągu 10 lat? Głód? Zatrucie? Potworna wojna? Ja w tym czasie będę miał zaledwie 40 lat, a szanse przeżycia dla mnie i dla wszystkich czytających będą zaledwie 1:3! A jak będzie wyglądało to „niebo” pośród zwałów trupów? I co na to mają do powiedzenia ci najsławniejsi specjaliści? Podejrzewam, że nawet o tym nie pomyśleli. Przecież oni, by osiągnąć swą wiedzę i stanowiska przez dziesiątki lat musieli się zamykać w laboratoriach i bibliotekach, ograniczać się w coraz głębszych specjalnościach, nie mają czasu na czytanie Ionesco i Gombrowicza (od których są zresztą inni specjaliści); obcując głównie z maszynami wyzbyli się z ochotą jakichkolwiek ludzkich odczuć.

A ja sam mam być jednym z nich, jestem już w terminie u Nauki przez ponad 10 lat, mam napisać nudny doktorat, którego dobrowolnie bym nigdy nie przeczytał, bo inaczej zostanę poza nawiasem społecznym. Przecież nikt w demokratycznym społeczeństwie nie będzie utrzymywał obiboków, niedowarzonych „myślicieli”, którzy zamiast budować w górę gmach postępu, próbują pod nim kopać dołki. Ale dzięki Bogu, specjaliści od „ulepszenia” świata nie zauważyli, że w nowoczesnym społeczeństwie tzw. „bieda” utraciła jakiejkolwiek znaczenie, że 10-20 godzin pracy tygodniowo wystarcza na to, by móc się wspinać na Alasce i jeździć na nartach w Szwajcarii, że dzięki „ulepszeniom” to, co jest niezbędne do życia — żywność, ubranie, schronienie, jest produkowane w Ameryce przez kilka lub kilkanaście procent ludności, zaś reszta tego społeczeństwa zajmuje się pracami mniej lub bardziej absurdalnymi, jak lataniem na księżyc, grą w kasynie, czy prowadzeniem instytutów do rozbudzenia zmysłowego. Że nawet przy mej biernej postawie system zrobi wszystko, aby we

mnie upchnąć samochód, domek i aparat stereofoniczny — bo bez tego ten system nie miałby racji bytu.



Jeżeli już tak negatywnie rozprawiam się z nauką, z postępu, to chciałbym się na chwilę zastanowić co dzieje się z innymi hasłami Wielkiej Rewolucji Francuskiej — równością, demokracją, wolnością? Niewątpliwie warto było o nie walczyć i wciąż jest warto gdyż są one ciągle niezrealizowanymi ideami. Ale co się z nimi stało w krajach, gdzie zostały wcielone w życie? Demokracja? Rządy większości? Przecież większość jest ślepa i jej ślepotą jest zabezpieczona przez masowe środki przekazu zmuszone dostosować się do gustów większości. Więc może tyrania większości, jak nazwał to de Tocqueville?

Jeśli ktoś naprawdę jest demokratą i chce równości, to musi się pogodzić z sytuacją, że nie tylko nie będzie posiadał praw większych niż inni, ale także że nie będzie się wyróżniał. Technologia wyrobów masowych idzie zgodnie z tą ideą, gdyż jej produkty muszą być jednakowe. A ja się chcę choć trochę odróżniać i przeraża mnie martwota milionów jednakowych domków, jednakowych autostrad, jednakowych samochodów, jednakowych ludzi.



W zapale demokratycznym Amerykanie chcą obdarować cały świat swymi osiągnięciami. Czy ktoś z przywódców setek instytucji „pomocy” dla innych krajów pomyślał, jak będzie wyglądał świat, gdy już wszyscy staną się tak bogaci jak Amerykanie? Na to, przy obecnym postępie potrzeba będzie nie więcej niż kilkadziesiąt lat! Już chmura smogu wydzielana przez narody Azji byłaby samobójcza nie tylko dla nich ale dla całego świata. Wskutek łatwej komunikacji już teraz w przyspieszonym tempie zanikają rozmaite dialekty, różnice między krajami, tak bardzo urozmaicające nasze życie. Gdy ja, kiedyś, uczyłem się angielskiego, było to dla mnie osiągnięciem, gdy moje dzieci (dla wygody) zapomną polskiego, będzie to degradacja.

A Wolność, którą Ameryka chwali się najbardziej? Niewątpliwie w jej tradycyjnym znaczeniu wolność jest tu ogromna. Ale czy ktoś się zastanawiał jak nieodpowiednim terminem jest wolność na autostradzie, zwanej w Kalifornii *freeway*’em — wolną drogą? Jedyne co ci wolno to „wybrać wolność” na najbliższym rozgałęzieniu i możesz być prawie pewny, że twoja nieodpowiedzialna decyzja zakończy się przed stacją benzynową lub budą z hamburgerami. Na autostradzie *musisz* poruszać się *do celu*.

Gdy wraz z europejskimi przyjaciółmi przekroczyliśmy granicę meksykańską, wszyscy zaczęliśmy się śmiać radośnie. Czuliśmy się wolno. Mimo iż wolność oficjalna w Meksyku nie umywa się do amerykańskiej, jest tyrania jednej partii, mimo iż polują na długowłosych i mają tysiąc idiotycznych przepisów. Bo w Meksyku mogliśmy stanąć samochodem na środku drogi i przekraczać do woli przepisową szybkość. Mogliśmy zostawić samochód i włóczyć się *bez celu* po miasteczkach i jarmarkach, z których każdy był inny. Mieliliśmy tę zwykłą, nie skrępowaną odpowiedzialnością, fizjologiczną wolność życia.

Często rozważałem by zostać w Ameryce i zacząć tam „karierę”. Studziła mnie w tym myśl, że do tego musiałbym sobie sprawić klapki na uszy — by nie słyszeć nieustającego ryku, i klapki na oczy — by nie widzieć brzydoty. A jaki sens ma „wolność”, gdy świadomie musi się ote피아ć swoje zmysły? Cywilizacja wyposażała nas w wygodną zbroję przeciw większości naturalnych wrogów, ale pancerz ten wymaga aby się poruszać tylko tak, jak zezwala na to jego stalowa konstrukcja. W miarę postępu staje się on coraz bardziej precyzyjny i ciężki. Dopasowany świetnie do żądań większości (demokracja), jednostkom może sprawiać jednak nieznośny ucisk. I może, by ratować siebie, muszą próbować go rzucić i próbować rozzuć z niego i innych, by nie być przez nich zmiażdżonym. Te poczynania można nazwać anarchią, ale czyż nie ma więcej życia w anarchii niż w zastygłych betonowo-stalowych strukturach, nawet naukowo doskonałych?

W świecie fascynacji maszynami można zatracić zupełnie świadomość relacji między maszyną a człowiekiem. W centrum Berkeley zdarzyło mi się zauważyć plakietkę na samochodzie: *No parking place? — think about birth control!* (nie ma miejsca na parkingu? — pomyśl o kontroli urodzeń!). Bezmyślność tego napisu aż mnie zatkała, a chwila zastanowienia się nad nim napęliła zgrozą. Za to, iż zaczyna brakować miejsca dla samochodów, za zatrucie powietrza i oceanów zaczyna się winić nadmiar ludzi, nie nadmiar maszyn. Przecież nieporównywalnie przeludnione w stosunku do Ameryki Indie są o wiele mniej zniszczone przez człowieka, a trudności z parkowaniem w kilkakrotnie gęściej zaludnionej Polsce praktycznie nie istnieją! Jak jednak można wytłumaczyć przeciętnemu Amerykaninowi, że ludność przez tyśiące lat świetnie sobie bez samochodów i parkingów dawała radę, a jej degradacja już się zaczęła właśnie dzięki tym „symbolom szczęścia”? Dla milionów, które poświęciły całe swe życie magazynowaniu tysięcy stereotypowych rzeczy-śmieci, byłoby

czymś w rodzaju zbrodni wyrzeczenie się ich, czy nawet tylko ograniczenie ich przyrostu. W dodatku rozpędzona, prawie automatyczna produkcja wypływa wciąż więcej i więcej przedmiotów, które trzeba używać i które trzeba gdzieś hałdować. I dlatego w tym, jednym z mniej zaludnionych na świecie krajów zaczyna się odczuwać coś w rodzaju braku *Lebensraum*'u.

Ludzkiej masie jest o wiele łatwiej wytłumaczyć wszystkie problemy związane z polucją itp., nadmiarem ludzi, a nie nadmiarem technologii. Masa ludzka ma właściwość, którą chytrze umieli wykorzystać zarówno komuniści jak i Hitler — można ją łatwo przekonać dla rozwiązania, wydającego się być bardziej oczywistym i łatwiejszym dla niezbyt wyćwiczonego w samodzielnym myśleniu społeczeństwa, nawet społeczeństwa naukowego. A gdyby tak „zrobić porządek” z ludzkością, zwłaszcza żyjącą w nędzy, mnożącą się nadmiernie, niezbyt dającą się nabrać na postęp i zajmującą niepotrzebnie miejsce, które można by przekształcić na autostrady i pasy startowe dla „idących z postępem”? To świetnie odpowiada mentalności naukowej, której najważniejszym zadaniem jest właśnie „robienie porządku” wszędzie gdzie tylko można. W dodatku społeczeństwo amerykańskie ma w swej historii już taki wspaniały epizod — gdy wyróżniło Indian by zrobić przez ich terytoria drogi dla lokomotyw. Aż dreszcz przerażenia mnie obleciał gdyby to na większą skalę mogło się powtórzyć.

Na wykresie, który omawiałem poprzednio, zużycie surowców w latach 1980-90 wciąż rosło, przy malejącej liczbie ludności, a więc może wchodziły wtedy w użycie nowe maszyny do naukowego zmniejszania ludności — być może podobne do tych stosowanych w latach 1942-1944, choć na pewno nowocześniejsze, bardziej wydajne urządzenia do bezbolesnego, czy może nawet przyjemnego uśmiercania?

A może proces śmierci w nas samych już się zaczął, choć oczywiście nie jesteśmy tego świadomi? Po półtorarocznym pobycie w Ameryce, jest jedno co uderzyło mnie najbardziej w Europie: Życie. W Londynie dziewczyny uśmiechały się na ulicy, w Paryżu ludzie gadali jak głupi w kawiarniach (o czym? przecież nie o niczym pożytecznym!), na szosie bez przerwy ktoś kogoś chciał prześcignąć, schroniska do których trzeba się natrudzić podchodząc, były przepełnione. Ludzie tańczą na przyjęciach, piją alkohol i zachowują się nieodpowiedzialnie. I wszyscy czegoś chcą, a każdy choć trochę innego.

Z powrotem zaczęłem czuć, że może kimś chciałbym zostać, coś sobie kupić, zamieszkać w przyjemnym mieście. Jednak gdzieś głęboko w świadomości pozostaje mi jakieś smutne przekonanie,

że jeśli już wszystkiego dokonam, zwiedzę wszystkie kraje, wejdę na wszystkie góry, będę miał ogromny dom i dwa samochody, moje dzieci zasiądą gdzieś, jak najdalej ode mnie i mych osiągnąć, wyjmą zabronione ziołka i będą się nimi odurzać, otępieją od nieustającej muzyki, nie będą już tańczyć, przestaną do siebie mówić, a tylko powtarzać *I am high* w całkowitym zrozumieniu. I oprócz kopulacji nie będzie się im nic, kompletnie nic, chciało.

Gdy przeglądam się w lustrze w czymś modnym, widzę w nim odbicie połyskujących, papierowych reklam z *Playboy'a*. Wtedy nawet tu, w kochającej się w estetyce Europie chciałbym coś nabruździć, rzucić kamieniem w moje kuszące papierowe odbicie, uciec tam gdzie mój model powielony tysiąckrotnie nie będzie mnie prześladował.

Marek GŁOGOCZOWSKI

Berkeley-Genewa, kwiecień-maj 1971 r.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 199 — TOMASZ STALIŃSKI

CIEŃ W PIECZARZE

Nowa powieść autora książki „Widziane z góry”, tematem której jest inteligencja polska w kraju.

Str. 368

Cena F. 30 (dol. 6,00; £ 2,5)

TOM 200 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘTNASTY

Zawiera m.in.: Charles de Gaulle — *Bitwa o Wisłę*; *Co w rzeczywistości myślał gen. Weygand o bitwie o Warszawę*; gen. Sztymienko — *Powstanie Warszawskie*. ♦ PAMIĘCI HELENY RADLIŃSKIEJ — *Wspomnienia* M. Czapskiej, K. Bagińskiego, W. Pełczyńskiej, J. Hoffmanna, A. Bogusławskiej, Z. Gulińskiej-Mondschein, J. Różankowskiej. ♦ POLEMIKI — KSIĄŻKI — LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 18,50 (dol. 4; £ 1,5)

Lodówki czy poznanie siebie ?

W swojej świetnej książce *Vers une contre-culture*¹ Theodore Roszak pisze, że o ile w XIX wieku i w pierwszej połowie obecnego najgroźniejszym wrogiem burżuazji był robotnik w fabryce, to teraz jej nieugięty przeciwnik znajduje się w jej własnym domu, zasiada przy stole rodzinnym i korzysta z przywilejów, które mu dostarczyła. Jest nim młodzież, jej własne dzieci wychowane w dostatku a zbuntowane przeciwko systemowi, światopoglądowi i tradycjom jakie reprezentuje. Nie ulega wątpliwości, że spostrzeżenie to ujmuje jedną z cech charakterystycznych naszych czasów. Burżuazja wykarmiła własną pierś Brutusa. O tyle też jej walka z nowym wrogiem jest trudniejsza, bardziej skomplikowana, bo wzbogacona o różne elementy uczuciowe, mniej pewna jeżeli chodzi o jej wyniki.

Na temat konfliktów między pokoleniami napisano wiele. Rzecz jest banalna, nieuchronna, permanentnie obecna. Ale w naszych czasach, jak twierdzi Roszak, przybrała ona formę odmienną bo jest nie tylko buntem młodzieży, czy pewnej młodzieży przeciwko starszym, ale także zdobywaniem prawa do nowego poglądu na świat, dążeniem do stworzenia innego kształtu egzystencji, protestem przeciwko panowaniu pewnych ustalonych wartości. Tu nie chodzi o rozgrywkę w chwili przejmowania spadku przez młode pokolenie, lecz o zakwestionowanie charakteru samego spadku. Większość młodych o skołtunionych i długich włosach, brudnych i obszarpanych, zażywających LSD czy palących marihuanę, maszerujących w pochodach nad którymi powiewają czarne sztandary, zjeżdżających się w setkach tysięcy na wyspę Wight czy do Woodstock by słuchać muzyki pop, młodzi wyznawcy filozofii zen czy spirytyzmu, ogromna liczba tych, którzy stawiają czoła policji w Mediolanie, Berlinie czy Berkeley mają — mimo pozorów przeciwnych — wspólne nastawienie: nienawiść do technokracji. Taka jest teza Roszaka.

Przy tego rodzaju postawieniu problemu, upada szereg do-

1. Ed. Stock, Paryż, 1970.

tychczasowych twierdzeń. Nonsensem staje się dopatrywanie się w protestującej młodzieży wyłącznie wpływów faszystowskich czy skrajnie lewicowych, nonsensem nazywanie ich wszystkich pogardliwym mianem gauchistów, nonsensem liczenie na to, że klasa robotnicza przyłączy się i poprze rewolucyjne dążenia studentów. Bo ogromny odłam zbuntowanej młodzieży jest przeciwko technokracji, podczas gdy klasa robotnicza jest w chwili obecnej jednym z poważniejszych bastionów tej technokracji, nie potrafi uzmysłować sobie świata bez niej, pragnie korzystać z jej dobrodziejstw. We Francji w maju 1968 roku robotnicy odmówili podania ręki Cohn-Benditowi i myśleli tylko o podwyżce płac, w Berlinie i w Nowym Jorku robotnicy ze związków zawodowych rozpędzali pałkami pochody studentów, w Anglii jedyny problem — poza oczywiście żądaniem podwyżki płac — który potrafił wyrwać klasę robotniczą z letargu, to była sprawa napływu do Wielkiej Brytanii ludzi kolorowych. Stało się inaczej niż przewidywał Marks: w krajach kapitalistycznych motorem rewolucji nie jest proletariatus, ale młodzież burżuazyjna. A istotna rewolucja nie zmierza do zapewnienia panowania klasie pracującej i do bardziej sprawiedliwego podziału środków produkcyjnych, lecz do wyzwolenia człowieka z więzów narzuconych przez postęp technologiczny.

Zdaniem Roszaka młodzież buntująca się w ustrojach kapitalistycznych — i tylko ona — jest ziarnem kontr-kultury. Nasuwają się tu od razu dwa pytania: dlaczego ona, a nie starsi, i co to jest ta kontr-kultura?

Młodzież domaga się zmian dlatego, że zdała sobie sprawę szybciej niż starsi z pewnych zabójczych elementów technokracji, i dlatego że uświadomiła sobie swą siłę. Tak jak w krajach socjalistycznych trzeba było dwudziestu pięciu lat panowania komunizmu by klasa robotnicza zrozumiała swą potęgę — czego jak dotychczas jedynym dowodem były wypadki w Gdańsku, — tak trzeba było dwudziestu pięciu lat wzrastającego postępu technologicznego, by młodzież zaczęła wyciągać pewne narzucające się wnioski z sytuacji, w której się znajduje. Jej poczucie siły wynika z poczucia odrębności. Zaś świadomość odrębności klasowej jest u niej konsekwencją szeregu elementów, znanych na ogół wszystkim. Dla pamięci wspomnę tylko o kampusach studenckich, które stały się centrami formowania się świadomości klasowej, tak jak w XIX wieku były nimi dla robotników ośrodki budzącego się przemysłu; o tendencjach kapitalistycznych do komercjalizowania faktu, iż młodzież reprezentuje poważne źródło dochodowe i o wynikającym z tego narzucania jej innego sposobu ubierania się, korzystania z rozrywek itd.; o liberalnym wychowaniu, tolerującym z pobłażliwym uśmiechem wszystkie wybryki; o wcześniejszym życiu seksualnym, połączonym z przedłużającym się okresem przygotowania do pracy zawodowej. Jeżeli młody Japończyk jest tak samo ubrany jak młody Włoch, Francuz czy Amerykanin, jeżeli chodzi tylko do lokali zarezerwowanych dla młodych, jeżeli odnosi się z arogancją do starszych

a z pogardą do idei, które oni wyznają, to jest to w dużej mierze skutkiem skomercjalizowanych nastawień starszego pokolenia. Faktem jest jednak, że poczucie odrębności jest motorem żądania zmian.

A co to jest kontr-kultura? Roszakowi przychodzi dużo łatwiej sformułowanie jej aspektów negatywnych, niż pozytywnych. Inaczej mówiąc, wiadomo przeciwko czemu występuje, natomiast mniej wiadomo czego żąda. Protest jej skierowany jest przeciwko technokracji. Niedawno jeden z moich znajomych powiedział, że technokracja jest zjawiskiem uchwytnym, widocznym, lecz jednocześnie rozumowo i pozornie tak pociągającym, że walka z nią staje się bardzo trudna. Jest to uwaga bezsprzecznie słuszna. Technokracja jest totalitaryzmem zamaskowanym, przebiegłym, nasiąkniętym hipokryzją, i dlatego może groźniejszym niż hitlerizm czy stalinizm. Totalitaryzm ten co prawda nikogo nie zabija fizycznie, lecz sieje śmierć psychiczną. Technokracja jest wszechwładnym panowaniem ekspertów naukowych, specjalistów i teoretyków, którzy dążą do „organizacyjnego i całkowitego” zawładnięcia człowiekiem w imię skuteczności, modernizacji, racjonalizacji i związanej z nimi planifikacji. W koncernach Forda, Dupont-Nemoura czy Volkswagena robotnik wiąże się z przedsiębiorstwem kontraktem na całe życie, ale w zamian za to dostaje gwarancje bezpiecznego bytu: przedsiębiorstwo daje mu kredyty na zakupienie samochodu, łódki, domu z ogródkiem, daje mu szkoły dla dzieci, boiska sportowe i lokale rozrywkowe, organizuje urlopy, zaspokaja wszelkie pragnienia we własnym zakresie. Poza tym urabia go psychicznie, kształtuje potrzeby, podsuwa bodźce.

Wydaje mi się, że technokracja opiera się na dwóch niezmiernie prostych, a jednocześnie monstrualnych ideach. Pierwsza z nich to przeświadczenie, że zmierza do zapewnienia szczęścia człowieka. W swoim czasie chrystianizm utrzymywał, że człowiek dozna szczęścia dopiero w życiu pozagrobowym, nieco później komunizm kazał poświęcać się ludziom dla szczęścia przyszłych pokoleń, technokracja natomiast mówi, że szczęście jest dostępne każdemu już teraz, w każdej chwili. Oczywiście wizje tego szczęścia są w każdym wypadku inne. Dla chrystianizmu była to zdumiewająca i romantyczna koncepcja obcowania z Bogiem, dla komunizmu iluzoryczna równość w korzystaniu z dóbr materialnych, dla technokracji po prostu dobrobyt. Symbolem szczęścia technokratycznego są wszystkie Woolworthy, Harrodsy, Hertie, Maceye i Monoprix.

Druga idea posiada również cechy kosmaru. Jest to przekonanie, że wszystko w człowieku da się wytłumaczyć naukowo, wymierzyć próbówką, zrationalizować, ująć w karby, pokierować. Nie ma granic dla postępu naukowego i dla dążenia do opanowania odruchów ludzkich. Na tle tego przekonania powstała na naszych oczach najbardziej gigantyczna w dziejach świata impreza manipulowania człowiekiem. Przy pomocy środków masowej komunikacji, reklamy i kina, w zakładach pracy i w życiu do-

nowym, od małego dziecka aż do uwiadu starczego, technokracja urabia, przekształca, dostosowuje ludzi do swych celów, kieruje nimi niewidocznie, rozkazuje ich pobudkom, eksploatuje ich naukowo. Jest człowiek-glina i eksperci naukowci modelujący tę glinę. Jeszcze nigdy nie byliśmy do tego stopnia królikami doświadczalnymi. Zjawisko to występuje zarówno tu na Zachodzie, jak i w krajach socjalistycznych. Dlatego też podział świata na kraje o ustroju kapitalistycznym i na kraje o ustroju socjalistycznym staje się coraz mniej przekonywujący. Problem zaś nie polega na tym kto zwycięży, komuniści czy demokracje liberalne, Zachód czy Wschód, ale na tym czy damy się jak potulne baranki opanować w całości przez totalitaryzm technokratyczny.

Wizje szczęścia technokratycznego, które wysuwa Zachód i Wschód, są oczywiście nieco odmienne. Na Zachodzie mówi się, że prawdziwe życie rodzinne rozkwita tylko we własnym domu z klimatyzacją i trzema telewizorami, że do prawdziwych doznań seksualnych dochodzi się tylko na prywatnym yachcie w towarzystwie opalonych ninf, lub w ekskluzywnym lokalu zarezerwowanym dla przebogatych homoseksualistów, że prawdziwe wakacje istnieją tylko w luksusowym hotelu na Hawajach. Na Wschodzie utrzymuje się, że ludzie doznawać będą prawdziwego upojenia dopiero wtedy, gdy każda wieś kolektywizowana posiadać będzie dwadzieścia traktorów, gdy produkcja stali podniesie się o piętnaście procent, gdy społeczeństwo przestanie reagować na podszepty wroga klasy pracującej. Wynik jednak jest ten sam: niewolnictwo w rękach ekspertów naukowych, zmierzających do zrationalizowania człowieka. I Marcuse ma rację, gdy podkreśla zdolność tego nowego autorytaryzmu do podporządkowania sobie każdej sfery działalności człowieka.

Pierwsze reakcje przeciwko totalitaryzmowi technokratycznemu budzą się w Stanach Zjednoczonych, to znaczy tam gdzie ten totalitaryzm jest najbardziej widoczny i gdzie istnieje swoboda wypowiedzenia myśli. Tym razem i po raz pierwszy ferment idzie z Ameryki. To tam wrze jak w kotle, to tam rodzą się nowe postawy, nowe koncepcje. Nie ma w tym zresztą nic dziwnego. Pamiętam, że już dwadzieścia pięć lat temu, w okresie gdy w czasie wojny stykałem się w życiu codziennym z przeciętnymi Amerykanami, uderzała mnie przede wszystkim ich mentalność ludzi wychowanych w zachwycie dla postępu technicznego. Patrzyliśmy na dom w Paryżu i Amerykanin mówił: u nas są drapacze chmur, które mają pięćdziesiąt pięter; wsiadaliśmy do pocziwego pociągu podmiejskiego, który wiozł nas do Wersalu i Amerykanin mówił: a u nas są pociągi, które rozwijają szybkość 200 km na godzinę itd. Mentalność bezmyślnego zachwyty dla postępu technicznego jest pierwszą zdobyczą technokracji. Ale zdobyczą nieobliczalną w skutkach, bo przynoszącą zwycięstwo naukowca i inżyniera nad humanistą.

Teraz hippisi z kwiatami we włosach, koczujący w smrodliwych wspólnotach, i rozczochrani młodzieńcy, trzymający w rękach czarne sztandary, buntują się przeciwko mentalności podzi-

wu dla postępu technicznego. Pozycja ich nie jest łatwa. Z jednej strony mają przeciwko sobie społeczeństwo skoszarowane psychicznie i materialnie w dobrobycie technokratycznym, a z drugiej ludzi pozbawionych tego dobrobytu i tęskniących do niego. Czy istnieć może jakaś płaszczyzna porozumienia między potomkiem burżuazji, entuzjastą Arabala, i biedotą z przedmieść Londynu, z bidonville'ów paryskich, z dzielnic murzyńskich w Nowym Jorku, lub z Hindusami czy Pakistańczykami przymierającymi z głodu? Hippisi w oczach biednych będzie zawsze młodzieńcem bawiącym się mrzonkami pod wpływem nudy, jego postawa rozrywką bogatej osoby nie wiedzącej co robić z czasem. To nie on, lecz rewolucyjny marksista znajdzie u nich posłuch. Dodajmy, że pozycję kontestatorów komplikują jeszcze dwa inne zjawiska. Na świecie istnieje szereg aktualnych, palących, nie cierpiących zwłoki problemów wymagających bezpośredniego zaangażowania, jak akcja przeciwko wojnie w Wietnamie, przeciwko dyskryminacji rasowej, antysemityzmowi, jak pomoc dla krajów niedostatecznie rozwiniętych gospodarczo, walka z analfabetyzmem itd. Problemów tych nie stworzyła technokracja. Ten więc, kto nie angażuje się w dążeniach do rozwiązania tych zagadnień, robi wrażenie Don Quichota, Jasia z księżycą, istoty zasługującej na pogardę. Drugi fakt — stanowiący zresztą największy chyba paradoks — to włączanie się do akcji antytechnokratycznej rewolucyjnych młodzieżowych ruchów marksistowskich. W tym także nie ma nic dziwnego. W oczach zatumanionego marksisty wszystko, co sieje zamęt w kraju kapitalistycznym, jest naturalnym sprzymierzeńcem. Ale współudział marksisty wypacza akcję antytechnokratyczną, pozbawia ją sensu. Jest to bezceremonialne zacieranie pewnej istotnej linii podziału.

Sytuacja antytechnokraty jest więc nawet trudniejsza, niż pierwszych chrześcijan. Jedni i drudzy stali lub stoją w obliczu przeważającej potęgi — tam Rzym a tu wszechwładny, przebiegły, uzbrojony w wiedzę naukową aparat technologiczny, wraz ze swymi nakazami i pokusami. Chrześcijanie mieli jednak po swej stronie masy niezadowolonych, poniżanych, biednych. Inne też są środki walki. Rzym uciekał się do prymitywnego okrucieństwa, tworzył męczenników. Technokracja boi się męczenników, nigdy nie posunie się do ich tworzenia — przecież założeniem jej jest zapewnienie szczęścia człowieka, — posiada natomiast broń znacznie bardziej wyrafinowaną, zakrojoną na ogromną skalę: umiejętność i możliwości przeinaczania faktów, ośmieszania, podkreślania słabości przeciwnika. Przy pomocy prasy, radia, telewizji, filmu, specjaliści rysują obraz młodzieży antytechnokratycznej, starając się przedstawić ją wyłącznie jako pasożytów społeczeństwa, zżartych narkotykami, nurzających się w erotyzmie, oddających się ekscesom prowadzącym czasami do masowego morderstwa.

Prawdą jest oczywiście, że chłopcy i dziewczęta palili marihuanę w Woodstock, że w wspólnotach hippisów istnieje całkowita swoboda seksualna, że wielu młodych antytechnokratów przyzw-

czajonych do beztroskiego życia z punktu widzenia materialnego (dzięki pomocy finansowej zamożnych rodziców) odkłada z roku na rok moment, gdy trzeba będzie obciąć włosy, zacząć się myć, chodzić na dziewiątą do biura, poddać się dyscyplinie i rygorowi pracy, poczuć się zintegrowaną jednostką w społeczeństwie, kółkiem w maszynie. Ale na skutek umiejętnej akcji technokratów, na skutek środków którymi dysponują, masy wiedzą jedynie o tym aspekcie postawy zbuntowanej młodzieży, nie wiedzą natomiast nic lub prawie nic o pobudkach i celach tej postawy. Pod wpływem tej akcji dochodzi do tego, że tak wielki liberał jak Hans Toch potępia kontestatorów, zarzucając im żebractwo podyktowane lenistwem i pasożytnicze korzystanie z dobrodziejstw dostarczonych przez starszych. Deformowanie jest bronią bardziej zabójczą, niż morderstwo. Dlatego też by przestrzec dysydentów przed tym niebezpieczeństwem, Nicola Chiaromonte pisze, że powinni oni zerwać wszelkie kontakty z otoczeniem, odsunąć się na pewien dystans, stworzyć grupy zdecydowanych „heretyków” w milczeniu, bez rozgłosu i rozruchów. Deformowanie jest takim samym nadużyciem jak tanie komercjalizowanie pewnych nastawień w paskudztwach typu *Hair*.

Czy bunt przeciwko panowaniu ekspertów, przeciwko manipulowaniu człowiekiem w imię racjonalizmu, przeciwko społeczeństwu konsumpcyjnemu, musi wyrażać się w odmowie mycia się, w zażywaniu LSD, w rozbieraniu się publicznym do naga, w beczynnym wylegiwaniu się na słońcu? Dlaczego nie przybiera on innej formy, i czy jego obecna forma nie jest redukowaniem do minimum jego szans powodzenia? Problem jest skomplikowany. Tryb życia narzucony zasadami technokratycznymi prowadzi — by użyć modnego słowa — do całkowitej alienacji, czyli depersonifikacji człowieka. Na ten temat napisano tyle, że wszelkie rozwodzenie się w tej sprawie wydaje się rzeczą nie tylko banalną, ale i zbyteczną. Wiadomo jednak, że aby nadać pewne cechy personalizmu stosunkom między ludźmi, nie wystarcza wygłaszać teorie i uciekać się do rozumowych dowodów. Nie zwalcza się jednej abstrakcji przy pomocy drugiej. Trzeba — i innego wyjścia nie ma — zmienić tryb życia. Odwrotnością zautomatyzowania, specjalizacji, reakcji uwarunkowanych, racjonalnego wykorzystywania czasu, programacji, gonitwy za postępem, scjentyzmu we wszystkich sferach działalności ludzkiej, jest niestety lenistwo, bezwład, ucieczka w świat, który stwarzają narkotyki, niechlujstwo i anarchia. Trudno protestować przeciwko alienacji technokratycznej, nosząc czystą koszulę i podporządkowując się rygorom zdyscyplinowanej, zmechanizowanej pracy. W walce tej chodzi mniej o teorie, a bardziej o styl życia. Nie ulega też wątpliwości, że forma protestu młodzieży kontestacyjnej jest słabą stroną jej akcji. O ile bardziej pociągający był romantyczny gest poświęcenia, samozaparcia i ofiary pierwszych chrześcijan, niż brud, żebranie, cyniczne lenistwo hippisów. Ale jest rzeczą oczywistą, że akcja kontestatorów jest dopiero w stadium początkowym, w stadium docierania, dopasowywania i

opracowywania kształtu swej działalności, w stadium poszukiwania odpowiedniego stylu.

Ale poza stylem działania rzeczą istotną jest jego treść. Aspekt negatywny tej treści — protest przeciwko totalitaryzmowi technokratycznemu — nie nasuwa żadnych wątpliwości. Gorzej jednak przedstawia się sprawa, gdy chodzi o konkretne propozycje zamienne, o zarysowanie wizji przyszłego świata, o wyznaczenie celu, do którego należy dążyć. Punktem wyjścia wszystkich idei tak zwanej kontr-kultury jest nastawienie, by personalizować stosunki między ludźmi. Dlatego też jeden z przywódców kontestatorów amerykańskich R. D. Laing stwierdza, że teorie mają znaczenie drugorzędne, ważne natomiast są tylko doświadczenia i przeżycia osobiste, które są źródłem teorii. Stąd też slogan antytechnokratów *one man one soul*, ich nienawiść do wszelkich doktryn, z marksistowską włącznie, gdyż prowadzą one do alienacji, stąd ich poszanowanie czy raczej kult jednostki. Tym się tłumaczy ich entuzjazm dla Alan Watts'a, który szerzy podziw dla filozofii Dalekiego Wschodu, dla „olśnienia” jakie przynosi praktyka zen. Stąd wreszcie — i to jest najbardziej nieoczekiwany aspekt ruchu młodych antytechnokratów — ich nawrót do religijności. Działalność hippisów jest pierwszym ruchem rewolucyjnym od czasów Oświecenia o charakterze religijnym.

Na tle negatywnego nastawienia do trybu życia narzuconego przez specjalistów naukowych rodzą się i mnożą nieobliczalne wystąpienia, niezrozumiały często bełkot w rodzaju książek Allen Ginsberga, utopijne wzloty jak te, które proponuje nam Paul Goodman. Nigdy chyba żaden ruch rewolucyjny nie charakteryzował się takim pomieszaniem pojęć, takim chaosem, takim splotem bzdur i pociągających rozwiązań jak organizowanie wspólnot gospodarczych, taką pogardą dla konkretności. Ale to właśnie stanowi może siłę kontestatorów. W tyglu konfrontacji, w różnorodności i w sprzecznościach, w zamęcie poszukiwania narodzi się może idea, która pociągnie masy. Jedno wydaje się jednak pewne. Młodzi żądają bezapelacyjnego poszanowania godności człowieka. Paradoks chce, że z tym żądaniem występują głównie w kraju, który poszanowanie to wysunął jako naczelne hasło w swym przywiązaniu do zasad demokratycznych.

Ze sprawą uznania nienaruszalności godności człowieka wiąże się jeszcze inny problem. Młodzi chcą wiedzy na czym polega to, czego w ich przekonaniu nie wolno naruszać. Inaczej mówiąc, dążą do zdefiniowania siebie, do określenia odpowiedzialności w stosunku do siebie, do poznania siebie. W dążeniu tym odmawiają współudziału czy pomocy aparatu naukowego. Wracają do obserwacji siebie, własnych przeżyć i doświadczeń. Antytechnokraci — to kontemplacyjne zapatrzenie się w siebie, to chęć poddania się tak zwanym władzom nieintelektualnym, introspekcja bez żadnego celu czy racjonalnych założeń. Narcyzm — powiedzą ich wrogowie. W pewnym sensie — tak. Ale jest to narcyzm, który zmierza do ratowania człowieka przed zmechanizowaniem. Jest to romantyczna reakcja przeciwko technologii.

Reakcja ta ma oczywiście charakter społeczny. Hippisi stawiają problem: co ważniejsze drapacze chmur, nowoczesne szkoły, bezbłędnie funkcjonujące szpitale, autostrady, spacer po księżycu, Galaksje przewożące po tysiąc osób naraz, czy beczynne poznanie siebie w imię przyszłego, nieokreślonego, lecz — jak zapewniają — lepszego świata? Świata gdzie zamiast wojen, panować ma miłość. W problemie tym punktem ciężkości jest bez wątpienia cena, którą płacić mamy za wybrane przez nas rozwiązanie. Jeżeli ceną szpitali i autostrad ma być zautomatyzowanie człowieka, to sprawa nie wygląda tak prosto. I odwrotnie, jeżeli ceną ochrony człowieka ma być brud, głód i anarchia, to młodzi antytechnokracy kroczą jak dotąd po fałszywej drodze. Ale ci młodzi mają przynajmniej tę zasługę, że szukają nowych rozwiązań.

Na zakończenie dwie konkluzje. Ruch antytechnokratyczny rodzą społeczeństwa zamożne. Dlatego też w krajach socjalistycznych technokracy spać mogą jeszcze spokojnie. A druga uwaga dotyczy sprawy, o której piszą wszyscy aż do znudzenia, dotyczy faktu, że żyjemy w okresie przełomowym. Tutaj można chyba stwierdzić, że młodzi kontestatorzy — oczywiście nie ci spod znaku marksizmu — są symbolem tego, co Toynbee nazywa *rupture de culture*.

Spotykając więc na ulicy rozczochranego młodzieńca, podumajmy o technokracji.

Paweł ZDZIECHOWSKI

NA ANTENIE

PRZYNOŚI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDY-
CJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOSIŃ POLSKĄ RWE ZE
SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRA-
JOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn.
MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS
GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokład należy kierować zamó-
wienia. Prenumerata roczna z przesyłką £ 22.0 lub \$ 5,00, F. 25,00.

Żniwo górskie *

*Szczęśliwy człowiek taki, co
jak jabłoni dobra, najlepsze
jabłka wokół siebie rozsypał.*

Kiedy wkrótce po zakończeniu wojny Jerzy Stempowski odwiedził Stanisława Vincenza w Grenoble, powiedział: Przyjechałem zobaczyć „*kak rabotajet starik Tolstoj*”. A odjeżdżając: „Pan Stanisław jak ślimak nosi dom na grzbiecie, nosi swój świat z sobą, dlatego wszędzie jest w domu”.

Pomagały Vincenzowi do tego: mądrość i humor, wesołość i lekkomyślność. Bez tej lekkomyślności i błyskawicznej fantazji nie byłby pewno w stanie ratować Żydów i nie-Żydów w czasie kiedy „błogosławiony kto z nadzieją waży się przeciw beznadziei”.

Tylko najbliżsi wiedzieli jak ciężko było mu znosić wygnanie z Ojczyzny, mimo że potrafił wszędzie czuć się jak w domu.

Los wszystkich wygnańców, los wielkiego wygnańca z Florencji, choć tak odległy w czasie — był mu bliski. Także Odys, choć z jeszcze dalszej przeszłości, był aktualny. Każdy kąt, do którego tęskni się sercem całym, to mała Itaka — mawiał. A „wczoraj, dziś i jutro” widział jako całość, z której rodził się jego smutek, ale też radość i nadzieja.

Wszyscy bohaterowie Vincenza, przez niego odkryci, są zespoleni z nim tak bardzo, że nieraz trudno poznać ile jest samego Tanasija, a ile Vincenza w Tanasiju, Andriju czy nawet w Pańciu, którego zobaczył, kiedy sam był jeszcze młody. Zobaczył go pijanego w rowie, bo Pańcio nie miał domu, bo płakał i śpiewał: „Świat taki wielki, a nie ma gdzie się podziać”. Więc Vincenz dał mu schronienie w „Zwadzie”, wśród rębaczy. Tam Pańcio czuł się potrzebny.

Kiedy po latach wojny Vincenz sam nie wiedział gdzie się podziać, powtarzał:

*Suit czużnoczka, brat ni sestryczka
ničto ne zowe.
Nema z kym żyty, hnaty, tużyty
z wamy witrowe!*

Kiedy znajomi czy przyjaciele przeprasali Vincenza, że może przeszkadzać w pracy, krzyczał: „Przeszkadzajcie, przeszkadzajcie! Ja tylko na to

* Ostatni rozdział pozostałego w manuskrypcie tomu „Listy z nieba”.

czekam, abyście przeskadzali. Mam tyle do dania! Biercie ile chcecie!" Narzucał się z tym dawaniem. Ale nie zawsze było komu brać.

Kiedy jeszcze w sile wieku, w roku 1935, opisywał „Koniec Andrijka”, starego opowiadacza, to jakby ostatnie lata swego życia przewidział:

„... zamilkł Andrijko. Siedzi sobie na przyzbie, patrzy nieruchomo w dal, jakby niewidomy. 'Andrijku zbudź się, Andryto! — powiadają sąsiedzi. — Wiosna już idzie. Trembity grają, nawołują się zazule, rozwijają się bucuki, szyszki czerwienieją. Wyjdź na bukowinę. Posłuchaj!' Andrijko nie rusza się, nie odpowiada. Nawet fajkę się nie zabawia. Ręce bezwładnie trzyma na kolanach, oczy zgasty, jedna łysina świeci potężnie. — Od kiedy zamilkł Andrijko, nie ma już komu opowiadać i bając o dawności”.

A kiedy pisząc „Listy z Nieba” wymyślił koniec staremu Tanasijowi, było to jakby widzenie, co z nim samym stanie się za lat dwadzieścia:

„Ciężka choroba się doń przyczepiła, spuchł na całym ciele, nie wiedział na którym boku leżeć. Męczył się tak przez cztery lata”.

Vincenzowi ciężko było roztawać się z Tanasijem. Ale Tanasij był już stary i nie mógł wiecznie żyć. Więc mu Vincenz wymyślił śmierć — godną Tanasija.

Nie w domu, nie w łóżku. W górach. Na swobodzie! Sam z Bogiem.

Ciężka paralizująca ruchy choroba nie pozwoliła Vincenzowi pójść w ślady Tanasija. Ale próbował, do ostatniej prawie chwili. Uwięziony w łóżku, wyrwał się na swobodę. Chciał uciekać. Uciec od łóżka, uciec od choroby. Chciał pędzić w świat, w przestrzeń — do gwiazd, które tak kochał i podziwiał.

La gloria di Colui che tutto moue

Per l'universo penetra e risplende —

*Chwała Onego, co wszystko w ruch wprawia,
przenika wszechświat cały i jaśnieje.*

(Raj I/1, tłum. Alina Świdarska)



Słyszeli umiłowany głos po raz ostatni jako przedśmiertny krzyk. Widzieli jak usta otwarte do krzyku łąpały powietrze. Oczy ich odgadywały z ruchów rąk, usta ich dopowiadały z drgnień ust. Ktoś wytchnął „umiera?“, ktoś inny głośniejsz szepnął: „umarł naprawdę”. Słuchali takichże westchnień z daleka, z daleka, od wschodu. Silny zachodni wiatr nie dopuścił. — Któreż święto w roku albo w całym życiu jest tak wolne od mroku, że stawi czoło wynosząc pamięć czystą?

1.

Ledwo dostrzegalnie nachylone stoki najwyżej położonych carynek Szumejowych nawet faliste nie są. Nie oko, chyba woda tylko rozsądzi kierunek ich spad, tak jest łagodny. Przecina je, a jakby szwem wiąże, głęboko w trawach struga nikiła choć wcale obfita.

Tam to, z obu stron strumienia, na obu wzniesieniach, w dieście lat po chrzcinach u Foki zebrali się przed świtem dwie setki kosarzy na tołokę. Po wschodniej stronie setka znad Dolnej i znad Białej Rzeki, po zachodniej — setka znad Czarnej Rzeki. Było

to nazajutrz po święcie Bogarodzicy, które — ten jeden raz w roku, — obchodzą wspólnie w połowie sierpnia oba obrządki: łaciński i grecki; gdy pogoda ustali się, najbardziej błękitna to pora, szczyt roku. W święto odpoczęli należycie, więc zawczasu zebrali się na miejscu głównego żniwa, niektórzy już przy pochodniach u schyłku nocy, inni o brzasku dnia. Jeszcze ciemność łąpała za oczy, a już z niej czyhały kosy. Zaledwie trawy wynurzyły się z mroku, od razu na przeciwległych skłonach równocześnie szarpnęło śmiertelnie sto kos tu, i sto kos tam. Raz po raz trawy kładły się w westchnieniach, wtórowały im oddechy kosarzy. Prócz skłaniających się ku sobie stoków, rozpędu dodawały kosarzom ich wyścigowe porywy i ich pragnienie by napić się wody. W rozpędzie stanęły oba szeregi naraz, po obu brzegach cichej strugi. Witali się szczególnie głośno, podawali ręce poprzez wodę, potem krzepili się wodą.

Gazdy Foki nie było jeszcze w żadnym szeregu. Odpoczywając, tajali powoli z porankowego stężenia. U szczytu roku wspominali inne żniwo, kośbę całego roku od ostatniego spotkania. Nowiny nie tak nowe, lecz nurtujące ciągle, bo jeszcze nie każdy z każdym je wymienił. Zaczynali od tego co dolega. Urywane powiedzenia, bezładne szepty tkwały się w rejestr strat.

Najcięższe poniósł ród Szumejowy. Prócz samego Foki zbrakło po prostu wszystkich. Odeszły trzy osoby, a właściwie cztery. Naprzód gdy Foka udał się aż nad Dniestr, umarła o świcie mała Hafijka. W jednym okrzyku: „moja mamol!” Nie dużo więcej miała niż sześć lat. Pozostała po niej jabłonka z gatunku pisanek. Drzewko było niezdałe jakieś, schło i parszywiało. Jesienią już Foka zamierzał je zrybać, niechaj dosuszy się, by suche wrzucić na święty wieczór. Hafijka uprosiła: „zostawcie, diedyku¹, ja ręczę za nią”. To słomą owijała drzewko, to nawozem okładała. Nikt jej nie przypominał, zaledwie wstała rankiem biegła do jabłunki. Drzewko wyzdrowiało, zakwitło na wiosnę i raz już wydało owoce „pisanek”². Opowiadają, że za przysługę tak szczerą, drzewko odwziedziło się przy najbliższej sposobności, na tym świecie albo na innym. Tymczasem nazwano jabłonkę — „Hafijką”.

Wspominając to, najstarszy z setki kosarzy znad Białej Rzeki, Nykoła Purszega, zwany Poperecznyk, zakończył buńczucznie:

— Kilka razy do roku bywałem w Jasienowie i wciąż to dziewczę toczyło się po carynkach; taka kulka czerwona. I dzisiaj zaledwie rozjaśniło się, rozglądałem się za nią. Mówią, że pamięć pociecha. Ale chciałoby się zapomnieć, a najlepiej wcale nie znać. A cóż z tym zrobić? Nie poznawać wcale? Jakżeż?

1. ojezulku.

2. kolorowe.

Poperecznyk zadzwonił w kosę dziarsko i ruszył pierwszy. Oba białe rzędy oddaliły się w przeciwnych kierunkach w jeszcze większym rozpędzie. Opóźniały taniec kos ledwie dostrzegalne lecz długie wzniesienia łąk. W oporze do nich przeganiali się wesoło. U obu końców rozległych carynek obróciły się obie setki i bez odpoczynku, jakby im było szczególnie spieszenie, znów zbliżyły się ku strudze. Poperecznyk, mimo że sięgał lat siedemdziesięciu, kosił nadal w pierwszym rzędzie wschodniej setki. Zachodnią setkę prowadził młody Slipeńczuk z Krzyworówni. Ledwie znów spotkali się, postawili kosy, a Poperecznyk kończąc przemowę wywodził czupurnie jak zazwyczaj:

— Za dzieckiem nie ma co zanadto żałować, bo jeszcze nie wiadomo za czym. Przecie Szumeje, wszyscy jak jeden, spopieleli po tej małej. No i Kałyna, nie darmo matka, minęła się najprędzej.

Poperecznyk przybliżył się do strugi, tłumaczył półgłosem:

— To wstyd jakoś odchodzić od siebie z powodu dziecka. Ale tym bardziej żal. Może nie tak? Kałyna przestała odzywać się i ztego jakoś pękła.

Slipeńczuk wtrącił pośpieszenie:

— A jej największa szkoda, takiej krasnej nie było i nie będzie. Mój ojciec mówi —

Także Poperecznyk pośpieszył się:

— Niech ci będzie, ale wcale nie w tym rzecz. To mi raczej powiedz czy kiedyś o kimś albo o czymś zapomniała? To z innego rodu żeńskiego niżeli nasz w górach. I co z tego? Każda z tych naszych, gdyby taka krasna, przynajmniej wytańczyłaby się za życia. A tamta? I cóż zabrała ze sobą z tego świata? Pamięć?

Poperecznyk machnął ręką niecierpliwie. Nachmurzył się i podniósł głos:

— Gdyby bez ustanku pamiętać, trzeba by zapomnieć, że sam człowiek żyje. Od wspominania jest posizinje pogrzebowe, jedna wódka z miodem, a druga ze łzami. I dość! Nas koszą, kośmy i my. Hajda!

Odwrócił się gwałtownie z kosą, za nim pośpieszyła jego setka.

Gdy tamci już ruszyli z kosami, Slipeńczuk wskazując na Nykołę szeptał do swoich kosarzy:

— Patrzcie go, trzyma się czubato, od tego przecie „Poperecznyk”. A co z tego? Starość już go przemaga, widać. Mój ojciec także nie z miękkich. Pamiętacie chyba? Jak struna był. Raz tylko widział Kałynę, a umierając wspominał. I jeszcze jak! Powiada mi: „Po prostu nie ma takich. Chyba raz na setkę lat”, — oderwał głowę od poduszki, uderzył oczyma jak niegdyś i tak mnie pytał, jakbym ja wiedział: „No powiedz, co zrobić? poddać

się jak chudoba?” „Nie, nie” — pocieszałem — „trzeba pamiętać. Zapamiętamy, to pewne”. — Ojciec już głowy podnieść nie może, ale słowem do ściany mnie przyciska: „Ale jak? chyba by nakarbować na Ewangelii, na ostatniej stroniczce, tam gdzie oprawa złota? Albo, jak myślisz, może by założyć księgę nową — pamięci” — błysnął oczyma mocno — „wiesz jak myślę? Obraz jej zamówić, świętować co roku, niech się napatrzą na krasę”. — Tak to troskał się biedak, choć sam niebawem miał pójść.

Wzdychali niewyraźnie, obrócili się i pośpieszyli, nadrabiając stracony czas. Znów dość pośpiesznie wracali obie setki ku strudze. Chociaż młodzi zajeżdżali z prawa i z lewa, Poperecznyk nie dał się przepędzić. Pierwszy zdążył z kosą nad strugę i zaraz tak samo dziarsko ciągnął:

— Mówcie co chcecie, najwięcej szkoda Maksyma Szumeja. Nie tak stary był, a żwawy do ostatka. Nikt nie poznawał u niego żadnego smutku, ani żalu za tamtymi. Ale czekajcie! Raz przecie powiedział: „Do domu! do domu trza się zabierać!” A do jakiego domu, kiedy chaty i komory nie opuszczał? No i zasnął jakoś rankiem. Umyty, ubrany jakby do drogi czy na chram. Wraz z nim znikł jego stary chłopczyzna, wiecie...? ten zamorusany „Semenko”. Ha, któż wie dokąd?

Poperecznyk zaśmiał się.

— A wiecie, z nich wszystkich ten jeden tylko przez cały czas lamentował. Z komory wiał jego jęk po nocach.

Poperecznyk od dawna pobudzał młodych do przeczenia i nauka nie szła na darmo. Jeden z najmłodszych Jasienowców, wnuk kermanycza Utaszczuka chrząknął i zaśmiał się sucho.

— Dziwne dzieje. Do was, aż nad Białą Rzekę jęk dolatywał, tylko my tutaj w Jasienowie nie słyszeliśmy ni razu.

Poperecznyk zarechotał obrażająco.

— Z tego, że jeden głupi, nie wychodzi żeby całe Jasienowo było głuche.

Młodzieniec odpowiedział niby to pokornie:

— Któż by wam przeczył? Gdzież taki język jak wasz? Ostra ślina za śliną kapie zeń, a dziurawi jak *pohana bołowyczka*³.

Poperecznyk odpalił:

— Mądre przeczenie nie z języka się toczy, tylko z głowy. Nie ślina lecz olej.

Inni młodszy Jasienowcy potakiwali Nykole, a wnuk Cwyłyniuka potwierdził głośno:

— Oj prawda, przez ten cały czas nieraz słysząc było jęki z komory. I w nocy i o świcie, i z daleka, i z bliska też.

Wnuk Utaszczukowy upierał się.

3. żłowrogie źródło.

— Kto chce słyszeć — słyszy.

— A kto się zatkał — ten zatkany — odpalił młody Cwiły-niuk.

— Ja nie słyszałem ni razu — bronił się tamten. — Kto wie zresztą, może to sam Maksym jęczał we śnie po nocach?

Poperecnyk machnął ręką gwałtownie, odparł niecierpliwie.

— Do takiej rozmowy zdadni ci, co słyszą i rozumieją coś. A inni niech się nie mieszają. Tak czy inaczej, któż wie na pewno czy Maksym i jego Semenکو razem są, czy rozłączyli się? To zakryte, nie nasza sprawa. Tylko to pewne, że takiego drugiego jak Maksym nie ma, nikt go nie zastąpi.

Jakby na to aby utrzymać swe znaczenie, młody wątpiciel podniósł głos, mówiąc powoli i zbyt dobitnie:

— Nikt nic złego nie powie przeciw Maksymowi, broń Boże. Ale aby nie można zastąpić takiego, co wciąż sterczy w komorze, schowany przed światem i nigdzie, nawet w cerkwi, nie pokaże się? Niech z Bogiem spoczywa, i daj mu Boże za to, że zostawił takiego syna.

Poperecnyk spoglądał nań cierpliwie, potem zarechotał z głębi gardła.

— „Tańcuj, tańcuj Maruszka!” — przyśpiewuje Cygan niedźwiedzicy, aby tańczyła na targu. Poucza słodko, przygrywa także, ale nigdy bez kija. I tak trzeba z niedźwiadkami! Ale jest także taki, co za nic niedźwiedzi uczyć nie będzie, ani pokazywać wyuczonych. Choćby za ciężkie pieniądze! I taki powie, że Maksyma zastąpić nie można, bo wie, że jest niewielu takich. Są, ale jeden daleko od drugiego, jak te słupy wiatrowe, co trzymają niebo. — Poperecnyk wskazał ręką na niebo potem spoglądał sierzdiście na kosę.

Młodzieniec rozłożył ręce, westchnął z wyrzeczeniem. Jakby poddając pod sąd gromady, powtórzył cicho:

— Słupy wiatrowe — słyszyście? — odwrócił się gwałtownie, machnął kosą i zaraz oba rzędy kosarzy, jak rzesza ptaków spłoszona wzlotem jednego, ruszyły z kosami. Jakby urażeni, nie wiadomo kto i przez kogo, uciekali od siebie, to dopędzali się gorączkowo lecz w milczeniu.

Wysoko nad głowami ogniste słońce wytoczyło się zza Pisanego Kamienia. I niezwłocznie u dołu zjawił się Foka z dwoma końmi naładowanymi besahami i z garstką chatyńskich ludzi. Zanim przywitał się, klęknął nad strugą i skłonił się słońcu. Po czym on i pomocnicy rozściełali przy strudze liżnyki i zwoje płótna, a na nich potrawy dla śniadania: świeże trzeschzące w rękach chleby-korsze, koneweczki z huślanką, rakwy z masłem i bryndzą. Kosarze doszli z dwóch stron nad strugę, kosząc nie-

ustannie. Także oni obracali się ku słońcu, klękali wszyscy. Wreszcie głośno, za porządkiem witali się z gazdą i z chatyńskimi ludźmi.

Nagle struga zakipiała, zapalała odbiciem słońca. W nieskoszonych jeszcze trawach zadygotały rosy tańcami światła. Każdy z białych kosarzy odbijał się w nich i znikał w nich, lecz sami kosarze zasłaniając oczy od płomiennego słońca, odsuwali się od zwiewnych odbić w rosach, jakby w obawie przed niewolą odbicia i aby rosy nie złapały każdego w byt tak świetlisty, że sam człowiek zniknie z ziemi. Przechodzili na skoszone już połacie, gdzie chwytliwe rosy leżały już w ostatnich drgawkach światła.

Gdy na ziemi rosy roily się bezgłośnie, w powietrzu świergotliwe roje jaskółek zleciały dla odbycia szkoły z dziatwą swą dla ćwiczeń przed odlotem. Jeden rój nie przeszkadzał drugiemu, kosarze nie przeszkadzali żadnemu.

Rozsiedli się w szeregach, na liżnykach przy białych płótnach zamiast stołów. Foka posadził obok siebie z obu stron dwu najstarszych kosarzy. Nykołę zwanego Poperecnykiem i byłego wójta Żabięgo. Tego samego, co gdy nastąpiła słoboda zwana konstytucją, ogłosił się gubernatorem i w zaufaniu do cesarza odłączył się od Państwa. Niestety, niedługo potem Żabiowcy opuścili go dość szpetnie, bo komisarz c.k. starostwa, który przyjechał na sprawdzenie wyborów, zakreślił wyborcom w głowach umiejętnie. Na wniosek komisarza uchwalili, że gubernator uratował ich gromadę od buntów i od sądów nagłych także, za co należy mu się nagroda najwyższa. Niezwłocznie komisarz wstał i w imieniu Jego Apostolskiej Mości uroczyście zawiesił mu na szyi łańcuszek złoty z medalem na czarno-żółtej wstążeczce. Wyborcy wstali także, zaparło im oddech, byliby wybrali go zastępcą cesarza, gdyby ktoś poddał taką myśl. Tymczasem opętani przez komisarza sami nie wiedząc kiedy, wybrali nowego wójta. Gubernator poszarżał, zbiedniał, ale nie sprzedał łańcuszka. Ubierał go na każde święto. Choć gubernator, kościł obecnie razem z innymi, ale z uwagi na wiek i godność, gdzieś na samym końcu, bo odpoczywał częściej od innych. Kosarze honorowali go; czasem porozumiewając się nieznacznie oczyma, przerywali robotę aby się nie zmęczył. Gubernator z grzecznością dostojnika zachęcał żywo, aby nie zapominać o robocie. Także w rozmowach podczas śniadania zerkali nań nie rzadko, najwięcej gdy kto zatracił o cesarza i politykę.

2.

Jakby zgadując o czym dopiero co rozmawiali kosarze, także Foka wspominał nowiny takie, co do których jeszcze nie wszyscy się porozumieli.

— Każdy ma swoje straty, ale są także straty wszystkich. Największa z nich, że Tanaseńko minął się tej wiosny. — Pochylił głowę, potem wskazał ręką na słońce, mówiąc:

— Kiedy wstaje czyste jak dziś, można by pomyśleć że szuka Tanasija.

Nikt nie odpowiadał, choć może niejedno miał ochotę powiedzieć niejedno. Tanaseńko był już daleko od wszystkich, bo sam oddalił się jakoś w ostatnich latach. Im dalsza boleść, tym bardziej dostępna mowie. Rozglądali się wszakże wokoło. Czy ich spoczęły na synu Andrijka Płytki Lubku. On to w ostatnich latach częściej niż inni zachodził do Tanasija. Chociaż najmłodszy, nauczył się zbierać wspomnienia, już w chłopięctwie poznał wielu ludzi starszych i młodszych, bo przebywał na butynie, jeździł na darabach aż do Czerniowiec, bywał po miastach. Opowiadał chętnie i umiejętnie:

— Kiedy mój *diedia*⁴ i nasz opiekun dziekan Buraczyński zmarli, ciągnęło mnie do Tanaseńka. Narzekał różnie. Że nie ma z kim gadać, że nie ma z kim żyć, w końcu, że nie ma co robić, że czas umierać. Ale jakoś nie umierał. Ostatnie lata hodował jeszcze więcej chudoby niż dawniej, uwijał się sam niespamiętanie, sług miał coraz więcej i przybytki liczył setkami. Potrzebował dużo chudoby, tak jakby Ormianie, co dali mu ciężkie zadatki, stali mu z nosami nad głową, tak jakby kupcy bydlą z całych Węgier i nawet z Italii rzeszami upominali się o towar. Potrzebował coraz więcej — bo każdy chciał go mieć za kuma. I tak się już zrobiło, że kogo spotkał na drodze, to kum. Kiedy przechodził, słyszało się naokoło niego już z daleka: „Kum — kuma — kumie, kumoczku — my kumy, wy kumy, kumy, kumy, kumy”. Jakby ród żabi z całego Żabiego, co tylko wiosną rechocze rzeszą, w zalewie pod Głębą, zwąchał się i zaroił wokół Tanasija. Tanasij kumkał także. Po trosze wyśmiewał kumów, straszył także, że nic nikomu nie zapisze. Wykrzykiwał tak: „To wszystko już od dawna zapisane czortu przy świadkach, to mój kum główny i najwierniejszy”. Kumy przywykli, nie obrażali się, tym bardziej, że przy każdym chrzcie każdemu chrześniakowi coś podarował. I potem o każdym pamiętał, posyłał temu i owemu to owcę, to cielę, to kozuch, to sukno. Furczało od kumów. Całe Żabie kumkało. Przecie nie brakło takich, co mu byli przeciwni. Ci narzekali, że psuje handel, że umyślnie sprzedaje kupcom z Kosowa bydlę za tanio, po prostu pół darmo. Zdaje się, że i to także robił na przekór. Narzekał jak zawsze, wyśmiewał jak zawsze, a uwijał się jeszcze bardziej niż dawniej. Jakąż siłę do pracy miał ten stary! Zamęczał hodowalców, zamęczał najmitów, a kto z rodzi-

4. tatuś.

ny się trafił, to jeszcze gorzej. Pozwalał co prawda służbie zapraszać pomocników na tołoki, urządzał im zabawy, tańczył razem z nimi, a jedzenia brać mogli sobie kiedy chcieli i ile chcieli. Narzekali po cichu, ale żaden z nich nie odchodził i nowi lepił się doń, przychodzili aż z dołów. Tanasij rozumiał to dobrze i mawiał tak: „Gospodarstwo powinno być takie, aby wszystko co żyje doń się garnęło. Aby po lasach sława hukała pomiędzy dziką żywociną: „chodźmy do niego, tam życie”. Do Boga kiedyś tak samo pchać się będą ludzie, cóż, kiedy za późno”.

Kiedy wówczas po raz ostatni wstąpiłem do niego, tak się ucieszył jakby nie było większego szczęścia. Miałem niejedno do załatwienia w Żabim w Bereznicy aż na samej górze. Mówię mu to od razu, a on na to: „Siadaj, synku, choć na chwilkę, zaraz cię puszcze”. Biegał do komory coraz prędzej, znosił co nie miara, potem rozkrzyczał się na całe obejście, jak gdyby do pożaru: „Andrijkowy chłopiec przyszedł, rzućcie wszystko! chodźcie wszyscy tutaj!”. Od razu zbiegli się wszyscy kto był z rodziny, a także hodowalcy i najmici. Od razu kłopot dla mnie, bo mnie spieszo, a tu jeden za drugim przypija, zatrzymuje, odmówić nie wypada. Proszę tylko Tanasija raz jeszcze na rozum o łaskę, aby mnie zwolnił prędko, bo mam na głowie to i tamto. A on w krzyk: „Widzisz co za przeklęty kraj, szczęścia w nim nie ma. Gdzie indziej byłbyś i we wsi i w sklepach i znów u mnie, a potem w domu za wczasu. A tutaj wszystko daleko, nigdzie nie nabędziesz się, kiwasz się tylko na koniu od świtu do północy i nieraz jeszcze w deszcz. Ciągłe sam, a potem tygodniami gnijesz w chacie, zasypany śniegiem, jak niedźwiedź w gaurze. To dziw, że jeszcze nie wywieszali się jeden po drugim. Najwyższy czas”.

Odpowiedziałem mu na moją biedę: „To właśnie szczęście, że człowiek może sobie uciec tak daleko, nikt go nie dogoni i ma spokój”. Wtedy zadumał się i tak mi powiada, smutno jakoś: „Uciec? Od kogo? Pewno od nudziarzy. A kto najnieznośniejszy nudziarz? Taki stary, jak ja. Już wiem, idź sobie. Zabieraj się!”. — „Przysięgam, Tanaseńku, że przeciw wam nic nie pomyślałem”. Patrzy spode łba i mówi: „No, to siadaj, zaraz wypróbuję cię czyś szczyry czy polityk. Pij!”

Naokoło nas berbeniczki ślicznie wypisane, w nich gorzałeczka z miodem i z ziołami, nie nalubowałbyś się, a trochę dalej sery jak kamienie młyńskie. I tak się zaczęło. Popijaliśmy zrazu spokojnie, no i rozmowa zesła na dawnych ludzi. Powiedziałem, że mi żal i dawności szkoda. „Jaka tam szkoda — krzyczy Tanasij — takiś młody i już tylko dawność chwalisz? Upiłeś się już, czy co?” Już i ja niecierpliwy, odpaliłem staremu: „Wcale nie, całkiem przytomnie i twardo mówię: szkoda. Gdzież znajdują się tacy ludzie? Zmaleńczało wszystko i po prostu sparszywiało”. Myśla-

łem, że obrazi się, że mu się sprzeciwiam, a on chichocze cichutko, rozsiadł się i odpowiada powolutku, całkiem miękko. „No to daj, niech cię oświecę, boś bardzo jeszcze głupiutki. Wszystko można zrobić, tylko czasu nie przerobisz, ano spróbuj! Jest jeszcze jeden taki mądrała co wciąż szepce i obiecuje: „przerobię czas tylko patrzeć, poczekajcie odrobinę”. — I czekam na to jeszcze, ale tymczasem czas nowy rozburzał się, patrzaj naokoło i dziwuj się. Powiedz, widziałeś kiedy jaśnie pański grzebień samograj?” „Nie, nie widziałem — mówię mu — i nie jestem ciekaw”. „Powoli chłopcze — mówi mi stary — a czy ty wiesz przynajmniej skąd główne światło idzie na świat?” „Czemuż bym nie wiedział, od Boga, od słońca”. „Ho-ho — śmieje się stary — tyś zapleśniałej wiary, nic nie rozumiesz. Główne światło idzie od nauki przez jaśnie panów. Stara pani dziedziczka, ta z książąt, oświeca naród od dawna. Widziałeś ją kiedy?” „Co kogo obchodzi jakaś dziedziczka?” „No to siedź cicho i słuchaj, bo durny zostaniesz na zawsze. Od kiedy pan cesarz, tam na dołach rozdarował, co nie jego i skasował pańszczyznę, przekłęci chłopci nie zachowali dla jasnej pani ani kropli wdzięczności, ani okruszyny wierności. Tak jakby głodem zamorzyli niebogę. Dawniej bywało inaczej: Pani jedzie sobie powozem przez wieś na inspekcję, ogląda czy dachy nie krzywe, czy słoma na dachach nie zmierzwiła, czy podwórza czyste. A ekonom sierota, Dubkiewicz zwał się nieboszczyk, i niech mu świeci co mu ma świecić, schowany u chłopca w kącie trzęsie się. No, i gdzieś po drodze jasna pani zoczy jakie-takie dziewczę. Skinie ręką, zatrzyma powóz i huknie na hajduka: „Hajda, wyczesać mi to, ruch!” Hajduk skoczy jakby go zapiekło, puści w ruch samograj na głowę dziewczyny, a ten zagra-zazgrzyta, wygrzebie, wygrzebie i choćby tylko jedną sierocą weszke wyczesał, dziedziczka zaraz chlaśnie dziewczynę po pysku na odlew. Całkiem leciutko, tylko trochę krwi jej z nosa wypuści, to zdrowo. I jedzie dalej. Za to z ekonomem parada. Zawoła do raportu i chlasta go, ile się jej spodoba. Im kto u niej wyżej w urzędzie, tym dokładniej go chlasta. Za to wszystko chłopci obrzydliwcy kiwają się przed nią jak jeden: „Paneczko jasne słońeczko, gdzież taka druga jak wy!” A teraz koniec, cesarz przejął wszystkie wszy na siebie, na urzędników, na szkoły. Niech się kłopotą z całym wszarstwem! Dziedziczka poczerniała, to nie żarty, dziewięćdziesiąt lat nad głową jej sterczy jak nawis śnieżny, a tu wszystkie wszy wymknęły się raz na zawsze. Rozchorowała się, ale jakoś wytrzymała, bo czort bez ustanku jej szeptał-szeptał. Tak długo aż zrozumiała. Wymyśliła coś mądrego. Porzuciła tamtych niewdzięczników, sprowadziła cały furgon grzebieni samograjnych, przeprowadziła to przez Bukowiec jak armatę i przyjechała do nas w góry, aby puścić światło na tutejsze głowy. I niby

to dobrze. U nas naród delikatny, obleśny, zęby wyszczerzone, szczebiocą, obiecują, przysięgłyś że złoto nie ludzie. A ledwo wyjdą za bramę, rechocą jak konie. Dziedziczka nie ze słabych, stara hetmańska krew. Pyszniejsza niż jej opiekun, sam pan czort. Dosłyszała. Jak sypnie pieprzem na hajduków: „Hajda, przeczesać tych łajdaków! Ruch!” Hajduki trzaskają sobie gęsto nahajkami zza płotu, ale za bramę wyjść ani mowy. Tchorze. Oświata pogrzebana, dziedziczka znów poczerniała jak węgiel. Ale czort do brodziej czuwał, szeptał-naszeptał i z tego wymyśliła chytrze, odwrotnie: „niech odtąd sami drapią się na ścianę!”. Każe sobie zawołać starą pannę urzędniczkę z poczty i mówi jej na ucho: „Paniusieczko moja, oto sekretny skarb dla ciebie tylko, samograj cały z perły. To bardzo drogie, ale tobie z łaski dam taniej”. Stara panna chwyciła zaraz z miejsca grzebień. — A czyż ty chłopcze możesz wystawić sobie jaki to grzebień-samograj?” Odpowiadam mu: „Grzebień jak grzebień”. „Gdzież tam! Grzebień na wierchu, a pod grzebieniem główny kogut z Babylonu i sprzed końca świata, perłowy cały. Czub perłowy, oczy perłowe, zęby perłowe, łuski perłowe, pazury... — Oczyma błysnie krwawo, zębami błysnie, pazurami błysnie, skrzydłami załopocze, zarzy kukuryku i skoczy... „Kto taki — pytam — grzebień skoczy?” „Ależ kogut piekielny skoczy, Apolion zwie się, tfu! (Nie bój się, Bazio Kropiwnicki wyczytał mi wszystko). Dziobem-grzebieniem pogrzebie-wygrzebie, pazurami zaskrobie-wyskrobie, zazgrzyta fiut-fiut, i popękają wszystkie wszy co do jednej, pouch-pouch!” „Oho, Tanaseńku — śmieję się — zostawi chyba na rozpłodek?” „Ani mowy, bez litości wytępi. Oświata! Co prawda, nie wszystko idzie od razu. Panna urzędniczka pod sekretem błysnie każdej babie pod nos grzebieniem: „Widzisz? To od jasnej pani, ale cicho-sza, mówić nie wolno”. Zataiła samograj, po cichu czesze tylko starego psa, aby go ani jedna wesz nie zadrasnęła. Pies zdechł z czesania, panna lamentuje. Tymczasem po babach szepty przeleciały od ucha do ucha: jest coś takiego, wielka moda. Wtedy Mariczka wójtowa, jak noc jesienna brzydka, taka jak bogaczce przystoi, domyśliła się. Prędko wkręciła się do panny urzędniczki, pociesza, popłakuje, podlizuje, zakręciła się tu i tam, i wykradła grzebień. Pobiegła do chaty, rozebrała się w komorze do goła jak na święto Rozihry, puściła samograj na głowę, na ciało i puściła się z kogutem. Skoczył na nią jak na kurę, zazgrzytał i zaraz głowa rozbłysła i ciało rozbłysło. Ledwie wyszła na ulicę, ledwie tyłkiem zakręciła i zafurczało wokół niej. Zaroiło się od chłopców, jeden za drugim ślą swatów z wódką. I poszła sława na cały powiat, rozmałpiły się baby. W dwu szeregach roją się pod sam dwór, jeden rząd z góry Rzeki, drugi z dołu. Jak spojrzeć, baba za babą, same najbrzydsze, czarne i żółto nakra-

piane. Proszą, przymilają się, popłakują: jasna dziedziczko, ratujcie, po grzebieniu dajcie, darujcie z łaski, albo mieniajcie, sprzedajecie za głowę, za ciało, za duszę. — Dziedziczka kręci nosem: niech jęczą sobie, niech poczekają do samego rana. — Baby tłoczą się, duszą się w tłoku, obiecują co mogą. I wtedy pani każe rozdać każdej po grzebieniu. Chapnęły grzebienie, rozbiegły się po chatach. Pani odżyła i dalej żyje bez końca. I krzyk-grom przewiał przez cały powiat. Zgrzytają grzebienie, szorują, czyszczą się fiut-fiut, pękają wszy pouch-pouch. Baby parują się z kogutem, rozbłyśnięty im głowy, świecą się cycki i tyłki. Brzydkie wypiękniaty, ładne przy nich zbrzydły, już i one rozbijają się za grzebieniami. Wszy wymiecione, z nimi cała dawna prawda. Kogut z wsi do wsi skacze bez wstydu: „Kuku-ryku! oświata. Nowe czasy. Amen”. „A gdzie się teraz podział czort-Apolion?” — pytam. Tanasij ani nie zająknął się: „Rozsypał grzebienie, wygrzebał, a teraz schował się, aby zniżyć do końca”.

Śmiech gęsty posypał się po kosarzach, a Lubko oglądając z boku jednego za drugim, z zadowoleniem gładził ręką kędziory obficie masłem wymaszczone. Foka zapytał:

— I na tym się skończyło?

— Zgadujecie dobrze — odparł Lubko — nie skończyło się, bo dopiero się zaczęło. Bajeczka nie spodobała mi się wcale, bo tak paskudził gębą stary, jak najdurniejszy podpanek. Ale mówię mu grzecznie: „Tanaseńku, żartujecie wesoło, chcecie mnie wypróbować, a sam dobrze wiecie, że stara prawda świeci jak słońce, bez niej zmarniejemy. Mój ojciec mówił tak samo”. Wówczas z rozmachu nalał wódki po czubek do czerwonej szklanki, skoczył ku mnie, jak kot na mysz. I wlał mi do gardła całą wódkę jakby dziecku lekarstwo: „Może teraz oprzytomniejesz? — krzyczy — Stara prawda? To dym tysiącletni! Chcesz dymy stare składać do berbenicy, dymy czerpać sitem i na targu sprzedawać? Tfu! To musi szczeznąć, zginąć! I my także. A taki co zginąć musi, niech ginie czupurnie”.

Sparzył mi język, zalał mowę, czekałem aż się uspokoi. Potem chwytam go grzecznie: „To już nie ma ratunku? To mus, aby przystać do nowej mody? A jak? powiedzcież”. Ucieszył się niby to: „Aha! nareszcie już i tobie zapachniało. I ciebie korci do zdrady. Na Francuza chcesz się przechrzcić, czy na Niemca? Dobrze, wybieraj sobie, który mniejszy wstyd. Ale to na darmo, nie oszukasz nikogo. Korci czy nie korci, i tak cię poznają, zginiesz i ty”. „Od czegoż mam zginąć?” — pytam. — „Od pisma” — mówi stary. — A ja w śmiech: „A to mi wielki strach, do szkoły i tak już nie pójde, a samo pismo do chaty aż na górę za mną nie przyczłapie”. — „Dopędzi cię, przepędzi!” — krzyczy stary w złości. Już i ja się zniecierpliwiłem: „Kto mnie dopędzi, jakim pra-

wem? Kicham na pismo!” — „Czyż ty ślepy czy głuchy? — mówi Tanasij. — Prawo jest takie i nowa prawda taka: co na piśmie to prawdziwe, a na co pisma nie ma, to łgarstwo i oszustwo. Za kilka lat wypalą wam karby na uszach, ponumerują gorzej niż świnię na jarmarku. Ledwo z chaty nos pokażesz, a tam już stoi łapiduch cesarski i wrzeszczy: „coś ty za jeden? pismo pokaż!” — Potem i do chaty wtargnie: „ktoś ty? jakim prawem tu siedzisz?” — Ty do niego po ludzku: „starym prawem, ja Andrijkowy syn, z rodu Płytków, gazda tej chaty”. — A on charknie na ciebie: „jaki tam gazda, gówno nie gazda, na śmiecie stare prawo. Na piśmie dowód pokaż, a nie — to marsz z chaty!” „A do was nie przyjdzie?” — pytam Tanasija. „Niech przychodzi, majątek już dawno czortu zapisałem, czort sobie odwołuje, a mnie ten cesarski już w chacie nie zastanie”.

Wódka buszowała mi po całej średzinie, a słowa kłuły wątrobę. Mówię mu prosto: „Tanaseńku, za co? Co wam zrobiłem?” Opuścił głowę i płacze smutno językiem: „Chłopczyńo, komuż mam się poskarżyć? Chrześnikom czy kumom? Zdradzają ciągle i zdradzą ostatecznie. Cap języka koziego się nie wyrzeknie, a oni w szkole już behekają jeden jak drugi: „abebe, bebeche, łepeche”. Pisma i tak się nie nauczą, głowy za ciasne, ale to jedno na pewno w głowy im wbiją: „Chłop świnia, chłop ciemny, smaruj chłop miodem, a on śmierdzi gnojem”. Potem jeden słup zakopią na Czarnohorze, a drugi na Ihrecu, u góry łodwę wyciosaną przybiją i nakarbują na wieczną pamięć czerwonymi literami, aby z daleka świeciło nad całym krajem: „Chłop świnia; chłop ciemny; chłop bydlak, smaruj go miodem, a on śmierdzi gnojem”. — Tego nauczą się, na to przysięgną, starą prawdę wymiotą, przysięgną, że nigdy jej nie było”.

Posmutniałem od wódki, pociemniało mi w głowie od smutnych myśli i pytam go cicho: „To cóż teraz robić nam, młodym?” Ożywił się, znów rozsiadł się szeroko i mówi mi: „Naprzód ożenić, bo baby pierwsze wszystko zaprzepaszczą, ale mogą także utrzymać mocno. Dlatego pamiętaj, aby żona twoja była kurwa sprawna i żwawa, kurwa główna. Tylko taka cię ochroni”.

Zerwałem się na równe nogi, chlasnąłem dłonią o stół w złości: „Tak mówicie do mnie, Tanaseńku? nie chcę tego słuchać, zabieram się”.

Ogarnął mnie mocno ręką za plecy, nie puścił, przybliżył głowę do mej głowy, świdruje oczyma, nie wiem czy chce pocałować czy złapać za ucho. Posadził na ławie i mówi ponuro: „Chłopcze, jeśli chcesz naprawdę bronić siebie i chaty swojej i swoich, żona musi być kurwa okrągła, taka co tańczy, aż chata tańczy, i rządzi chatą aż chata trzeszczy. Taka co puści się z tym co trzeba, wymknie się i oszuka każdego. Co furczyć potrafi naokoło czym jej

potrzeba, a potem ciąc jak pszczoła i walić po łbie łapą jak niedźwiedzica. Bo zawsze pilnuje swego. Co zdobędzie, złoży w komorze dla siebie i dla dzieci. Dobrze ci życzę i tego chcę, by cię z chaty nie wygnali, abyś nie zzebraczał. A dobra kurwa, chytra, porządna, złota kurwa oszuka wszystkich. Uwierzą jej nawet, że zna pismo. Taka samo pismo oszuka, bo gdy zacznie karbować nogami i kolanami, pobiegną za nią, a całe pismo rzuca na śmiecie. Szukaj takiej baby, a gdy ją znajdziesz, szanuj ją, słuchaj jej i wierz jej, boś ty za miękki, czy masz — nie mówię — ładne, ale jak u dziewczyny. Pamiętaj abyś był jej wdzięczny, abyś ją całował i hołubił. Takiej i ja się pokłonię. Tego ci nikt nie powie, jeszcze ci zamydli oczy. A teraz możesz sobie iść, jeśli się obraził”.

Świat mi się zakręcił cały, inni także już posmutnieli czy od wódki czy od kazania Tanasijowego, a on popatrzył bystro, zmiarkował i krzyknął:

— „A teraz wyrzucić stąd stoły, ławy, stołki, szafy, berbenice, wszystko precz i w mig! A ty, Gaweciu, graj, wiesz sam jak, a cymbalista jakiś niech ci wtóruje. Dawność, to dawność, tańczmy!”.

Zdawało mi się, że nie tylko głowa mi ociężała, ale że nogi także opuchły. Ale gdy wiatrem wymiotło wszystko z całej izby, a muzyka zagrała, rozkręciły mi się nogi i innym także. Tanasij wirem pokręcił taniec i wtedy poznałem raz jeszcze, że co dawni ludzie, to nie dzisiejsi. I taniec i śpiewanki i krzyki wirowały dziko, jakby na święto Rozihry młode wilki z wywalonymi językami razem z czortami leśnymi tańczyły. Tanasij kręcił wszystkim jak główny czort i przyspiewywał jedną zwrotkę za drugą. Ja sam już nogami więcej ruszałem niż głową i tylko jedną zwrotkę zapamiętałem. Powtarzał ją kilka razy.

Nic mi tu już nie pomoże

Mamo moja miła!

Zabierz stąd, podrzuć gdzie chcesz,

Jakeś tu rzuciła.

Prawdę mówiąc od tańca robiło się coraz weselej, a najweselej kiedy przyjechali dwoma furami z Kosowa Żydowie, pobratymi Tanasija, całą hurmą. Fury napakowane Żydami jakby poszczoły lepiły się koło matki. Główny Żyd pobratym Tanasija, a także wasz, Foko, i mego ojca, wesoły, żartowny rozruszał wszystkich, a Tanasija najwięcej. Był to Duwyd, ten co go zowią Bernhaut, bywały człeczysko. Jak tylko wszedł ogłosił: „My do najstarszego rabina! Patrzcie Tanaseńku jakie tu żydowskie towarzystwo!” I naprawdę było rojno, Żydowie przegadywali jeden drugiego, ale Tanasij przekrzykiwał wszystkich, a Żydówki przystojne, ciche

ani pisną, stare trochę kwaśne, a młode delikatne jakby szklane. Przyjechali naprawdę na jakieś żydowskie wesele, ale naprzód wstąpili wszyscy do Tanasija. „No, teraz będziemy tańczyć przez całą noc” — cieszył się Tanasij, aż mu się oczy świeciły. Zmartwił się przecie, gdy usłyszał, że mają pójść na wesele i znów się pocieszał, bo zaczął częstować, i znów się zmartwił, bo Żydom nie wolno jeść tego i owego, i znowu się pocieszył, bo zaczął siłować do swojej wódki kogo mógł. Żydówki nie piły wcale, ale Żydom nie uchodziło odmówić, a Duwyd jeszcze ze świeżą głową pociągał nieźle. I wreszcie ostatecznie pocieszył się Tanasij: „Tańczmy wszyscy!”. Nikt z żydowskich gości nie mógł się już wymówić, także szklane panienczki tańczyły umiejętnie.

Już wieczerało i nie było po co jechać na Żabie, ani tym mniej do Bereżnicy aż na górę. Odłożyłem wszystkie sprawunki do końskiej wielkiejnocy. Jedno opijanie po trosze mijało, ale drugie zaczynało się, bo Tanasij kazał mi przepijać do każdego Żyda. Było gdzieś koło północy, kiedy się wreszcie wyrwałem od Tanasija. Wzięli mnie pod ręce jak biskupa i odprowadzili hurmą do konia, potem podsadzili na konia jakby metropolitę, bo kiwałem się dobrze na prawo i na lewo. Cygan zagrał na skrzypcach, cymbalista wtórował. Zatańczyli wielkim kołem wokół konia razem z Żydami i Żydóweczkami, a Tanasij w środku tuż przed koniem ucinął przysiady. Gdy Tanasij tańczył, całe koło klaskało w dłonie aż koń się zaczął płoszyć. Na pożegnanie stary pokłonił mi się w pas i dziękował, wreszcie skoczył ku mnie i wsunął mi dukata do kieszonki kieptara. Już chciałem ruszyć, a on w krzyk: „Czekaj, zsiadaj zaraz! daruję ci ogiera bułanego. Mnie staremu po co ogier, a ty do ślubu na nim pojedziesz”. Błagałem go: „Zmiłujcie się na miłość Boską, czyż nie widzicie, że ledwo trzymam się na siodle? Jeszcze mi ogier potrzebny, aby mnie w strzępy rozniósł na stromych drózkach”. Uznał to: „Niech ci będzie, ale na drugi raz się nie wykręcisz”. Na sam koniec Żydowie zahłasowali, chrześcijanie huknęli aż po lasach się odezwało, a ja jak objąłem konia za szyję rękami, to tak dojechałem galopem na sam wierzch, sam nie wiem jak. Położyłem się do łóżka z gorączką, nad głową tańczyli mi wszyscy, głowa za głową do mnie się uśmiechała, a nad wszystkimi Tanasij wyszczerzał zęby jak czort leśny.

Tak nabyłem się z Tanasijem po raz ostatni. Przecie od tego czasu omijałem jak mogłem Tanasijową chatę. Już z daleka ze skrzętu na Ilci, zamiast zjechać drogą na most, skręcałem na płaj z tyłu za chatą, aby mnie nie dostrzegli. A inni nie inaczej. Gazda wielki, ale doła taka, że pobratymi i rówieśnicy powymierali, a nam młodym wytrzymać z nim trudno.

Potem to już daleko od nas się działo, ale wszyscy wiedzieli,

że ciężka choroba się doń przyczepiła. Spuchł na całym ciele, nie wiedział na którym boku leżeć. Smarowali mu całe ciało masłem nieustannie, przywieźli doktora z Kosowa, ale ten do życia mu się nie przyczynił, ani nawet do śmierci. Tanasij męczył się dalej, i tak przez cztery lata. Zachodziłem do chaty czasami, raz mnie do niego zawołali, leżał spuchnięty okropnie, ale przechwalał się ile ma chudoby, ile krów dojnych, ile jałówek, ile owiec, i mówił, że mi się od niego należy ogier bułany. Potem zakrzyczał po dawnemu: „Chudoby dużo, bo dużo mi potrzeba, i roboty dużo. Już doczekać się nie mogę, kiedy ta bieda-spuchlizna odczepi się ode mnie. I wtedy pójdzie żwawo”. Miał sto cztery lata. Ktoś by powiedział, że gwarantowana śmierć już tuż-tuż. Ale gdzie tam, nikt w to nie wierzył i on sam nie wierzył. Dlatego sam sobie pomógł...

Lubko skrzywił się, podniósł głowę.

— Słońce już wysoko, trzeba pospieszyć się, aby do południa skończyć cały stok.

Poperecznyk dorzucił.

— Tylko Tanasij tak potrafi. Stary i taki chory, a nie skończył ani w chacie ani na łóżku.

3.

Po posiłku porannym kosili wytrwale, przerywając tylko na krótko. Potem obiema setkami przeszli na stok niższy choć stromszy. Kosili z góry na dół w jednym długim szeregu, nie wracając pod górę. Na południe odpoczywali w cieniu drzew i nieco dłużej. Petrycio jeszcze nie skończył jedzenia a już niecierpliwił się. Nie pytany przez nikogo, jakby obawiał się, że ktoś go uprzedzi, pospieszył się. Wypulił oczy zabawnie, stroił pocieszne miny, jakby chciał naprzód pocieszyć. Na razie kosarze śmiali się głośno na kredyt.

— Zdaje mi się — mówił — że to ja ostatni widziałem Tanasija. Było to tak. Zjeżdżam ja sobie konno, jakoś przed południem z góry na Ilcie i widzę, oczom nie wierzę: nie kto inny jak sam Tanasij siedzi sobie boso na krajezku drogi z dziadowskim kosturem w ręku, a tuż obok niego dziadowina jakiś, wędrowiec czy żebrak. Znali się skądś. Dziadowina trzyma w rękach nowiutkie postoły, opiera się Tanasijowi i krzeczy: „Wy Tanasij i wy duka⁵ wielki, i pójdziecie boso? A ja w postołach jakby na chram? Nie może to być, nie!” — Tanasij choć tak spuchnięty, że żał patrzeć, zbiera go ostro do galopu: „Cicho siedź, dziadu, nie

5. gazda z wielkiego rodu.

pyskuj, nie sprzeciwiaj się, bo właśnie Bóg mi nakazał, abym zdjął postoły i dał tobie. Ubieraj je w mig, aby i ciebie do Boga doprowadziły. Ja i boso tam zajdę”. Zerknął ku mnie, poznał mnie. „Ach, to ty, Petryciu? O to dobrze, może mi pokażesz jakąś kumedię wesołą na pożegnanie”. — „Czemuż na pożegnanie, gazdo Tanaseńku?” — pytam. A on na to: „Kto wie czy się zobaczymy, bo różnie mi szepcą”. A ja do niego: „Kto szepce?” — „Nie bądź zanedo ciekawy; szepcą tacy, co są od szeptania”. — Pytam go znowu: „A po co temu dziadowi postoły, kiedy wy boso?” — „Nie pytaj zanedo, mówię ci. Słyszałeś, ma w nich dojść do Boga”. — Pytam go znowu: „To po waszemu nie liczą się księgi święte ani służby boże, tylko postoły potrzebne?” Tanasij uśmiechnął się ledwo-ledwo: „Nie myśl, chłopcze, że komediant z cyrku, choćby taki delorny jak ty, wszystkie rozumy pojadał. To nie cyrk. Aleś ty z cyrku, trafił swój na swego, to ci powiem: dziad nędzny, nic innego prócz biedy nie zaznał, to pewno zły na ludzi jak zaraza. Ucieszy się postołami, może przebaczy, a to u Boga liczy się *tylko*. Widzisz, to nie cyrk”. Zaśmiał się zdrowo. — „Jakżeż nie cyrk — powiadam — kiedy przebiecacie się: dziad za dukę, a duka za dziada”. — Tanaseńko znów uśmiechnął się z trudem: „Możesz to i dobrze powiedział, bo na tamtym świecie taki cyrk, że nie poznasz nikogo, metropolite przemienią na grzesznika, a grzesznika...” — machnął ręką zwiędle. — „A dokądże wy, Tanaseńku?” — pytam znowu. — Spojrzał na mnie surowo: „Powiadam ci, nie pytaj dużo. Zobaczysz, a może nie zobaczysz”. — „Do domu nie wracacie?” — Westchnął ciężko: „Do któregoż domu? Może i wrócę...”. — Coś mi to wyszło niesamowicie, i pomyślałem sobie: a może staremu na rozum upadła choroba, to bywa. „Może by was do domu odprowadzić?” Od razu podaje mu rękę, a on spojrzał mi głęboko do serca i szepleni: „Nie, mój Petryciu, tyś z innego cyrku, a ja z innego”. — „Z jakiegoż wy cyrku, gazdo Tanaseńku?” — Wytchnął mi z trudem: „Z odwrotnego, gdzie rzeki do źródła spieszą, a czas wraca do wczoraj”. — Pomyślałem sobie: „To jasne, rozum pomieszany — ale pytam dalej — jak, jak to mówicie?” — Świdrował mnie długo, odetchnął i szepnął: „Uciekać”. — „Wy uciekacie? Dokąd?” — A on dalej, coraz głośniejsze i całkiem mocno: „Odstąp od niej, narodzie bogumiły, wyjdź z ziemi kurwy, nie bądź jej współnikiem. Niech sobie faluje pod niebo. Nazwa jej piołun, człowiecze weź sierp, zbieraj się, żniwo gotowe...” — „Któż żniwo? — mówię — na wiosnę żniwo?” — „Mój chłopcze, cyrk i cyrkowy świat nie to pokazuje, co na świecie. Na świecie wiosna, a w naszym cyrku — ha —. No, to bywaj mi zdrów, mój luby Petryciu, daj ci Boże co najlepsze za wszystko, nieraz mnie uweseliłeś. Tacy co weselą, są posłani do

nas. Tacy dojdą sami bez postolów". — Zerwał się dość dziarsko, pogłaskał mnie po głowie, dziadowi kiwnął głową, i ruszył. Dziadysko wystrojony paradnie w nowiutkie postoly, podreptał na dół ku wsi, a Tanasij boso w górę Rzeki. Wierchy białe były jeszcze, ale droga suchutka i ciepło.

Cóż począć? Pobiegłem do Tanasijowej chaty, a tam nikt nic nie wie. Południują, doją setki krów i owiec jaki tysiąc. Nawet nie dostrzegli, że im się wymknął. Zamiast doić, zaczęli się skrobać w kudły: „Cóż teraz robić? — powiada mi powolutku Tanasijowy bowhar⁶, ten co ma głowę jak wielka dojnica i cały pachnie mlekiem — wróci pewnie, wróci zaraz. To dobrze, że wstał, widać mu już lepiej”. — „Ależ — powiadam — on ma rozum uszkodzony, czyż nie widzicie? Wygaduje coś takiego, że trudno zrozumieć”. — Wielka dojnica rozdziawia gębę od ucha do ucha. Śmieje się: „Zawsze wygaduje, ale mądrzejszy od nas wszystkich razem, ho-ho! Wróci”. — „Może i wróci — powiadam mu — ale któż wie. Poślijcie kogoś za nim i to zaraz. Poszedł w górę Rzeki, w dodatku boso”. — Bowhar śmieje się głośno: „Boso? No to wróci zaraz na pewno”. — Widziałem że coś niedobrze, ale co gadać z taką drewnianą dojnicą. Pojechałem do wsi za moimi sprawunkami i wracając wstąpiłem raz jeszcze wieczorem do Tanasija. Spotykam dojnicę i pytam: „A co, wrócił gazda?” — Bowhar wybałuszył oczy jak wół: „Ha, pewno wrócił, ale nie widziałem go”. — Ja już rozżołościłem się: „Popatrzcież do licha, wrócił czy nie?” — Czekam na podwórzu, a dojnica kołysze się powoli ku chacie. Rozpytał tego, rozpytał owego, wraca do mnie i mówi: „Nie, jakoś nie wrócił. Poczekamy aż się ściemni, a potem po udoju, pójdziemy go szukać”. — „A czyż wiecie gdzie jest?” — pytam — „i jak go szukać?” — „W górę Rzeki, mówiliście, poszedł, rozpytam jakoś, a teraz bywajcie mi zdrowi, bo roboty huk, doić, karmić, ścielić”. — Skląłem go przez zęby, życzyłem mu aby zesechł się całkiem i pękł. Zaciąłem konia i jeszcze nie było ciemno, kiedy dojechałem do chaty na Bystrecu, tam koło kaplicy. Szukać i pytać na darmo. Wstałem raniutko, ale gdzie tu szukać wiatru w polu. Przecie miałem szczęście. Bo u nas plotki mają dobre nogi, a nieraz skrzydła. Już przed południem przeleciała wieść przez Bystrec, że widziano Tanasija wysoko aż na Dietule. Zaszedł tam na mleko do którejś chaty. Plotka chociaż młoda, od razu nabrała rozpędu, bo to wielkie dziwo, że dziad stareński wydrapał się sam na górę, a jeszcze większe dziwo, że taki sławny duka a boso. Oświeciło mnie nagle — aha, pewnie skręcił z drogi gdzieś pod Hedią i podreptał stromo przez las, aby go nikt nie odszukał. A potem, potem? No jasne,

6. główny pasterz.

w Czarnohorę polazł po swoje zioła. Co prędzej, zaraz dogonić! Wziąłem kilku sąsiadów i od razu prosto przed siebie na płaj bezrezowski i dalej płajem aż pod śniegi. Weszliśmy jak psy bez wachu, bo wszędzie sucho, śladów nie widać. Dopiero dość wysoko i dobrze po południu weszliśmy w mokry śnieg: są ślady, ślady bosych nóg. Im wyżej, tym twardszy śnieg, ślady słabną, potem nikną prawie. Przecież za śladami dotarliśmy powoli pod Szpycie. Tam już śladów nie było. Ale gdzież mógł szukać ziół? Gdzież, jak nie pod słupami skalnymi, jak zazwyczaj. Prędzej, prędzej. Już widzieliśmy skały wysoko nad głową, gdy najmłodszy z nas Juryszcze Gotycz, co dobrze nas wyprzedził, krzyknął z daleka: „Łód rozsypany, prędzej, może go zagarnął!”

Znaleźliśmy go w ciasnej szczelinie wśród skał. Zapchał się tam, widocznie naprawdę szukał korzeni. Śniegu prawie nie było tam wysoko, tylko lód oblepił słupy skalne naokoło u podstaw. Jak się tam dostał? Bóg jeden wie. Nóż był otwarty i wisiał na pasku. Sam z siebie się nie otworzył. Obie stopy były przecięte nożem wzdłuż, równo i starannie. Widocznie, gdy zaczął zsuwać się na dół po lodzie, przeciął stopy, aby krwią przyklepić się do lodu. Ale podepchał się pod lodowe sopłe, co zwisają ze skał, — nie sopłe a dachy, takie ogromne jak kopuła świętego Jurja we Lwowie. Lodowa kopuła oberwała się i rozbiła się. Może o jego głowę? Zasypały go odłamki lodu. Tam go odnaleźliśmy, wśród odłamków. Dyszał jeszcze, serce biło słabiutko. Unieśliśmy go w mig, lecz dźwigaliśmy z trudem poprzez wertepy lodowe. Dopiero pod wieczór donieśliśmy go do pierwszych chat. Wytnął po drodze...

— A księdza nie było? — pytał Poperecznyk.

— Skądże, żadnego człowieka nie było w pierwszych chatach, bo to sianowe chaty na zimę.

Poperecznyk chrząknął raz i drugi.

— Ha, odmłodził się, jak zapowiadał, lepiej tak niż czekać na koniec.

— Ziemia święta połknęła stary płaj? — dodał Foka.

Petrycio zakończył.

— Dopiero na drugi dzień spotkaliśmy już na Bystrecu chatyńskich ludzi Tanasija. Bowhar bardzo czuchrał się i skrobał się w głowę, przydałby mu się był grzebień-samograj. Kiedy zmiarkował, otworzył gębę: „Beeee — A co teraz będzie z nami? bez gazdy strach!”

Poperecznyk rąbnął ponuro:

— Wiedział co robi. Uciekł stary od dojnicy, od kumów, od

7. ścieżka górską.

najmitów, od chrześniaków, od żebraków, od chapających rąk, od chapających oczu. Teraz swobodny.

— Nie mówcie tak — odparł Petrycio. — Nie znacie ludzi, nie znacie wsi, nie znacie pobratymów Tanasija. Żałowali szczerze, płakali, wyli tak, że zagłuszyli wszelki słuch. Biedne baby śpiewały płacząc: „A któż nam da kartofli na zimę, kto maki na przedwiośniu, drzewa na budowę, jabłek, śliw na jesień. Kto da kozuchy, kto da skórę na postoły?” — Dzieciaki wtórowały i jęczały, a wszystko razem hałałało i wrzeszczało: „Kumie, gdzież wy kumie lubyj!” Ganić nie trzeba. Szczęśliwy człowiek taki, co jak jabłoń dobra, najlepsze jabłka wokół siebie rozsypa.

— Nie myślcie sobie, że o kimś zapomniał — ciągnął Petrycio. — Obmyślił wszystko naprzód, zaprosił już dawniej księdza do siebie, zrobił widkaz⁸ dokładny, a ksiądz zapisał i wykonał wszystko. Mnie kazał posłać klaczkę, tę na której wczoraj przyjechałem, a innym także, każdemu coś innego.

— Prawda — wtrącił Lubko — mnie kazał posłać ogiera bułanego, tak jak obiecał.

— A mnie cały zastaw pański — mówił Foka — kryształ, talerze, dzbany, widelce jakby na wesele i nakazywał, abym się znów ożenił.

— I nam także — mówił młody Serebraniuk — ojcu posłał skrzynię wykładaną cisem i kiedrą, sam ją wyrzeźbił. I pieniądze dla dzieci.

— A ilu się nigdy nie dowiemy — dorzucił Petrycio.

Jakby pobudzeni tym, obecni jeden za drugim wymieniali pożegnalne podarunki Tanasijowe.

„Gubernator” oglądał się znacząco. Natychmiast wszyscy umilkli przystojnie, słuchali nabożnie. Jak zazwyczaj opuścił oczy i przemawiał półgłosem, jak wielkiemu człowiekowi przystoi.

— Wszystkim to wiadomo: Tanasij piętnował Zabiowców aż dech zapierało. Ustępowałem mu z drogi. A dlaczego? Wście wszyscy, że w pierwszych dniach tego miesiąca po nocach rżęśnie przelatują ogniste znaki gwiazdy i spadają dokądś na ziemię. Rozповідаją, że to dusze upadłe. A ja wiem, że to rozpalone ognie skały. Kto je rozpala? Kto je posyła? Świecą ślicznie, polubować się można i zachłysnąć, ale podepchać się pod nie? Nie! Zmiażdżyć mogą, spalić. Tanasij płonął nad naszymi głowami. Jemu wolno, tak jak prorokowi. Ale przecie — to wam powiadam ja, wójt wolnego Żabiego — Tanasij nie spadł z chmur, wychodował się w Żabim i wyrósł razem z nami. On nasz. Patrzmy na niego, w nim znak, nadzieja, zaświeci Żabie, a świat do nas przyjdzie.

8. testament.

Obecni bez wyjątku wpatrzeni w Gubernatora potakiwali żywo. Gubernator oglądał się szybko, stwierdził, że go słuchają. Zakończył:

— Także i o mnie nie zapomnieli. Przysłał mi rewasz na przyszłość, taki co czyta się na trzy boki. Kiedyś, da Bóg, odczytam go wam na wszystkie trzy strony. To wielkie czytanie. Proroctwo Tanasija! Na dziś to pewne, to wam dziś mówię, to obwieszczam, ja dawny wójt wielkiego Żabiego. Żabie zaświeci! A z nim nasza Huculija!

Stanisław VINCENZ

Poniżej słowa Huculija w maszynopisie ręką autora dopisane dwa słowa: Swoboda Koniec.

VINCENZ W ZWIERCIADLE SOWIECKIM

W ukraińskim sowieckim miesięczniku *Żowień*, wychodzącym we Lwowie, ukazuje się od lipca 1969 roku przekład „Na Wysokiej Połoninie” Stanisława Vincenza. Jak podaje redakcja, publikacja ta spotkała się z szerokim echem wśród czytelników ze wszystkich stron Ukrainy. Sowieckie wydawnictwo w języku ukraińskim *Kamenjar* zamierza wydać dzieło w najbliższym czasie w formie książkowej.

Przekład poprzedził artykuł poświęcony „bardowi Huculszczyzny”. Artykuł nazywa dzieło Vincenza „artystyczną kroniką Huculszczyzny”, poetycznym lecz wiernym obrazem tej krainy, w którym bajkę zastępuje rzeczywistość i w którym wszystko podane jest przez pryzmat widzenia świata samych Hucułów. Artykuł podkreśla, że polski pisarz narodził się na Huculszczyźnie (poprawiając przy tej okazji dane encyklopedii sowieckiej) i że największy wpływ na jego formowanie się jako pisarza i człowieka wywarła jakoby niańka-Hucułka. Cytowane są również słowa Vincenza, że uważa za swoje powołanie „odkryć światu barwy i dzieje Huculszczyzny”. Mowa jest wreszcie o przekładach dzieła na angielski, włoski, niemiecki i węgierski.

Artykuł wspomina o pomniku pisarza ukraińskiego Iwana Franki (od którego Stanisławów został niedawno przezwany Iwanofrankiwsk) wystawionym wkrótce przed wojną przez Vincenza. Pomnik ten, zniszczony podczas wojny, odnowiony został ostatnio staraniem ukraińskich czytelników i wielbicieli Vincenza.

Wspominając, że polscy „burżuazyjni etnografowie i historycy” chcieli naukowo udowodnić, że Huculi nie są częścią narodu ukraińskiego, autor artykułu twierdzi, że „książka Vincenza była najlepszą odprawą udzieloną tym pseudouczonym” (!). Artykuł podkreśla, że „Vincenz nie tylko polemizuje z historykami burżuazyjnymi, ale także głęboko demaskuje (sic!) charakter klasowy ruchu opryszków (zbójników huculskich)”.

Nazywając następnie utwór Vincenza własnością ludu ukraińskiego artykuł cytuje entuzjastyczne opinie pisarzy ukraińskich Mykoły Bażana („cudowny utwór”), Iwana Le („książki tej nie można tylko przeczytać, i już. Chce się ją czytać i odczytywać raz jeszcze jak poemat”), i Petra Kozłaniuka („najpiękniejszy utwór napisany na temat Huculszczyzny”) oraz przypomina, że z okazji 75-lecia pisarza sowieccy pisarze ukraińscy przestali mu życzenia urodzinowe.

Artykuł kończy się stwierdzeniem, że „najmocniejsze mosty nad złą i dobrą przeszłością obu narodów buduje literatura piękna”. Twierdzenie to należy zaliczyć do typowych frazesów bez pokrycia, jako że Vincenz nie jest wprawdzie zabroniony w Warszawie (wspomnienie zmarłemu pisarzowi poświęcił w *Życiu Warszawy* sam Jarosław Iwaszkiewicz), ale że od roku 1945 ani jedna książka jego nie ukazała się w Polsce.

(—uk)

POLSKI DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

— TO POLSKI DOM WYPOCZYNKOWY
POLSKIEGO FUNDUSZU HUMANITARNEGO
45 - LAILLY-EN-VAL

Stacja kolejowa Beaugency — kierunek Tours, 25 km. od Orleanu. Dom świetnie wyposażony dla 135 pensjonariuszy w zamku i w aneksie, ze wszystkimi urządzeniami sanitarnymi (łazienki, prysznice), winda, dwie duże świetlice, dwie sale jadalne, biblioteka, kaplica, telewizory. Duży park. — Cztery posiłki dziennie. Czysta kompletna. — Miasteczko Beaugency oddalone o 4 km.

Do Domu są przyjmowani kandydaci powyżej 65 lat, lub posiadający co najmniej 80 % niezdolności do pracy.

Przyjęcie do Domu przez Prefekturę, na podstawie podania złożonego w merostwie miejsca zamieszkania kandydata, a Prefektura udziela tzw. „prise en charge” tj. że państwo płaci całkowicie za utrzymanie kandydata w Domu.

Wszelkich informacji udziela:

DYREKCJA DOMU F.H.P. — 45 - LAILLY-EN-VAL
lub

ZARZĄD F.H.P. — 20, RUE LEGENDRE, PARIS-17^e

Meldunek o nieprzybyciu Wełnowskiego

Podczas gdy w Kodni na Wołyniu odbywał się przetarg na remonty dla pułków strzelców konnych i ułańskich korpusu jazdy Królestwa, na drugim końcu świata, w dalekiej Bretanii, czekałszy na stacji w Guer na transport koni dla naszego dywizjonu.

Poprzedniego dnia, po *déjeuner* w naszym kasynie, powiedział do mnie dowódca dywizjonu:

— Jest awizo — jutro rano na stacji w Guer — transport — około czterdzieści koni. Pojedziesz, szczególnie będą w rozkazie dziennym. O szóstej trzeba być na na miejscu. Ludzie — kantary — sobie to oblicz — około czterdziestki koni.

A właśnie przy obiedzie była mowa o koniach, na które czekaliśmy od dawna, o pierwszych dla nas tu koniach. Dyplomowany kapitan Świebodziński opowiadał o swoim stażu w kawalerii włoskiej, jeszcze przed wojną.

— Marsze zawsze klusem i galopem.

— Ciekawe — mówił pułkownik — a właściwie to można tak, tylko trzeba dobrze karmić. Zawsze byłem zdania — karmić — doglądać i gnać. A jakie konie?

— Dobre. Szwoleżerowie mieli lekkie konie, ale dragoni i „lancieri” — a dlatego pewnie tak się nazywali że w przeciwieństwie do dragonów i szwoleżerów nie mieli lanc — dragoni i „lancieri” mieli kościste, ciężkie. Ale dobre konie. Moja klacz była twarda w pysku, jakbym miał wodze uwiązane do pnia. Jakie rzędy? Czerwone od rdzy, siodła po prostu historyczne, kryte kozimi skórąmi — wszystko przy siodle — szabla, karabinek w olstrze.

Moim sąsiadem przy stole był inny kapitan, Heybowicz, tego znałem jeszcze z Polski. Fasonował się na koniarza, ale coś w tym było podejrzanego. Coś nie było z tym w porządku, coś nie kła-

powąło. Miał ostrogi obszyte skórą, tylko ich same żgadła były gołe, więc bardzo to oryginalnie, bo tego nigdzie przedtem nie widziałem. A ostrogi to bardzo ważne rzecz, to niesłychanie ważna rzecz. Na ten przykład część podchodząca pod obcas nigdy nie miała być z metalowego łańcuszka, takiego jaki konie noszą przy munsztuku. Nigdy oficer nie mógłby sobie na to pozwolić, to był fason „podoficerski”. Więc kapitan Heybowicz miał je oszyte skórą, dobrze, ale i tak nic to nie pomogło, coś było z nim nie w porządku. To potem, o ile wiem, poszedł do artylerii konnej, do daku, gdzieś do którejś ze wschodnich brygad.

Spotykam go teraz, i to już tyle lat, i jest teraz tęgi jakiś, i co tu mówić chamski. Jakiś cynizm zakradł mu się do oczu, ale głupi chamski cynizm. Przydzielili go teraz do nas, zawodowego kapitana, i zagrywa po zawodowemu, pewny siebie, o nas nie dba, zajęty jakimiś swoimi machinacjami. Ma samochód, chamski zwyczaj dochrapywania się jakiegoś samochodu, chodzi sobie sam i widać że kombinuje. Był jakiś czas w „Reginie”, ale zdaje się że się go pozbyli, wylali, nakopali. Ale że w trywialnym znaczeniu facet mógł pewnie i zaszkodzić, to uważali że nie będzie to znowu taką degradacją, no to do dywizjonu, do linii. Od pierwszego rzutu oka już mu się tu nie podobało, już przysiadali sobie z pułkownikiem, ale o tym cicho, sza, bo to na innym szczeblu, pomiędzy zawodowymi.

— Dużo jazdy w terenie — ciągnął dalej dyplomowany kapitan Świebodziński — co? Czy specjalnie dobrze jeżdżą? Ułani, jak u nas, przeciętnie, oficerowie poprawnie. To tak wyglądało: pobudka o drugiej, za to praca wcześniej się kończy, obiad, i po obiedzie obowiązkowo wszystko śpi, siesta, właściwie mają to podzielone, śpią dwa razy w ciągu doby. To tam, na tamtejszy klimat, jak to się nazywa? Siesta. A dragoni mają wspaniałe hełmy, takie, o! Projektował je Canova...

Kapitan Heybowicz na mój widok ożywił się, bo mu przypominałem dawne czasy. Powiedział do niego, to pan kapitan był w daku? Byłem, mówi, nareszcie przy koniach. A gdzieście byli, pytam, w kampanii. A, powiada, w tej i tej brygadzie. A ta, jak wiadomo, obracała się koło Prus Wschodnich, to potem, ale tu kapitan zagubił się w jakichś topograficznych szczegółach, i niewiele z tego wyrozumiałem. A potem, po siedemnastym wrześniu, to mówi najechali nas na szosie, na dziśnieńskim trakcie, i czołgi jak wyjechały. I pociskami po bateriach... Tylko kwik koński poszedł po dywizjonie. Głupio gada i chamsko, i wyjechał z tym kwikiem końskim, aż mnie zatkało. Chciałem to sobie wyobrazić jak to mogło wyglądać, w tamtejszych stronach, ale mickiewiczyna to nic? „Wpółśród pagórków leśnych, wpółśród łąk zielonych...”, zielone kopuły drzew i trakt litewski, z rozjechanymi ko-

leinami, ale zawsze markuje się czterokołowy ślad, jako że to tam koniki chodziły w hołobach, nie tak jak u nas dyszlowe pary, to wyjeżdżały cztery koleiny, kiedy to koń szedł to raz jedną, to drugi raz inną koleiną.

Chciałem sobie wyobrazić jak to wyglądało, kurz i mokra sierść na koniach, ścisk i ciągłe przystawania pochodu, aż tu znagała, ni stąd ni zowąd, tak jak tamte brzozy, poruszyło się coś niesamowitego, dotąd niewidzianego, i zaczęli i zaszarżyło i oderwały się stamtąd czerwone pociski i właśnie stąd ten kwik po koniach, bateriach...

— Podjechał taki do mnie — mówił mi kapitan Heybowicz — podjechał takim „gazikiem” i powiada do mnie: „Ty polska świnią, ty oficer. *Smatri-ka u niego tousty roża, kak żopa...*”.

Po obiedzie poszedłem do adiutantury, by zapoznać się ze szczegółami swej misji, które tam do rozkazu dziennego redagowano. Kiedy tu każdy z nas urządzał się jak mógł, to nasz adiutant dywizjonowy, przystojniak i poprawny jak to zawsze adiutanci, zakręcił się koło tego najszybciej i już, ani się oglądając, miał swoją kancelarię kubek w kubek urządzoną na modłę i podobieństwo tej w starym garnizonie. Stoły porożstawiane i teczki z papierami i dziennikami rozkazów, i ten sam podoficer do pisania na maszynie, i adiutant nachmurzony nad swym stołem i bibułą podawał wchodzącym jak dawniej przez szerokość stołu linijkę do liniowania do uściśnięcia na dzień dobry, przedłużając w ten sposób rękę by nie wysilać się na szerokość blatu. Zapachniało tu jak dawniej farbą do hektografu i papierami, i już jest tak samo, siedzi w swej dawnej skorupie, niech go szlag trafi. Tu naokoło inny, dziwny świat, kamienny i jakby porośły liszajem inności, a tu ten sam młody człowiek już obudował się w swą ślimaczą skorupę swojskości i wciągnął w nią z mlasknięciem satysfakcji.

Zajrzałem do notesu, bo trzeba wybrać ludzi. Kto może pójść? Dzisiaj o dwunastej bateria wystawiała wartę, jeden, plus zastępca, plus dziewięciu, plus goniec. Dowódca warty Grzesiak, zastępca Szkoła, potem już Grot — Grot jest przekreślony, poszedł Adamek — poszedł za niego bo Grot choruje, Majda, inni. Goniec Kołodka, ale mam zapisane że trzeba wyjaśnić bo gońca dawaliśmy wczoraj. Kapral Ogrodnik jest podoficerem służbowym, a bombardier Antczak zastępcą. Natykam się na memorandum że ma być podana zmiana naszego adresu, ale jaki u licha ten nowy adres? Gdzie go zapisałem? Meldunek o nieprzybyciu Wełnowskiego. Wykaz kwater do siódmego. Lista żołdu do ósmego. Meldunek — buty — jedenaście par za małych. Aha! Jest! *Secteur Postal 370*. Aha! Jutro kanonier ze starszego rocznika, mówiący po francusku, u księdza, o ósmej. Wszyscy mówią

po francusku. Niektórzy nie mówią wcale po polsku. Z wyjątkiem oficerów i paru podoficerów wszyscy są stąd.

Patrzę na listę baterijną: Antczak Stefan, Bat Jan, Bożek Piotr, Bachowski Bolesław, Dziektarz Leon, Dłubak Józef, Foryś Wacław, Fryga Franciszek, Fryga Marian — to bracia... Makara Michał (dlaczego zapisałem przy nim Departament Tarn et Garonne? Pewnie dlatego że to osobliwość, bo wszyscy są z Nord, albo Pas-de-Calais, albo Seine-et-Oise). Patrzę dalej: Piecko Józef, Pacułt Stanisław, Rzepisko, Rozwałka, Roźniecki, Stasik, Sobkowicz...

A oficerowie i podoficerowie nie byli stąd. Weźmy szefa mojej baterii, ogniomistrza Góralczyka. Kiedy go tu przysłali i meldował się pierwszy raz, rosły, przystojny młody człowiek, pytam o dane potrzebne dla ewidencji. Kiedy doszło do tego czym był w cywilu, zawahał się. Przecież z książeczki wojskowej wyraźnie wynika, że był z rezerwy. Więc jak? Panie poruczniku, mówi mi, proszę, tylko żeby się nie wydało. Po co? Niech ci ludzie nie wiedzą. Po co? Był w cywilu przodownikiem policji państwowej. Był to bardzo solidny, świetny podoficer.

W nocie ciemne jak atrament, poświęcając sobie latarką elektryczną, chodząc, potykając się o kamienie i ciapiąc w błocie po kostki, po odległych fermach. Bré-du-Coq, La Turtelier, Plouaret, St.-Gildas-de-Bois... U okien, za którymi jarzyło się czerwone światło latarni poruszały się leniwe cienie żołnierzy po suficie. Słyszałem: „*Dit donc, mon vieux — sans blague...*”, „*U nas w Melun...*”, „*A u nas w Avesnes...*”, „*Qu'est-ce que tu voudras — toi...*”, „*Ça va?*”, „*Merde alors!*”, „*Eh, ne bougez pas...*”; i to Konieczny Piotr, Kutyla Kazimierz, Kowal Michał, Klubka Roch, Kazek, Kędzia, Kuśnierz (Kuśnierz w ogóle nie mówił po polsku), Koziołek, Pogoda, Sagan, Stuż, Wielobób, Zych, Żyła... Ale w dzień nawet dzieci bretońskie śpiewały za nami podsłuchane u maszerujących oddziałów, śpiewały „grasejąc”:

„*Rhano, rhano, rhaniusieńko, rhano po rhosie*
Wyganiała Kasia wółki, rhozwidniało się. Rhaz! Dwa!
Rhozwidniało się...”

słowa których nie rozumiały.

Był tylko jeden nie tutejszy, ale i to nie z Polski, ale z co nie dawno przyłączonego Śląska Cieszyńskiego. I do tego nazywał się bardzo niewyczejnie, nazywał się Palmi. Był w baterii trębaczem. Bardzo ładnie.

Ale właściwie miało to być o koniach, które dopiero miały przyjść. Patrzę gdzie mam zapisaną uprzęż. Więc kantary. Mamy kantarów surowcowych ze sznurami 28, kantarów surowcowych

z łańcuchami 39, kantarów bez niczego tyle a tyle... Razem... No wystarczy.

Ktoś zniecierpliwiony może i zapytać, skąd ta precyzja szczegółów, aż podejrzana ścisłość imion, pedanteria nawet liczb? To przyznam się że ja, który nie mam pietyzmu dla osobistych szpargałów, natrafiłem na ocalały gdzieś na dnie kufra stary kalendarzyk sprzed lat, notes, w którym wtedy zapisywałem konieczne w warunkach służby i ważne memoranda. Z tego lichego dokumentu, który okazuje się w tej chwili dla mnie tak bezcenny jak CORPUS INSCRIPTIONUM LATINORUM dla historyka, odtwarza mi się umarła przeszłość.

Tak jak odtwarzała mi się, gdy przeglądałem stary sztambuch Salomei Wiśniowieckiej, w który jakaś inna ręka, na odwrocie welinowych kart, porobiła także jakieś notatki dotyczące się koni, ich ras, rodów, maści i odmastków. Było tam zapisane: skarogniady, jabłkowity, myszaty, wilczaty, tarantowaty, mroziaty, cisawy — jasno-gniady (i w nawiasie — „koń cisawo pleśniwy, rycerzom szczęśliwy”), bułany dropiaty, szreniowaty, srokaty w jaskier, żelazno-siwy, piegowaty, popielczaty, światło-siwy, ciemnorzydy, złocistawy, konopiaty, sobolowaty, porcelanowaty, dereszowaty, wrony, moregi — o ciemnej maści.

Było tam wiele innych notatek dotyczących się spraw końskich, pokroju koni, charakterystyki, było o ręczności, sprawności koni, o ogierach czołowych, ogierach starego zawodu polskiego, rumakach, drygantach, dzianetach, i znowu o ich chowach i rasach, od prymitywnych bitiugów ze stepów koło Woroneża, koniach kirgiskich, kałmuckich, kabardyńskich, garbonosach dońskich, criollo i bronco z pampasów i prerii, o odmianach kulturowanych, tekińcach, turkmeńskich, perskich, im pokrewnych karabachach, o pełnej krwi arabach z pustyni Nedżeb, najcenniejszych, kochejlanach, seglawi, berberach, andaluzach, o anglo-arabach, hunterach irlandzkich, anglo-normandach... O ich chodach, rysią, cwałem, „*ventre à terre...*”.

Było o rzemieniach, skórach surowcowych, solonych sucho, suszonych, piklowanych, juchtowych, faledrowych, blanko-juchtowych, napalanych, peccari, glacé, nappé, zamszach, irchach, skórach nubukowych, lakierowanych, welurowych, szewro, safianach, o ściągniętym licu. O rzędach, siodłach, uprzężach, cuglach, wodzach, uzdach, trenzlach, czepcach...

W staropolszczyźnie czepce to były ozdobne uzdy końskie. Stąd to pewnie w tymże kalendarzyku sprzed lat, obok tak potrzebnej mi listy uzd i kantarów z którymi trzeba nam było wybrać się na stację kolejową w Guer po odbiór koni, znalazła się inna lista, katalog, zbiór i kolekcja, a nawet odręczne szkice innego gatunku czepców. Było to o czepkach, *coiffes* noszonych

przez kobiety w Bretanii. To już zamiera tam, może teraz już ich nie zaoczy, już ich nie noszą. Ale wtedy można je było widzieć, zwłaszcza u starszych kobiet. Młodsze wkładały je, pewnie dla kokieterii. Każda parafia inne. Zacząłem nawet je rozpoznawać, a że te to z Ploërmel, a tamte koronkowe z Pontivy, a te krochmalone z Carhaix, St.-Brieuc, St.-Gildas-de-Bois, Bré-du-Coq, Paimpon.

A więc przede wszystkim czepki na co dzień, *de tous les jours, de la campagne*. A potem inne do wyjścia, od święta, *de cérémonie, de jours de fête, coiffe de la ville. Bonnet tuyanté, coiffe de dentelles, coiffe à oreilles* czyli z rodzajem jakby nausznik, *cornette, bonnet à pompon, bonnet ruché, les ailes*, zebrane krochmalone szarfy w stojący ich pęk na głowie, i zaraz inny czepiek skrzydlaty równie, a nazywał się *coiffe de papillon*. Zastanawiające jest że w sąsiadujących ze sobą parafiach nie istniało jakieś współzawodnictwo, w jednej były bardzo skromne, gładkie, nieozdobne czepki, a zaraz obok na głowach piętrzyły się jakieś bezprzykładne, krochmalone, po prostu orchideje. Były i czepki przypominające tak zwane „budki”, z epoki biedermeier, zasłaniające twarz, a nazywały się *quichenotte*. Dopiero znacznie później gdzieś wyczytałem że to przyswojone z angielszczyzny, że *quichenotte* to po prostu przekrecone angielskie *kiss me not*.

Skąd mi się to znalazło w zapiskach? A no, z uporem i bezceremonialnością amatora-zbieracza po prostu naprzykrzałem się i rozpytywałem. W drodze do baterii natykam się na kobiecinę, staruszczkę, takie to skurczone, skarłowaciałe, powłóczące w błocie sabotami, twarz same zmarszczki i brodawki, ma chyba ze sto lat. Ale ja nic, nic to że mogę starowinę i przestraszyć, etnolog-entomolog pożał się Boże, pytam: *Madame, excusez-moi, comment on appelle ça?*... Starowina ogląda się, nie wie o co mi chodzi, wreszcie dorozumiewa się że chciałem dowiedzieć się nazwy czepka jaki przystraja jej głowinę, uśmiecha się bezzębnymi ustami i mówi: *Corne de Sainte-Hermine... ou... grisette...*

W żałobie, po stracie kogoś bliskiego czepiek przystrajało się w czarną aksamitną wstęgę, nazywało się to: *Coiffe de grand deuil*. I to właśnie przypomniło mi historię Wełnowskiego, o którego nieprzybyciu miałem zanotowane w mym kalendarzyku, a jakże, w notesie który już przyrównywałem do *Index Inscriptio-num* czy *Corpus Inscriptionum Latinorum* czy też *EPHEMERIS EPIGRAPHICA*.

Wełnowski figurował u nas w ewidencji, na liście bateryjnej, ale nikt go nigdy nie uświadczył na oczy. Ale że pokutował na tej liście, to periodically meldowałem gdzie należy o jego nieprzybyciu. Po kilkunastodniowych poszukiwaniach zawiadamiano mnie że Wełnowski jest gdzieś tam, w wojskowym szpitalu, kurują go.

A potem zaczynało się od nowa: meldować o Wełnowskim. I znów szedł meldunek o nieprzybyciu Wełnowskiego.

Aż jednego dnia przychodzi fonogram. Wełnowski zmarł w tym wojskowym lazarecie i bateria, na której był liście, ma wysłać oficera i pluton do Rennes, gdzie przy ulicy takiej i takiej mieści się ów wojskowy szpital i przy tej asyście, po załatwieniu wszelkich urzędowych spraw związanych ze świadectwem zgonu, pogrzebu, i tak dalej, można go kazać szefowi-ogniomistrzowi wymazać z listy. No dobrze. Aha, z funduszu kwatermistrza zakupić i trumnę.

To powiedział mi adiutant, podawszy mi przedtem przez stół do uściśnięcia linijkę do liniowania, którą przedłużał sobie rękę, by nie fatygować się z jej wyciąganiem.

Dookoła naturalnie dzieją się normalne sprawy, tyle ażeby osłonić samotność każdego z nas. Gdzieś tam o wyznaczonej godzinie mają stawić się trzytonówki ażeby pobrać chleb, kapustę, mąkę, mięso. Kierowcy co odbijają się od reszty, „fajfusy”, Gaullois w wargach i głaszcze koło kierownicy. Gryzpiórki kancelaryjne, zblazowane to i eleganci, spodnie zaprasowane, pochylają przyłizane czoła nad kwitariuszami i cedułami. Do brudnej tu roboty to zawsze zapędzą, „wyznaczą” jakąś ofertę baterijną, zahukanego, niedorozwiniętego, zafasowali mu miotłę i hajda do roboty. Kucharz — kucharza poznać po poważnym wyrazie twarzy i zaszmelcowanym drelichu, kiedy zimnym okiem oderwie się od swędzenia i smalenia na kuchni, ażeby popatrzeć na intruza. Osobno ci co dźbią w warsztacie samochodowym, spawają, przykręcają. Daleko, daleko, za rżyskiem i łąką, pod drzewami, obciążone brezentem skrzynie z amunicją i szary wartownik przy nich, tylko hełm mu kłania się na czoło, i karabin i wysoko upięte ładownice, i wartownik patrzy po horyzoncie jakby był z innego świata, jakby podniósł się z pola bitwy, lata temu w niej poległy, i jeszcze raz odmaszerowuje swój żołnierski spacer, piętnaście kroków w jedną stronę, piętnaście w drugą.

Obramia to wszystko dookoła smuga drzew, kępy i skupiska drzew, widły i okapy gałęzi i liści drzew, szarych od kory, oliwkowych od liści wysp drzewnych.

A odprawa warty odbywała się o godzinie pierwszej po południu. Ale już o dwunastej zmieniał się „starego” oficera inspekcyjnego i czekało się kiedy na placu zmiany warty pojawi się mały oddziałek i rozmai ci służbowi z poszczególnych oddziałów. Parę minut przed pierwszą zastukał do drzwi mojego pokoju służbowego goniec z siódmej baterii i zameldował, że wszyscy są na miejscu. Kiedy siedziałem tam w płaszczu i wszyscy na mnie pozapinane, to wystarczyło mi tylko włożyć na głowę hełm i poprawić podpinke, ażeby być gotowym.

Ale nie! Kiedy wyszedłem przed drzwi i spojrzałem jeszcze na swoje buty, to przekonałem się że od chodzenia pomiędzy kwaterami zabłocili się, więc zaszedłem za budynek wartowni, gdzie wiedziałem że pod rynną jest kałuża deszczowej wody, i w tej kałuży delikatnie wykąpałem te buty, ażeby zmyć z nich tę trochę błota. Nie można przecież iść na odprawę, kiedy się samemu nie jest w porządku.

Idę w stronę placu gdzie stoi rzadek warty. Plac jest rozległy i w kałużach po deszczu. Od szeregu odrywa się figura nowego dowódcy, robi pół odbrotu i słyszę głos: „Naaa pas ...oń!”, „Na leewo — patrz!”. Zanim do niego dochodzę, stanął już znowu wzdłuż szeregu i recytuje: „Melduję wartę do przeglądu. Skład: Jeden, plus jeden, plus dziewięć. Wartę wystawia bateria siódma...”. Jest to wielki chłop, kapral, nieznany mi zupełnie, jeden z tych co przyszli niedawno. Może ma trzydzieści, może trzydzieści pięć lat. Mówię: „Dać do nogi broń”.

Wspomnienia nakładają mi się jedne na drugie. Bo oto jedziemy trzytonówką na pogrzeb Wełnowskiego w Rennes. Pluton i trumnę załadowałem pod brezentową budę ciężarówki, sam siedzę koło kierowcy. Kierowca nazywał się Smełka, Franciszek Smełka. Mamy między sobą na pieńku, bo wczoraj wieczorem był urażony, ale to w sztok, i jak mnie do niego zawołali, bardzo drażliwa sytuacja, stał przede mną na chwiejących się nogach i miał twarz czerwoną i oczy niewidzące mnie. Albo może widział mnie pomnożonego do czterech. Nieprzyjemne to mieć poczucie, że się jest poczwórnym w czyichś oczach, a do tego pijaniusieńki. Powiedziałem mu wtedy tylko jedno, najspokojniejszym na jaki mogłem się zdobyć głosem, powiedziałem mu, niech Smełka idzie spać.

Kierowca wspiął się na swe siedzenie i nacisnął starter. Na jakimś skrzyżowaniu drogi, kiedy stanęliśmy by przeczekać i motor scichł, doszły nas spod budy trzytonówki jakieś słowa rozmawiających tam kanonierów. Zrozumiałem tylko: „dzwónka” i „żołądz”. Kiedy już dobrze ruszyliśmy, Smełka powiedział do mnie: „Panie poruczniku, cholery grają w karty na trumnie” i zrobił zeza żeby zobaczyć jaki to będzie miało na mnie efekt. Nie jest zgorszony tylko jakby przekorny, jakby chciał mnie złośliwie zjechać, pewny mej bezradności.

A już dobrze nauczyłem się nie przejmować się, wyrobić sobie taki styl ażeby nie być zaskoczonym czymkolwiek, co by się nie zadziało. Najspokojniej sięgnąłem po papierosa, a po namyśle wyciągnąłem paczkę Gaulois Bleu i do kierowcy. Ten, nie odrywając oczu od szosy wprawdzie wybrał papierosa, potem błyskawicznie zapalił zapalniczkę i nie patrząc ku mnie posłużył mi ogniem, lewa ręka cały czas na kierownicy. Kierownica jest „samozwrot-

na”, bo to wspaniała trzytonowa amerykańska „Szewroleta”. I jeszcze pstryk! wyskoczyła popielniczka z plastyku na desce rozdzielczej.

Mam zmartwienie. Było w rozkazie, że mieliśmy zabrać na pogrzeb kapelana. Ale nasz kapelan pułkowy gdzieś od dwu dni zapadł się jak pod ziemię. W dowództwie nie mogłem się doszukać telefonicznie wyższej szarży duchownego *castrensis*. A czasu nie starczyło. Kanonier ze starszego rocznika, mówiący po francusku, który miał być na miejscowym probostwie po księdza tu-tejszego, zameldował mi że *monsieur le curé* wyjechał do kurii. A więc pochówek odbędzie się bez księdza. Trzeba będzie samemu odmówić pacierz za duszę. Brrr! Jak to tam przedrzeźniało się w sztubie? „A światłość wiekuista niechaj mu śwista...”.

Może trzeba było zabrać ze sobą granat, niewypał podniesiony na poligonie, i włożyć go w trumnę u stóp, jak to w czasie pochówków na morzu za dawnych lat, u nóg zwłok zaszytych w płótno żaglowe przywiązywało się armatnią kulę, „... a ciało niechaj spocznie w morzu...”.

Na zakończenie formalności związanych ze zmianą warty oficer inspekcyjny obejmował komendę nad całością. Komenderował baczność, prezentuj broń, chwilę wytrzymywał i wypowiadał sakramentalne: „Służba wartownicza!”. Na to stojący o trzy kroki za oddziałem wartowniczym Cieszyński Palmi podnosił do ust munsztuk i rozlegał się sygnał: Hasło wojska polskiego. Trzebaż było przynajmniej zabrać trębaczę...

Takim był koniec meldunku o nieprzybyciu Wełnowskiego. Koledzy grali na jego trumnie w „belotę”, kapelan się zapodział, o trębaczę zapomniano, kiedy resztki jego powierzano morzu obcości. Jedna Bretania zlitowała się nad nim i niebo nad sobą zaciągnęła kapturem czarnych chmur, *coiffe de grand deuil*.

Zygmunt HAUPT

Jakie jest twoje hobby ?

Dyrektor podszedł do niego po przyjacielsku, „nowe życie”, powiedział, „pierwszy krok, trudne początki”, tytułował go: „panie kolego”. Nie zza biurka z nim mówił, ale zasiedli w fotelach, słońce padało na dywan i grzało im stopy.

— Absolutnie zgadzam się z panem dyrektorem — wtrącał Janusz. Myślał: „facet ćwiczy się na mnie. Inaczej, po cóż ta mowa, nie ode mnie zależy trwałość jego stanowiska, nie załatwiam przeniesień służbowych ani awansów... Ten dobry człowiek raczy mnie wiedzą, która nie jest mi obca, po Ekonomii znam ten język, ton głębokiego przekonania, troska w głosie, aluzyjność podszyta gorzką mądrością, ależ jasne, chciałoby się powiedzieć, wiem, że to umiecie dyrektorze”. Spojrzał po sobie. Za rok będzie nas stać na ubranko! Prązek? Dziś jest to mapa wywabionych plam, gdyby wróciły do życia zajaśniałyby przed dyrektorem jak tęcza. Klapy spuchnięte od łez przyjaciół, rzuconych przez dziewczyny z którymi nie chcieli się żenić, plecy...

— No, ale to wszystko pan kolega pewno już zna?

— W nieco innym ujęciu... Zauważyłem też zagadnienia dla mnie nowe.

Szli korytarzem.

— Z magazynu pobierzecie krzesło, liczydła, ołówki i gumkę. No, wiecie, cały ten bajzel jaki może wam być potrzebny.

— Dziękuję panu dyrektorowi!

Weszli do pokoju z oknem na Poznańską. W rogu poderwał się blondyn w welwetowej marynarce. Zrobił ruch, jak gdyby zamierzał stłamsić rozłożoną gazetę, jednak opanowawszy się zaczął głośno:

— Z tych niezwykle interesujących rozważań można by wnioskować...

— Kolega Jasiński — przedstawił blondyna dyrektora. — Kolega Jasiński pracuje u nas od lat, można powiedzieć, zżył się z instytucją, nigdy najmniejszych zgrzytów, to zdyscyplinowany pracownik, mimo nawału prac nie zawodzi w trudniejszych momentach...

— Co się tu robi? — zagadnął Janusz, gdy pozostali sami. Pamiętał blondyna ze stołówki uczelnianej i z czytelnii.

— Co się tu robi? To zależy.

— Co zależy?

— Co się tu robi. Francuski znasz?

— Nie.

— Angielski?

— Słabo...

— Włoski? Hiszpański?

— Zupełnie.

— Więc będziesz miał czas na nauczanie się tych języków.

Magazyn mieścił się w podziemiu. Janusz zjechał tam windą. Znalazł się w betonowym korytarzu zarzuconym połamanymi meblami, maszynami do pisania bez klawiszy, drzewcami cho-
rągwi. Wszedł do pomieszczenia, którego ściany obstawione były półkami z surowych desek. Leżały na nich libry papieru maszynowego, druki i formularze, różny biurowy sprzęt. Chuda dziewczyna w ciąży wydała mu krzesło, dwa ołówki, liczydła i gumkę. Pokwitował odbiór w trzech miejscach.

— Czy mógłbym jeszcze prosić...

— Niech pan prosi.

— Dziurkacz. Jeśli można...

Magazynierka chwyciła się za skronie, jakby badając czy nie rozpadł jej się kok.

— I od początku całe wypisywanie! Czy pan wie, że to musi być przez kalkę? Wam tam na górze cuda chodzą po głowach a my tu jak dzikie osły! Dla was problem samochód, dla nas buty! Który dziurkacz, większy czy mały?

— Jakiś mały... Albo może wcale...

Ale chuda dziewczyna już wybiegła na korytarz.

— Panno Zosiu! — krzyczała. — Panno Zosiu! Ci z góry, to już przechodzi wszelkie pojęcie! Mają człowieka na wyskoki!

Wymachiwała rękami a pod poddartą spódnicą miotał się dzieciak.

— Panno Zosiu, ci z góry...

Janusz porwał swoje krzesło i uchodził z nim. Nie czekał na windę, biegł schodami.

— Cham rąbany — usłyszał za sobą. — Nie powie do wi-
dzenia.

— Wprowadź mnie nieco w tutejsze stosunki — zachęcił Jasińskiego. — Kto tu z kim trzyma, jakie są ogólne układy?

— Zasadniczy podział to my i oni. My, pracownicy koncepcyjni, dyplomy, premie, białe koszule i to nie *non-iron*, nas stać na prачkę, oni, administracja, w ogóle biuro, ofiary każdego ustroju, biedni ludzie którym powinniśmy współczuć, zdarza mi się, godzinami boleję nad ich losem... Nam cyfra przeleci przez głowę, wydaje nam się zgrabna, zapiszemy. Oni przeliczają ją na wskaźniki miesięczne i kwartalne, wzrost procentowy oraz w cyfrach absolutnych, przy czym mowy nie ma o najmniejszej pomyłce, wszystko tam gra do dziesiątej promila, i tylko nie daj Bóg przy kolacjonowaniu odchyłka! Wtedy światła nocami na całych kondygnacjach, setki godzin ponadliczbowych, ołówki trzaskają im w palcach, z pokoiów dym i nikotyny kaszel, czasem świst od ciężkiego robienia oskrzelami. A potem ty przychodzisz: cóż to ja powiedziałem... Wzrost o stopięćdziesiąt? Musimy to zmienić panowie... Wiecie, taka sytuacja... Dyrektor. Znasz. Widziałeś... Prowadzono na niego ataki w oparciu o materiał dowodowy, wyglądało to na przemysłaną akcję... I nagle poszły cynki, podobno z góry, kilka światlejszych osób natychmiast odmieniło front, wtedy i inni pojęli, że angażują się bez rozpoznania powiązań i tylko głupale pozostali z rozwartymi dziobami, w niewygodnych nieomal karkołomnych pozycjach, siedząc na gzymsach albo wisząc na szelkach u żyrandola. Przyszła komisja z Ministerstwa, poodczepiali ich litościwie, pochwalili za intencje i opieprzyli za niedopełnianie różnych służbowych obowiązków. W sumie potraktowali ich łagodnie, podobno sam dyrektor się wstał nie chcąc przysparzać sobie wrogów, na których i tak mu nie zbywa...

Potem Jasiński omówił dział po dziale, departament po departamencie. Szczegółowo przerobił osoby szefów wraz z motywacją ich mianowań lub utrzymywania się jeszcze na stanowiskach. Zakończył na księgowości.

— Tam nie ma żadnej kliki. Istne piekło, każdy przeciwko każdemu. Patrzysz na człowieka i widzisz miejsce po nim. Nie śmierci mu życzysz ale klęski, nie wypadku ale wyparowania.

— Dla mnie to jakby nowa gałąź wiedzy... Tyle tu faktów, nazwisk i hipotez...

— Nie mogą to być błahostki — chętnie zgodził się Jasiński. — Skoro poważni specjaliści z różnych dziedzin poświęcają im połowę swego czasu pracy.

— Nawet patrzenie na zegarek już mnie męczy — skonstatował po tygodniu. Kładł przed sobą arkusz pokratkowanego papieru, od góry wypisywał cyfry, najchętniej czwórki, dużo czwórek,

gdy ktoś wchodził, sześćdziesiąt osiem, mówił, siedemdziesiąt dwa, siedemdziesiąt sześć, jestem do waszej dyspozycji kolego? Aby zupełnie nie opaść z sił rozpoczął kurację multiwitaminową. Potem znajomy farmaceuta doradził mu witaminę C, podobno działającą radykalniej. Wymachując torebką, z uśmiechem na pulchnej twarzy ów farmaceuta podkreślał: „Jak gdyby to było kilo cytryn. Tylko gorzej przyswajalne przez organizm. Magister też musi żyć” — zakończył.

Teraz w biurze w momentach krańcowego wyczerpania Janusz sypał sobie te pastylki na dłoń i wrzucał do gardła. Któregoś dnia udał się na zbadanie krwi. Morfologia prawidłowa, obe dwa cztery, czyli nie może być lepiej. Prześwietlać się nie było sensu, zrobił to przed przyjęciem go do pracy.

— Dobry pracownik ma zajęcie — dogryzał mu kiedyś Jasiński. Widząc gasnące oczy kolegi, dodał:

— Papier masz?

— Pobrałem libkę czerpanego.

— Rysuj, bracie, nagie kobiety.

Rozłożył przed sobą arkusz. Od góry do dołu przeciągnął faliste linie. Dodał małe łuki zakrzywione do góry i kreseczki zakończone trójkąciem. Uzyskał w ten sposób kolumnę nagich kobiet stojących jedna drugiej na głowie. Zappełnił nimi resztę strony. Po godzinie odrzucił długopis.

— Nie — wykrzyknął. — Rozdrażniam się tylko.

Wtedy Jasiński zbliżył się z dużego formatu brulionem.

— Coś o selektywnym planowaniu?

— Lepiej! Stacja przetokowa w połączeniu z nieprzerwanym ruchem dalekobieżnym!

Otworzył brulion, Janusz ujrzał płataninę kresek, gdzieś wydłużony prostokąt. Głos Jasińskiego zdradzał emocję:

— Składy przychodzą z trzech kierunków, przerzucam je bezkolizyjnie. Tu jest górką przetokowa, te prostokąty to perony. Jak widzisz, udało mi się odseparować ruch towarowy od pasażerskiego, a nawet, co uważam za osiągnięcie, pośpieszny od pasażerskiego przyspieszonego. Oto parowozownia ze stacją pomp, elektrowozownia, transformatorownia, ogródki działkowe i domki dla pracowników. Na czoło wysuwa się problem nastawni... Istnieją różne szkoły, ja umieściłem nastawnię w centrum węzła. Ale nie będzie błędem...

— Z ciebie widzę prawdziwy kolejarz...

Jasiński uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Po prostu wydaje mi się to niegłupie.

Uporczywie dzwonił telefon, nie wiadomo było który z pięciu.

W bocznych drzwiach ukazał się jakiś mały człowiek w długiej marynarce. Zawołał z rozpaczą:

— Gdzie jest moje miasto!

— Ci z Ministerstwa... — mówił Janusz. — O wszystko trzeba ich wybłagać... Doniosła sprawa, tym razem powinna przejść... Trzeba ich zmęczyć, zakrzyczeć, truć im apetyt kiedy jedzą, przylążyć kiedy piją kawę. Żeby białą mgłą zachodziły im oczy, żeby marzyli o żyletce, żądza mordu żeby ich dusiła... — Wazył w rękę aktówkę wypełnioną papierami. — Dobrze jest też udawać wariata. Chwyta się krzesło...

Urzędniczka skrzywiła wargę.

— Jeżeli to dla mnie, to znam tę pieśń...

Dziewczyna z wyżu demograficznego, rosła blondyna, pod opiętą spódnicą rysowały się gumowe podwiązki.

— Biletami nie pogardzimy? — spytała. — Te szarpane bloczki, zawsze ich nie ma! Pani Kaziu, nie widziała ich pani, kochana?

Pani Kazimiera, kobieta lat około pięćdziesięciu i poważny pracownik, podniosła głowę z niepokojem.

— Oczywiście w dolnej szufladzie — ciągnęło dziewczę zbierając bloczki z podłogi. — Chyba garbu dostanę od ciągłego schylania się... Godziny idiotyczne, głupie wymagania, człowiek się czuje jak zapuszkowany!

Janusz zaśmiał się porozumiewawczo.

— Miły rechat pan wydał. To oznaka radości? Więc... Żeby nie przeciągać sprawy... Dwa tramwajowe, jeden autobusowy. Tu się pobiera, tam się kwituje.

Podrzucał swoją teczkę z papierami.

— Powinno zadziałać.

Siedział w kawiarni i jak to nazywał, obserwował życie. Dzieśiąta, dobra pora, o miejsce łatwo, dopiero około jedenastej schodzili się urzędnicy z pobliskich instytucji, studentki, waluciarze, ludzie interesu. Dziewczyny opowiadały sobie historie których nie mógł dosłyszeć, ludzie interesu mówili głośno o rzeczach obojętnych. Janusz pił długo swoją kawę, aż reszta na dnie szklanki tężała w czarną masę. Wtedy zwykle prosił o Fruktovit.

Około południa zachodziła tam dziewczyna, znana pod imieniem Jagoda. Nawet bez specjalnej myśli kiedyś zagadał do niej. Chętnie zmieniła stolik, zamówił dla niej herbatę. Od razu zapytała go jak mieszka, a potem opowiadała o sobie.

— Dom stary — mówiła — kamienica, mieszkanka nora, w korytarzu gdańskie szafy, nie ma dnia, żeby ktoś sobie o nie głowy nie rozbil. Ze względu na rozkład gnieźdzą się tam dwie rodziny. Jedni wielcy państwo i tony pod sufit, drudzy niejacy Ziółkowsy.

To właśnie oni odnajdują mi pokój, oboje bardzo porządni, on inkasent gazowni cały dzień poza domem, Ziółkowska pracuje na pocztce. Z tymi pierwszymi niesnaski, darcie kotów i obrzucanie fładrami, ale ja trzymam się od tego z daleka.

— Tak najlepiej — przyświadczył.

— Ziółkowsy — ciągnęła — mają syna Julka. Bardzo zdolny do matematyki i w ogóle do przedmiotów ścisłych, ma życiowy plan zbierania sobie na skuter. Tymczasem onanizuje się na moją cześć... Stara Ziółkowska zakleła mnie najświętszymi słowami, błagam paniom, pani Jagodo, powiedziała, niech szczeniak najpierw zda maturę i dostanie się na jakąś uczelnię...

Zadnego rozmamiania, to u niej cenik najbardziej. Zawsze jak gdyby z wody, nigdy lepka lub choćby nieświeża, swobodnie mogła zadysponować sobą, tam gdzie inna bakałaby o braku przygotowania. W jej łazience, na półce z zielonego szkła, widział mydło PALMOLIVE, KREM JABŁKOWY DO RĄK, PUDER DO WSZYSTKICH CER... Włosy wybłyszczone od pracowitego szcztokowania upinała niesłychanie misternie. Opowiadała: pewien cham zapytał mnie kiedyś na co je biorę, na cukier, piwo, czy na białko? Dostałam wtedy nerwowego chichotu, rzecz jasna, cham nie jest już dopuszczany do towarzystwa i co najwyżej gwarzy z kucharkami... Słoma, mówiła, ordynarny kolor. Jednak kilka pasm rozjaśnionych dobrze robi do oczu. Koleżanka, architekt, wróciła niedawno z Paryża, powiada, tam to się nazywa, jakoś specjalnie się nazywa... Niech sobie przypomnę...

— Nie męcz się dziecko — uspakała ją. — I na cóż ci ta wiadomość?

Pewnego dnia przyniósł dwie czekolady eksportowe. Ten nały dopływ kalorii, ją, spokojną i myślącą, przemienił zupełnie. Tylko poddawał się jej i wykonywał co mówiła.

Łamała ostatnie literki, patrzył w jej brzuch, powtarzał:

— Ty jesteś cudowna kobieta...

Wtedy zaproponowała aby wyszli na miasto, kupili gazetę, zobaczyli co w kinach.

— Ubiore się ładnie...

— Botki i toczek w jednym szarym kolorze bardzo ładną stanowią oprawę — chwalił. — Nie ma czwartej? Musimy chwilę przeczekać... Nie mówiłem ci, tu za rogiem jest moje biuro... Powinienem tkwić tam kamykiem, żeby wypaść trzeba mieć powód. Zobaczą nas idących, nieprzyjemna historia... Wprawdzie personalnego znam, jąka się ale uśmiecha, jednak zmuszony, może dostać jakiegoś napadu. Wiesz, ostatnio te zaostrenia... Nie należy pchać się za ofiarę...

Zdjęła toczek i miotnęła nim pod ścianę. Opadła na krzesło, nogą o nogę ściągała botki. Nucił zasłyszana piosenkę.

— Pracuje taki! — wykrzyknęła. — A zdawałoby się... Pracuje! Biuro!

Na jego widok Jasiński wznosił ręce jak de Gaulle.

— Faceci z departamentu statystyki przechwalają się ciekawym osiągnięciem!

— Wymyślili coś?

— Rozwiązali problem sześciu punktów! Żeby wyjaśnić ci to przystępnie... Rysujemy trzy pary punktów, jeden naprzeciwko drugiego. Potem próbujemy połączyć każdy z każdym, ale tak, aby żadne dwie linie nie przecinały się... Wierz mi, straciłem nad tym tygodnie... Żona pytała: „Czemuś ty taki zamyślony? Co wy tam za mózgowki odprawiacie w tym waszym Zarządzie? Czy za to co ci płacą warto tak się zamećzać?”. Nie radzę ci próbować, pojęcia nie masz jak to wciąga... Zamiast angielskich słówek będziesz rysował kreski...

— Ci ze statystyki... Czy naprawdę znają rozwiązanie? Jasiński zasępił się.

— Mogą to być czcze przechwałki. Powiadają, mamy rozwiązanie, ale możemy je tylko odsprzedać. Lansują hasło: nic darmo. Nie dostaniesz od nich kostki cukru ani połówki papierosa. Ohyda.

Złożył papiery. Sprawdził zamknięcie szuflady.

— Dosić próżnowania. Czwarta.

Spojrzał na Janusza rysującego faliste linie. Wrócił się od drzwi. Aby nie siedzieć nad pustym biurkiem rozrucił kilka kartek.

— Spójrz na mnie — powiedział. — Jak wiesz, interesuję się kolejnictwem. Oprócz tego brydż. Dziś właśnie idziemy na roberka, zajdziemy po kolacji żeby nie robić kłopotu, ale przewidziana jest kawa, lekkie przekąski z rokforem, po kieliszku czegoś dobrego... A ty? Masz dwadzieścia pięć lat... Może rośliny? Może znaczki? Ja wiem, dużo uczyłeś się, umysł masz wygimnastykowany, kupa wiadomości, dziesiątki różnych teorii studiowałeś, a nawet dopracowałeś się i własnej... Nic rewolucyjnego, ale w ciekawym nowym ujęciu, najmniej co dałoby się powiedzieć, propozycja. Więc... może coś z kory? Nie twierdząc okręci, choć kto wie, kto wie, może to by cię właśnie pochłonięło? Siedzisz sobie, strugasza, a tu godziny płyną, coraz bliżej do emerytury...

— Brydżowe powiedzonka znasz?

— Figur na figur powiedział święty Igór, nie wychodź ba- wole w to co widzisz na stole, trefelki kolorek niewielki...?

— A dlaczego lordowie angielscy chodzą po Londynie bez butów?

— Niesłychane! Stary! Zadziwiasz mnie!

— Bo nie atutowali.

W godzinę później sprzątaczką otworzyła drzwi, chlasnęła o podłogę mokrą ścierką. W pokoju panował mrok, Janusz wciąż siedział przy swoim stole.

— Może rośliny? Może znaczki? Kolejnictwo?

— Oczy pan sobie wypatrzy! — zaśmiała się.

Nacisnęła włącznik i zrobiło się przeraźliwie jasno.

Jan WARSKI

BEST-SELLER W ROKU 1959 I NIE NAGRODZONA
„ATLANTYDA” ROKU 1960

Michał K. Pawlikowski

DZIECIŃSTWO I MŁODOŚĆ TADEUSZA IRTEŃSKIEGO

„Przychodzi mi do głowy porównanie z *Pamiętkami Soplicy* Henryka Rzewuskiego, tj. z jedyną wspaniałą pracą Rzewuskiego. Od razu wskazuje to na wysoką rangę gawędy Pawlikowskiego”.

Stanisław Mackiewicz

Pozostałe egzemplarze do nabycia u autora:

2128 STUART STREET
BERKELEY, CALIFORNIA 94705, USA.

Cena za egzemplarz z przesyłką oraz poprawkami
i dedykacją autora: 5,00 dolarów.

Jasio z archipelagu

Pani Idzie Marko

Jasio może godzinami mówić o ptakach. Spotykamy się w Melbourne raz na dwa-trzy lata, kiedy przyjeżdża nałykać się wielkiego miasta, wtedy gada jak najęty, jednak po kilku dniach stopniowo milknie i tęskno mu z powrotem do jego domku na Clarke Island i do jego wielomiesięcznego koczowania pod gołym niebem na Kociej Wyspie; są takie maleństwa w archipelagu Furneaux pomiędzy północną Tasmanią a kontynentem australijskim. Na odjazdne zwykle mówi:

— No, dziękuję ci, stary, fajno było w twej dwu i półmilionowej *sołomce*, czyli w Melbourne, ale z przyjemnością wracam do swej samotności i ptaków. Tu za dużo ludzi, za dużo ruchu i smrodu, za dużo wrzawy i pośpiechu, a za mało powietrza i przestrzeni. Wolę swoją chałupkę koło Cooperów na Clarke Island i pracę w naszym rezerwacie. Bo teraz na tutejszą zimę, czyli od końca kwietnia do połowy września, po odlocie mej głównej miłości, petreli, mam robotę z innymi ptakami. Co za bogactwo tam ptactwa: bekasy, dzikie kaczki, albatrosy, nurce, gapie, czy *gannets*, o których nawet jeszcze dokładnie nie wiadomo czy są to gęsi czy kaczki, no, jednym słowem ruch w interesie. Jak ty możesz wytrzymać w tym twoim Melbourne? Dwa i pół miliona luda, zwariować można...

Mówi to mi i teraz. Odpowiadam:

— No, do tej cyfry brakuje jeszcze niecałe dwieście tysięcy, nie przesadzaj.

— Co też pleciesz? — śmieje się Jasio, jeszcze gadatliwy, choć już za półtorej godziny pójdzie na prom jadący do Tasmanii, znowu jeden pobyt w mieście dobiega końca. — Jak przyjadę następnym razem, to już tego robactwa się napłęgnie, zobaczysz...

Jasio może godzinami mówić o ptakach. Od lat osiadł w rezer-

wacie i doktorowi Jonesowi, stypendyście *CSIRO* i *Tasmanian Fauna Board*, pomaga w obserwowaniu i badaniu petreli, oraz innych ptaków. Do niedawna jeszcze nie wiadano, że petrele łapane w Japonii i na Alasce są z archipelagu Furneaux, myśłano, że są to dwa różne rodzaje, a tymczasem tu jest ich dom, stąd pochodzą i tu się mnożą. Na kilku innych różnej wielkości wyspach archipelagu wolno nielicznym mieszkańcom łowić ptaki na handel, albowiem są owe petrele dla wielu przysmakami. Wolno je łapać tylko młodziutki, jeszcze niezdolne do płodzenia, aby starszym dać szansę rozmnożenia i wyhodowania nowych pokoleń. Lecz na kilku wyspach stanowiących rezerwat ptakołówstwo jest zabronione. Smakiem mięso petreli jest zbliżone do baraniny, stąd ich nazwa *mutton-birds*, lub jak je Jasio nazywa, „latające baranki w pełnię księżyca szurnięte”. Za to młodziutki w smaku przypominają trochę młodego kurczaka, a trochę dobrą rybę, tyle tylko, że ma to ostry zapach morza i ryb i zalatuje tranem. Kiedy lokalni rybacy, czy ptasznicy schwycą ptaki z pierścieniami nałożonymi przez doktora i Jasia, muszą oddać metalowe pasemka na policji w Lady Baron. Próbowano już aluminium i miedzi, ale słona woda morska wyżerała je, a uderzanie o nadmorskie skały przy lądowaniu, albo kopanie sobie nor niszczyły metal owych pierścieni umieszczanych na nogach ptaków i dopiero nowy metal *monel* zdał egzamin bez zarzutu. Oczywiście te wszystkie szczegóły znam z długich monologów Jasia. Albo te, że niektóre pary co roku poprzez dziesięć lat wracają do swych gniazd na Kociej Wyspie, lub że petrele są na lądzie niezdarne i z trudem chodzą, za to gdy tylko wydrapią się na skałę, czy urwisko i załapią pod olbrzymie skrzydła wiatr, szybują w górę majestatycznie i lecą najpiękniej z wszystkich ptaków. Operują wyłącznie w nocy.

— Cholernie ciekawe, ba, nawet pasjonujące są te nasze ptaszki. Ty wiesz, że one lecą sobie stąd taką ósemką, pętlą — rysował ją palcem po stole w Sandridge Hotel, bo Sandridge to dawna nazwa Port Melbourne, przy czym rozmazywał piwo w kształt obrzeży Pacyfiku — widzisz, tu jest Japonia, wzdłuż Azji na Północ, do cieśniny Beringa, gdzie lecą na swe wakacje w czerwcu i lipcu, a potem Alaska, Kanada, Północna Ameryka, czyli Stany, a potem w sierpniu-wrześniu ptaszki fruną sobie przez wielki Pacyfik, mądrze wykorzystując prądy powietrzne, aż do wybrzeży Nowej Południowej Walii, tam są w tym czasie wielkie wichry i burze, przez które ciężko im się jest przedrzeć, toteż wiele z nich tam ginie z głodu i z wycieńczenia. Ostatnio dopiero odkryliśmy związek pomiędzy brakiem na wodach Nowej Południowej Walii niebieskiego tuńczyka w owych miesiącach: to jest ich przysmak, kapujesz? Pomyśl, ile to jeszcze ciekawych zagadek będzie można wysłedzić, no nie? Kocham te ptaki — śmiał

się radośnie. — Mam ciekawą robotę. A potem — łyknął piwa — przerwawszy się przez te zapory wichrów, ptaszki smykają sobie do nas, na archipelag, we wrześniu lub z początkiem października, odpoczywają sobie, odnawiają swe gniazda, albo budują nowe, potem gdzieś znikają i nagle jak z kalendarzem w ręku w ostatniej kwadrze księżyca w listopadzie zlatują chmarami, by składać jajka, po jednym tylko, wiesz? Odlot z podhodowaną gówniażerą następuje z końcem marca, leci to w świat ku Nowej Zelandii wprzód, w swoją ósemkę, zwarte jak tkanina kilimu, a przecież się w locie nie zderzają. Wtedy jest na nie sezon i ludziska je łapią. Pomyśl, ile czasu zajęło nam sprawdzenie tego, co tutejsi ludzie opowiadali, iż dwuletnie i trzyletnie ptaki tu nie wracają, gdzie się podziewają nie wiemy, wracają dopiero tu gdy podrosną, do domu rodziców, heca, nie?

Łyknął piwa, odsapnął i dalej mówił:

— One są fantastyczne, fiu-fiu — gwizdał — rozpiętość skrzydeł na trzy i pół stopy, ponad metr, a waga półtora do dwóch funtów. Och, jak śmiesznie te niezgrabne płaczą się po lądzie, pchają się pod górę na wydmy, czy skały, zlatują, znów się pchają, a stamtąd gdy złapią wiatr, to płyną jak Boeingi, mówię ci. To ich badanie, obserwowanie, notowanie, a najwięcej podglądanie ich zwyczajów mnie fascynuje, ciągle te same pary przylatują razem na składanie jaj i odnajdują swe nory, taki ptak potrafi przelecieć po 300 mil tam i 300 mil z powrotem tylko po żywność dla małych, heca, cudo, ale pomimo ich wierności i stałości zdarza się, że taki samiec przyleci nagle jednego roku z inną samicą, takie sobie skoki na boki, zupełnie jak ludzie. No, napijmy się. Ale idą do *jego* nory.

— Zupełnie jak ludzie — powtórzyłem. — A o rodzinie ciągle nie masz wiadomości?

Skrzywił się, jak gdyby nie było o czym mówić, ale poszarzał i zamilkł.

Jasia poznałem na King Island kiedy jeździłem po Australii i pisałem słabe reportaże do tutejszej prasy polskiej z życia polskich ośrodków. Zawsze zresztą szukałem Polaków na niezwykłych stanowiskach czy miejscach, w dziurach i zahumeniach a nie miejskiej emigracji, to nieciekawe, co było pretekstem do poznawania nowych i urzekających krajobrazów tego najmniejszego kontynentu i największej i najsuchszej wyspy świata. Polacy jeżdżą stąd do Polski, czy naokoło świata, a sam ten kraj mało kto z nas zna. Zakochałem się w krajobrazach Australii, w ogóle pokochałem ten kraj, a nawet ludzi. Bo z czasów pionierskich i zesłańczych, w walce z klimatem i losem, odziedziczyli po pierwszych awanturnikach i więźniach koleżeńskość, o ile to tak można w skrócie ująć.

Jasio ma teraz już dobrze po pięćdziesiątce, ale życie na wolnym powietrzu z dala od cywilizacji trzyma go w formie i wygląda młodziej. Przedtem tłukł się na jakimś angielskim tankowcu, a gdy przyjechał do Australii, wziął robotę na małym *trader'ze* „Shearwater”, kursującym pomiędzy Tasmanią a Melbourne. Ale wtedy jeszcze nie znaliśmy się, choć może czasem gdzieś spotykaliśmy się przed kościołem, na meczach Polonii, czy w Domu Polskim. Jasio czytał jakieś moje rzeczy, więc nawet odnosił się jak gdyby z pewną rewerencją i brał mnie bardziej na serio niż należy, toteż podczas pierwszej zdrowej popijawy na King Island, kiedy czekałem na starą frachtową DC 3, zabierającą również pasażerów, wypiliśmy bruderszafta. I wtedy opowiedział mi swe dzieje. Były bardzo proste i typowe: Węgry, Brygada Karpacka, Homs, Tobruk, szpital, Monte Cassino, PKPR, tankowiec i Australia. Żonę ze Złoczowa wywieźli z półtorarocznym synkiem do Kazachstanu, za to, że on jako świeżo upieczony podchorąży rezerwy zgłosił się do straży więziennej. Wspominał naczelnika więzienia w Złoczowie Klimeckiego, fajny był chłop, mówił, a gdy dowiedział się, że z Wojtkiem Klimeckim chodziłem razem przez jakiś czas do gimnazjum, łączyło nas jakby coś więcej. Nie mógł tylko odzalaować, że się w Korpusie z Wojtkiem nie spotkał, bo nie wiedział o nim. „No, cóż? Korpus był duży. Kto to mógł przypuszczać?”

Sprawa żony Ireny i synka Andrzeja — nazywał się jak ty, kiwał za każdym razem głową, gdy się spotykaliśmy co jakiś czas, zbieżność imion ciągle go uderzała na nowo — była jego bolesną zadrą. Od lat ich szukał, czepiał się każdej nadziei, każdej instytucji, każdej wzmianki o Złoczowie czy o Polakach z Rosji.

— Nie, nie mam żadnej wiadomości. Co ja się napisałem, Boże mój drogi i nic. Może tam zmarli, może zostali, może ona wyszła za innego, może ona umarła, a jego przygarnęli obcy, pytałem o niego wśród naszych w Nowej Zelandii, bo tam sporo polskich sierot po Rosji wzięto na wychowanie, może mój Jędrek ma już dziś ponad trzydzistkę i jestem dziadkiem, może on zginął, a ona się gdzie tuła. Nic — rozłożył ręce i popatrzył na mnie swymi siwymi oczyma, a potem popatrzył w okno. Te swe wątpliwości i starania o odnalezienie rodziny przez gazy i Czerwony Krzyż opowiadał mi nieraz, powtarzał je niemal słowo w słowo, udręka już go nauczyła ich na pamięć. Patrząc dalej w okno ciągnął tym samym obolałym głosem. — Ale gdyby żyli, to by pewnie i mnie szukali, no nie? A nawet gdyby ona wyszła za innego, to by szukała, by napisać po paczki, paczki w Polsce to mecyje. Trzydzieści jeden lat, wiesz co to znaczy, siroto? Ileż to jest dni i, co gorzej, nocy? Może sobie obliczymy? — skrzywił się gorzko.

Od zatoki nadleciały mowy, krzyczały rozdzierająco, smutne były te ich piski, zabieliło się od mew wszędzie, na wybrzeżu, na brzegach Yarry u jej ujścia, wyglądały jak przybrudzony śnieg gdy siedziały, a jak pierze lub śnieżycy gdy się kłębiły w powietrzu. Drgały jak źle nastawiony telewizor, Uciekały na łód przed burzą, jaka z daleka nadchodziła. Dalekie brzegi zatoki z przedmieściami i domami migały poprzez tę zasłonę ptaków, nagle cały krajobraz wypełniła lśniąca srebrość jak na nieczystym ekranie w kinie, za ową srebrnością w południowej godzinie zniknęła zatoka, przedmieścia, kościoły, magazyny, brzegi, drapacz chmur, nawet pulsujące morze u ujścia rzeki, była dziwna chwila owej nieprzeniknionej srebrości i ciszy, mowy przycupnęły, na zatoce u kręgu horyzontu siedział jakiś *containership* i rozplątywał się w ciemniejszej przestrzeni jak widmo, świat zawlekał się teraz szarością, chmury były ciemniejsze niż ziemia i w tej chwili spadł deszcz. Na rzece, jak na gotującej się wodzie w rondlu, bulgotały kropki deszczu, spadały w wodę, odbijały się do góry i znów wolniej spadały, rozplątywając się w wodzie pod nowym bulgotaniem i nowymi kroplami. Zrobiło się ciemno, morze zawarło się w krótkim horyzoncie, deszcz sprawił, iż zatoka *Port Phillip Bay* wyglądała jak gdyby parowała. *Ferry* z *Williamstown* buczała i dzwoniła, *containership* siedzący na zatoce podudniał syreną, nastała ulewa. Obserwowaliśmy obaj to zjawisko jak urzeczeni, gdy wreszcie deszcz rozlał się na dobre i niezwykle piękno sprzed kilku minut znikło a nastała zwyczajna zimowa szarość, wróciliśmy do przerwanej rozmowy. Jasio znowu mówił o ptakach.

— Co to jest, cholera, z tymi ptakami? — powiedział patrząc na mnie, choć byłem pewien, że mnie nie dostrzega, tyle tylko, że wejrzał na mnie intensywniej kiedy zerknąłem na zegarek, zaś nie widząc w mych oczach popłochu, że późno, z miejsca się uspokoił. — Lecą na wyraj, czy jak to się po polsku mówi, taka ich migracja, wracają, instynkt, mocniejszy od sił przyrody, giną po drodze, łapanie, bite burzami i szkwałami, niektóre gdzieś po drodze zostają małymi grupkami, ale wracają do tych swych gniazd na naszych wysepkach, odnajdują nieomylnie swe nory, w tym roku dostaliśmy pierścienie wystlane z Anchorage na Alasce, mogę te ptaki obserwować godzinami, nie nudzi mnie to. Widać jak one chodzą po wodzie? Doktor Jones się śmieje, że jak święty Piotr chodzą, jak gdyby zanurzone trochę, że niby jak Piotr, skąd nazwa, utraciły swą wiarę, nie pamiętam tego z Biblii, ale doktor się w niej rozczytuje. To też lepszy maniak, swe życie oddał petreloom, wiesz, mamy poduszki z ich brunatnego pierza, to lepsze niż gęsi puch, u nas na archipelagu to popularne, maniak Jones, żona go puściła z jakimś pilotem Qantasa,

oni dziś zarabiają jak cholera, ani przewlekłe studia, ani stopień niebezpieczeństwa w pracy nie usprawiedliwiają wysokości ich gaż, świat się przewraca do góry nogami, mówię ci, więc Jones zaszył się na tym odludziu, gdzie cywilizacji nie ma, wśród potomków dawnych łowców fok, piratów i dezertów ze statków, co podrywali czarne dziewczyny z Tasmanii, zanim biali nie wykończyli tamtejszych *aborigines*. Dziś na tym archipelagu pośród kipiących topieli i zdrańców wód cieśniny Bassa panuje dziewiętnasty wiek, prymityw, a ludzie, mieszkanka dawnej rasy, są inni, cisi, małomówni, pełni godności, jaką daje poczucie odrębności i minionej wyższości. My wszyscy jesteśmy dla nich przybłędami, na *mainlandzie* Australijczycy są gadatliwi, tu żaden za Boga pierwszy się do obcego nie odezwie. Nawet szkielety swych dawnych przodków, pełnokrwistych aborydżynów tasmańskich, wykopali i ukryli, groby te są dziś puste, ukryli gdzieś na wrzosowiskach i trudno dostępnych uskokach, aby biali kości nie zabrali do muzeów po Londynach i Paryżach, bo zjawiały się tu ekspedycje i kusiły ciężką forszą, byle tylko owe szkielety zdobyć. Może dlatego ja tak lubię ten prymityw, to powietrze, tę godność i powolność tych ludzi, przypomina mi w jakiś sposób Polskę, pochodzę z Polesia. Gdy tam czasem do nas przyleci helikopter to bym go połamiał i rozerwał w drebiezgi. A jednak jak one ciągle wracają do domu, te ptaki, co je do domu ciągnie, jak rozumiem, że to dom? Czy one myślą o nim? Czy ptaki mogą tęsknić?

Milczałem. Moją rolą było dać mu się wygadać, katalizator, cholera, zżymałem się nie wiadomo na kogo, bo Jasio lubił. Szkoda, że Jasio nie pisze, mogłaby z tych jego obserwacji powstać pasjonująca książka. Jak on jednak tam żyje? Pichci coś dla siebie i doktora, czy to w domku im oddanym koło Cooperów, czy na biwakach na Kociej Wyspie, na Kangurzej, Fisher, albo na innych, pod gołym niebem, spędzają tam tygodnie, brodząc w ostrej trawie wśród nieraz dwumetrowych węży, raz, opowiadał, zabili ich trzydzieści jeden w ciągu dnia, otwierał konserwy, gotował *billy* herbatę albo kawę, robili zdjęcia, nagrywali na taśmy piski, jęki, świergolenie, szczyrtpaczenie, pitupitulenie ptaków, ich okrzyki miłosne, bojowe, rozpacz, radości, robili szkice, spisywali dane, szperali po norach, oprowadzani otępiałym wzrokiem oswojonych z nimi ptaków, jakież te mowy mają głupie oczy w tych swoich obwódkach, jakby je kto namalował, choć sama żrenica ich jest bardzo ruchliwa, zaś wzrok podejrzliwy i bezczelny zarazem. Doktor Jones to niezdarne intelektualista, więc Jasio ceruje mu dziury, portki, czasem grają w karty, czytają w swym domku, kiedy nie ma roboty, bo książek nazbierali dużo i ciągle kupują, gaża leci do banku, dostawy żywności dochodzą regularnie, czasem policyjna motorówka „Aralla” dowiezie to i owo nadprogra-

mowo, słuchają płyt, mają radio i radiogram na baterie, telewizji nie chcą, Jasio robi ciągle dobrą kawę, gdyż to jego jedyny luksus w życiu, nauczył pić kawę i Jonesa, który dotychczas uznawał tylko herbatę, tak żyją. Jones dostał kilka razy listy od swej żony, spalił je nie czytając ich nawet, a raz, gdy koperta była zaadresowana dla niepoznaki innym pismem, też go spalił, acz dopiero po chwili wahania, gdy zerknął, że w środku jest pismo żony. Tak, ci handlarze drzewem, jarzynami i owocami, to jedyna ich przyjemność i przez długie tygodnie jedyny kontakt ze światem. Są jednakże szczęśliwi i nie chcą innego życia, tak przynajmniej obaj stale twierdzą. Na zimę gdy morze się piekli i gotuje, wracają do Cooperów. Wtedy należy opracowywać i segregować materiały i obserwacje, zresztą są tu i inne ptaki. Nie nudzi im się, ba, mają za mało czasu. Kiedyś Jasio powiedział tak: Ptakowie, bracia moi, one cwańsze są od nas, ale w niektórych sprawach właśnie bezbronne i zdane na ludzi, one nieraz są jak dzieci, jak młodsze rodzeństwo. Czym byłby świat bez ptaków?

— Wiesz? — odwrócił się bokiem do okna Jasio. — Tak samo jak do ciebie zajeżdżam czasem do jednych Polusów w Launceston, tam jest mój przyjaciel z Brygady, artylerzysta K., jakiś były starosta, dorobił się tu na parcelacji ziemi, którą w przewidywaniu rozwoju miasta kupił tanio bo w pobliżu miejskiego śmietniska, czy nawet same śmietnisko, a które potem zasypano, no ale to nieważne. Ten ma znajomych przemiłych ludzi, facet inżynier, pobrali się jeszcze w Polsce, ona z matką były wywiezione z Sambora do Rosji, przeżyli tam dwa koszmarnie lata, starszeczka zmarł tam mąż na tajgach. Później przez Ugandę zjechali tu, mają dwóch synów, wykształcili ich, no cóż, lata leca. Babcia Patynowa, bo tak ją nazywają, ma dziś dziewięćdziesiąt dwa lata, przez wojnę był to okaz siły i energii, uporu i zaciętości, to ona ich wszystkich trzymała w kupie, besztowała i zmuszała do przetrwania i niezafamania się, wrócimy na naszą Drohobycką ulicę, tuż koło mostu na Dniestrze, ja wam to mówię, zobaczycie. Jeszcze parę lat temu grzała wodę jak strażak, a i teraz nieraz sobie golnie, zjeść też lubiła i humor miała, była niespożyta, przekomarzała się ze mną i wtrajała zimne nogi, czyli po naszymu studzieninę. Była niespożyta, była symbolem. Ale powoli ostatnio rzeczywistość zaczęła jej się kłębić z przeszłością, Sambor mieszać z Launceston, z Kazachstanem i z obozem w Ugandzie, dostrzegała tu enkawudzystów śledzących ją i czających się na nią. Już córka z zięciem, sami przecież starszawii, nie mogli puszczać jej samej do kościoła na polską mszę, bo się kilka razy zgubiła, już trzeba było pilnować jej w domu, byłem u nich kilka miesięcy temu, było to i patetyczne i przerażające: staruszka, babcia Patynowa, już robi pod siebie, już bredzi, już plecie, bo wymieszały się

jej wszystkie czasy, nawet austriackie przed pierwszą wojną, ale ciągle jest zaafektowana, pierze, ceruje, bieliznę przygotowuje do wywózki, jest znowu w kwietniu 1940, a potem pości troszkę i zabiera się do prasowania bielizny, bo z zesłania wraca do Sambora, woła po imieniu swe dzieci, które już pomarły w czasie wojny, albo są teraz na Dolnym Śląsku, wychodzi do ogródka i z furtki patrzy na Miller Street, dziwiąc się czemu tu jakoś tego mostu na Dniestrze nie widać. Boże, jak ta wojna ciągle na nas pasożytuje, ciągle w nas trwa — westchnął i pokiwał głową. — Czasem zazdroszczę ptakom. Ale wracamy do babci Patynowej, potem cofa się w głąb domu i patrząc na córkę i zięcia, na ich zmęczone oczy, w których jest i miłość do bezbronnej starej i żal za tyle starań i trosk, przedłużających się ponad wytrzymałość tych dwojga, pomyśl: opieka nad zniedołężniałą ruiną, którą trzeba i karmić i obsprawić, i myć i podmywać i podcierać i zmieniać te okropne popaskudzone prześcieradła, gdyż żal im oddać ją do przytułku, co by i im ulżyło, bo też mają prawo do normalnego życia, straszna zazwyczaj jest miłość, która się kończy, ale nie może się skończyć, no nie? Więc babcia Patynowa cofa się w głąb domu i krzyczy na córkę i zięcia: „Zbirajcie si miglance, wracamy do domu!”. I żwawo truchcikiem, odmłodniała, pędzi do swego pokoju się pakować. „Patyna”, woła na swego męża krawca, bo tak go po nazwisku wołała gdy żył jeszcze, „zbiraj maneli i wszystko, nam si giberuje wracać do domu, do hawiry curik! Wracamy do domu!...”.

Popatrzyłem na Jasia: jakieś nierealne pomieszczenie świętego Franciszka z bohaterem Hemingwaya, takich dużo było zaraz po wojnie, czy to był styl, czy Papa tak genialnie podpatrzył co wtedy ludziom będzie imponować, na czym będą się wzorować, owszem Jasio nie jest typowy, ale na emigracji już najmniej jest typowych wzorców i sytuacji, typowością emigracji jest właśnie jej nietypowość, co zresztą znaczy typowość, jednak ten parszywy socrealizm pozostawił w nas jakieś swe dziedzictwo, typowości nam się chce, cholera, a tfu. Jeszcze wczoraj byliśmy w Domu Polskim w garkuchni pani Musiałowej, oczy mu błyszczały do kiszonych ogórków tarnopolskiego Żyda, Jagody, do schabowszczaka od polskiego rzeźnika Zurka, byłego lotnika, schabowszczaka ubużonego w bułce tartej od samborskiego Żyda, co się nazywa Polak, jeszcze wczoraj piliśmy Krakusa i jeszcze wczoraj zarykiwał się Jasio kawałami o Gomułce i o Gierku jakie wyczytałem w *Kulturze* i w *Tygodniku Polskim*, a które otrzymuję lotniczo, warto by, mówił, by ktoś kiedyś napisał szkic o owych kawałach, bo one więcej nam pomagają w utrzymaniu łączności z braćmi w Kraju niż te zakłamanie towarzystwa łączności, wystawione tylko na Zachód, a wystawiające pod wiatr

Polaków z Rosji, o nich się nie mówi, ba nawet kwestia łączności z Polakami w Kraju to też coś słabo wychodzi rządzącym, z ubawieniem Jasio słuchał miejscowych i niezmiennych ploteczek emigracyjnych o zatargach i urazach pomiędzy nową emigracją a starą, pomiędzy najnowszą, bo ciągle jest najnowszą falą tego samego zjawiska, i nowa emigracja staje się powoli starą, choć nieraz i z tego nie zdaje sobie sprawy, heca, jeszcze przedwczoraj przy brydzu dyskutowaliśmy o odbudowie Zamku, a Jasio z odludzia twierdził, że już nigdy do Polski nie pojedzie, nawet na urlop, chyba żeby się wszystko, albo dużo zmieniło, a na co szanse są cieniutkie, nawet na urlop? nawet na urlop, bo jest coś dla obu stron upokarzającego w tym, że się jedzie z dolarami i tam udaje bogacza, a tamci na głowach stają, byle tylko ugościć, obie perspektywy są zamazane, nie pojedzie, jako że coraz bardziej w stunkach międzyludzkich ceną wolność i prawdę, właściwe proporcje, szczerość i uczciwość, miejsce na oddychanie, na życie, bez nacisków, strachów i zakłamania, bez wazeliny i bez ciągłego samookaleczania się, bez łapówki i chamstwa, bez kombinacji, ja bym już nawet chyba nie umiał żyć z wami w Melbourne, a co dopiero tam?

Człowiek ma jedno życie, o czym wszyscy zapominamy i musi mieć prawo przeżyć je tak jak sam chce. Każdy ma prawo do swego *impossible dream*, tym bardziej gdy realizując choćby swe mrzonki, nie ogranicza ani nie gnoi innych. Ja całą emigrację — mówię układając niegrabnie karty — widzę w kategoriach moralnych, one są ważniejsze od politycznych, historycznych czy bytowych, od prestiżowych, od patriotyzmu i tęsknoty, która i jest i jej nie ma, albo raz jest a drugim razem nie. Tak mówił Jasio i oto dziś na niecałą godzinę przed odjazdem promu do Tasmanii wspomina babcię Patynową.

Lubię go i cenię, wszyscy lubimy tych co wyrwali się z szablonu codzienności, otaczamy ich opieką jak on swe ptaki, badamy może nawet ich jak i on bada ptaki, cieszę się jego przyjazdami, bo to są jakieś nagle spięcia dające dużo do myślenia później, z uśmiechem znoszę jego roztargnienie, bo gdy mieszka u nas, a my z żoną wychodzimy do pracy, on zostaje, słucha naszych płyt, ogląda nasze obrazy, czyta książki i pije kawę, zaparza nową, bierze nową filiżankę, zaś potem nagle widzimy, że wszystkie nasze filiżanki, te na co dzień i te od lepszych okazji, są zużyte, stoją na kominku, na półkach, na dywanie obok foteli, na lodówce, w łazience na maszynie do prania, ponieważ on chodzi ze swą kawą po całym domu, siejąc filiżanki wszędzie, nawet na *nakastliku*, jak to u nas mówili, czyli na nocnym stoliku. Jak on to wszystko w swym życiu godzi, ten krytyczny stosunek i tęsknotę? To co myśli i to co mówił wczoraj i przedwczoraj

z tym co mówi teraz i o Patynowej i o domu, że jednak nie wróci, o tęsknocie i o jej wyśmiewaniu, o nieustannych wtrętach przeszłości w nasze codzienne życie, o życiu na kilku naraz płaszczyznach i w kilku tonacjach czy też kluczach, choć wszystko jest właściwie grane i odbierane, komponowane i aranżowane w jednej tylko smudze: że każdy człowiek jest odpowiedzialny za swą własną uczciwość i za nieświadnienie się, czy stworzył sobie Boga na swój obraz i podobieństwo, czy nie. Każdy ma prawo tak przeżyć swe życie jak chce i jak czuje że powinien, a nie tak jak może czy musi, jak mu każe religia, ustrój, ludzie, strach i własna małość.

Widocznie coś podobnego myślał, bo pokiwał głową i powiedział:

— *Impossible dream*, ech, życie to ciągle nie załatwiona sprawa. Cieszę się, że wracam do swych ptaków. Jak w ogóle ludzie mogą żyć gdzie indziej? Trzeba jechać, wracać do domu. Dom, pojęcie abstrakcyjne, a może i nie? No, daj grabę, stary, dziękuję ci.

A mnie przypomniał się Franz Fiszer, którego nigdy na oczy nie widziałem, a raczej Błęszyńskiego wspomnienia o nim, jakie znalazłem w roczniku *Nowin Literackich*, czyli pisma jakie w Kraju w latach 1947-8 wydawał Iwaszkiewicz, krojem czcionki i łamaniem, a także formatem, bo przecież nie treścią, podsywający się pod przedwojenne *Wiadomości Literackie*. Ten tom oprawiony w zielone płótno dostałem niedawno temu w prezencie od drągala Dawika Karafki, bo nagle doszedł do wniosku, że mnie to się bardziej przyda niż jemu. Oprócz wielu dobrych anegdot o Fiszerze z wcześniejszych lat, sprzed niepodległości jeszcze, jest tam jedna scena, co już we mnie wlażała na zawsze: Na łożu śmierci spocony grubas i starzec krzyczy, pokrywając czułość, do swej kochanki, co mu dała swe najlepsze lata i opiekowała się nim jak niewidomym dzieckiem:

— Nie bec, idiotko, ja ci zawsze mówiłem, że śmierci nie ma. Daję ci na to słowo honoru.

Andrzej CHCIUK

Archiwum polityczne

Kronika angielska

POCZTÓWKA DO CZYTELNIKÓW

W marcowym numerze *Kultury* ukazała się nota od Redakcji zawiadamiająca Czytelników, że oczekuję operacji katarakty i że wskutek tego przez kilka miesięcy nie będą ukazywać się moje artykuły ani kroniki. Od marca sytuacja uległa zmianie, ponieważ szczegółowe badania wykazały, że kataraktę mam tylko na jednym oku, lewym, a przyczyna utraty wzroku w prawym oku do tej pory nie jest wyjaśniona.

W lutym br. skończyłem 65 lat. Jestem starym i bardzo doświadczonym dziennikarzem. Im większe doświadczenie — tym większy sceptycyzm. Nie przypuszczałem, że moje chwilowe a przymusowe milczenie na łamach *Kultury* wywoła głębszą reakcję wśród Czytelników. Sądziłem, że wielu spośród nich powita z ulgą może bardziej „uczesane” numery *Kultury* bez Mieroszewskiego i Londyńczyka. Wbrew moim przewidywaniom, zarówno do Redakcji *Kultury* jak i na mój adres londyński napłynęło i napływa dziesiątki listów od naszych Czytelników z wyrazami współczucia i sympatii.

Wyznaję otwarcie, że owe listy z wielu krajów, Polski nie wyłączając, telefony, kwiaty, wzruszają mnie do głębi. Cenię je sobie wyżej niż jakkolwiek emigracyjną nagrodę literacką czy publicystyczną. Wszystkie nagrody tego typu przyznawane są przez kolegów koledze i w większej lub mniejszej mierze są reżyserowane i manipulowane, a czytelnicy nagrodzonego autora nie mają w tym żadnego głosu. Natomiast fala serdecznego współczucia, która mnie doszła ze strony moich Czytelników nie była przez nikogo manipulowana czy reżyserowana.

Listów o których jest mowa jest zbyt wiele bym mógł w mojej obecnej sytuacji na nie indywidualnie odpowiedzieć. Moja żona, która mi sekretarzuje pracuje cały dzień poza domem — lecz ufam, że przyjdzie dzień, że będę mógł osobiście podziękować listownie wszystkim tym, którzy w ciężkim okresie mojego życia okazali mi tyle serca.

Ufność moją opieram na tym, że specjaliści w Moorfields Hospital zapewniają mnie, że za kilka a najwyżej kilkanaście miesięcy, po udanej operacji, odzyskam wzrok choćby w jednym oku i będę mógł powrócić do normalnej pracy.

LONDYŃCZYK

Widziane z Brukseli

BITWA O ANGLIĘ

„Niech Pan przyjmie do wiadomości, generale De Gaulle, że zawsze i lekroć będziemy musieli wybierać między Europą a Oceanem, wybierzemy Ocean.... Między Rooseveltem a Panem, wybiorę zawsze Roosevelta...” — Churchill w czerwcu 1944 roku.

„Nie należy porównywać stosunków między Francją i Rosją, których nie dzielą żadne różnice, ze stosunkami między Francją a Anglią, które dzielą poważne różnice interesów...” — De Gaulle w listopadzie 1944 roku.

Od czasu kiedy te słowa zostały wypowiedziane mija już 27 lat. W ciągu tego okresu wspomniani panowie, a potem niektórzy ich następcy i naśladowcy, starali się udowodnić prawdę słów z roku 1944. Ostatnio jednak zrewidowano ten pogląd i w interpretacji tego, co oba te kraje łączy a co dzieli, oraz co i kiedy wybrać, zaszły pewne zmiany.

Prolog czyli Albion za mgłą historii

Stosunki wyspy angielskiej z kontynentem europejskim mają swoją długą historię. Przez całe wieki, od epoki Celtów, a więc mocno przed naszą erą, aż do roku 1534, to znaczy do zerwania Henryka VIII z Rzymem, przynależność Anglii do Europy nie podlegała kwestii. Pierwsza moneta wybita na angielskiej ziemi nosi wizerunek Apolla, dewizą Anglii jest francuskie „Honi soit...”, a kanał La Manche, chociaż środki komunikacji były mniej rozwinięte, nie stanowił przeszkody w kontaktach. Owszem ten mur wodny sprawił, iż ostatnia inwazja z kontynentu dotarła do wyspy w roku 1066, że w roku 1789 — i w latach następnych — Anglia uchroniła się od zarazy rewolucji, dyktatur, systemu dziesiętnego, metrycznego i innych klęsk dziejowych, ale w sumie to nie oddalenie i hydrologia decydowały o łączności wyspy z wielką ziemią, a polityka.

Dlatego po okresie, o którym Talleyrand mówił, że „jakkolwiek by się przeciwnik nie nazywał, to wojny prowadziliśmy zawsze przeciw Anglii”, co światlejsi politycy rozpoczynali dzieło zasympywnia kanału. Nawet przed Rewolucją Francuską, gdy tylko w traktacie wersalskim Anglia uznała niezależność Stanów Zjednoczonych, Ludwik XVI podpisał w roku 1786 układ handlowy z Wyspą i obniżył cła o 10 do 12 procent, aby „zmniejszyć niechęć między obu krajami i poprzez zwiększenie wymiany handlowej zredukować ryzyko wojny...”. Próba zakończyła się fatalnie. Francja była bowiem nieprzygotowana do takiej operacji, no

a rewolucja i Napoleon Pierwszy nie tylko nie zmniejszyły, ale, jak wiadomo, poważnie nawet zwiększyły ryzyko wojny, i to niejednej.

Dzieło odmownie załatwione przez cesarza z numerem Pierwszym, podjął też Napoleon ale z numerem Trzecim. Pobyt w Londynie dał mu możliwość poznania wielu cnót angielskich i kilku Anglików. Jeden z nich Cobden mu było, przekonał cesarza, że „trzeba nasze narody uzależnić od siebie poprzez wzajemne zaspokojanie ich potrzeb. Handel to iście boski sposób na stworzenie *Entente Cordiale*; inne metody są do niczego...”. I oto w roku 1860 Francja podejmuje ponownie decyzję obniżenia ceł na żywność i likwidacji ceł na surowce w obrocie z Anglią. Za Anglią poszli inni i podobne układy zawarte zostały wkrótce z Belgią, Niemcami, Włochami itd. (razem 60), otwierając dość długi okres *prosperity*.

W ten sposób w ciągu jednego stulecia Francja dwa razy podejmowała inicjatywę stworzenia czegoś w rodzaju Wspólnego Rynku. W chwili więc, gdy po II wojnie światowej, powrócono zrazu nieśmiało a potem coraz odważniej do wspólnorynkowych pomysłów, można było powtórzyć za Ben Akibą, że nic nowego zaiste już się nie dzieje pod słońcem. Aliści, choć filozoficznie słuszne, nie było to spostrzeżenie słuszne politycznie.

Bo, jak wynika ze słów Churchilla przytoczonych na wstępie, Anglia znowu Europę opuściła i to, według niego, na dobre, że patrzy raczej w siną dal oceanu niż na brudne wody kanału, że wzrok, rozum i serce kieruje ku Stanom Zjednoczonym, a tylko resztę ku Europie. Równocześnie okazało się, że — jak wynika ze słów De Gaulle'a — nie ma w tej pozycji angielskiej nic nienaturalnego, bo Francja pokazuje Anglii mniej więcej to samo, a Europa sięga raczej do Uralu niż do Dover.

W tym miejscu rozpoczyna się nasza opowieść o kolejnych fazach przepływania przez Anglików kanału La Manche. Okaże się na początku, że Anglicy, choć naród morski, nie umieli pływać w kierunku Europy, że potem, kiedy się nauczyli, to kontynent dziwnie odpłynął i że dopiero kiedy Anglicy zmienili styl przechodząc z amerykańskiego delfina na europejską żabkę, to się okazało, że Europa na nich czeka i jest gotowa ułatwić im lądowanie czyli taki nowy „D-day”.

Faza pierwsza czyli dumny Albion

Anglia, jak wiadomo, była jedynym naprawdę zwycięskim krajem w Europie. Wyspa brytyjska nie zaznała upokorzenia i tragedii okupacji, co zwiększyło jeszcze kompleks wyższości Anglików wobec *foreigner*ów. Niezrozumienie Europy i fascynacja Ameryką już i tak dość daleko u Anglików posunięte, wyszły z wojny jeszcze bardziej namiętne: Francuz czy Belg choćby najbardziej *gentlemen*i uchodzili w Londynie za dzikusów, cowboy z Teksasu był za to swoim, Anglosasem.

W powojennej euforii i psychologicznie niedostosowani, Anglicy nie byli więc skłonni przejmować się losem Europy, a tym mniej uczestniczyć w pomysłach odnowicielskich mających przywrócić blask i hegemonię starego kontynentu. Trzeba zresztą przyznać, że obraz powojennej Europy nie był za bardzo *sexy*. Ogromne zniszczenia, pookupacyjna demoralizacja, bałagan gospodarczy przeżarty kontrabandą i czarnym rynkiem, wreszcie zagrożenie komunizmem, to wszystko odrzucało Wielką Brytanię od Europy. Nie nasz interes — mawiali wyspiarze. Ideologię dorobił ich wódz i nauczyciel, Churchill mianowicie tak mówił w r. 1948:

„W trzy wielkie kręgi wpisane są losy wolnych narodów. Najważniejszy dla nas to naturalnie krąg Imperium i Wspólnoty Brytyjskiej... Po nim następuje krąg narodów mówiących po angielsku, wśród których wraz z USA i Kanadą, my odgrywamy rolę dominującą. I jest w końcu krąg zjednoczonej Europy...”.

Tak więc priorytet i kolejność zostały niedwuznacznie zarysowane i Europa aluzję rozumiała. Stąd też traktat zawarty z udziałem Anglii w Brukseli w marcu 1948 roku, pod impulsem lutowego puczu w Pradze, pozostał paktem wyłącznie obronnym i wojskowym, chociaż mógł mieć także znaczenie integracyjne. Niedługo potem, bo w maju 1949 roku, powstaje Rada Europejska. Miało to być ciało — według organizatorów — o „ograniczonych kompetencjach ale o realnej władzy”. Znowu jednak, poprzez odmowę rezygnacji z veta, Anglicy topią sens projektu.

W roku 1950 niepoprawni optymiści i anglofile proponują Londynowi udział w tym co miało się niedługo przeobrazić w CECA czyli Europejską Wspólnotę Węgla i Stali. Anglicy znowu mówią *no-sorry* w obawie przed niepomysłnymi skutkami dla ich imperialnych interesów.

Znudzeni Europejczycy powiedzieli sobie wtedy *nie chcesz — nie nada* i rozpoczęli przygotowania do poważniejszych przedsięwzięć. Na podstawie doświadczeń CECA i pomysłu Francuza, Roberta Schumana, w oparciu o memoriał przygotowany przez Belga, Paul-Henri Spaaka, i Niemca, Konrada Adenauera, postanowiono na konferencji w Messynie w 1955 roku opracować projekt zasad integracji Zachodniej Europy. Naturalnie, cała ta działalność odbywała się przy całkowitej obojętności Anglików, jeżeli pominąć złośliwości i dowcipy, którym Brytyjczykom wówczas nie brakło, odwrotnie do wyobraźni i talentu politycznego.

Do Messyny więc nie pojechali. Dopiero kiedy ku ich zdumieniu dzikusy z kontynentu osiągnęli porozumienie co do podstaw Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i Euroatomu, wtedy szybko postanowili wysłać na kontynent obserwatora. A ponieważ Albion jest dumny, więc obserwatorem był polityk niskiej rangi wyposażony w dodatku w instrukcje wyłącznie negatywne. Coś w rodzaju dyplomatów sowieckich, którym Stalin zabraniał wypowiadać słowo „tak”.

Nic więc dziwnego, że zanim Anglicy zorientowali się co i jak, sześć państw uzgodniło w Wenecji w marcu 1956 roku projekt

traktatu, który miał zrodzić Wspólny Rynek. I w rok później rzeczywiście go na konferencji w Rzymie utworzył.

Karta dziejów, patetycznie mówiąc, odwróciła się. Powstała pierwsza zjednoczona Europa. Bez Wielkiej Brytanii.

Faza druga czyli Albion czeka na autobus

Sukces szóstki pod nieobecność Wielkiej Brytanii w Wenecji i w Rzymie oznaczał, jak się później okazało, klęskę angielskich złudzeń na wielu frontach. Oznaczał najpierw, że mimo nieobecności Anglii, Europa jakoś sobie radzi. Potem, przy okazji awantury sueskiej, że nie bardzo należy liczyć na niezawodnego sojusznika amerykańskiego. I wreszcie, że nieobecni nie mają racji. W Londynie zaczęto więc przyglądać się bliżej projektowi EWG i ówczesny minister skarbu Mac Millan przekonał rząd, że warto by coś zrobić.

No i zrobiono. Szybko, ale za to niezręcznie. Anglia mianowicie uwinęła się i utworzyła Strefę Wolnego Handlu, do której pod swoim przewodnictwem wprowadziła gęsiego sześć państw niestowarzyszonych z EWG. Dla nikogo nie ulegało kwestii, że jest to źle maskowana próba storpedowania EWG w imię imperialnych korzyści brytyjskich. Nici były tak szalenie grube, iż Spaak oświadczył, że „żadna strefa nie opóźni podpisania traktatu ani o jeden dzień”, doradzając brutalnie, ale szczerze, Anglikom aby nie próbowali sabotować Wspólnego Rynku, bo to ani możliwe ani opłacalne. Anglicy zemścili się natychmiast, mówiąc o Spaaku, że „jest on z urody podobny do Churchilla, a po angielsku mówi za to jak Charles Boyer...”, co jednak nie zmieniło sytuacji i traktat w Rzymie podpisano 25 marca 1957.

Już prawie nazajutrz Anglicy rozpoczęli poszukiwania możliwości dialogu. Ale sytuacja się zmieniła. Przede wszystkim we Francji — gdzie do władzy powrócił De Gaulle, który do Anglików nie miał zaufania, ale za to sporo pretensji o ich nieco sceptyczny stosunek do mocarstwowych aspiracji Francji. Tak pada pierwsza aluzja do późniejszego ustosunkowania się generała wobec brytyjskich umizgów. A nie — odpowiada De Gaulle na pierwsze podejścia Anglików — trzeba szukać pozaintegracyjnych form kontaktu. Do EWG, do wspólnego więc łoża i stołu, Anglia się nie nadaje, bo zaopatruje się głównie w swoich byłych koloniach, a kocha tylko Stany Zjednoczone.

Wtedy także pada jeden z pierwszych trzeźwych głosów w Anglii. Były minister Nutting stwierdza z żalem: „Ostatni europejski autobus odszedł. Nie chcieliśmy wsiąść na pętlę, a kiedy próbowaliśmy wskoczyć po drodze, to francuski konduktor powiedział *complet*.”

Już to *complet* wywołało zdziwienie. Wzrosło ono jeszcze, kiedy okazało się, że autobus choć na starych częściach, to jednak jedzie, i to coraz szybciej. Szybciej nawet od Strefy Wolnego Handlu. Zdziwienie przeszło w niepokój, kiedy doszło do świadomości Anglików, że — o, niewierny kochanku! — inwestycje ame-

rykańskie coraz większym strumieniem płyną do krajów EWG kosztem Wielkiej Brytanii. Kiedy do tego doszedł zachodni-niemiecki cud gospodarczy oraz po-dewaluacyjna koniunktura we Francji, ironiczny uśmiech wyższości zniknął z dumnych angielskich twarzy.

Niedługo więc po Nuttingu, pewien obiecujący polityk partii konserwatywnej, nazwiskiem Heath, powiedział w Izbie Gmin, gdzie zabierał głos nieczęsto, ale na ogół mądrze: „Na naszych oczach wyrósł na kontynencie organizm, który z uwagi na swe rozmiary może być porównywany jedynie z USA i z ZSSR, i którego potęga gospodarcza i wpływy polityczne będą nadal wzrastać...”.

No i wówczas zagrała ta wspaniąta angielska zdolność dosto-sowywania się do rzeczywistości. Zgodnie z zasadą, która jest tajemnicą wszystkich sukcesów Anglii, a która głosi, że „jeżeli nie możesz ich pokonać, to się do nich przyłącz”, skłócony i podzielony parlament uchwalił poparcie dla rządowego wniosku o zbadanie ewentualności wejścia Anglii do Wspólnego Rynku.

Tak rozpoczęły się negocjacje. Doszło wreszcie do spotkania „sześciu plus jeden” w Brukseli. 13 stycznia 1963 roku w czasie kolacji w jednej z dobrych knajp brukselskich, Couve de Murville wyszeptał do Heath'a: „Jeszcze kilka detali czysto technicznych i żadna siła nie przeszkodzi już wejściu Wielkiej Brytanii do EWG”. Przedtem jednak postanowili, rzecz zrozumiała, przyjrzeć się konferencji prasowej De Gaulle'a.

No i zobaczyli jak topór spada. De Gaulle odkrył wtedy właśnie Anglię „wyspiarską, morską, związaną... z odległymi krajami, której natura i struktura różnią się od innych krajów kontynentu”, Anglię, której wejście do EWG „przekształciłoby Wspólny Rynek w kolosalną wspólnotę atlantycką, zależną i kierowaną przez Amerykę...”.

Zawrzało wszędzie, ale najbardziej w Anglii. Don Kiszot, megaloman, co on sobie myśli... Przeciwnicy EWG triumfowali, nawet w Europie nie wszyscy rozumieli, jak można było tak potraktować sojusznika z czasu wojny, tak upokarzająco zatrzaskać drzwi przed nosem Wielkiej Brytanii. Najbardziej się z tego cieszył człowiek sowiecki, który nie bardzo rozumiał co i jak, bo prze-ważnie stał w ogonku, ale wiedział, że imperializm poniósł klęskę.

Niewiele osób w istocie rozumiało wówczas De Gaulle'a. Brutalny sposób nie przekreślał prawidłowości rozumowania. De Gaulle chciał utworzyć Europę zdolną do przeciwstawienia się Rosji i USA, ale taką Europę, w której pierwsze skrzypce grałaby Francja. Wiedział, że nie będzie łatwo zjednoczyć Europy bez Wielkiej Brytanii, ale wiedział także, że udział Wielkiej Brytanii wyklucza kierowniczą pozycję Francji.

Faza trzecia czyli Albion złamany

Francuskie veto, choć niektórych Anglików od Europy odrzu-

ciło, w istocie zbiega się z otwarciem kursu wprost przeciwnego: europejskiego przebudzenia wyspy.

Najpierw wybuchł kryzys kubański. Już samo załatwienie tej niebezpiecznej sprawy przez panów Kennedy'ego i Chruszczowa we własnym zakresie i gronie, podważyło nieco przekonanie Anglików o ich mocarstwowej pozycji. Potem przyszła konferencja w Nassau, gdzie okazało się że Amerykanie rezygnują ze wspólnej z Anglikami produkcji rakiety „Skybolt”, co w praktyce oznaczało, iż Wielka Brytania pozostanie za drzwiami klubu atomowych potentatów. Acheson zresztą poradził szczerze, jak to między braćmi, aby Anglia wysnuła wnioski z faktu, iż nie jest prawdziwym mocarstwem i wyraził nawet zdziwienie, że leży ta mała wyspa tak blisko Europy, a udaje, że tego nie widzi...

Na fakty rady nie było, tym bardziej, że zarazą sięgnęła Grenady. Niektóre państwa Strefy Wolnego Handlu stały już u bram Wspólnego Rynku, Commonwealth rozlatywał się i przypominał bardziej tygrysa z papieru aniżeli tygrysa z Bengalu. Dekolonizacja wykruszała imperium, a metropolia traciła na znaczeniu. Pakistan i Indie pojechały po pokój nie do Londynu, a do... Taszkientu, do Kosygina. Niemożność ekonomiczna jeszcze bardziej obnażyła nagość królestwa: Indie więcej otrzymywały z NRF niż z Anglii, a rynek pracy w Wielkiej Brytanii załamał się pod naporem kolorowych poddanych Jej Królewskiej Mości, którym, o zgrozo, mimo brytyjskich paszportów, zabroniono wstępu na teren wyspy.

Nic dziwnego więc, że kiedy tak po kolei waliły się filary potęgi Korony, dojrzewała równocześnie świadomość politycznej przynależności do Europy. George Brown, *enfant terrible* Labour Party, powiedział w 1967 roku w Izbie Gmin: „W każdym układzie światowym, zmajorzowanym przez jedno z supermocarstw, pozostaniemy małym krajem. Nasz wpływ na kierunek spraw światowych może być istotny jedynie w ramach rozszerzonej Wspólnoty Europejskiej”.

Co prawda premiera Wilsona referującego tę sprawę w Izbie Gmin, spotkały okrzyki w rodzaju: „bezwstyd konkubiny jest niczym w porównaniu z cynizmem Pańskiego nawrócenia”, ale w głosowaniu nad ponownym przedstawieniem kandydatury brytyjskiej do EWG 488 postów było za, a tylko 62 — przeciw. Z takim mandatem Brown pojechał do Hagi, gdzie w lipcu 67 powiedział do swych sześciu kolegów:

„Wielka Brytania pragnie się do was przyłączyć. Podziela ona wasze cele i chce wnieść swój wkład w Europę”.

Wzruszenie ogarnęło polityków, którzy, choć żalowali że do takiego przekonania Anglia doszła bardziej z rozpacz niż z miłości, powiedzieli sobie; lepiej późno niż nigdy i zaprosili Browna na później, do Luksemburga.

Tam więc Brown zapukał ponownie i oficjalnie do bramy EWG. „Nazywam się Wielka Brytania, czy mogę wejść” — powiedział jak Gierek przed stoczną w Szczecinie. Odmienne jednak niż Gierka, którego wpuszczono od razu, Brownowi kazano po-

czekać. Ten sam co w 1963 roku 2-metrowy wykiadało powiedział: chwileczkę, nie tak szybko i wyliczył niektóre sprawy do wyjaśnienia: ślepe poparcie Anglii dla wietnamskiej interwencji USA, funt sterling prawie w agonii, antyeuropejskie stanowisko Anglii w rokowaniach międzynarodowych takich jak np. „Kennedy round” itd.

Powiało chłodem, ale nie była to już siekiera z roku 1963. W 1967 roku De Gaulle już wiedział, iż Anglii z Europy wyeliminować nie można. Rzecz o przyczynach grały tu rolę. Przede wszystkim dialog ZSSR-USA zapowiadał wyraźnie świat dwugłowy, a Europa bez Wielkiej Brytanii w tym koncercie żadnych szans nie miała. Zresztą 5 partnerów Francji w EWG miało już dość zwleknięcia i niegrzecznego traktowania angielskich przyjaciół. De Gaulle'owi pozostała już gra na zwłokę i maksymalne obniżenie kosztów imprezy połączeniowej. Stąd propozycja dyskusji punkt po punkcie, rozważanie procedury i takie aluzje jak De Murville'a: „Należy uzgodnić nie tylko to co mówimy, ale także to co myślimy”.

W Luksemburgu postanowiono więc przeprowadzić coś w rodzaju egzaminu przedmałżeńskiego. A że angielska narzeczona była istotą skomplikowaną, więc też wyjeżdżając z Luksemburga, jeden z ginekologów — belgijski minister Harmel — westchnął: „to długa, bardzo długa historia”.

Faza czwarta czyli Albion się żeni

Jak się okazało, wcale nie taka bardzo długa. Światowe karty zostały już inaczej rozdane i innej niż w 1963 wymagały rozgrywki. Podobnie jak po „suchym robrze” moja brydżowa partnerka, najbardziej szlachetny i męski karciarz jakiego spotkałem w życiu, tak i De Gaulle był wściekły, ale przytomny i dowcipny. Świadom ogromnej potęgi gospodarczej NRF i „normalizacyjnej” bezwzględności ZSSR po inwazji Czechosłowacji, De Gaulle zwrócił u zmierzchu władzy i życia wzrok ku Anglii.

W lutym 1969 roku przyjmuje brytyjskiego ambasadora Soames'a, z churchillowskiej zresztą rodziny. Okoliczności tej rozmowy nie są znane, są sprzecznie tłumaczone, niejasne. Zanim dowiemy się prawdy, wystarczy stwierdzić, że rozmowa Soames'a z De Gaulle'm, w której generał uznawał nieuniknioną wejścia Wielkiej Brytanii do EWG i proponował przejęcie przez Francję i Anglię, wraz z NRF i Włochami, przewodnictwa grupy państw tworzących organizm zdolny do przeciwstawienia się ZSSR i USA, że ta rozmowa została brutalnie i tendencyjnie ujawniona przez Wilsona i że ta inicjatywa De Gaulle'a została w ten sposób storpedowana.

W kilka miesięcy później Heath zastąpił Wilsona, a Pompidou — De Gaulle'a. Zaczął się nowy okres. Nowy prezydent, bez aurytytu generała, mniej dbały o teatralne gesty i efekty, a bardziej

o skuteczność działania, otwiera w Hadze w grudniu 1969 roku szeroko drzwi przed Anglikami.

W czerwcu 1970 roku w Brukseli rozpoczyna się seria negocjacji na temat szczegółów małżeństwa, wysokości posagu, itp. Takich dwudniowych spotkań odbyło się na przestrzeni ostatniego roku kilka. Obowiązywał za każdym razem identyczny rytuał. Najpierw, w poniedziałek, zbierali się ministrowie spraw zagranicznych „szóstki”. Potem, we wtorek zapraszano na posiedzenie angielskiego „Mister Europa”, p. Rippona. Zapraszano na ogół niepotrzebnie, bo przez rok nie można było, nawet w łonie samej szóstki, nie mówiąc już o siódmce, uzgodnić wysokości wkładu Wielkiej Brytanii w budżet EWG. W końcu jednak, kiedy do kramiarskich targów o miliony dolarów, doszły trudności pozornie nie do obalenia w dziedzinie wysokości dostaw nowozelandzkiego masła czy antylskiego cukru i kiedy Francuzi, jakby *en passant*, dołożyli jeszcze sprawę stosunku funta do wspólnoty norynckowej kasy, wszyscy zrozumieli, że nie chodzi o handelek śledziami, ani o cukier, ani o ćwiartkę masła, a chodzi o politykę.

I rzeczywiście, kiedy brukselskie rundy euro-brytyjskie otarły się o granicę śmieszności, a p. Rippon spędzał czas na ogół na herbatkach i spacerach, ogłoszono równocześnie w Paryżu i Londynie, że „Prezydent Francji i premier Wielkiej Brytanii uznali, iż byłoby pożyteczne ich spotkanie w celu przedyskutowania wspólnych problemów” i że „premier przyjął z zadowoleniem zaproszenie Prezydenta”.

Faza piąta czyli Albion w teatrze

Tu spadała kurtyna operetki i zaczęło się poważne przedstawienie w dwóch aktach z epilogiem.

Akt I: Paryż, 20 i 21 maja. Uśmiechy, wywiady, Entente Cordiale. W przeddzień spotkania Pompidou w wywiadzie dla BBC przypomina słowa Churchilla o wyborze między Europą a Oceanem, i mówi, że trzeba zmienić kierunek pływania. Na karykaturze pod obrazem „Ogłoszenie w roku 1778 deklaracji o niepodległości Stanów Zjednoczonych wobec Wielkiej Brytanii”, Pompidou pyta Heath'a: „Czy nie moglibyście ogłosić niepodległości Wielkiej Brytanii wobec Stanów Zjednoczonych?”. W komunikacie końcowym sprawa jest rozstrzygnięta: Heath otrzymuje dyplom „Europejczyka doskonałego”. Kurtyna spada.

Akt II: Luksemburg, 8 czerwca. W atmosferze napięcia rozpoczyna się kolejna runda rozmów szóstki z Ripponem. Znana jest treść deklaracji angielskiej w sprawie funta sterlinga. Wielu uważa ją za mglistą i wykrętną, bez koniecznych gwarancji. Rośnie niepokój co do reakcji Francji, tym bardziej, że od kilku miesięcy czynione są starania o złagodzenie stanowiska Paryża wobec sterlingowej pozycji Londynu. Kiedy więc nadeszła chwila repliki francuskiej, zrobiło się cicho i groźnie. Min. Giscard d'Estaing wstał i powiedział, że... jest bardzo zadowolony z oświad-

czenia Rippona i że mu to zupełnie wystarczy. Pod kolegami Giscarda ugięły się krzesła, nikt już głosu nie zabierał, bo i po co? Tylko przedstawiciel Komisji EWG, też Francuz zresztą, zimno oświadczył, iż ma pewne zastrzeżenia, ale już go nikt nie słuchał.

Zaskoczenie było zupełne, ale niektórzy byli źli, bo to co miało być rokowaniami w siedem delegacji, skończyło się na dialogu dwóch panów. Jasne było, iż wszystko zostało już przedtem załatwione w cztery oczy i że były to oczy panów Pompidou i Heath'a. Oczywiście, francuski minister Schuman (nie Robert a Maurice) obraził się, kiedy mu zarzucono uprawianie tajnej dyplomacji, ale wiadomo przecież, że jeżeli p. Heath zrezygnował z udziału w regatach, które są jego najważniejszym zajęciem, i z dyrygowania chórem żeńskim, co figuruje na drugim miejscu, to nie po to, aby uprawiać w Paryżu dyplomację jawną. Po to przecież mógł zostać w Londynie. Kurtyna spada.

Epilog. Epilog dopiero nastąpi. Odbędzie się on w Izbie Gmin, kiedy p. Heath zażąda formalnej zgody parlamentu na wejście Wielkiej Brytanii do Wspólnego Rynku. W Anglii bowiem, a kraj ten lubi tradycję i przeżytki, o poważnych sprawach ciągle jeszcze decyduje w dużym stopniu parlament. I choć rozmaite sondáže wykazują, że większość społeczeństwa jest przeciwna zakopywaniu kanału La Manche, to w parlamencie, według tych samych sondaży, zdecydowana większość popiera politykę Heath'a. Dzieje się tak nie po raz pierwszy zresztą, bo np. kiedy 80 % społeczeństwa było za przywróceniem kary śmierci, to parlament się temu spokojnie sprzeciwił i wniosek odrzucił.

W tym ponurym przykładzie nie należy się doszukiwać żadnej aluzji do naszego tematu, chociaż niektórzy koledzy brytyjscy wynik rozmów paryskich uznają za zemstę Pompidou za Waterloo. Jeszcze smutniejszą refleksję uczynił w tej materii De Gaulle. W rozmowie z Malraux generał, na krótko przed śmiercią, powiedział: „Patrzmy jak umiera Europa. To się nie zdarza codziennie”.

Faza szósta i ostatnia czyli Albion i to przeżyje

Generał miał takich smutnych refleksji znacznie więcej i kierował je raczej ku historii, bo tylko z nią się liczył. My żywi otrzymamy łzę: Europa nie umarła, nie czuje się może najlepiej, ale właściwie kto z nas się dziś nie skarży? W sumie nie jest źle i miękkie ładowanie Anglii w EWG na pewno wspólnocie nie zaszkodzi. Smutniej się zrobi w Moskwie, kosztą zresztą będą początkowo spore, ale Anglia nie Rolls-Royce — nie zbankrutuje.

Zresztą, jeżeli po 10 wiekach udało się Anglii wprowadzić system dziesiętny, jeżeli prawnukowie cnotliwej królowej Wiktorii narzucili nam (dzięki im za to) mini-spódniczki, jeżeli Anglicy mogli choć przez chwilę uwierzyć w prima-aprilisową zapowiedź wprowadzenia ruchu lewostronnego, to nie ma już takiej rzeczy, która by mogła zachwiać zdecydowaniem Albionu przycumowania do Europy.

Dziennik *Guardian* zorganizował konkurs dla studentów na wypracowanie na temat europejski. Laureatka, panna Kari Blackburn wierzy, iż w Europie federalnej osobowość będzie lepiej chroniona i bardziej szanowana aniżeli w jakimkolwiek kaftanie państwowym. „Które z naszych dzieci — pyta odważnie (na razie) panna Blackburn — będzie pamiętać że w pierwszych latach 70-tych podróżowało nagle w Anglii masło...?”.

Wątpliwości co do europejskości Wielkiej Brytanii błędną jeszcze bardziej kiedy się przypomni, że gdy u końca tej najnowszej „Bitwy o Anglię” królowa złoży swój podpis pod aktem wejścia jej państwa do europejskiej wspólnoty, to wyrazi ona swą zgodę nie po angielsku, a po normandzku: „*La Reyne le veult!*”

„*God save the Queen*” wobec tego!

BRUKSELCEZYK

Pisane 16 czerwca 1971 r.

POLSKI OŚRODEK SPOŁECZNO-KULTURALNY W LONDYNIE

Członkiem P.O.S.K. może zostać każdy Polak, lub organizacja, należące do społeczeństwa polskiego na obczyźnie, uznający założenia niepodległościowe emigracji, wpłacając tytułem wpisowego (*entrance subscription*) co najmniej £.10.

Istnieje możliwość wpłacania wpisowego ratami.

Członek P.O.S.K. nie jest statutowo zobowiązany do żadnych innych opłat, może jednak dobrowolnie wpłacać darowizny w dowolnej wysokości na cele organizacji.

Dokonane wpłaty są bezzwrotne, zgodnie z charytatywnym charakterem organizacji. W wypadku przymusowej likwidacji ośrodka odpowiedzialność finansowa każdego członka ograniczona jest do wysokości £.1 (jednego funta szterlinga).

POLISH SOCIAL AND CULTURAL ASSOCIATION LIMITED
9, Princes Gardens, London, S.W.7, III piętro. Tel.: 01-584-2363.

CZEKI, P.O. i M.O. dla Ośrodka winny być wystawiane na:
POLISH SOCIAL AND CULTURAL ASSOCIATION LIMITED
i wysyłane na adres: 9, Princes Gardens, London, S.W.7.

Przekazy z zagranicy na konto bankowe P.O.S.K. No. 27381811
i na adres: National Westminster Bank Ltd., Archway Branch,
28, Junction Road, London, N.19., Great Britain.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

21 maja wyszedł z obozu, po pięciu i pół latach, Andrej Siniawski. Władze sowieckie wspaniałomyślnie „darowały mu” półtora roku, które powinien był odsiedzieć, jako skazany na 7 lat obozów w październiku 1966 roku. We wrześniu 1970 roku — jak już informowała o tym *Kultura* — został zwolniony Julij Daniel, który odbył cały swój pięcioletni wyrok.

Uwolnienie Siniawskiego i Daniela jest jak gdyby podsumowaniem kończącego się okresu historii rosyjskiego ruchu demokratycznego. Proces Siniawskiego i Daniela, procesy późniejsze, demonstracje, publiczne wystąpienia w obronie aresztowanych i skazanych czy manifestacje w obronie Krymskich Tatarów — charakteryzują ten okres gwałtownego wzrostu świadomości w określonych kręgach sowieckiego społeczeństwa. W tych latach pojawiają się pierwsze próby sformułowania programu niezbędnych zmian, stają się głośnie memoriały akademika Sacharowa¹ i jego przyjaciół, program ruchu demokratycznego, leningradzki program S. Zorina i M. Aleksiejewa². Są podstawy do przypuszczenia, że władzom sowieckim udało się — niewątpliwie tylko chwilowo — zdusić ośrodki niezadowolenia i protestu. Aresztowania, zamykania w sanatoriach dla nerwowo chorych — były najważniejszymi instrumentami walki z opozycją.

W kraju — jeśli wierzyć prasie sowieckiej — pozostał tylko jeden wróg — syjoniści, tzn. Żydzi. Protesty po grudniowych wyrokach śmierci w Leningradzie zmusiły inicjatorów ostrego, antyżydowskiego kursu do odwrotu. Ale odwrót był tylko chwilowy. W maju odbyły się — w Leningradzie i w Rydze — nowe procesy. Jeśli w grudniu 1970 roku informacje o procesie TASS podawał jedynie dla prasy zagranicznej, to tym razem wiadomości pojawiły się także i w pismach sowieckich. Ale nie we wszystkich.

1. Instytut Literacki, seria „Dokumenty”, tom 162 Biblioteki „Kultury”, Paryż, 1968.

2. Instytut Literacki, seria „Dokumenty”, tom 197 Biblioteki „Kultury”, Paryż, 1970.

Nastąpił jak gdyby podział ról. *Prawda* zamieszczała artykuły demaskujące syjonizm, a *Izwestie* ogłaszały „sprawozdania” z procesów, powołując się albo na leningradzką *Prawdę*, albo na TASS’a. W Leningradzie sądzono 9-ciu ludzi, w Rydze — 4ch. Majowy proces leningradzki był jak gdyby przedłużeniem procesu grudniowego: podsądnych oskarżono, że byli „inicjatorami i aktywnymi uczestnikami przygotowań do porwania samolotu” i że rozpowszechniali „literaturę o charakterze antysowieckim”, oraz przekazywali „za granicę” oszczercze informacje. Podsądni w Rydze byli oskarżeni tylko o te dwa ostatnie przestępstwa.

Gdy pisałem o procesie grudniowym, podkreślałem rzucające się w oczy nieprawdopodobieństwo planu porwania samolotu, jaki przypisywano oskarżonym. Gdy czytałem kolejny wariant planu porwania samolotu, wymyślony prawdopodobnie przez innych sędziów śledczych, doszedłem do wniosku, że plan pierwszy był wzorem pomysłowości. Sołżenicyn opisuje, że gdy sędzia śledczy zmusił Iwana Denisowicza do przyznania się iż był wysłany przez Niemców „dla wypełnienia zadania”, to ani śledczy, ani tym bardziej Iwan Denisowicz, w żaden sposób nie mogli wymyślić z jakim zadaniem Niemcy mieli go wysłać. I w aktach sprawy pozostało tylko „z zadaniem”.

Ale Iwana Denisowicza sądzono w dawnych czasach, w okresie „kultu”, obecnie śledczy stali się znacznie bardziej kulturalni. Dlatego też wyliczają drobniaczko przy pomocy jakiejś broni Żydzi postanowili opanować samolot: akt oskarżenia wymienia na pierwszym miejscu „metalowy młotek do rozbijania kotletów” oraz *toaster*. Od dwóch tygodni zastanawiam się w jaki sposób elektryczny *toaster* może być użyty jako broń — ale nie mogę się domyślić. Nie ulega wątpliwości, że ta tajna żydowska broń zajmie poczesne miejsce w leningradzkim muzeum kryminalistyki.

Z prawdziwym zadowoleniem obywatele sowieccy przeczytali, że po wysłuchaniu wyroku (10 lat, 7 lat, 5 lat, 4 lata, trzy razy po 3 lata i 1 rok) oskarżeni (widocznie chórem) „zadeklarowali swoje oburzenie dla chuligańskiej działalności nieproszonych obrońców ze syjonistycznych środowisk na Zachodzie”. Krótko mówiąc, zachowali się jak prawdziwi sowieccy więźniowie. Ponieważ sąd był faktycznie tajny, nikt nie może powiedzieć prawdy o zachowaniu się skazanych.

Należy uznać za nowe zjawisko ogłaszanie listów rodziców oskarżonych (w większości młodych ludzi) demaskujących „syjonistów, którzy zatruli dusze ich dzieci”. Podobnych listów prasa sowiecka nie drukowała od 1937 roku. Co prawda wtedy dzieci wyrzekały się rodziców, a teraz rodzice odzęgują się od dzieci.

Niewielka wzmianka na ostatniej stronie *Izwestii* poinformowała ponad 100 milionów prawosławnych w Związku Sowieckim o wybraniu patriarchy Moskwy i Wschodniej. (Ciekawe że sobór, który wybrał patriarchę, zakończył się 2 czerwca, a wzmianka

ukazała się w piśmie 6 czerwca). Jak można było się spodziewać, miejsce zmarłego 17 kwietnia 1970 roku 93-letniego patriarchy Aleksieja zajął najstarszy biskup synodu Pimen (urodził się w 1910 roku).

Patriarcha Pimen scharakteryzował samego siebie jako człowieka „bardziej przyziemnego niż uduchowionego”, nie mogącego pochwalic się „głębką znajomością prawdziwego Słowa”, nie posiadającego „błyskotliwych darów rozumu i piękna myśli”. Pimena uważa się za zdolnego administratora i zręcznego polityka, który świetnie umie rozmawiać z władzami. Pimen był aktywnym uczestnikiem wszechświatowego Kongresu Pokoju w 1964 roku, i właśnie jemu powierzone zostało zadanie „zdemaskowania” Świetłany Allilujewej po jej decyzji niewracania do Związku Sowieckiego.

Jedynym konkurentem Pimena na stanowisko Patriarchy był 42-letni metropolita leningradzki i łaodoński Nikodem, który nie słychanie szybko zrobił świetną karierę — specjalista od spraw zagranicznych, ulubieniec Watykanu (temat dysertacji — Jan XXIII). Widocznie jednak elektorzy uznali, że jest za młody.

W 1965 roku dwóch moskiewskich duchownych, N. Eszliman i G. Jakunin, zwróciło się z listem otwartym do patriarchy Aleksieja z prośbą o zwołanie soboru dla uregulowania spraw cerkiewnych, a przede wszystkim dla zbadania zagadnienia interwencji państwa w sprawy cerkiewne (duchowni np. są zobowiązani informować władze państwowe o wszystkich tych, którzy przyjęli chrzest i o ich rodzicach), w sprawy zamykania cerkwi itd. W lutym 1971 roku, w przededniu Kongresu, jeden z organizatorów Komitetu Obrony Praw Człowieka, W. Czalidze, zwrócił się do Pimena z prośbą o rozpatrzenie skarg wiernych w mieście Narofominsk, którzy już od 40-tu lat domagają się zbudowania u nich cerkwi.

Jak czytamy we wzmiance zamieszczonej w *Izwestiach*, „sobór rosyjskiej prawosławnej cerkwi wiele uwagi poświęcił zagadnieniu walki o pokój..., wezwał do walki o zakończenie amerykańskiej interwencji w sprawy wewnętrzne narodów południowo-wschodniej Azji i o zmuszenie Izraela do zaniechania agresywnej polityki.

Coraz bardziej zaniepokojony ton widać w materiałach poświęconych flirtowi chińsko-amerykańskiemu. Materiały te publikuje się przede wszystkim w głównym organie sowieckiej inteligencji — *Literaturnej Gaziety* — a ich głównym zadaniem jest wzbudzenie podejrzliwości, strachu i niewiary. Oto przykład jak to się robi: W jednym z ostatnich numerów *Literaturnej Gaziety* przedrukowano z *Life'u* „rozmowę Edgara Snow z Mao Tse-tungiem. Jak zaznaczono w notce, artykuł przedrukowano „z wielkimi skrótami”. Byłoby ściślej powiedzieć, że artykuł był spreparowany. Ale nawet i ten spreparowany artykuł zaopatrzo-

ny jest w „uwagi”, które zajmują tyleż miejsca co sam tekst Edgara Snow. Przede wszystkim podaje się informacje kim jest Edgar Snow (z tych wyjaśnień łatwo także można się zorientować kim jest Mao Tse-tung): Snow „zjawił się w Yunanie w 1936 roku, gdzie w tym czasie znajdował się Mao. W Yunanie byli również i inni amerykańscy wywiadowcy, dziennikarze, urzędnicy 'organizacji pomocy'. Wiadomo jednak, że właśnie Snow prowadził wielodniowe rozmowy z Mao. W 1948-1949, spełniając delikatne misje łącznika między maoistami a wpływowymi kołami amerykańskimi, Snow zabiega o zmianę politycznej linii Stanów Zjednoczonych w stosunku do Chin w tym sensie, by wykorzystać Chińską Republikę Ludową w charakterze „przeciwwagi” dla Związku Sowieckiego. Jeśli obecnie Mao wykorzystał tego dziennikarza, żeby poinformować świat i Waszyngton o swoich zamiarach, to miał do tego poważne powody”. Po tych uwagach można odczytać tekst Snow'a a następnie nowe uwagi, raz jeszcze powtarzające, że Mao lubił, zawsze lubił, Stany Zjednoczone, a nie lubił, nie lubi i nie będzie lubić (przez najbliższe 10 tysięcy lat) Związku Sowieckiego.

Przeczytawszy pierwsze zdanie „uwag” o Yunanie, gdzie w 1936 roku „znajdował się” Mao i spotykał się z amerykańskimi wywiadowcami, wziąłem 26 Tom Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej, żeby dowiedzieć się dlaczego Mao tam się wówczas znajdował. W 1954 roku Wielka Encyklopedia Sowiecka twierdziła, że „z Yunanu Centralny Komitet Komunistycznej Partii Chin z Mao na czele kierował rewolucyjną walką w całym kraju”.

Można z całą pewnością twierdzić, że przygniatająca większość czytelników *Literaturnej Gazety* nie sięgnie do Wielkiej Encyklopedii. Opinia jest już urobiona. I wyrażają ją nie tylko zawodowi propagandyści. W kolejnym numerze „Literaturki” zamieszczono utwór specjalnego korespondenta *Gazety*, Jewgenia Jewtuszenki, odbywającego podróż po krajach Ameryki Łacińskiej. Poeta zjawia się w Peru i widzi naokoło typowe dla kapitalizmu kontrasty — z jednej strony przerażającą nędzę, z drugiej odpychające bogactwo. Idzie on ulicami Limy i ze wszystkich stron szoferzy taksówek i przechodnie, biorąc go za Amerykanina „gringo”, proponują mu kobiety-Peruwianki (charakterystyczna cecha kapitalizmu — sprzedajne kobiety). Nasz człowiek sowiecki — co się samo przez się rozumie — odrzuca te ohydne propozycje, znajduje za to swoją typową Peruwiankę, nędzarkę, starą kobietę, śpiącą na ulicy, przykrytą gazetami.

Do tego miejsca wszystko jest w porządku, tysiące sowieckich poetów opisało to już dziesiątki tysięcy razy. Ale Jewtuszenko wie jak otrzymywać delegacje na podróże naokoło świata. Opoowiada nam więc co piszą gazety, którymi jest przykryta biedna ofiara kapitalizmu. Na jej plecach cedzą cocktajle:

*Hunt, Rockefeller, Onasis, Dupont
Na jej sztywniejącym ciele
Mao z Nixonem grają w ping-pong.*

Teraz już wszystko jest na swoim miejscu: zdemaskowawszy amerykańsko-chińskie machinacje, poeta uspokoił się. I pojechał dalej...

◆
Ubiegły miesiąc charakteryzuje się ważnymi *démarche'*ami politycznymi Leonida Breżniewa. 14 maja w Tyflisie i 11 czerwca w Moskwie zaproponował on państwu zachodnim rozpoczęcie rozmów o rozbrojeniu. Za wcześniej jeszcze by mówić o znaczeniu tych propozycji, ale ożywiona działalność Breżniewa po XXIV Zjeździe partii jest, jak mi się wydaje, interesująca z innego powodu. Sekretarz Generalny przystąpił do budowania kultu swojej jednostki. Jego nazwisko, jego portrety zaczynają pojawiać się coraz częściej i częściej. I choć Breżniew ma mniej szans niż Chruszczow do stworzenia „kultu”, bezlitosny mechanizm sowieckiego ustroju wciągnął go już w swoje tryby. Ciekawe jest to, że w poszukiwaniu „legitymizmu” tak Breżniew jak i Chruszczow zwracają się ku wojnie.

Stalin walcząc ze swymi konkurentami przedstawiał siebie jako jedyne, najbliższego i najwierniejszego ucznia „ojca rewolucji” — Lenina; Chruszczow był towarzyszem broni, uczniem (który co prawda oplotł nauczyciela, ale mimo wszystko był uczniem) Stalina. Już Chruszczow, nie mogąc powoływać się na swoje uczestnictwo w Rewolucji Październikowej, stworzył legendę o swoim decydującym udziale w zwycięstwie nad Hitlerem. Opracowano książki, dokumentalnie wykazujące, że to Chruszczow rozbił Paulusa pod Stalingradem i uwolnił Kijów, nakręcono filmy pokazujące Nikitę Siergiejewicza na punktach dowodzenia, dyktującego marszałkom ruchy wojsk.

Może to wydawać się śmieszne, ale Breżniew również zdecydował się na legitymizowanie swojej pozycji sukcesami w latach wojny. Trudno to zrobić. Nikita Siergiejewicz, jakby nie było, zaczął wojnę jako generał-lejtnant, członek Rady Wojennej Frontów. Leonid Iljicz był zwykłym pułkownikiem, politrukiem. No ale, jak uczył już towarzysz Stalin, nie ma takich twierdz, których bolszewicy nie mogliby zdobyć. I w *Nowom Wremieni* pojawia się ogromny artykuł o heroizmie pułkownika Breżniewa, dokonującego cudów na morzu i na lądzie. W przededniu przyjazdu Breżniewa do stolicy Gruzji, obchodzącej 50-ciolecie władzy sowieckiej, dosyć nieoczekiwanie ukazał się w prasie dekret o pośmiertnym nadaniu nazwy bohatera Związku Sowieckiego gruzińskiemu generałowi Liselidze. Ta niespodzianka została wyjaśniona już następnego dnia. W swoim przemówieniu w Tyflisie Generalny Sekretarz KPZS mógł skromnie oświadczyć: „miałem możliwość wojowania z generał-pułkownikiem Liselidze”. Oklaski, jakie rozległy się przy nazwisku gruzińskiego bohatera Breżniew mógł zapisać na swój rachunek.

Laury bohaterów, wieńczące generalnych sekretarzy, wziędną bardzo szybko. W kolejnym tomie nowego wydania Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej, który ukazał się w ostatnich dniach, w arty-

kule o drugiej wojnie światowej, nie ma nazwiska byłego wodza — Chruszczowa. A byłego genialnego wodza Stalina Breżniew — wyliczając „wielkich rewolucjonistów, których wydał gruziński proletariatus” — wymienić dopiero na czwartym miejscu; w ogóle „wybitnych rewolucjonistów” wymienić tylko 7-miu.

W poprzednim przeglądzie pisałem o rezultatach spisu ludności w Związku Sowieckim. *Izwestia* zamieściły artykuł dyrektora Naukowo-Badawczego Instytutu CSU, prof. Bojarskiego, poświęcony problemowi asymilacji. Bojarski potwierdził wyrażone przeze mnie w tymże przeglądzie przypuszczenie o daniu możliwości obywatelom sowieckim swobodnego wybierania narodowości.

„Spis brał pod uwagę — pisze profesor — nie biologiczne pojęcie narodowości i nie narodowość podaną w paszporcie, ale swobodną decyzję ludności”.

Jest charakterystyczne, że przeprowadza się granicę między „biologicznym pojęciem narodowości” a narodowością „zapisaną w paszporcie”. W sowieckich ankietach pojawiła się teraz nowa rubryka — narodowość rodziców. W ten sposób 16-letni obywatel Związku Sowieckiego, mający prawo, przy otrzymaniu paszportu, wyboru dla siebie narodowości ojca lub matki — jeżeli są różne — w ankiecie demaskuje swoją prawdziwą „biologiczną” narodowość. A więc — na przykład — żydowskie pochodzenie ojca lub matki robi go biologicznie niepełnowartościowym. Tym niemniej prof. Bojarski jest zwolennikiem asymilacji i małżeństw mieszanych (koniec końcem w ankietach nie ma jeszcze zapytań o narodowość babki i dziadka). Stwierdza on, że proces asymilacji postępuje bardzo szybko wśród Mordwinów, mieszkańców Karelii i u Polaków. „Na Ukrainie — czytamy w artykule — mężczyźni-Ukraińcy żenili się z Ukrainkami w 83 % na sto; Żydzi z Żydówkami w 63 %; Polacy zaś z Polkami jedynie w 22 %”. Profesor dodaje: „Szybkiej asymilacji Polaków żyjących w otoczeniu Ukraińców i Białorusinów pomaga także pokrewieństwo językowe”. Dlaczego pokrewieństwo języków polskiego i ukraińskiego powinno pomagać przemianie Polaków w Ukraińców — tego autor nie wyjaśnia.

Adam KRUCZEK

Majakowski był i pozostaje...

Wodzostwo było i pozostaje artrybutem sowieckiego stylu życia, tego stylu, który jest krzewiony przez partię i będące w jej dyspozycji „środki masowego przekazu”. Wodzostwo jest hierarchiczne. Każda dziedzina życia jest symbolizowana przez

jakąś postać, najlepszą, najmądrzejszą, najbardziej reprezentatywną. Najczęściej jednak stosuje się zestaw dwóch postaci, jednej z przeszłości, i drugiej aktualnej, politycznej. Symbolem takiego zestawu, pierwowzorem, był tandem Lenin-Stalin.

W prozie takim tandemem są nieżyjący Lew Tołstoj i żyjący Szołochow, w biologii Pawłow (i Miczurin) a obok nich Łysenko (i Oparin). Istnieją również wzorce niezespalone: w sferze teatru — MCHAT, w metalurgii — Fersman, w okulistyce Auerbach. W sumie jak w przedrewolucyjnym sloganie reklamowym „Czaj — Wysockij, sachar — Brodskij”. Są również bardziej już sezonowe gwiazdy: dojarki, traktorzyści, górnicy, nieśmiertelni bohaterowie, którzy muszą szybko ustępować miejsca następnym, równie nieśmiertelnym lecz bardziej aktualnym.

Osoby lansowane jako wzór urzędowy, otoczone kultem lub kulcikiem doczekały się w języku rosyjskim ironicznego określenia „majak”. Słowo to w języku rosyjskim oznacza latarnię morską, wzór daleki, wyniosły, niedościgniony, drogowskaz.

Myliłby się ten, kto uważałby, że kultury te wypływają z potrzeby „duszy rosyjskiej”. Przeciwnie. Rosjanie otaczają — jak i dawniej zresztą — głęboką czcią Lwa Tołstoję, lecz Szołochow, Fadiejew są głęboko nielubiani. Nie wiem, ile jest prawdy w krążących po Rosji uporczywych wieściach, że „Cichy Don” nie powstałby, gdyby szef powiatowego GPU nie przekazał powiatowemu dziennikarzowi zeszytów, znalezionych u rozstrzelanego białego oficera, ile prawdy jest w pogłoskach, że w Krasnodonie podczas okupacji sprawy wyglądały zupełnie odwrotnie, niż przedstawił je Fadiejew w „Młodej Gwardii”. Te wieści — to swoisty „ruch oporu”, przejaw niesmaku. Faktem jest, że kochający teatr mieszkańcy Moskwy nie lubią MCHAT-u i innych teatrów „Akademicznych”.

Szczególnie w kołach intelektualnych nie lubi się „majaków”, albowiem spoglądanie za ołtarz, widzenie stereoskopiczne, jest tam nawykiem nie mniej ugruntowanym niż na Zachodzie. W sowieckich kołach intelektualnych istnieje może głębsza niż gdzie indziej świadomość, jak niebezpieczne są „majaki” i wrocznie dla nauki, sztuki, kultury. Niedawny przykład Łysienki jest tylko skrajnym dowodem pewnej typowości. Pawłowa od Łysienki dzieli droga mleczna, lecz naginanie wszystkiego do pawłowizmu jest równie szkodliwe dla rozwoju nauki jak teorie Łysienki.

W dziedzinie poezji tandemem drogowskazów jest para Puszkina i Majakowski. *Publicity* Majakowskiego, nim został pośmiertnie, w połowie lat trzydziestych, pasowany na „drogowskaz” poezji rewolucyjnej, krętymi chodziła drogami i niewiele wskazywało na możliwość takiej kariery, kariery tak gruntownej, że sam termin „majak” jest nie tylko nawiązaniem do latarni, ale i do nazwiska wieszczka.

Majakowski, przed rewolucją pięknoduch, przypominający obecnych *hippies*, trochę poeta a trochę malarz, futurysta epatujący społeczeństwo zarówno formą wiersza jak i żółtego koloru spodniami (jak łatwo wówczas było być oryginalnym!) zgoła nie

był wówczas bolszewikiem, za jakiego usiłowano go wiele lat później przedstawić. Miał jakieś niesnaski ze stołeczną policją polityczną, ale o to nawet w carskiej Rosji nie było trudno, zwłaszcza że gros społeczeństwa, a szczególnie młodzież, miała przekonania co najmniej opozycyjne.

Ale opozycyjność ani nawet rewolucyjność nie była przecież tożsama ani z przynależnością do bolszewików ani nawet z sympatią do tego nurtu. Podkreślam to nie bezpodstawnie. Tuż po rewolucji lutowej w 1917 roku i obaleniu caratu sympatie polityczne Majakowskiego ujawniły się w sposób jasny i niedwuznaczny. W nocy z 16 na 17 marca dwudziestotrzyletni podówczas poeta recytował swe wiersze w kabarecie „Priwał komediantów” w Piotrogradzie i zebrawszy wśród publiczności kwotę 107 rubli 70 kopiejek przekazał pieniądze redakcji organu Partii Konstytucyjnych Demokratów (Kadetów), partii liberalnej, burżuazyjnej, którą bolszewicy, słusznie zresztą, uważali za główną przeszkodę w dalszym rozwijaniu rewolucji. Ten fakt stanowił tabu. Bo Majakowski był i pozostaje największym poetą rewolucji proletariackiej... Nawet Katanian, autor imponującej skrupulatnością kroniki każdego niemal dnia żywota Majakowskiego, o tym wydarzeniu milczy.

No, a ponieważ nie wolno ujawniać jego ówczesnych sympatii politycznych, niesposób dociec, jakimi drogami odbywała się ich ewolucja i przechodzenie na tory bolszewickie. (Być może, że odbywała się w sposób zbliżony do tego, jaki utrwalił lwowski dowcip z połowy XIX wieku. Gdy syn starego Rittnera wystąpił z gminy wyznania mojżeszowego by przyjąć katolicyzm, zapytano ojca, czy zostało to zrobione z przekonania czy też dla kariery. Papuncio z emfazą: „Tak, z przekonania, z przekonania, że w ten sposób o wiele łatwiej zrobi karierę!”).

Majakowski zmienił przekonania. Zmienił je gruntownie. Z gorliwością neofity gotów był ukrecać łąby nie tylko ludziom ale i kanarkom, bo i te stanowiły niebezpieczeństwo dla komunizmu. Piętnował ludzi, cieszących się z podwyżki poborów czy z kupna nowych spodni. Piętnował wszystkich niezgadających się, wahających się, zdradzających wątpliwości. Gdy Gorkij opuszczał Związek Sowiecki i udawał się na pół-emigrację na Capri, Majakowski pisał: „*Ja uszoł blestia protiortymi sztanami, was pławnio uwiezli mieždunarodnyje riesory*”. Gdy wyjeżdżał Szaliapin: „*I jeśli by wy wiernuliś nazad, ja by pierwyj skazał: Ko wsiem czertiam z matieriami katiś, narodnyj artist riespubliki!*”

Majakowski deklarował, że jemu do szczęścia z dóbr doczesnych potrzebna jest tylko czysto uprana koszula. Swoją rolę określał jako rolę „asenizatora i woziwody, zmobilizowanego przez rewolucję na front walki przeciwko poezji”. Lektura Majakow-

1. Te dwa wiersze to też tabu i znane są w Związku Sowieckim tylko w ustnym przekazie, podobnie jak i epigramat, napisany w 1924 roku, po odebraniu dowództwa Armii Czerwonej Trockiemu i przekazaniu Frunzemu: „*Łoszađ' smienila moszcnyj motor. Pośle Trockogo — Frunze, kakoj pozor!*”

skiego, poety doprawdy nieprzeciętnie uzdolnionego, wywołuje obecnie w Związku Sowieckim niejednokrotnie zażenowanie, gdyż gorliwość jego zbyt podobna jest do potępianej w Kraju Rad gorliwości chińskich hunwejbínów.

Jego wiersz „Posiedzeniarze” zasłużył sobie na pochwałę Lenina, który stwierdził, że nie podejmuje się oceny artystycznej, ale politycznie wiersz jest bardzo na czasie. Aforyzm Lenina jest w Związku Sowieckim interpretowany dwojako. Pierwsza interpretacja zakłada, że Lenin lubiący literaturę daleki był od uzurpowania sobie sądu w sprawach literackich. Druga interpretacja, że Leninowi Majakowski po prostu się nie podobał, mimo iż Lenin też był przeciwko nadmiarowi zebrzań, zwłaszcza jałowych.

Majakowski nie podobał się nie tylko Leninowi. Komuniści nie cierpieli go za neofityzm, przeciwnicy komunizmu za apostazję. Jedni i drudzy za daleko idące różnice deklaracji i czynów, zwłaszcza za zachłanność na dobra materialne. Chciał mieć więcej niż czystą koszulę. W latach powszechnej biedy, propagując rewolucyjną ascezę zarabiał tyle że mógł sobie nie tylko pozwolić na kupno zagranicznego samochodu ale i na utrzymywanie prywatnego szofera. Ale nie było też i chałtury na którą Majakowski by się nie rzucił.

Rosjanie kochają literaturę i swoich pisarzy. Rosja jest chyba jedynym krajem na świecie, gdzie z soboty na niedzielę młodzi ludzie zbierają się na całonocne czytanie poezji. Ale nie znam wypadku, by w czasie tych zebrzań recytowano Majakowskiego. Majakowski jest recytowany tylko „z urzędu”, w czasie akademii „ku czci”. Rosjanie kochają książki. Inteligenci w swych skromnych przeważnie mieszkaniach gromadzą Tołstoja, Czechowa, Turgeniewa, Jesienina, Ilfa i Pietrowa, roczniki *Nowego Mira*, tłumaczenia z języków obcych. Nie spotkałem w żadnym prywatnym domu tomów Majakowskiego... Często poeci o wiele słabsi znajdują o wiele większe uznanie.

Kiedy i jak zrobić karierę „drogowskazu”? W latach stalinowskich cytowano często zdanie wodza, że „Majakowski był i zostanie największym poetą rewolucji proletariackiej”, nigdy jednak przy poglądzie tym nie było odsyłacza, rygorystycznie dodawanego do każdego cytowanego zdania wyroczni. Zdanie tego nie sposób było znaleźć również w 13 wydanych tomach dzieł Stalina.

Okoliczności, w jakich zdanie to zostało sformułowane a Majakowski pasowany na „drogowskaz” były, okazuje się, dość osobliwe. Zostało to ujawnione w 1956 roku, gdy XX Zjazd KPZS rozwiązał ludziom języki. Bezpośrednio z relacji najbliższej przyjaciółki Majakowskiego, Lilli Brik wiadomo co następuje:

W 1935 roku Lilli Brik zwróciła się do Stalina z listem, w którym utyskiwała, że akurat mija 5 lat od samobójstwa Majakowskiego, ale jego przeciwnicy nie ustają w atakach nawet przeciwko martwemu, że pamięć jego jest poniewierana itd. Stalin czerwonym atramentem, dużymi literami na ukos pisma napisał (po rosyjsku: *nałożył rezolucję*): „*Tow. Beria: Majakowskij był*

i ostajotsia wieliczajszim poetom Proletarskoj Riewolucji. Wsiakoje preniebrieżenie k jego pamiaty prestuplienije! Josif Stalin"².

Oczywiście, nie ukazał się już ani jeden artykuł, lekceważący pamięć Majakowskiego. I trochę inaczej, dowiedziawszy się o tej rezolucji, zaczęłam oceniać ataki Żdanowa na tych krytyków; którzy wyżej od Majakowskiego cenili Tichona Chlebnikowa...

Marcin WYZIEMBŁO

2. Ostatnie zdanie: „Wszelkie lekceważenie jego pamięci jest przestępstwem”.

Koniec czeskiej partii komunistycznej

W Nrze 5/284 *Kultury* anonsowaliśmy pierwszy numer pisma czechosłowackiej emigracji „posierpniowej”, miesięcznika *Listy*. Linia pisma jest kontynuacją linii rewizjonizmu komunistycznego, która zdobyła w 1968 roku poparcie większości członków i działaczy KPCz. Linia ta zdobyła również duży autorytet moralny w skali światowej. Dla demokratów była przejawem możliwości oddzielenia praktyki politycznej komunizmu od zrośniętego z nią od lat nieczłowieczeństwa, zwanego umownie stalinizmem. Dla komunistów była ostatnią nadzieją. Nie tylko czechosłowacy, ale i włoacy, francuscy i inni komuniści widzieli w dubczekowskim eksperymencie możliwość rehabilitacji własnego ruchu i własnej drogi życiowej.

Dubczekowski komunizm nie przeżył drogi życia. O ile można podać analizie jego pragnienia, o tyle niesposób określić, do czego doprowadziłyby jego postulaty, gdyby ich realizacja nie została przerwana przez obcą interwencję.

Pierwsze numery *Listów* świadczyły dość zdecydowanie o pragnieniu nie tyle kontynuowania, co utrzymania linii zreformowanego komunizmu, jaki utrzymał się w wizji 1968 roku. To stanowisko Czechów i Słowaków jest jednym z istotnych czynników animujących rewizjonistów komunistycznych i tzw. Nową Lewicę na całym świecie, nie wyłączając Polski.

Trzeci numer *Listów* przynosi jednak gruntowne refleksje co do celowości tej linii politycznej. Rozważania te publikujemy w obszernym skrócie.

CO Z PARTIĄ KOMUNISTYCZNĄ?

Zrodziła się, tak jak i inne partie, z upojenia rewolucją październikową, z wizji rewolucji światowej, z radykalizacji mas po I wojnie światowej. W odróżnieniu od wielu innych, otrzymała w posagu legalność egzystencji i trzydziestoletnią tradycję zorga-

nizowanego marksistowskiego ruchu robotniczego, kraju w którym przyzwyczajono się łączyć ideę postępu narodowego ze społecznym a humanizm z socjalizmem[...].

Z tego właśnie powodu do partii komunistycznej zgłosiło akces wielu spośród tych, którzy stanowili elitę kraju, jego głos i sumienie, zawsze żywe, zawsze pobudzające. Tak samo jak w odległej, a przecież tak bliskiej, Rosji rewolucyjni robotnicy szli ręką w rękę z rewolucyjną inteligencją jako rzeczywista awangarda.

Po ośmiu latach ta jedność została rozbita. Najlepsi ludzie, najtęższe głowy, najofiarniejsi towarzysze podnieśli protest przeciwko zarządzanej stalinizacji, którą wówczas nazywano „bolszewizacją”. A gdy protest nie pomógł, złożyli legitymacje partyjne¹. Ślusznie rozumowali, że ponury cień feudalnej Rosji przysłonił nie tylko ideał rewolucyjny lecz i teorię Marksa, że w imię rewolucji rozpoczęto wypalanie rozżarzonym żelazem tego wszystkiego, z czego ten ideał i teoria się wywodziły. Czeską demokratyczną tradycję robotniczych organizacji wtłoczono w madejowe łożo na wpół konspiracyjnej organizacji. A jednocześnie w państwie rewolucji coraz większą władzę zdobywał stary, wzorowany na carskim, policyjny sposób myślenia.

Światowy kryzys gospodarczy i potęgująca się groźba faszyzmu nie wpłynęły na zahamowanie tego procesu w Związku Sowieckim, ale zmusiły zbolszewizowane partie komunistyczne aby przynajmniej po niewczasie wrócić do starych tradycji. W Niemczech było już zbyt późno, ale gdzieś tam jeszcze zdołano stworzyć front ludowy, podjąć wspólną walkę w Hiszpanii, toczyć razem akcje w obronie pokoju i przeciwko faszyzmowi. Przez chwilę wydawało się, że podstawowe hasła bolszewizacji — „To co leży w interesie Związku Sowieckiego leży również w naszym interesie” oraz że „Bezwarunkowe oddanie Związkowi Sowieckiemu jest sprawdzianem każdego komunisty” — ustąpiły miejsca konieczności analizy własnych potrzeb, własnej historycznej sytuacji.

Ale tak się tylko zdawało. W momencie, gdy Stalin podpisywał pakt z Hitlerem, gdy polscy komuniści ginęli w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, gdy poważna ilość niemieckich towarzyszy została wydana w ręce SS-manów, powrócił dylemat, czy rzeczywiście bezwarunkowe poparcie Związku Sowieckiego leży w interesie ruchu robotniczego?

Ale klęski zachodnich demokracji w pierwszym okresie wojny, napaść Hitlera na ZSSR, rola jaką ten ostatni odegrał w wojnie, to wszystko jak gdyby usprawiedliwiało indoktrynowaną bolszewizację.

Owszem, w latach powojennych dokonała się istotna ewolucja partii komunistycznych, tych właśnie, którym demokratyczna

1. Autor ma tu na myśli rozłam w KPCz w 1928 roku. Po stronie demokratycznej opowiedziało się większość członków i działaczy, m.in. niemal cała komunistyczna frakcja parlamentarna. Sekciarska mniejszość, w której wyróżnił się Gottwald, wygrała dzięki poparciu ze strony Komininternu, drastycznie ingerującego w sprawę partii.

struktura ich krajów pozwoliła na wybudowanie kompletnej własnej struktury stalinowskiej. Piętnaście lat stałego wentylowania działaczy partyjnych pod kątem owego podstawowego sprawdzianu wierności spowodowało, że na żadnym kierowniczym stanowisku nie pozostał nikt, kto nie byłby bezpośrednio aprobowany przez partię sowiecką. Ongiś było zrozumiałe że Komintern zatwierdza czołowych funkcjonariuszy każdej ze swych sekcji. Gdy interesy światowej rewolucji zostały zastąpione — początkowo nieoficjalnie a później zgoła urzędowo — interesami Związku Sowieckiego, niektórzy mieli złudzenia, że jest to różnica tylko formalna. Ale lata wojenne i okres powojenny dowiodły, że jest to różnica zgoła zasadnicza.

Po drugiej wojnie światowej w interesie Związku Sowieckiego leżało stworzenie sięgającego jak najgłębiej w Europę przedpola, użycie potencjału ekonomicznego państw wschodnioeuropejskich do zaleczenia własnych ran oraz do podniesienia własnego potencjału militarno-ekonomicznego oraz utrwalenie swej pozycji drugiego mocarstwa światowego poprzez stworzenie wielkiego regionu kontrolowanego przez Moskwę pod względem militarnym, ekonomicznym i politycznym. W regionie tym komuniści doszli do władzy — wyjąwszy Jugosławię, Albanię i częściowo Czechosłowację — nie dzięki własnej sile ale jako najbardziej wierni rzecznicy interesów sowieckich[...] Gdy komuniści jugosłowiańscy dali pierwszeństwo własnym interesom i własnej dumie narodowej, zostali natychmiast wyobcowani i napiętnowani jako agenci imperializmu.

Wówczas to po raz pierwszy okazało się, że jedyną rzeczywistą poręką interesów sowieckich jest okupacja wojskowa. W 1948 roku brakowało możliwości okupowania Jugosławii, ale doświadczenia jugosłowiańskie stały się dla polityki stalinowskiej późniejszych lat ważną nauczka. Sowieckie czołgi decydowały o losach powstania w Berlinie a bunt poznański znalazł swoją replikę w otoczeniu Warszawy przez sowieckie czołgi. Powstanie węgierskie zostało utopione we krwi przez sowieckie oddziały a czechosłowacka wiosna — zdeptana gąsienicami sowieckich czołgów. A w grudniu 1970 roku, przesilenie polskie rozwiązano nie mającym analogii w europejskich powojennych dziejach masakrowaniem robotników, wysuwając jednocześnie usprawiedliwienie, że był to jedyny sposób uniknięcia interwencji sowieckiej.

Tylko Chiny, Jugosławia i — o ironio! — Albania znalazły wyjście z żelaznej obręczy „komunistycznej dyscypliny” i „wierności dla kraju rewolucji”[...].

Jak odbiła się ta droga krzyżowa na Komunistycznej Partii Czechosłowacji? Można powiedzieć, że dzięki tradycjom czeskiego ruchu robotniczego miała ona może w sobie więcej siły niż inne partie komunistyczne. Na każdej stacji próbowała wyprostować się, by w konsekwencji ugiąć się jeszcze głębiej pod ciężarem krzyża „bezwarunkowej wierności”. W 1968 roku zdawało się, że będzie mogła skorzystać ze swej pozycji monopolistycznej reprezentacji politycznej dla oparcia się o kraj, naród, lud, klasę robot-

niczą, dla odbudowy swego deklarowanego posłannictwa, dla usprawiedliwienia swej monopolistycznej reprezentacji, dla rezygnacji z tego przywileju. Wydawało się, że potrafi dowieść, iż wszystkie dotychczasowe ofiary i ustępstwa nie zgasiły iskry, z której się zrodziła.

XIV zjazd KPCz — ten pod ochroną klasy robotniczej i w cieńnię sowieckich czołgów — był ostatnim rewolucyjnym czynem partii, ostatnim jej aktem jako partii własnego ludu, własnego narodu. Potem były już tylko większe lub drobniejsze kroki zbliżające ją do ostatniego rozdziału, który napisze tzw. zjazd czternasty „b”². Albowiem „czechosłowacka wiosna” i Dubczeka „socjalizm z ludzką twarzą” odpowiadając pragnieniom narodów Europy i nie tylko Europy, nie odpowiadał interesom Breżniewa i Związku Sowieckiego. [...] Komuniści czescy i słowaccy musieli dokonać wyboru: Albo Czechosłowacja, albo okupująca ją, uniemożliwiająca jej rozwój siła. Pół miliona członków partii nie przedarło się przez sito czystki. Zostali usunięci najlepsi, dla których słowa „socjalizm”, „wolność”, „władza ludowa”, „demokracja” zachowały jeszcze jakiś sens. Ci co pozostali, są członkami partii, stawiającej sobie zadanie utrzymania okupacji Czechosłowacji i obrony interesów okupantów. Taka jest logika stalinizmu, logika surowa i jednoznaczna, z którą nie będzie można uporać się przy pomocy jakichkolwiek wykrętów i alibi.

Co więc z KPCz? Czy znajdzie się kiedyś wystarczająca ilość Czechów i Słowaków, chętnych do przeprowadzenia linii demarkacyjnej między stalinizmem a komunizmem, między okupacją a partią komunistyczną? W takim kraju jak Czechosłowacja, wydaje się to mało prawdopodobne. Oczywiście, obecny stan rzeczy nie jest wieczny, więc rozwój a zwłaszcza nowe kryzysy spowodują nowe zróżnicowania, a ponieważ z woli okupantów KPCz jest jedyną siłą polityczną, przeto poprzez nią i „dzięki niej” sięgać się będzie po wiele rzeczy stojących w sprzeczności z głoszonymi przez partię zasadami. Ale to będzie tylko przystosowaniem się do warunków walki.

Czesi i Słowacy nigdy nie zapomną tego co było w 1968 roku i następnie. Gdy pewnego dnia pęknie cuchnący wrzód stalinizmu — trudno będzie odróżnić partię komunistyczną od (tych jej członków) którzy ją po trzykroć przekleli. Że pół miliona komunistów wystawiło na próbę swą egzystencję? Tego nikt nie neguje, nawet i tego, że w wypadku powodzenia takich komunistów byłoby o milion więcej. Ale ani oni ani nikt inny nie potrafi już przywrócić partii tego, czego została definitywnie pozbawiona bądź za czasów Stalina bądź za czasów Breżniewa — pozycji partii narodowej. Nie odzyska też zaufania obywateli przyszłej wolnej, socjalistycznej Czechosłowacji.

KPCz umarła w dniu w którym się wyparła. Albo: gdy w jej imieniu wyparto się. Poł tym względem historia nie zna wybaczenia. O tym wszystkim wiedzieli ci co na przestrzeni wieków

2. Artykuł napisany w przeddzień zjazdu.

wybierali śmierć, poniżenia, tułaczkę, ale nie wypierali się. O tym wiedział Aleksander Dubczek i ci, którzy podjęli tę samą co on decyzję.

Ale nawet on nie wskrzesiliby partii komunistycznej w tej postaci, jaką przybrała lub przybrać mogła w 1968 roku. Nawet gdyby po stokroć deklarowali, że stalinizm to jedno, a komunizm to coś innego, że imperializm sowiecki nie ma nic wspólnego z interesami rewolucji. Bo to wszystko już nie od nich będzie zależeć. O tym wszystkim będzie decydował paród.

Nie, nie ma i nie będzie już w życiu narodu — jak byśmy sobie przyszłego ustroju nie wyobrażali — miejsca dla masowej partii, której byt i niebyt związane są z perspektywami okupacji i namiestnikowania. Takie partie zawsze upadały, jakiego miana by nie przyjmowały.

A co będzie wówczas z tymi porządnymi komunistami, pragnącymi dobra, tymi którzy nie korzystali z przywilejów sprawowania władzy, którzy wiosną 1968 roku i w latach późniejszej okupacji dowiedli uczciwości i charakteru? Jest ich według obliczeń dozorców pół miliona. Każdy z nich ma swoje grzechy. Ale każdy kto to rozumiał wie, że rok 1968 i następne dają mu prawo do patrzenia prosto w oczy współobywatelom, znajdzie więc sobie miejsce w politycznym życiu narodu. Co więcej, doświadczenie tych ludzi, ofiarność, entuzjazm, będą potrzebne jak powietrze. Nie trzeba tylko szukać drogi wstecz, a jedynie naprzód.

DALIMIL

(Przełożył z czeskiego Józef Lewandowski)



OSTATNIE WIADOMOŚCI Z CZECH

Z Pragi donoszą, że Instytut Języków i Literatur Czechosłowackiej Akademii Nauk został z dniem 1 stycznia właściwie zlikwidowany, chociaż nazywa się to „reorganizacją”. Usunięto wielu pracowników, w tym dwóch polonistów. Pogarsza się też wciąż sytuacja na Uniwersytecie Karola. Polonista doc. Bartosz, niegdyś stalinista, w roku 1968 przejściowo „liberał”, jest na nowo wierny „linii”. Ale kluczową pozycję zajął polonista (językoznawca) doc. Jan Petr, człowiek bez charakteru, cieszący się pełnym zaufaniem partii. Podobno nawet ambasada PRL w Pradze unika kontaktów z nim. Tłumacz literatury polskiej Jan Pilar, poeta i niegdyś stalinista, gra pierwsze skrzypce w wydawnictwie Československý Spisovatel, które odebrano Związkowi Pisarzy i oddano pod kuratelę Min. Kultury. Inny polonista, tłumacz Borivoj Kremenak, został dyrektorem największego czechosłowackiego wydawnictwa Odeon w Pradze. Uchodzi za oportunistę, ale robi sporo aby wzrosła ilość przekładów z literatury polskiej.

Polemiki

Słowo

Z tego, że „Na początku było słowo” nie wynika jeszcze, że słowo było początkiem. Początek mógł być przed słowem. Wolno tak przypuszczać, bo przecież to zdanie brzmi jak brzmie: „Na początku było słowo”, a nie: „Słowo było początkiem”.

Kiedy samochodem wjeżdża się do Paryża, kiedy wjeżdża się do Paryża? Czy wtedy, kiedy pojawiają się przedmieścia? Czy kiedy widać wysoki mur kamienic na bulwarach peryferyjnych? Czy kiedy ukazuje się Notre Dame? Co to jest Paryż? („Paryż”?). Co jest Paryżem, a co nim nie jest? Gdzie jest granica między „Paryż” a „nie-Paryż”, która rozstrzyga?

Rozstrzyga („rozstrzyga”?) słowo. Słowo „Paryż” napisane na tablicy, znaku drogowym. Podróżnik od razu czuje się lepiej, uwolniony od wątpliwości. Wie, że kiedy minie tablicę, znajdzie się w Paryżu, a przedtem, zanim ją minął, w Paryżu jeszcze nie był.

Podobno kiedyś ludzie nie umieli mówić. Kiedy się nauczyli, tak ich ta zdolność zachwyciła, że utożsamili słowo z rzeczą. Później zaczęła się wątpliwość co do tej tożsamości: czy istnieje? I co robić, czy wierzyć, że słowo jest tożsame z rzeczą, czy nie wierzyć. A może po prostu zamiast wierzyć, czy też nie wierzyć ryczałtem, w ogólności, należy wierzyć, albo nie wierzyć w każdym osobnym, pojedynczym wypadku. W jednym wypadku wierzyć w drugim nie. Kiedy potrzebuję młotka, mówię: „Podaj mi młotek” i mam pewną gwarancję, że to nie znaczy „Podaj mi obcęgi”. Ale kiedy mówię: „Oto Paryż”, nie mam już tego samego zaufania co do słowa „młotek”, do słowa „Paryż”. Bo — być może — jestem już w Paryżu zanim ukaże się tablica z tym słowem. A może nie. W każdym razie sprawa nie jest już tak jasna.

Są słowa skromne, małe, ciasno przylegające do skromnych, małych rzeczy. Potem cała gama, aż do słów-worów. Niektóre wory są monstrualnej wielkości.

Jestem literatem i obcuje ze słowami. Poznałem ich słabości i podstępny, ale muszę się nimi posługiwać. I tak jestem w łatwiejszym położeniu, niż publicysta, ponieważ literatura nie polega na tym, żeby coś wykazać, czy udowodniać bezpośrednio. Literatura jest raczej kształtowaniem nie-znaczenia przy pomocy znaczeń, tak jak muzyka jest kształtowaniem milczenia przy pomocy dźwięków. Rozumiem i szanuję trudność, która przypada kolegom po słowie, w innej dziedzinie zastosowania słowa. Ale pozostaje nieufny.

Moja nieufność obudziła się ostatnio przy lekturze artykułu Leszka Kołakowskiego pt. „O nadziei i beznadziejności”, w szóstym, czerwcowym numerze *Kultury*. A raczej przy lekturze następującego fragmentu:

„Prawdopodobnie w warunkach swobody wyboru znaczna większość polskiej klasy robotniczej i inteligencji pracującej opowiedziałaby się za socjalizmem, podobnie jak opowiada się za nim niżej podpisany. Za socjalizmem, to znaczy za suwerennym organizmem narodowym, który zakłada kontrolę społeczeństwa nad zastosowaniem i rozwojem środków produkcji i rozdziałem dochodu narodowego oraz nad administracyjno-politycznym aparatem, pracującym jako organ społeczeństwa, nie zaś pan mający społeczeństwo 'do pomocy', za organizmem więc zakładającym swobodę informacji i komunikacji, pluralizm polityczny i wielość form społecznej własności, poszanowanie dla kryteriów prawdy, efektywności i interesu publicznego, swobodę zrzeszeń zawodowych oraz swobodę od samowoli policji politycznej, a także prawodawstwo karne, którego celem będzie ochrona społeczeństwa przed antyspołecznym zachowaniem, nie zaś czynienie przestępstwami wszystkich obywateli, aby móc wszystkich szantażować”.

Ustęp ten zawiera listę postulatów, których urzeczywistnienie — każdego z osobna — daje w sumie (czy dałoby) ogólność, nazwaną socjalizmem. Czyli listę składników, które stwarzają całość. Ale to moje przedstawienie nie jest jeszcze ścisłe. Bo autor zaczyna od postulowania całości (socjalizm), a dopiero potem wymienia składniki. Z tego wynika, że całość jest na początku, składniki potem, zależne od całości, czyli ogólność rodzi poszczególność. To, co jest wewnątrz, rodzi się dopiero z tego, co jest dookoła, co obejmuje nazwą.

Każdy z wymienionych postulatów (z wyjątkiem jednego, o tym później) da się przedstawić jako konkretna działalność ludzka. Informować, komunikować, zrzeszać się, wydawać prawa, ochraniać. Albo też z konkretną działalnością ludzką ma połą-

czenie. Suwerenność narodowa implikuje nie tylko stan suwerenności, ale też aktywność doprowadzającą do tego stanu, albo go broniącą. Każdy z tych postulatów da się więc przetłumaczyć od biedy na konkretne obrazy, niekoniecznie aż tak symboliczne, jak na przykład wolność jako taka, wolność w ogóle, która może być przedstawiona tylko jako tłusta kobieta z trąbą. Gdyby mi kazano nakręcić film o swobodzie zrzeszania się nie musiałbym się uciekać aż do tak odległej metafory, jak odegranie czegoś przez tę kobietę na tej trąbie. Wystarczyłaby historia jakiegoś związku zawodowego, czy nawet studenckiego klubu.

Natomiast socjalizm... Jak to przedstawić? Słowo niezmiernie, wyłącznie abstrakcyjne. Bez gipsowego golasa (bo słowo „socjalizm” jest rodzaju męskiego) z maczugą, albo czymś takim, nie można.

A więc jest to bardziej słowo, niż konkret. Ale można mi powiedzieć, że rozumiem nieuczciwie, ponieważ właśnie owe składniki-konkrety razem dają socjalizm, czyli socjalizm jest konkretem. Dobrze, ale autor artykułu, który pobudził mnie do tych refleksji, zaczął akurat odwrotnie: od abstrakcji, która ma spłodzić konkret. „Na początku było słowo”.

Ale nawet... Nawet jeżeli te składniki-konkrety, to właśnie socjalizm, socjalizm tylko i nic innego...

Przeczytajmy ich listę raz jeszcze. Okazuje się, że wszystkie postulaty, może tylko z wyjątkiem „...kontroli społeczeństwa nad zastosowaniem i rozwojem środków produkcji i rozdziałem dochodu narodowego” (ale już bez: „...oraz nad administracyjno-politycznym aparatem”) są, czy bywają urzeczywistniane — w takim, czy innym stopniu — tam, gdzie to się nie nazywa „socjalizm”. Natomiast ich realizacja znika wszędzie tam, gdzie to zaczyna się nazywać „socjalizm”, albo w najlepszym razie nie ma jej w dalszym ciągu, jeżeli przedtem też jej nie było. A więc:

Jeżeli coś trochę jest, a trochę tego nie ma — to czy jest, czy też nie ma?

Czy to jest, choć się nie nazywa?

Czy tego nie ma, bo się nie nazywa?

Czy jest, bo się nazywa, choć go nie ma?

Czy trzeba nazwać, jeżeli już jest, żeby było?

Czy nazywać?

Ktoś mi powie: Owszem, owe postulaty bywają urzeczywistniane tu i ówdzie... Ale po pierwsze, nie wszystkie, tylko niektóre z nich. A więc socjalizmu tam nie ma, bo socjalizm zakłada kompletność listy. Po drugie, każdy z nich z osobna bywa realizowany tylko częściowo, ułomnie, czasem mniej, czasem więcej, albo też nierównomiernie, to znaczy jeden mniej, drugi więcej, ale żaden z nich nigdy nie do końca, nigdy w stu procentach.

Jednakże autor „O nadziei i beznadziejności” docenia względność. Ja również. Uważam, że pogląd „wszystko, albo nic” jest urojeniem (czasami ładnym, albo wygodnym), a nie wnioskiem z rzeczywistości. Zaprzeczanie temu, że różnice w stopniach są tak samo ważne, jak samo życie, jest śmiertelnie głupie. Nie jest wszystko jedno, czy ma się trzydzieści osiem stopni gorączki, czy czterdzieści jeden. Kto zostaje skazany na dziesięć lat więzienia, woli to od dożywocia, chociaż najchętniej posiedziałyby tylko jeden rok. Kiedy ludzie ze Wschodu rozmawiają z ludźmi z Zachodu o różnych uciążliwościach, ludzie z Zachodu irytują ich. Bo ci ze Wschodu są skazani na dożywocie, a ci z Zachodu na jeden rok z zawieszeniem, ale mówią, że to wszystko jedno.

I wreszcie można powiedzieć, że „... *Kontrola społeczeństwa nad zastosowaniem i rozwojem środków produkcji i rozdziałem dochodu narodowego*...” jest podstawowym warunkiem, żeby był socjalizm. Ale w takim razie czy spełnienie tego warunku samoczynnie powoduje spełnienie wszystkich innych? (Czy choćby ich części?). Czy też odwrotnie: raczej spełnienie pozostałych warunków może doprowadzić do spełnienia, dopełnienia tego pierwszego. Jeżeli spełnienie pierwszego warunku prowadzi do spełnienia pozostałych, to w takim razie zaczynamy od pierwszego. Ale jeżeli mamy co do tego najmniejsze choćby wątpliwości, to ostrożność jest wskazana. Bo czy nie lepiej nie „kontrolować”, a cieszyć się pokazną resztą? I tak samo, jeżeli nawet urzeczywistnienie wszystkich innych warunków niekoniecznie prowadzi do urzeczywistnienia pierwszego, to czy urzeczywistnienie tych innych to już nie jest coś, co należy cenić?

Trudno oczywiście nie pragnąć realizacji pierwszego postulatu. Nasuwają się jednak wątpliwości. Przede wszystkim wynikają z doświadczenia. O ile wszystkie pozostałe postulaty bywają mimo wszystko urzeczywistniane, w tym, czy innym czasie, tu czy ówdzie, lepiej, czy gorzej — o tyle pierwszy, jak do tej pory — wszędzie pozostaje tylko propozycją, albo projektem. Może dlatego, że — jeżeli mu się lepiej przyjrzyć — jest niezmiernie rozległy, prawie wszech-obejmujący. „*Kontrola społeczeństwa nad zastosowaniem i rozwojem środków produkcji i rozdziałem dochodu narodowego*” to tak dużo, że chyba wszystko czyli za dużo. A więc w odróżnieniu od innych postulatów łatwiej wyobrażalnych i wykonalnych, bo mniej obszernych — ten postulat wydaje się bliższy abstrakcji-słowu, niż konkretowi. Obawiam się, że w tym wypadku musiałbym jednak zastosować obnażoną kobietę z instrumentem muzycznym, żeby jakoś przedstawić ten rodzaj kontroli. Społeczeństwo nie może uprawiać jej inaczej, jak za pośrednictwem przedstawicieli. A więc nie będzie to już społeczeństwo, ale przedstawiciele. A kontrolować własność i roz-

dzielać dobra, to rzecz o wiele bardziej delikatna, niż kontrolować cokolwiek innego. W nie-socjalizmie ci, którzy to robią, nie udają, że robią to w imieniu społeczeństwa. Są to po prostu i bez ogródek — właściciele. Pod tym względem sprawa jest czysta.

Ale załóżmy, że gdzieś, kiedyś, jakieś społeczeństwo będzie mogło kontrolować „*zastosowanie i rozwój środków produkcji, i rozdział dochodu narodowego*” niejako osobiście. I że wszystkie inne postulaty będą także spełnione. Powstaje pytanie: czy wtedy będzie już dobrze?

Obawiam się, że nie. Nie będzie dobrze, jeżeli nie będzie się dobrze nazywało. Nie będzie ładnie, dopóki nie zostanie ładnej nazwy. Wprawdzie nie nazwa tworzy dzieło (choć próby są w toku), ale nazwa wieńczy dzieło. Tak czy inaczej, bez nazwy nie ma dzieła. Bez nazwy ani rusz.

Sławomir MROŻEK

Umilknięcie

ODPOWIEDŹ NA „SŁOWO”

Zdaje mi się, że pojmuję, o co Mrożkowi chodzi, ale muszę to wpiérw przełożyć na własną mowę, bardziej płaską i bardziej abstrakcyjną zarazem. Niechaj mnie Mrozek sprostuje, jeśli się mylę.

Otóż rozumiem, że Mrożkowi nie tylko o to chodzi, że mu słowo „socjalizm” obrzydzone, ale o to głównie, że wszelkie takie słowa-hybrydy, słowa-centaury, słowa-wory, słowa-przepaście, emocjonalnie naładowane, a semantycznie chwiejne, to mają do siebie, że gdy raz do nich przywyknijemy, popadamy w taką od nich zawistość, iż mniej nas obchodzi, jakby życie ludzkie uczynić znośniejszym, a bardziej, jakby rzeczywistość tak przykroć, iżby do owych mętnych słów pasowała. Mówimy „wolność” albo „socjalizm”, albo „demokracja” albo „Bóg” albo „ojczyzna” i zdaje nam się, że wiemy o co chodzi i że słowa nasze są nosicielami najwyższych wartości; tymczasem nie tylko nie wiemy, ale owym słowom niejasnym podporządkowujemy wszystkie sprawy ludzkie i roimy sobie, że najważniejszą rzeczą jest nie to, by ludziom lepiej było, ale, by świętość słowa nie doznała uszczerbku. Potem już nam wolno krzyżować i masakrować wszystkich, którzy w naszym mniemaniu nie spełniają warunków przez słowo narzuconych, więc na przykład wierzą w Boga, ale w Tróję nie wierzą,

albo domagają się po prostu wyborów i zniesienia cenzury, nie zaś „Wolności”, albo chcą zapewnić ludziom przyzwoite życie, nie zaś „Socjalizm” itp. Starajmy się przeto — taki chyba jest morał, który Mrożek podsuwa — mówić o poszczególnych sprawach, o które nam chodzi, omijając słowa doktrynerskie, które więcej noszą pasji, niż treści, a przy bliższym wejrzaniu porządnie się zdefiniować nie dadzą.

Takie jest moje życzliwe streszczenie Mrożka. Nieżyczliwe bowiem byłoby takie: Mrożek karci mnie za to, iż powiadam „socjalizm czyli a, b, c, d.”, nie zaś „a, b, c, d czyli socjalizm” (bo to jego główny argument); tymczasem trudno się dopatrzeć fundamentalnej różnicy między powiedzeniem, np., „pacjent ma anginę, bo ma naloty na migdałkach, gorączkę i ból gardła”, a powiedzeniem „pacjent ma naloty na migdałkach, gorączkę i ból gardła, a więc ma anginę”. Nie chcę jednakowoż Mrożkowej krytyki całkiem zbywać, bo nie chcę tego zaciemniać, co jest jej racją. A racją jest to właśnie, że owe wyrazy hasłowe i zbiorcze, nieuchronnie w treści chwiejne, zdają się w końcu zdobywać taką nad nami władzę, że wartości bardziej szczegółowe, jakie z nimi zwykło się wiązać, popadają w niepamięć, a zbiorowości ludzkie zdają się walczyć ze sobą i organizować się wokół słów bardziej, niż wokół tych wartości szczegółowych i stosunkowo przejrzystych.

Lecz trzeba sobie zadać pytanie, dlaczego tak się dzieje, a także czy i jak można temu zaradzić. Od kilku stuleci filozofowie proponowali językowe terapie i tłumaczyli ludziom, że powinni zaniechać używania słów, które bądź nic nie znaczą, bądź są niespójnymi zbitkami różnych niejednorodnych treści. Lecz wyniki tych słusznych zaleceń nie są, jak wiadomo, imponujące. Na pewno słowo „Bóg” nie da się zdefiniować porządnie, a tym bardziej nazwy różnych boskich przymiotów; toteż od wieków wyjaśnili filozofowie, że różnice między Bogiem takim a owakim, mużułmańskim a chrześcijańskim, unitariańskim a trynitarskim, są różnicami urojonymi i tylko szaleńcy, własnej ignorancji nieświadomi, mogą się o takie sprawy spierać i wzajem mordować. Do tego miejsca krytyka taka wydaje się rozsądna. Ale przyzna chyba Mrożek, że wielkim głupcem byłby filozof, który by oznajmił, że wobec tego podboje arabskie, wyprawy krzyżowe, inkwizycja, wojny husyckie, reformacja — wszystko to pożałowania godne skutki językowego niechlujstwa i nadmiernego ufania „Słowu” i że można by tego wszystkiego uniknąć, gdyby się ludzie bardziej przykładali do namysłu nad sensem wyrazów. Bo przecież wiemy, że we wszystkich tych sprawach o coś istotnego chodziło, różne realne interesy i aspiracje się ścierały, a sam ten fakt, że ludzie te swoje interesy i aspiracje organizowali w postaci

twierdzeń odnoszących się do Trójcy świętej lub transsubstancjacji, fakt ten jest może wytłumaczalny, lecz sam na pewno nie tłumaczy historycznych wydarzeń. A podobnie jest ze wszystkimi słowami, które są uwikłane w ideologiczne zatargi. Słowo „rasa”, tak jak je hitlerowcy używali, nie znaczyło nic zgoła, lecz nie wynika stąd, że hitleryzm był opłakanym skutkiem słownego nadużycia, gdyż był czymś całkiem innym. Słowa takie jak „demokracja”, „socjalizm”, „wolność”, „równość” — czy mamy czy nie mamy do nich sympatii nie są również w dobrym położeniu. Są to, ani chybi, zbitki, niespójne na pozór, z historią zawiłą, obrosłe skojarzenia najróżniejszymi. Lecz myliłby się Mrożek ogromnie, gdyby mniemał, że stąd, iż słowa są takie właśnie, rzeczywistości społeczne i ruchy polityczne i państwa i ustroje, są takie właśnie jak są, a nie inne i że możemy świat uleczyć ucząc go nieufności do słów mglistych. Mają bowiem te słowa inną spójność, mniej oczywistą — spójność ludzkich interesów, które w najróżniejszych zestawach i wedle najrozmaitszych kryteriów się łączą, nie dlatego, że ludzie niedbale słów używają albo się fascynują ich magią, ale dlatego, że takie są ludzkie sprawy. Więc może Mrożka wezwanie do nieufności względem słów i jego ostrzeżenia przed ich magią lepiej się będą tłumaczyć, gdy je przeciw Mrożkowi obrócić — bo on właśnie zdaje się wierzyć w potęgę słów, która potęgę interesów zniewala.

Przykład Paryża niefortunnie też Mrożek wybrał, bo i ten się przeciw niemu obraca. Już starożytni Grecy... W rzeczy samej, już starożytni Grecy wiedzieli, że mowa potoczna prawie z samych takich słów się składa, których zakresy są niejasno zarysowane. Dlatego tylko przez arbitralną definicję można ustalić granicę między broszurą a książką, między stołem a stolikiem, między młodzieńcem a mężczyzną, między łysym a nie-łysym. Tylko przez arbitralną definicję można też ustalić, gdzie się Paryż kończy, a co innego zaczyna. To zaś Mrożkowi się nie podoba i nieufnie, jak pisze, do słowa „Paryż” się odnosi, a woli słowo „młotek”. Lecz ludzi się Mrożek sądząc, że między Paryżem a młotkiem jest znaczna pod tym względem różnica. Gdy gwoździe wbijam tłuczkiem do mięsa, który ma kształt młotkowaty — jest-że ów tłuczek młotkiem, czy nie jest? A gdy trzonek się złamie, młotek to jeszcze, czy już nie-młotek? I nie ma takiego słowa w mowie potocznej, które by podobnych wątpliwości nie budziło. Więc cóż mamy czynić? Nie używać słowa „Paryż”, bo „nieufność” budzi? W takim razie ani słowa „młotek” nie możemy użyć, ani „stół”, ani „zielony”, ani „mówić”, ani, po prawdzie, żadnego słowa w ogóle. Mamyż umilknąć całkiem? Może lepiej stawiać takie właśnie tabliczki, które wedle arbitralnych ustanowień administracji decydują, gdzie się Paryż zaczyna?

A że wielość spraw rozmaitych w jednym ujmujemy słowie, na to rady już nie ma. Tak się bowiem dzieje — a nie od słów to zależy, lecz od rzeczy — że coraz więcej spraw ludzkich współzależy od siebie i że coraz mniej są przydatne zalecenia, byśmy się całościami nie zajmowali, a tylko szczegółami. Wiadomo bowiem, że nie podobna osobno zwalczać bezrobocia, a osobno inflacji, jako że tak się przykro składa, że gdzie bezrobocia nie ma, tam jest przeważnie inflacja (choć nie odwrotnie). I podobnie nie może być gospodarczej demokracji tam, gdzie politycznej demokracji nie ma (choć nie odwrotnie), nie można więc sensownie pierwszej się domagać, a drugą lekceważyć. A tam, gdzie jest głód i przeludnienie i analfabetyzm, jawne się stało, że wszystkie te nieszczęścia wzajem się wzmacniają i wzajem reprodukują i że trzeba o całości od razu myśleć, a nie tylko o każdym nieszczęściu z osobna. Więc nie nad potęgą magiczną słów ubolewać należy, ale najwyżej nad obrotem spraw ludzkich, które wszystkie coraz bardziej się kumulują. A dzieje się tak od chwili, gdy ludzkość utraciła większą niewinność i jeła zaludniać miasta.

Mierzi Mrożka słowo „socjalizm”, albowiem, jak powiada, różne sprawy ważne, które się w to słowo pakuje, załatwiono w różnych miejscach świata bez socjalizmu, a właśnie w socjalizmie nie załatwiono. Jest to taka prawda, która brzmi dobrze z perspektywy Paryża, a gorzej z perspektywy Warszawy, a jeszcze gorzej z perspektywy Brazylii. Jak dotąd bowiem, socjalizm załatwiał pewne sprawy elementarne tam, gdzie inne systemy okazały się niezdolne do ich załatwienia i twierdzenie, że każdy kraj może sobie zwyczajnie powtórzyć u siebie, wedle wyboru, historię Anglii albo Holandii albo Stanów Zjednoczonych, byłoby radą żywcem z Sałtykowa-Szczedrina wziętą, albo zgoła z Mrożka. Nie twierdzę stanowczo, że takie jest właśnie Mrożka zalecenie. Lecz jeśli nie, to cały jego wywód sprowadza się do oznajmienia, że go właśnie słowo „socjalizm” brzydzi. Słowo, powiadam, bo wbrew oświadczeniu początkowemu, wierzy on, że nieszczęścia z nadużycia słów pochodzą, a nie z ludzkich konfliktów.

A już słowom zarzucać, że są „abstrakcyjne” to doprawdy czarna niewdzięczność. Niechże Mrozek przeczyta wszystko, co kiedykolwiek napisał i sprawdzi, jakie to słowa, przezeń użyte, prócz imion własnych, są nie-abstrakcyjne; przekona się wnet, że nie ma takich. Gdybyśmy bowiem abstraktów nie potrzebowali, nie potrzebowalibyśmy języka. Abstrakty tępić to tyle, co do zupełnego umilknięcia wzywać. Po raz drugi tedy prowadzi Mrozkowy wywód do tej samej rady: milczmy.

Lecz powtarzam: wcale nie lekceważę walki przeciw słownym mistyfikacjom i wiadomo mi dobrze, że się z pomocą zaciemnianych słów zwykło zaciemniać ludzką świadomość. Jest, oczywiście,

ważne, aby ludzie nie mylili „wolności” z terrorem, „zaangażowania” z donosicielstwem, „niepodległości” z lokajstwem itd. Lecz lepiej się przeciw zatrutej świadomości walczy, kiedy się słowa wyjaśnia, niż kiedy się na nie pomstuje.

Leszek KOŁAKOWSKI

Lits ze Sztokholmu

Szanowny Panie Redaktorze!

Donoszę Panu, że był u nas w Sztokholmie współpracownik *Kultury*, Gustaw Herling-Grudziński, który to bardzo, a bardzo „naszczekał” na inteligencję krajową. Zarzutów było sporo, ot chociażby ewidentny zresztą, serwilizm co niektórym luminarzy, ale przede wszystkim miał jej Grudziński za złe, że nie poparła robotników podczas pamiętnych wydarzeń grudniowych ubiegłego roku. No bo gdybyśmy tak wspólnymi siłami, to znaczy i robotnicy i inteligencja (jak to było Panie Redaktorze, bo już dokładnie nie pamiętam: „polska szlachta z ludem polskim...”), to może byśmy teraz siedzieli razem w warszawskiej kawiarni „Nowy Świat” i ja bym nie musiał pisać tego listu do Paryża. Tak ostatecznego wniosku, gwoili prawdy, Grudziński nie wyciągnął, ale niewątpliwie słuchacze odnieśli wrażenie, że jakaś dziejowa szansa została zaprzepaszczona. No i potem dyskusja, bo rzecz się działa w klubie czytelników *Kultury*, potoczyła się jakby tu „zszyc do kupy” inteligencję z klasą robotniczą. Powodem bowiem wielkości naszych niepowodzeń narodowych są, według Grudzińskiego, właśnie oddzielne wystąpienia: w Poznaniu — robotnicy, w marcu — sami inteligenci, w grudniu znowu sami robotnicy. Tu jeden z obecnych na sali inżynierów nieśmiało zauważył, że chyba podczas strajków w stoczniach na Wybrzeżu inteligencja techniczna odegrała jakąś rolę, i Grudziński zaraz bardzo przeprosił, wyjaśniając, że miał na myśli jedynie inteligencję humanistyczną („twórczą” — odpowiedział ktoś z nowej emigracji i od razu poczułem się jak w domu).

Prelegent uczciwie przyznał, że nie bardzo rozumie dlaczego inteligencja tak brzydko zachowała się w grudniu i wezwał nas właśnie abyśmy tę sprawę przedyskutowali. Zasugerował jednak strach jako przyczynę, Wielki Strach w sowietyzmie i przetłumaaczył nam to nawet na włoski. Zachęcony więc tą niewiedzą Grudzińskiego, wstał zaraz jeden młody człowiek i zauważył, że inteligencja polska po prostu nie ma programu, niczego do zapropo-

nowania robotnikom, no i właśnie dlatego nie przyłączyła się. Następny mówca go poparł, ale był zdania, że taki program może jedynie powstać na emigracji, no bo przecież nawet Lenin wyjechał za granicę, po to by w warunkach wolności napisać wskazania dla partii bolszewickiej. Wszyscy żeśmy się od razu różnie poculi i sam się nawet zastanawiałem, czy by nie pognać do Biblioteki Królewskiej i nie machnąć nowego *Co robić*.

Tak już na poważnie to chciałbym, Panie Redaktorze, wziąć w obronę inteligencję tak, tę humanistyczną czy twórczą, bo nikt przecież poważny nie dopuściłby u nas inżyniera do układania programów, zawsze nam je w Polsce tworzyli wieszczowie. Zanim jednak o meritum sprawy, trochę o tych powodach, a więc strachu i braku programu.

Nie ulega wątpliwości, że po marcu środowiska twórcze zostały spacyfikowane. Pewnie, że ludzie się boją, mogą przecież wyrzucić z pracy, zakazać druku, nie dać paszportu na wyjazd za granicę i wiele jeszcze rzeczy mogą. Dostają co prawda obecnie listy od przyjaciół z Kraju, niektórzy z nich, ci bardziej optymistyczni, piszą mi, że „idzie ku lepszemu”, ale nie podają na kopercie adresu zwrotnego. Daje mi to dużo do myślenia, i jest powodem do zwątpień czy rzeczywiście już jest tak dobrze. Nie mniej jednak nie ma w Polsce obecnie takiego terroru, w którym by człowiek nie mógł zachować godności ludzkiej. Nie rozstrzelają przecież, nie wyrwą paznokci, nie posłą na Sybir, na zdrowy więc rozum, ale tylko taki bardziej prostolinijszy, powiedzmy, zachodni *common sense*, „cała Warszawa” powinna była protestować, gdy z helikoptera strzelano do robotników, i solidaryzować się z ruchem strajkowym. Cisza jednak była u literatów, u naukowców, nawet u studentów. Jak makiem zasiał. Czy to jednak strach? W Kraju wiedzą przecież, że w tym ustroju nie ma nic ostatecznego, zakażą druku, ale potem znowu pozwolą pisać (patrz casus Andrzejewski, Słonimski czy Kisielewski), podroczą się z paszportem ale w końcu puszcza, a wyrzucą z pracy, to jeszcze przecież niejaki Lejzorek Rojtszwaniec zauważył, że jak redukują, to znaczy, że będą przyjmować. Trudno zresztą przypuszczać, żeby na przykład czołowi przedstawiciele kultury polskiej, nie chcę wymieniać nazwisk, ale Pan wie o kogo chodzi, bali się. Co im miano zrobić — zrobiono, nic więcej nie można, i jeśli w grudniu milczeli, to nie strach przed represjami osobistymi ich paraliżował.

A teraz o tym nieszczęsnym programie. Czego jak czego, ale programów to nam w Polsce i na emigracji nie brakuje. Każda kolejna generacja rewolucjonistów pisywała takowy, w śp. *Po prostu* ukazał się nawet artykuł pod wymownym tytułem *Co robić*, i wbrew ówczesnej partyjnej i nie tylko partyjnej krytyce, że pismo zamieszczało jedynie artykuły „na nie”, można by w dwóch ostatnich rocznikach znaleźć sporo konstruktywnych propozycji. Pisali program Kuroń i Modzelewski, układali zbawienne rady dla Kraju michnikowcy, a na emigracji, bez obawy o przesadę można powiedzieć, że aż roi się od programów. Ot chociażby

w kwietniowym numerze wydawanego przez Pana miesięcznika przeczytałem konkretny plan profesora Mieczkowskiego przywrócenia w Polsce kapitalizmu, i chociaż mam poważne wątpliwości czy właśnie tego rodzaju program powinna być inteligencja krajowa zaprezentować robotnikom w grudniu, nie mówiąc już o tym jak zostałyby przyjęte, to jednak bezcelowość tego typu poczynań upatruję w zgoła czymś innym. Jest bowiem wiele naiwności, XIX-wiecznej naiwności powiedziałbym, w przekonaniu, że znajdzie się geniusz, który opracuje polityczno-ekonomiczny model dla Polski w oderwaniu od rzeczywistości krajowej, tak jak to swego czasu uczynił Lenin dla Rosji. *Nota-bene* dziwi zresztą to zafascynowanie, w pewnych kołach na emigracji, modelową działalnością Lenina, skutki bowiem wprowadzenia w życie abstraktów wydumanych w bibliotekach stolic europejskich odczuwamy boleśnie po dzień dzisiejszy. Komuniści mawiają, że program wykuwa się w walce, trawestując to można powiedzieć, że modele polityczno-ekonomiczne powstają i krystalizują się w drodze swobodnej dyskusji i swobodnego eksperymentu. Pragmatyczna socjaldemokracja szwedzka nie bawi się na swoich zjazdach w układanie dalekosiężnych, wizjonerskich planów, jej oficjalny program składa się z ogólnikowych haseł, natomiast w codziennej praktyce wprowadza nowe reformy, przedtem przedyskutowane i sprawdzone w życiu, które mają na celu realizację ideału społeczeństwa egalitarnego. Oczywiście jest to możliwe jedynie w warunkach zagwarantowanych swobód demokratycznych. Tymczasem w Polsce niestety jeszcze idzie o sprawy elementarne, o hasła z epoki Wielkiej Rewolucji Francuskiej, żeby była „wolna i demokratyczna”, czy jak mówiono w Październiku, żeby „wszystkie okna były od słonecznej strony”, lub jak zaproponowali nam bracia Czesi: socjalizm o ludzkim obliczu. Może być też socjalizm demokratyczny Mieroszewskiego, nie kłóćmy się o slogany, Pan wie, a ja rozumiem. Bo w końcu nadal jest przecież aktualny smutny żart Morrisona z jego pamiętnego artykułu w *Prawdzie* o pukaniu do drzwi o piątej nad ranem. W kraju to jeszcze ciągle nie musi być wcale mleczarz, upominający się o niewystawioną butelkę.

Nie znaczy to wcale bym był przeciwko programom ideologiczno-polityczno-ekonomicznym, bardzo często kłóć się z moimi amerykańskimi, lewackimi przyjaciółmi: *o'key* — mówię — chcecie strzelać, ale co zrobicie nazajutrz po zwycięstwie?

Rzecz tylko w tym, że w warunkach polskich nie ma mowy nie tylko o realizowaniu ale nawet o układaniu realnych programów typu *maxi*. W tym przekonaniu nie jestem odosobniony, podziela je również opinia publiczna w Kraju.

Po inwazji sowieckiej na Czechosłowację inteligencja polska zrozumiała — i tym właśnie należy tłumaczyć jej obecny marazm, to nie Marzec ją rozbroił lecz sprawa czeska — że wszelka działalność odwilżowa, chęć demokratyzowania ustroju, mija się z celem. Jeśli bowiem zacznie się zmieniać coś na lepsze, to w ostatecznym rezultacie przyjdą czołgi sowieckie. Tę gorzką prawdę

musimy w końcu zrozumieć, Polska jest swego rodzaju kolonią, i w obecnym układzie stosunków międzynarodowych demokracja, poważna demokratyzacja, może się zacząć jedynie od metropolii. Rosja wybaczyła Rumunom mniej więcej niezależną politykę zagraniczną i ekonomiczną, wizytę Nixona, przełknęła nawet dość prowokacyjne złożenie przez delegację rumuńską kwiatów na grobie Mannerheima, ale posłała czołgi przeciwko... *Literarnym Listom*. I władcy na Kremlu, z punktu widzenia swoich interesów, mieli oczywiście rację, decydując się na zbrojną interwencję. Podczas „praskiej wiosny” intelektualistom czechosłowackim udało się porwać masy, ale w tym sojuszu oni grali pierwsze skrzypce, w związku z czym dominowała hasła polityczne: wolna prasa, parlamentaryzm, demokracja wewnątrzpartyjna, wolność dla opozycji niesocjalistycznej. Gdyby Moskwa nie wysłała wojsk, Czesi i Słowacy stanowiliby niebezpieczny przykład, bezpośrednio zagrażający monopolowi władzy hierarchii komunistycznej na Kremlu. Ten właśnie monopol jest sprawą najistotniejszą dla Moskwy, i wprowadzi ona zawsze w czyn zbrojny doktrynę Breżniewa, gdy tylko w którymś z krajów satelickich władza wysiłkiem się z rąk hierarchii partii komunistycznej.

Nie twierdząc wcale, że gdyby intelektualiści poparli robotników, mielibyśmy w grudniu autentyczną rewolucję demokratyczną, a więc *casus belli* dla Breżniewa, niemniej jednak tego rodzaju możliwość istniała. Cóż bowiem innego jak hasła wolnościowe, zmierzające do demokratycznej przebudowy ustroju, mogli intelektualiści zaproponować robotnikom? Przecież nie racjonalny plan reorganizacji norm, już chociażby tylko dlatego, że się na tym nie znają. „Inteligencja humanistyczna” zdawała sobie sprawę, że przeniesienie punktu ciężkości z rewindykacji ekonomicznych na sferę spraw polityczno-ustrojowych, a tak się mogło zdarzyć, bo któż nie pragnie w Polsce wolności, grozi nieobliczalnymi konsekwencjami. (Na marginesie chciałbym wytknąć błąd *wishful thinking*, jaki popełniali niektórzy publicyści emigracyjni, przesadnie akcentując polityczny charakter żądań robotników na Wybrzeżu. Czy nam się to podoba czy nie podoba, dominantą były sprawy ekonomiczne, stąd znane *desinterressement* Breżniewa, które pogrzebało Gomułkę. Inna sprawa, że i rewindykacje ekonomiczne nabierają w określonej sytuacji charakteru politycznego, ale w Polsce wszystko się kojarzy z polityką).

Przestraszano się więc konsekwencji, gdyż mało już ludzi w Polsce, a niestety jeszcze ciągle sporo na emigracji, wyznaje zasadę, że czym gorzej tym lepiej. „Drażnienie” bowiem systemu metodami „Budapeszt 1957”, chociaż niewątpliwie przyspiesza koniec totalitaryzmu sowieckiego, nie wydaje się być najlepszym sposobem. To bardzo łatwo tak sobie gwarzyć o tym i o owym na Jungfrugatan w spokojnym Sztokholmie, jakby tu „zżyć” program ekonomicznych roszczeń klasy robotniczej z programem przeobrażeń demokratycznych inteligencji, ale ja mam (i każdy z nas ma) przyjaciół czy krewnych w Kraju, a gdzie jest powiedziane że oni, czy ktokolwiek inny, mają składać życie w ofierze,

w dodatku tylko dla „drażenia” systemu czy rewolucjonizowania kolosa rosyjskiego, bo o niczym innym nie ma przecież mowy. Stąd nawet niebezpieczna mi się wydała ekscytacja Herlinga-Grudzińskiego rezonansem, mniejsza już o to czy był jakikolwiek, strajków grudniowych w sowieckich republikach bałtyckich, niebezpieczna, bo usłyszałem w niej echo dawnych mesjanistycznych hasła. Ja, Panie Redaktorze, w tym Sztokholmie, coś tu jest takiego w atmosferze, stałem się z dawnego rewolucjonisty cholerem reformistą, i tak jak nie podoba mi się hasło „więcej Wietnamów”, kłócąc się o to ze wspomnianymi lewackimi przyjaciółmi, tak też nie chciałbym, by i Budapeszt, się powtórzył.

Herling-Grudziński miał więc rację: był strach; nie przed dorażnymi represjami jednak, lecz przed możliwością interwencji rosyjskiej.

To była chyba sprawa zasadnicza, ale jeśli już się podjąłem roli obrońcy, chociaż nikt mnie o to nie prosił, to należałoby jeszcze wskazać inne „okoliczności łagodzące”. Początek wydarzeń grudniowych pachniał na miłą prowokacją. Tak to już jest w krajach totalitarnych, że ruchy oddolne na ogół przeplatają się z prowokacją policji, co nie znaczy oczywiście wcale, że za przykładem Jedlickiego należy w sposób machiawelistyczny oceniać historię poststalinowskich zrywów ludowych w Polsce. Niemniej jednak wielu ludzi w Kraju tak sobie pewnie myślało: utworowaliśmy już w Październiku drogę do władzy Gomułce, w Marcu o mało co nie przechyliliśmy szali zwycięstwa na rzecz Moczara, dlaczego więc teraz mamy pomagać towarzyszowi Gierkowi w intronizacji? Gdy zaś było później oczywiste, że Gierek część postulatów robotniczych będzie musiał zaakceptować, intelektualiści dalej nie chcieli się „włączać”, a to chyba dlatego, by nie popsuć całej sprawy. Gdyby bowiem poparli, mogłoby się naraz okazać że wydarzenia grudniowe to właściwie pan, Panie Redaktorze, na spółkę z Janem Nowakiem i nowojorskim rabinem Kahane, wywołał.

Zdaje sobie doskonale sprawę, że czas już najwyższy bym od bronięcia inteligencji krajowej przeszedł do obrony własnej osoby, a raczej własnych poglądów, łatwo mogę bowiem zostać poświadczony o defetyzm i uznany za rzecznika hasła: najlepiej nic nie robić. Jestem jak najdalej od tego rodzaju sądów, tyle, że jakby to źle nie brzmiało, opowiadałem się za działanością w ramach i granicach... doktryny Breżniewa. Wbrew pozorom, granice te wcale nie są znowu tak wąskie. Rosja obecnie już toleruje chłopski typ gospodarki rolnej w Polsce, węgierskie eksperymenty w zarządzaniu, wschodnio-niemieckie prywatne fabryki, mimo że wszystko to jest kamieniem obrazy wobec leninizmu, przynajmniej w jego oficjalnej interpretacji. Pozostaje więc z całą pewnością cała sfera gospodarcza, co w końcu dla mieszkańców kraju między Bugiem a Odrą jest najistotniejsze, trudno bowiem przypuszczać, że Moskwie zależy na bałaganie w polskiej ekonomice, czy też by Polska była państwem biednym. Wydaje się nawet że sytuacja, zwłaszcza w związku z ostatnią koniecznością

sowieckich kredytów dla Polski, jest odwrotna. Chciałbym tu się odwołać do łagiernych wspomnień autora *Innego Świata*, i przypomnieć że więzień, gdy zda sobie sprawę z niemożności wyłamania krat, stara się chociaż, by w jego baraku było *ujutno*. Mieliśmy jeszcze jakieś 10 lat temu opinię najlepszego baraku w obozie, a dzisiaj, aż łażą się kręci, są ludzie, którzy twierdzą że już nawet w Bułgarii lepiej się żyje niż w Polsce. Za ten stan rzeczy trudno obwiniać Moskwę, czy też źródła polskich niepowodzeń gospodarczych upatrywać jedynie w fakcie narzucenia nam centralistycznego modelu ekonomicznego; powodów trzeba szukać raczej w ciemniactwie właścicieli Polski Ludowej. Niemiecka Republika Demokratyczna, w identycznym kaftanie sztywnego, centralistycznego planowania, z jeszcze mniejszą dawką swobód demokratycznych niż Polska, potrafiła wydzwignąć się z nędzy lat 40-tych i 50-tych i zapewnić swym obywatelom standard życia na mniej więcej europejskim poziomie. Siły tego argumentu nie umniejsza istnienie handlu wewnątrzniemieckiego, możliwość eksportu towarów, bez barier celnych, do państw Wspólnego Rynku, dla powyższych bowiem rozważań istotny jest jedynie fakt, że wschodnio-niemiecka machina gospodarcza działa sprawnie.

Wydawałoby się, że są to sprawy oczywiste, o których nawet nie warto pisać, ale okazuje się że nie dla wszystkich. W kwietniowym numerze *Kultury* z zainteresowaniem przeczytałem świetny szkic Jana Drewnowskiego, analizujący istotę błędów polskiego modelu gospodarczego. Zdenerwowałem się dopiero przy wnioskach, które Jan Drewnowski wyciąga ze słusznego skądinąd opisu polskiej rzeczywistości gospodarczej. Píše on bowiem: „... Gospodarka polska osiągnęła stan, w którym wszystkie usiłowania naprawy raz po raz kończą się na niczym. I nie można na to znaleźć żadnej rady, dopóki w Polsce panować będzie narzucony jej ustrój zdegenerowanego pseudosocjalizmu (sowietyzmu). Wszystkie bowiem niedostatki gospodarki polskiej mają źródło polityczne... Naprawa gospodarki wymaga więc zmian politycznych. Droga do niej prowadzi przez przywrócenie demokracji i przystąpienie do budowy prawdziwego socjalizmu”. To nie ja, Panie Redaktorze, wzywam do marazmu i stania z założonymi rękami, lecz Jan Drewnowski na łamach wydawanego przez Pana miesięcznika. Jeśli bowiem nie można w Polsce przywrócić demokracji, nie można przystąpić do budowy prawdziwego socjalizmu, to znaczy że nie warto nawet kiwnąć palcem w bucie. Każdy bowiem wysiłek na rzecz sanacji gospodarki polskiej i tak jest z góry skazany na niepowodzenie: taka jest wymowa artykułu Jana Drewnowskiego. To zresztą jest takie bardzo polskie: wszystko albo nic.

Ten typ rozumowania jest nie do przyjęcia dla rzesz Polaków, którzy pragną, aby właśnie w ich baraku było bardziej *ujutno*, aby w sklepach była ładna odzież, aby samochód przestał być marzeniem ściętej głowy, aby pensja starczała do pierwszego. Jeśli my tutaj na emigracji nie zrozumiemy tych pragnień, lub uznamy je za zbyt małostkowe w porównaniu z mesjanistycznym

zadaniem drażenia bloku sowieckiego, rozminiemy się zupełnie z rzeczywistością polską, w której bardzo jest mało chętnych do nadstawiania głowy za jakieś „ideologiczne kawałki” (patrz postawa Polaków podczas inwazji sowieckiej na Czechosłowację). Hasło, którym Jan Drewnowski kończy swój artykuł: „nie ma chleba bez wolności” jest może piękne, ale nie jest mądre i nie zostało powtórzone ani przez stoczniovców, ani przez łódzkie włókiarki.

Jakbyśmy więc nie lubili tego pojęcia, w obecnej sytuacji polskiej jest miejsce na działalność jedynie typu pozytywistycznego, co wcale oczywiście nie ma oznaczać, że inteligencja winna być serwilistyczna i kadzić towarzyszowi Gierkowi. Inna sprawa, czy inteligencja humanistyczna głosi i wpaja kult dobrej roboty, ale to już nie jest tematem mojego listu. Osobiście uważam, że do pracy organicznej są bardziej przygotowani ci „pogardzani” inteligenci techniczni, czy jak ostatnio zwykło się mawiać — technokraci. Mniej uczuleni na sprawy wielkich ideałów, bardziej skłonni do kompromisu z władzą (kompromis to jeszcze nie to samo co serwilizm), praktyczni i znający się na rzeczy, mają większe możliwości uporządkowania żalosnej spuścizny po Gomułce.

(Nazwisko znane Redakcji)

Pozytywizm barakowy

Pominę dowcipy (nie najlepszego zresztą gatunku) i znaczące chichociki, bez których widocznie nie może się obejść autor listu ze Sztokholmu. Ważniejsza od nich jest istota sporu.

Zacznę od fragmentu ostatniego słowa Jacka Kuronia, na procesie ze stycznia 1969 roku: „Jestem inteligentem. Z pasji i z zawodu jestem pedagogiem. Funkcją inteligencji jest myślenie i przedstawianie społeczeństwu obrazu rzeczywistości... Moralnym obowiązkiem inteligencji jest przedstawić klasie robotniczej i społeczeństwu prawdziwy obraz rzeczywistości. Przedstawienie fałszywego obrazu, niezgodnego z własnym sumieniem, jest niemoralne. Milczenie, gdy się dochodzi do wniosku że władza jest antysocjalistyczna, że naród wydziedziczony zostaje ze swoich praw, milczenie jest dla mnie postawą nie do przyjęcia, jest sprzeniewierzeniem się funkcji społecznej ciążącej na inteligencji w społecznym podziale obowiązków i zadań”.

Naturalnie jest to wypowiedź człowieka stojącego przed sądem, gotowego wysoko płacić za swoje przekonania, a tacy stanowią

zawsze znikomą mniejszość. Ale, dla lepszego zakreszenia granic dyskusji, warto na jej biegunie „nie wywrotowym” przytoczyć to, co Jacek Bocheński pisze w krakowskim *Życiu Literackim* z 25 kwietnia 1971: „Czy nie za wiele w ostatnich latach było apatii, opuszczonych rąk i obojętności na to, co się wokół nas działo? Czy nie zatraciliśmy się w ośpieniu, zniechęceniu, strachu, gorczy, demoralizacji, niefrasobliwości, w morzu wódki i pustym śmiechu z nas samych? O, dobrze wiem, że nie tylko to było. Ale czy nie to przeważało? I czy rzeczywiście musiało przeważać?... Domeną humanistów i pisarzy nie jest gospodarka — także z tej przyczyny, że się na niej nie znają. Mogliby oni natomiast przyczynić się bardzo wydatnie do powodzenia narodowego wysiłku produkcyjnego swoim wpływem pośrednim, czyli publicznie mówiąc to co myślą”.

Pomiędzy bezkompromisowością Kuronia i eufemistyczną ostrożnością Bocheńskiego („wpływ pośredni na powodzenie narodowego wysiłku produkcyjnego”) trafne spostrzeżenie autorów anonimowej *Próby diagnozy*, przysłanej z kraju (tomik *Głosy stamtąd*): „Czy przypadkiem nie znajdujemy się w sytuacji ludzi przebywających w ciemności, którzy drepczą w miejscu by nie obić się dotkliwie o otaczające ściany, a gdy zapali się światło okaże się, że nie są one tak blisko? Wydaje się, że głównym niebezpieczeństwem nie są ściany, ale wpojone przekonanie o ich istnieniu. Obowiązkiem moralnym jest czasem postępować tak, jakby ścian nie było”.

Żaden z tych trzech punktów, wyznaczających obszar działania i zachowania się autentycznej inteligencji polskiej, nie wymaga komentarzy; wystarczy by autor listu ze Sztokholmu, zamiast zabawić się (mówiąc słowami Bocheńskiego) w „pusty śmiech z nas samych”, dokładnie je przemyślał. W naszej części świata — o czym, między innymi, można się świeżo przekonać z refleksji Nadzieży Mandelsztam zacytowanych przez Brońskiego w czerwcowej *Kulturze* — inteligencja nie jest ścisłą kategorią socjologiczną, ani nawet zawodową; jest raczej, jak słusznie zauważył Kuroń, swoistym powołaniem „w społecznym podziale obowiązków i zadań”. Nic tu nie pomogą prześmiewki z „mesjanizmu”: albo się takie powołanie czuje, akceptując związane z nim funkcje; albo się schodzi do rzędu mniej czy więcej pracowitych, użytecznych i zapobiegliwych „białych kołnierzyków”. W ustroju komunistycznym w ogóle, a w Polsce w szczególności (choćby ze względu na pewne głęboko zakorzenione tradycje), zgoda na podział „białe kołnierzyki” — „kombinezony” jest prostą drogą do samobójstwa narodowego. U jej kresu stoją robotnicy, którzy bez znajomości teorii Machajskiego pod pojęcie „inteligenta” podkładają z pogardą a może i nienawiścią to wszystko, co mój bys-

try i dalekowzroczny (jak się okazuje) rodak z Kielecczyny zamykał w określeniu-ostrzeżeniu *umstwiennyy raboczyj*.

W moim zagajeniu wieczoru w Sztokholmie „naszczekałem” na zanik poczucia swoistego powołania wśród inteligencji krajowej, podając za przykład jej postawę w okresie rewolty robotniczej na Wybrzeżu. W grudniu, podczas trwającej jeszcze masakry w Trójmieście, odbywała się w Warszawie sesja PAN. Profesor Jan Szczepański proponował ułożenie i uchwalenie specjalnej deklaracji imieniem uczonych polskich; obecni, z prezesem PAN na czele, ubłagali go by ten projekt wycofał. W pierwszej połowie lutego spotkała się grupa warszawskich pisarzy. Gdy jeden z nich wysunął myśl wspólnego wystąpienia, usłyszał w odpowiedzi: nie wolno nam stwarzać pozorów podobieństwa między sytuacją w Polsce i sytuacją w Czechosłowacji przed trzema laty. Autor listu ze Sztokholmu przyklasnąłby z pewnością temu chórowi rozsądku i rozważi, skoro powiada że „był strach nie przed doraźnymi represjami, lecz przed możliwością interwencji rosyjskiej”. Wierzy sam w ten nonsens? Wierzy że deklaracje uczonych i pisarzy, solidaryzujące się z robotnikami, skłoniłyby Breżniewa do udzielenia nam pilnej braterskiej pomocy? Nawet w lutym, kiedy już takie deklaracje składało „nowe kierownictwo”? Nie bardzo widać wierzy, bo zastrzega się natychmiast: „Nie twierdzę wcale, że gdyby intelektualiści poparli robotników, mielibyśmy w grudniu autentyczną rewolucję demokratyczną, a więc *casus belli* dla Breżniewa, niemniej jednak tego rodzaju możliwość istniała”. Odnoszę się z najwyższą nieufnością do logiki, opartej na „jakkolwiek tym niemniej”. W liście ze Sztokholmu znajduję inną jej próbę, dość znamioną. Najpierw poznajemy „gorzką prawdę” że „Polska jest swego rodzaju kolonią”, i że „w obecnym układzie stosunków międzynarodowych demokratyzacja, poważna demokratyzacja, może się zacząć jedynie od metropolii”. Potem autorowi listu „niebezpieczna” wydaje się moja „ekscytacja rezonansem strajków grudniowych w sowieckich republikach bałtyckich”. Jak się więc ma zacząć ta demokratyzacja w metropolii? Edyktem Politbiura moskiewskiego? W drodze Niepokalanego Poczęcia na Kremlu?

Można, rzecz jasna, zapytać jaka byłaby wartość deklaracji pisarzy i uczonych wobec kanonady nad Bałtykiem i fali strajków robotniczych w całej niemal Polsce. Wartość zadatku na przyszłość, świadectwa wspólnoty o wiele istotniejszej, niż świecidełkowy taniec narodowy dokoła Zamku Królewskiego. Czesi i Słowacy, mimo chwilowej klęski, wynieśli tę wartość z Praskiej Wiosny. Ale autor listu ze Sztokholmu zdaje się należeć do tego odłamu inteligencji polskiej, który w ciągu ubiegłych kilkunastu lat wypracował sobie cichą doktrynę Końca Historii.

Tak czy owak, poczynszy od poprzedniego numeru *Kultury*

nie „szczekam” samotnie. W *Tezach o nadziei i beznadziejności* Leszek Kołakowski pisze: „Okoliczność, że duża część polskiej inteligencji dała sobie wmówić przekonanie o całkowitej nieplastyczności haniebnego systemu, w którym żyje, jest zapewne w znacznym stopniu odpowiedzialna za pożałowania godną bierność, jaką okazała ta warstwa w chwili dramatycznego natarcia, które podjęli robotnicy polscy w grudniu 1970 roku”. Doradzam autorowi listu ze Sztokholmu by artykuł Kołakowskiego przeczytał nie raz nie dwa, ale wielokrotnie, z ołówkiem w ręku. I żeby skoncentrował się na jego ustępie końcowym, od podkreślonego w tekście zdania: „Rozrost policyjnych metod rządzenia nie jest wynikiem zwiększonego oporu, lecz przeciwnie, wynikiem jego braku”. Zrozumie może wówczas konsekwencje, do jakich prowadzi zaserwowana w konkluzji listu doktryna „pozytywizmu barakowego”.

Sztokholmski korespondent wyznaje, że „stał się w Szwecji z dawnego rewolucjonisty cholernym reformistą”; zachwycą się „pragmatyczną socjaldemokracją szwedzką”, która zabawę w „układanie dalekosiężnych, wizjonerskich planów” odrzuciła na rzecz „reform wprowadzanych w codziennej praktyce, przedtem przedyskutowanych i sprawdzonych w życiu, zmierzających do realizacji ideału społeczeństwa egalitarnego”. Bardzo to wszystko piękne, należy bić socjaldemokracji szwedzkiej brawo, ale jak jej chwalebny pragmatyzm przeszczepić do Polski? Użyć wobec Gierka i spółki metody łagodnej perswazji? Poprosić towarzyszy szwedzkich, żeby się łaskawie podjęli pośrednictwa? Sądząc po ostatnim zjeździe Międzynarodówki Socjalistycznej w Helsinkach, na którym nie padło ani jedno słowo o polskiej rewolcie robotniczej nad Bałtykiem i o przywróceniu w Polsce strajkom efektywności narzędzia walki, nie mają do tego większej ochoty.

Reformistą jest również Władysław Bieńkowski: w swojej nowej książce *Drogi wyjścia* występuje w roli *sui generis* „doradcy księcia”, wzywającego „góre partyjną” do opamiętania się i przeprowadzenia „rewolucji kontrolowanej”. Przekonanie o „niereformowalności” komunistycznego systemu społecznego w jego obecnej postaci zwalcza we wspomnianych *Tezach* Kołakowski, upatrując nadzieję dla rządzonych w broni „oporu” i „presji”. Cokolwiek by się powiedziało o *Tezach* Kołakowskiego, od tych dwóch słów — OPÓR i PRESJA — zaczyna się w ogóle wszelka sensowna rozmowa.

W obronie swego „pozytywizmu barakowego” autor listu ze Sztokholmu odwołuje się do swojego *Innego Świata*: robi to w formie przypomnienia, że „więzień, gdy zda sobie sprawę z niemożności wyłamania krat, stara się chociaż by w jego baraku było *ujutno*”. Nie zetknąłem się co prawda nigdy w łagrze ze słówkiem

ujutno, mniejsza jednak o to. Natomiast w rozdziale mojej książki zatytułowanym *Wychodną dzień* piszę: „Doradzałbym wszystkim rządzącym, którzy mają niewiele do zaofiarowania swoim poddanym, aby zaczęli od pozbawienia ich wszystkiego; cokolwiek bowiem dadzą im potem, stanie się bez trudu wielkodusznym gestem. Gdyby nam oznajmiono któregoś dnia, że wracamy do biblijnego systemu odpoczywania po sześciu dniach pracy, uznalibyśmy prawdopodobnie obozy sowieckie za ostateczne zniszczenie wszystkich naszych pojęć o ludzkim traktowaniu więźniów. Ale nazajutrz już zaczęlibyśmy się buntować przeciwko samemu więzieniu”. Polska jest teraz niewątpliwie najgorszym „barakiem” w „obozie socjalistycznym”, gorszym nawet od Bułgarii, ale inteligencji polskiej nie odebrano jeszcze na szczęście prawa do odpoczynku po sześciu dniach zbożnej pracy. Ma zatem wybór między walką i sposobem bycia, który jest w praktyce sposobem gnicia.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI «KULTURY»

TOM 202 - SERIA «DOKUMENTY»

POZNAŃ 1956 GRUDZIEŃ 1970

m.in.

Tom zawiera następujące opracowania:

KRONIKA WYDARZEŃ: GRUDZIEŃ 1970 - LUTY 1971 —
BIUROKRATYCZNYCH RZĄDÓW CIĄG DAJSZY — SYLWETKI
NOWEJ EKIPY — POZYCJA KOŚCIOŁA — POZNAŃ 1956.

Str. 228.

Cena F. 18,50 (dol. 4,00; £ 1.60)

TOM 207 - DANUTA IRENA BIEŃKOWSKA

PIEŚŃ SUCHEGO JĘZYKA

POEZJE

Str. 64.

Cena F. 9 (dol. 2,00; 85 p.)

Kraj

Świadomość inteligencka

Pączkowanie

Warstwa inteligencka w Polsce, na przekór wszystkim przeciwnościom historyczno-ustrojowym, stanowi potencjalnie bardzo poważną siłę społeczną. Przed drugą wojną światową inteligencja, stanowiąca około 6% ludności była zmuszona do konkurowania o znaczenie społeczne z ciągle jeszcze coś znaczącą szlachtą, arystokracją, rosnącą na sile burżuazją oraz małym mieszczaństwem. Przy ówczesnym niedorozwoju usług społecznych świadczonych przez inteligencję, warstwa ta była poważnie zahamowana w swym postępie, co wyrażało się w bezrobociu niemałej części absolwentów szkół średnich — a nawet wyższych — emigracji za granicę szeregu wartościowych jednostek, a także w atrakcyjności prawego lub lewego radykalizmu, zwłaszcza wśród młodzieży inteligenckiej. Jestem daleki od przedstawiania roli inteligenckiej przed wojną li-tylko w czarnych kolorach. Przeciwnie, uważam za konieczne podkreślenie ścisłego związku historycznego międzywojennej państwowości z warstwą inteligencką, będącą faktycznie jej głównym nosicielem.

Trzeba jednakże zdać sobie w pełni sprawę z tego, że inteligencja stała się warstwą prawdziwie masową dopiero w Polsce Ludowej. Mimo straty około swej trzeciej części w czasie drugiej wojny światowej, inteligentami jest — lub do miana inteligenta pretenduje — co najmniej piąta część ogółu ludności. Wśród robotników i chłopów większość chce aby ich dzieci stały się inteligentami, o czym niedwuznacznie świadczą dane socjologiczne, dotyczące preferencji zawodowych. Nastąpił tak znaczny rozwój usług inteligenckich, z nauką i administracją na czele, że orientacja antyintelligencka po prostu straciła rację bytu. Szkoły średnie i wyższe nieustannie produkują nowe kadry inteligenckie, przy czym surowca dostarczają w bardzo poważnej mierze tradycyjne warstwy niższe. Wszystkie środki przekazu masowego kontrolowane są przez inteligentów i służą do upowszechniania ich gustów i ich sposobu myślenia — niezależnie od oficjalnych treści politycznych. Instytucje Polski Ludowej, stanowiące przed-

miot jej dumy, jak teatry, ośrodki naukowe, domyczasowe, kina, szkoły itd. są faktycznie ośrodkami utrwalania i upowszechniania mentalności inteligenckiej. Warstwa partyjnych aparatczyków, mimo zmonopolizowania władzy, jest w gruncie rzeczy w stosunku do inteligencji kulturalnie słaba i bezsilna, a poza tym sama roztopia się w morzu inteligenckim, gdyż nigdy nie zdołała utrwalić swej własnej identyczności ideowo-kulturalnej. Aparatczyk zazdrości inteligentowi, chętnie mu utrzyma nosa przy każdym okazji, ale sam nie widzi przyszłości poza inteligencją ani dla siebie ani tym bardziej dla swych dzieci. Stąd bierze się skwapliwe załatwianie sobie „przy okazji” tytułów naukowych oraz zabieganie o przeskokowanie z czasem do któregoś z zawodów inteligenckich, najchętniej do nauki, jako mającej najwyższe zawodowe poważanie w społeczeństwie.

Inteligencja, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, faktycznie rządzi Polską Ludową, choć nią oczywiście nie włada (z przyczyn, których chyba czytelnikom *Kultury* nie trzeba wyjaśniać). W Polsce rządy przeciw inteligencji są dla elity politycznej jedynym możliwym rozwiązaniem tak długo, dopóki dana elita chce (lub musi) zachować swą identyczność. Inaczej musiałaby oddać władzę inteligencji i roztopić się w niej. Tragiczna sprzeczność Bierutów i Gomułków polegała na tym, że przy głębokiej antyinteligencji w rzeczywistości przyczyniali się do pomnażania sił inteligencji. W Polsce bowiem nie tylko „świeckie” szkoły wyższe, ale nawet ośrodki szkolenia partyjnego służą do produkowania inteligentów, ponieważ inne ideały życiowe są albo całkowicie zdyskryminowane (jak np. wzór ideowego aparatczyka), albo mało realne (jak np. wzór przedsiębiorcy) czy po prostu zdezaktualizowane (np. wzór szlachcica).

Pan inteligent

Być inteligentem znaczy dziś w Polsce wykonywać pracę umysłową (co najmniej w poważnej części), mieć dostateczne ogólne wykształcenie (średnie już dziś nie wystarczy), wykazywać jakąś taką ogładę towarzyską i kulturalną, podkreślać w jakimś stopniu swą identyczność i poczucie honoru. Inteligent bywa w teatrze, szuka w kinie nie tylko taniej rozrywki, czytuje tzw. czasopisma społeczno-kulturalne i książki modnych pisarzy, potrafi w towarzystwie sformułować opinię na przeróżne ogólne tematy, dba o schludny wygląd zewnętrzny (a jeśli nie dba, to robi to celowo) i o godność własną, nie pospolituje się z byle kim, jest patriotyczny (tzn. nie lubi Niemców i Rosjan, a do Czechów ma stosunek protekcyjny), nie bierze na serio żadnej ideologii. Zastanawiające, że taki właśnie ideał życiowy zyskał sobie ogromne zwycięstwo w polskim społeczeństwie. Dlaczego? Dla warstw niższych jest to ideał pana, który nie bruka rąk pracą fizyczną, zaś dla pozostałych warstw ideał ten stwarza przede wszystkim podstawę dla poczucia wyższości nad innymi i dla uzasadnienia

w stosunku do nich dystansu. Bycie „panem” zwalnia od obowiązku faktycznego zaangażowania się w cokolwiek. Z pozycji „pana” jest prostactwem zarówno leżeć krzyżem w kościele jak i gardłować za marksizmem — chyba że jest to uzasadnione koniecznością utrzymania „pańskiej” pozycji. Z tego punktu widzenia nietakt towarzyski jest gorszym przestępstwem niż ideologiczne zaprzeczanie się ideologii, której faktycznie nie uznaje się. Gra miłosna jest ważniejsza niż miłość. Poza jest ważniejsza niż czyn. Wystarczy dobrze opanować określone maniery, aby zyskać trwałe powodzenie nawet nic kompletnie nie robiąc. Wytykanie wałkoniom nieróbstwa i pasożytnictwa jest grubym nietaktem, dopóki ci wałkonie odznaczają się ogładą towarzyską. Do normalnej pracy lepiej nie przyznawać się, aby nie zostać posądzonym o brak inteligencji (!). Liczy się przede wszystkim wdzięk i błyskotliwość, a całe życie jest niejako wielkim salonem, w którym ludzie konkurują ze sobą celem olśniewania innych. Jeśli chce się mieć sukces, trzeba posiadać coś, co pozwoli samemu zabłysnąć a innych przyćmić. Tłum inteligencki lubi być bawiony i mamiony przez „czarodziejów” i dlatego każdy kto psuje widowisko szybko zostanie ośmieszony i wyeliminowany. Złudzenia są chlebem codziennym inteligenta, bliższym mu duchowo niż rzeczywistość. Łatwiej jest przecież planować niż działać, okazywać chlubne intencje niż babrać się trudnościami realizacyjnymi, olśniewać innych aniżeli ich uczyć i ulepszać. Kult gestu, nieustanna troska o towarzyskie nienarażenie się otoczeniu, zabiegi aby dobrze wypaść i nie ośmieszyć się, przestrzeganie zasady uprzejmości wobec bliźnich i nieujawniania ich wad (chyba że to służy jako narzędzie olśniewania innych przez nas samych) — wypełniają w poważnej mierze życie psychiczne typowego inteligenta na tyle, na ile nie jest ono obarczone zabieganiem o chleb powszedni. Wszystko, co wkracza w sferę psychicznego luksusu, łączy się przede wszystkim z salonem, pokazywaniem się innym od najlepszej strony, towarzyską grą i mitomanią. Swoją drogą, gdyby nie ucieczka w mitomanię wielu myślących inteligentów nie miałoby gdzie się schronić przed miazdzącą dialektyką polskiej historii najnowszej (a i wcześniejszej też).

Polska Ludowa jako okazja

Narzekanie na reżym należy wśród inteligencji polskiej do dobrego tonu. Nawet byle karierowicz, leżący plackiem przed aparaczką w jego gabinecie, będzie prywatnie natrzęsał się z tzw. ciemniaków którzy rządzą krajem. Jednak prawdę mówiąc właśnie ci ciemniacy stworzyli dla inteligencji salon o rozmiarach nigdy dotąd nie spotykanych w historii narodu. Dzięki wyeliminowaniu gospodarki rynkowo-towarowej realia ekonomiczne faktycznie przestały stanowić istotną zaporę dla inteligenckiej fantazji. Ponieważ zaś dla reżymu efekciarstwo jest jedną z zasad naczelných (dogonimy, przegonimy itd.) więc inteligent-mitoman

i aparaczk-efekciarz doskonale się uzupełniają. Cokolwiek może wydać się przydatne dla uświetnienia reżymu daje inteligentom okazję do obfitego czerpania z funduszy publicznych. Sukces osiąga się przez poddawanie ludziom władzy takich propozycji, które trafią im do przekonania jako podnoszące majestat partii i państwa, a przy okazji także ich własny. Marnotrawstwo funduszy publicznych jest między innymi dlatego tak znaczne, że mnóstwo inteligentów trzusi się nieustannie wymyśleniem mitów, które im samym pozwolą coś niecoś materialnie uszczknąć przy okazji, a przede wszystkim zyskać na znaczeniu i chwale. Co w gospodarce rynkowo-towarowej jest wprost niemożliwe ze względu na nierentowność, tutaj jest pozostawione wolnej grze sił społecznych. Kto stoi bliżej władzy, ma mniej oporów, jest mocniej przekonany o swej własnej misji, ten ma większą szansę wprowadzenia w życie swych idei bez względu na ich sens i faktyczny użytek. W każdej dziedzinie życia można znaleźć mnóstwo przykładów inicjatyw bez sensu i składu, które zawdzięczają swe powstanie li-tylko temu, że właściwy inteligent trafił na właściwego aparaczkę we właściwym momencie. Stalin ostrzegał w swoim czasie przed nie liczeniem się z realiami ekonomicznymi. Sam przecież wiedział, lepiej niż kto inny, co może aparaczk nabroić na koszt społeczeństwa, jeśli nie jest przez nie skutecznie kontrolowany. Jednakże w systemie stalinowskim inteligenci byli trzymani twardą ręką przez aparaczków. W dobie obecnej, gdy aparaczkcy coraz słabiej wierzą we własne siły i zdobywają się na różne nerwowe pociągnięcia dla ratowania własnej egzystencji, inteligent-mitotwórca zyskuje coraz szersze pole działania. Ponieważ zaś sam nie rządzi, więc w gruncie rzeczy nie obarcza go żadna odpowiedzialność. Stąd architekci projektujący partackie mieszkania, osiedla i całe miasta, socjolodzy zadrukowujący banałami tony papieru, artyści produkujący pretensjonalne kicze, inżynierowie bawiący się w nowoczesność, naukowcy niemrawie naśladowujący wzory zachodnie itd. — wszyscy wałkonie i mitomani mogą z czystym sumieniem uprawiać swój proceder mrużąc oko, że przecież sami za nic nie odpowiadają, że wszystkim winni są „oni” (tzn. aparaczkcy).

Trzeba wyraźnie zaznaczyć, że obok inteligentów-mitomanów istnieje bardzo poważna, niewątpliwie przeważająca część inteligencji złożonej z uczciwych ludzi dobrej roboty. Cała trudność polega jednak na tym, że ich działalność jest z natury rzeczy nieefektywna, a przy tym zamiast chwały przysparza aparaczkcom coraz to nowych trudności. Uczciwy lekarz domaga się lepszych narzędzi i lekarstw i nie zgadza się na posyłanie do roboty ludzi faktycznie chorych. Uczciwy specjalista-organizator nie może pominąć w swej analizie podstawowych schorzeń biurokracji etatystycznej. Uczciwy architekt nie zgodzi się na podporządkowanie potrzeb mieszkańców względem fasady budynku. Inteligent-mitoman jest pogardzany przez uczciwych kolegów po fachu i dlatego sojusz z aparaczką jest dla niego wprost koniecznością życiową.

Spór między omawianymi dwoma kategoriami inteligentów: pierwszą hołdującą dobrej robocie i drugą hołdującą orientacji mitomańsko-snobistyczno-megalomańskiej, jest w gruncie rzeczy jednym z kluczowych problemów polskiego narodu. Polska, chce czy nie chce, jest krajem inteligentckim. Masowy awans społeczny jest i będzie awansem do inteligencji, podobnie jak na zachodzie jest i będzie awansem do warstwy średniej (*middle class*). Ludzie, którzy awansują z dołu, są szczególnie podatni na wszelkiego rodzaju pozory, gdyż sami siebie nie potrafią jeszcze zidentyfikować. Stąd jest złudzeniem — niestety dość częstym wśród polskich socjologów, zainteresowanych kwestią awansu społecznego — oczekiwać od tzw. nowej inteligencji zupełnie nowej orientacji społeczno-kulturalnej. Snobizm jest zjawiskiem szczególnie częstym właśnie wśród awansowiczów. Nigdzie bardziej jak wśród nich marka samochodu, wyjazd zagraniczny, dywan na podłodze i gatunek trunku (byle zachodni!) nie różnicują ludzi tak głęboko i boleśnie. Przy czym nie było czasu i warunków społecznych dla skrytalizowania się zasad uczciwej gry i w rezultacie ludzie zajmujący skądinąd czcigodne pozycje lekarzy, prawników, profesorów, artystów, uczonych itd. rywalizują ze sobą w stosowaniu metod, których powstydziliby się zawodowy gangster, szanujący etykę swego fachu.

Inteligent potrącany

Ustawiczne wzajemne utrącanie się wynika z ogólnej niepewności co do kryteriów zróżnicowania społecznego. Zasada egalitaryzmu niewątpliwie mocno utrwaliła się w polskim społeczeństwie, o czym świadczą dane socjologiczne (przede wszystkim bardzo cenne badania prof. S. Nowaka). Jednakże produktem ubocznym tego stanu rzeczy jest powszechna niemożność określenia swego własnego miejsca w stosunku do miejsc zajmowanych przez ludzi otaczających. Zasada równości jest nieustannie zaprzeczana przez faktyczną nierówność, która kłuje w oczy i odbiera ludziom spokojny sen. Kobieta pracująca jest formalnie zrównana z mężczyzną, ale w rzeczywistości na nią spada ciężar gospodarstwa domowego oraz gonienia po sklepach za artykułami, których nie ma; przy czym przy stosunkowo dużej podaży kobiecej siły roboczej właśnie kobietom przypadają w udziale stanowiska mało atrakcyjne i gorzej płatne. Wysoko wykwalifikowani fachowcy odczuwają boleśnie sprzeczność między ekspertyzą a faktyczną niemożnością podjęcia praktycznych decyzji. Partijni inteligenci zaniepokojeni są faktem, że ich bezpartyjnym kolegom nieraz wiedzie się lepiej niż im samym, którzy przecież złożyli ofiarę z własnego sumienia — (warstwa naprawdę uprzywilejowana jest liczebnie bardzo nieliczna). Cwaniacy wprawdzie robią doskonałe interesy, ale nie mogą należycie zabezpieczyć zagrabionych dóbr i przywilejów, ani też przekazywać ich w pełni dzieciom. W rezultacie każdy, łącznie z aparaczkami, cierpi na niezaspokojenie

i brak poczucia bezpieczeństwa, co wręcz uniemożliwia całemu systemowi społeczno-politycznemu osiągnięcie jakiejś takiej równowagi. Wewnętrzna chwiejność systemu sprzyja panoszeniu się elementu pasożytniczego, zarówno wśród inteligencji jak tym bardziej wśród aparaczków. Wspomniany element żeruje na ludziach dobrej roboty, wykorzystując ich pracę i lojalność, posługując się zastraszeniem i wymuszeniem, organizując własne gangi ludzi okupujących lepsze posady i wspomagających się wzajemnie.

Żerowanie może zostać wydatnie ograniczone tylko w przypadku, jeśli ludzie dobrej roboty, zarówno spośród inteligencji, jak i spośród innych warstw społecznych, zyskają szansę zorganizowania się i przeciwstawienia swej zbiorowej woli elementowi pasożytnictwu. Stąd, wręcz kluczowe znaczenie wszelkiego rodzaju form samorządu i autonomii oraz postępu w zakresie demokracji wewnątrzpartyjnej. Bez uwolnienia się od dominacji żerowników broniących za wszelką cenę własnych przywilejów, nie ma mowy o jakiegokolwiek zdrowej inicjatywie. Żerownicy ciągną na dno cały system, gotowi są pogrzebać wszystkie tzw. zdobycze socjalizmu, gdyż w gruncie rzeczy nie wierzą w nic i nikogo, żyją dniem bieżącym, nie są zdolni i skłonni do jakiegokolwiek reformy. Ich nihilizm stanowi załążek wcześniejszej lub późniejszej nieuchronnej zguby.

Inteligent utrapieniem aparacza

Utrwaliło się przekonanie, że być aparaczkiem w Polsce Ludowej to wprawdzie brzydko, ale zyskownie. W prasie emigracyjnej sporo pisano na temat różnych przywilejów przypadających w udziale ludziom objętym tzw. nomenklaturą, czyli wyznaczonym przez Partię do zajmowania odpowiedzialnych stanowisk. Wymienia się często takie korzyści jak mieszkania służbowe, samochody (do użytku służbowego lub do prywatnego zakupu po zniżonej cenie), wczasy krajowe i zagraniczne itd. Podkreśla się, że człowiek, który raz wszedł w zakłętą krąg nomenklatury pozostaje w nim na trwałe i jest po prostu przenoszony z jednego stanowiska kierowniczego na inne, nie mniej korzystne.

Nie jestem zdania, że inteligenci mają czego zazdrościć aparaczkom. Partia, aby włączyć społeczeństwem stworzyła kadrę ludzi bezwzględnie sobie oddanych i rzeczywiście dała im pewne przywileje, zresztą pozostające dużo poniżej tego, co mają managerowie na Zachodzie. Liczba takich ludzi jest zresztą dość szczupła, gdyż przecież nie można zaliczyć do nich na ogół słabo wynagradzanych niższych funkcjonariuszy partyjnych i związkowych. W zamian za stałe zatrudnienie i pewne przywileje aparaczek musi się oddać Partii duszą i ciałem czego nie oczekuje się aż w takim stopniu od inteligentów. Pracuje nieraz po kilkanaście godzin dziennie, jest nieustannie do dyspozycji, musi być czujny, aby mu nie podstawiono nogi i nie zastąpiono kim innym (zawsze szereg ludzi czeka w pogotowiu na zagarnięcie po-

sady). Aparatczykowski nie wypada korzystać z uciech życia, aby go albo nie posądzono, że kradnie, albo aby nie naraził swym postępowaniem autorytetu Partii (to jest zwłaszcza istotne dla aparatczyków pracujących na prowincji). Aparatczyk nie powinien mieć swojego wyraźnego zdania, bo przecież Partia może zmienić linię, a poza tym lojalność funkcjonariusza partyjnego wyraża się przede wszystkim w rezygnacji z własnego ja. Rodzina aparatczyka jest również stale wystawiona na pokaz i musi postępować tak, aby nie rzucać żadnego cienia.

W gruncie rzeczy więc aparatczyk jest znacznie bardziej skrupowany niż ktokolwiek inny a zwłaszcza inteligent. Jego bieżącą lekturą jest *Trybuna Ludu* (samo już jej regularne czytanie sprawia udrękę) oraz różnego rodzaju przenudne czasopisma i materiały partyjne. Jeśli aparatczyk odważa się czytać inne rzeczy (a na to ma mało ochoty i czasu) to również muszą one jakoś wiązać się z jego obowiązkami służbowymi. Bo dlaczego interesuje się czymś, za co mu Partia nie płaci? Istnieje zawsze domniemanie, że lektura poza-partyjna, a tym bardziej anty-partyjna, może aparatczykowi przewrócić w głowie i zachęcić do jakiejś działalności jeśli już nie frakcyjnej, to co najmniej nie przyczyniającej się bezpośrednio do realizacji bieżących zadań Partii.

Obowiązkiem aparatczyka jest kochać Związek Sowiecki, co jednak jest aktem zgoła mało atrakcyjnym biorąc pod uwagę poziom lektur i wykładów na temat Kraju Rad, rzadkość podróży do ZSSR (nawet wśród funkcjonariuszy Partii), oraz przygniatającą konkurencję tych wrażeń i dóbr, które przywożą różni znajomi (bardzo często bezpartyjni) ze swych podróży na Zachód. Zawsze mnie zastanawiało jak mało aparatczycy wiedzą o Związku Sowieckim, niewiele na ten temat czytają, a w ogóle mają słabo opanowany język rosyjski. Chyba wynika to stąd, że sympatia do ZSSR jest odwrotnie proporcjonalna do bezpośredniej zależności od Wielkiego Brata. Najbardziej autentyczna, choć wyrozumowana miłość do ZSSR i do Rosjan zdarza się przede wszystkim wśród bezpartyjnych, mniej lub bardziej luźno współpracujących z władzą, a natomiast bodajże najbardziej wątpliwa jest właśnie wśród aparatczyków. Prosowieckie wypowiedzi, zamieszczane co pewien czas w pół-niezależnych pismach katolickich (nie mylić z agenturalnym Paxem!), brzmią jak najbardziej szczerze i na serio, podczas gdy to co drukuje się na temat ZSSR w prasie rządzonej bezpośrednio przez Partię brzmi słabo i mało szczerze, gdyż jest pisane wyraźnie lewą nogą. Czasem błysnie coś w miarę autentycznego, zdradzającego rzeczywistość znajomość rzeczy i sympatię do ludzi zza Bugu (np. doskonałe reportaże H. Krall), ale niknie to w morzu blagi i banału faktycznie odstręczającego czytelników od ZSSR.

Snobizm inteligencki wprost nieuchronnie w jakimś stopniu udziela się aparatczykom i wstrzymuje ich przed afiszowaniem miłości do Kraju Rad. Co innego służba w aparacie i danina z nią związana, co innego zaś wspólne picie wódki z inteligentami,

którzy przecież wypełniają Polskę i stanowią jej treść. Polowania, teatr, koncerty, czytanie modnych powieści, jeśli nie są dostępne ze względu na chroniczny brak czasu, to przecież stanowią co najmniej próg marzeń uosabiają wyższy standart. Wypoczynek łączy się więc nieuchronnie z inteligentem. Ale jednocześnie ten ostatni jest kolcem uwierającym stale, bo nie stycznym duchowo z aparatem, nie dającym się upuścić. To inteligent, a nie aparatczyk, jeździ na Zachód, bezwstydnie nastawia radio na Wolną Europę, zaczytuje się *Kulturą*, pytluje po kawiarniach, naśmiewa się z „ciemniaków”. Czasem uda się inteligenta dopaść i dać mu dobrze w tyłek, ale to w rezultacie wypada jakoś niezręcznie i kończy się kompromitacją Partii. Inteligent napadnięty zalewa się łzami, pomstuje na cały świat i robi cnotę ze swego niezgulstwa, co jeszcze tym bardziej utrwala jego pozycję. Dlatego lepiej ograniczyć się do drobnych utarczek z inteligentem w ciszy własnego gabinetu: bawić się z nim w kotka i myszkę gdy idzie o korzystny dla niego wyjazd zagraniczny (my już wiemy po jaką to „naukę” oni tak chcą jeździć!), zwodzić go z przydziałem mieszkania (dlaczego ci inteligenci tak ciągle albo się przenoszą albo się rozwodzą?), obłudnie współczuć na temat mąk twórczych i którychś tam z kolei kłopotów małżeńskich, czy wreszcie zgoła brutalnie odmówić przydziału samochodu (nie możemy, towarzysze, narażać na uszczerbek dobra klasy robotniczej!). Inteligent przestanie być przymilny, zacznie się krzywić, pewnie zaraz poleci do kawiarni na kolejne uzalanie się — ale przecież jakaś przyjemność jest z tego że choćby na chwilę udało się go przyskrzyknąć, dać mu bobu, niech poskwierczy. Przecież i tak wiadomo, że inteligent wcześniej czy później wróci pokorniutki, bo kto mu da papu jak nie aparatczyk?

Dialektyka mitotwórstwa

Tworzenie i podtrzymywanie wizji rozwoju narodowego jest ideą przewodnią inteligencji w tej części świata w której znajduje się Polska. Jedną z podstawowych sprzeczności komunizmu jest z jednej strony pomnażanie warstwy inteligenckiej, a z drugiej strony uniemożliwianie inteligencji spełniania jej podstawowej funkcji. Sztywny i sformalizowany jedyny światopogląd oraz daleko posunięta centralizacja władzy nie pozwalają inteligencji na swobodne formułowanie wizji narodowej (nacjonalistycznej czy też uniwersalistycznej). Rola inteligencji ma być w zasadzie tylko służebna w stosunku do rządzącej elity. Stąd bierze się właśnie ta chroniczna niemożność, stanowiąca od dawna problem inteligenta rosyjskiego, a współcześnie również powszechna wśród inteligencji polskiej. Ciągłe szamotanie się między alternatywą samooskarżenia a alternatywą zrzucenia całej winy na reżym jest charakterystyczne dla ludzi, których życie stawia wobec konieczności działania, a którzy działać nie mogą lub nie potrafią. Fabrykowanie mitów na własny i cudzy użytek jest próbą wyjścia.

Typowym przypadkiem będzie dziennikarz lub pseudo-socjolog snujący wizję szczęśliwej i beztroskiej klasy robotniczej w Polsce Ludowej.

Jedną z trudności totalnego rządzenia społeczeństwem jest nieuchronne zagubienie granicy między rzeczywistością a fantazją. Masa inteligencka żyjąc z fabrykowania mitów produkuje ich taką ilość, że w rezultacie rządzący muszą zagubić się w mgłę mitologii, przesłaniającej rzeczywistość. Działalność uprawiana przez inteligencję na rzecz reżymu i pod jego ścisłą kontrolą ma, w ostatecznym rezultacie, charakter dywersyjny, niezależnie od intencji twórców. W gruncie rzeczy nikt tak nie szkodzi reżymowi jak prawomyślni pisarze, donosicielscy dziennikarze, ortodoksyjni naukowcy, wiernopoddani artyści. Ich właśnie historia oskarży kiedyś o pogrzebanie tego kształtu socjalizmu, któremu dziś wiernie służą.

Natomiast poprawkę na rzeczywistość stosują w swej codziennej działalności inteligenci służący konkretnym ludzkim potrzebom. Ich bodajże najlepszym przedstawicielem jest lekarz, traktujący na serio swych pacjentów i starający się konkretnie ulżyć ich cierpieniom. Dlatego bynajmniej nie przypadkiem lekarz szpitalny jest jednym z najgorzej płatnych pracowników, a cała służba zdrowia jest chronicznie niedoinwestowana. W zdrowiu publicznym za dużo widzi się ludzi zaangażowanych na serio w to co robią, aby działalność mitotwórcza-zresztą i tutaj także uprawiana — mogła zyskać dostatecznie silny oddźwięk wśród personelu fachowego. Co innego np. w naukach społecznych — szczególnie zaś w naukach politycznych — gdzie stosunkowo łatwo odgrodzić się od rzeczywistości i przyjąć za prawdę to co piszą gazety.

Odmitologizowanie działalności inteligenckiej zależy nie tylko od demokratyzacji systemu społeczno-politycznego, ale w niemałym stopniu także od dojrzewania świadomości warstwy inteligenckiej. Trzeba traktować na serio to co robi się dziś. Trzeba przestać zgrywać się przed innymi i sobą samym. Trzeba uprzytomnić sobie, że mamy tylko jedno życie i że nie wolno nam zaprzepaszczać nawet skromnych szans. Że nie usprawiedliwia nas ani reżym ani nic innego. Że czyn jest wszystkim a poza niczym. Że warto robić tylko rzeczy służące konkretnym ludzkim potrzebom. Że przecież głównie inteligent nadaje treść życiu społeczno-kulturalnemu Polski Ludowej.

Inteligenci nie na serio

Jest szereg odmian inteligenckiego życia nie serio. Istnieje np. niemała liczba potomków rodzin tradycyjnie inteligenckich, którzy swoje zaangażowanie po stronie reżymu traktują jako nieuchronną ofiarę na rzecz utrzymania własnego uprzywilejowanego statusu społecznego. Ich ojcowie lub dziadkowie walczyli z komunizmem w obronie własnej racji bytu. Ta sama racja inteligenckiego bytu nakazuje teraz ich potomkom opowiedzieć się po

stronie komunizmu. Los komunizmu w gruncie rzeczy nic ich nie obchodzi, podobnie, jak los własnego narodu. Są tak dumni z faktu, że nawet pod rządami komunistów udało im się wypłynąć na powierzchnię, że są szczególnie skłonni do tworzenia mitów sielankowo-radosnych, jeśli idzie o tzw. świat socjalistyczny, lub ckliwo-ponurych w odniesieniu do tzw. świata kapitalistycznego. W okresie stalinowskim umierali ze strachu, że wcześniej czy później ich inteligencko-burżuazyjna przeszłość zostanie ujawniona i że ich „ci straszni komuniści” po prostu wykończą. Donosy na innych i zaciekleść w tępieniu tzw. wrogiej ideologii stanowiły środki zabezpieczające. Dopiero po Stalinie nadeszło względne bezpieczeństwo i można było w pełni oddać się mitotwórstwu. Ci ludzie nie kłamią, a po prostu powielają w nieskończoność własną pustkę wewnętrzną, zachłystując się własnymi frazesami, budują sobie pomniki na koszt komunizmu i społeczeństwa.

Inny rodzaj to wewnętrzni emigranci. W pracy i życiu publicznym działają jak automaty, posłusznie wypełniając wolę aparatczyków i nie angażując się niemal zupełnie. Cała ich taktyka zawodowa polega na unikaniu jakiegokolwiek ryzyka. Natomiast ich prawdziwe życie zaczyna się po pracy. Wtedy epatują innych błyskotliwym zdaniem, lubują się w sztuce, prowadzą górnolotne rozmowy. Gdy spytać ich o pracę zawodową dają do zrozumienia, że to nic poważnego — ot zarabianie na chleb codzienny. Te pięknoduchy zdolne są niemal do wszystkiego, byle nadrzędny aparatczyk pozwolił im błyszczeć i próżnować po godzinach pracy.

Przeciwieństwem ich są ludzie angażujący się tak silnie w pracę zawodową, że tracą jej społeczny sens. Fachowiec nie chce wiedzieć do czego służy to, co robi. Usprawiedliwia go to we własnych oczach, zwalnia od moralnej odpowiedzialności. Jeśli jest członkiem Partii, to bardzo często świadomie unika rzetelnego przestudiowania jej ideologii i programu. Wygodniej jest nie wiedzieć, nie rozumieć, nie interesować się, przekazać własną odpowiedzialność moralną innym.

Wśród ludzi opozycji politycznej postawa nie na serio jest również dość częsta. Są i tacy, którzy w okresie stalinizmu czynnie zaangażowali się w Partii, zyskali tą drogą wszystko co było do zyskania, aby następnie, po ustabilizowaniu się zawodowym (z pomocą Partii) dojść nagle do przekonania, że stalinizm to brzydka rzecz. Co zabawniejsze ludzie ci pretendują niekiedy do roli przewodników duchowych narodu i wieszczą prawdy skądinąd powszechnie znane. Ich antykomunizm jest szczególnie zaciekle, gdyż stanowi pokaz sztuki aktorskiej. Zawsze mieli ochotę popisywania się na scenie i tylko przypadek historyczny zrzucił, że w ich poprzednich sztukach reżyserem była PZPR.

Tak zwani nieprzejednani stanowią osobny rozdział inteligenckiego mitotwórstwa. Chodzą dumni, z otwartym czołem, i nieustannie pouczają innych jak to w gruncie rzeczy jest źle pod władzą komunistów — jak gdyby ludzie nie mieli własnych doświadczeń i własnego sądu na temat otaczającego ich życia. Moralizatorstwo i kaznodziejstwo uprawiane przez nieprzejednanych

tylko drażni, gdyż nie prowadzi do żadnych konstruktywnych wniosków jak żyć i być pożytecznym w istniejących, niełatwych warunkach. Jeśli w dodatku nieprzejednany sam jest wałkoniem, żyjącym na koszt innych, wtedy jego postawa życiowa jest wręcz humorystyczna.

Nie można pominąć stosunkowo nielicznej kategorii ludzi, pełniących funkcje wyraźnie agenturalne, dla których aktywność inteligencka stanowi tylko przykrywkę. Ci są na serio po prostu tylko agentami.

Warto wspomnieć o typie „pocziwca”. Dla niego ideologia i praca zawodowa są sprawą wtórną. Ludzie i przyjaźń z nimi mają znaczenie pierwszorzędne. Pocziwiec musi się poświęcać, robić jakąś pracę społeczną, angażować się. Każdy łączy frazes, każde pseudopatriotyczne pustostanie stanowi dla niego atrakcyjną pożywkę duchową. Byle nie trzeba było samemu myśleć, byle można było okupić własne istnienie cekiwa błagą. Wśród działaczy terenowych mnóstwo jest tego rodzaju „pocziwców”, pchających siebie i innych do byle aktywności. Organizowanie różnego rodzaju akademii i wzruszanie się na nich (zwłaszcza podczas występów dziecięcych) jest ulubionym ich zajęciem.

Inteligenci chętnie obnoszą się z własnymi kłopotami psychiczno-zdrowotnymi. Ponieważ w różnych dziedzinach nauki brak dotąd kryteriów starannej selekcji pracowników, nieraz panoszą się tam ludzie którzy nigdy nie musieli sami pokonywać istotnych przeszkód i dlatego wszystko jest dla nich za trudne, a każde usprawiedliwienie własnej nieudolności równie dobre. Są to chroniczni malkontenci stwarzający swoisty klimat nieustannego biadolenia, który ich samych rozgrzesza, ale innym odbiera ochotę do konstruktywnego działania.

Potrzeba filozofii

Świadomość inteligencka jest ciągle pod zbyt dużym wpływem dziedzicznych obciążeń szlachetczyzny z jednej, zaś chłopstwa i drobnomieszczaństwa z drugiej strony, aby mogła pchnąć inteligencję na tory realizmu i autentycznego postępu. Stąd bierze się współczesna mieszanina tromtadractwa i zaściankowoci, za wiści o byle co, obok przesadnej wprost gościnności (zwłaszcza na rzecz gości zagranicznych), płaszczenia się przed byle czym co zachodnie obok patriotycznej bigoterii. Masowy awans społeczny do szeregów inteligenckich jeszcze bardziej uwydatnił tę mieszaninę, dodatkowo wprowadzając element łapczywości na wszystko co materialne oraz braku skrupułów w walce o nowe „morgi” — tym razem pod postacią samochodów, mieszkań służbowych itd. Namnożyło się różnego rodzaju inteligenckich troglodytów, którzy za pomocą ciosów na prawo i lewo pchają się do wszelkiego rodzaju dóbr, starając się nimi mocno podbudować nie tylko swój dobrobyt, ale także i swoją pozycję społeczną. Ci ludzie zawsze i przede wszystkim idą na ilość.

Trudno jest wymyśleć taką filozofię życia, która mogłaby stać się trwałą podstawą spokoju i względnego sukcesu współczesnego polskiego inteligenta. O jej potrzebie świadczy duchowa szarpalina, będąca dziś udziałem wielu inteligentów, a może nawet ich znakomitej większości. Świadomy inteligent musi z góry pogodzić się z bezowocnością wielu swoich dążeń i pragnień i zdobyć się na pogodny stosunek do ewentualnych klęsk. Jednocześnie nie może pozwolić sobie na bierną rezygnację, obojętny dystans, wyrzeczenie się jakiegokolwiek zaangażowania. Aby istnieć i być pożytecznym musi działać, ale oczywiście nie w oparciu o frazesy i złudzenia. Siła inteligencji jest w gruncie rzeczy ogromna, ale można ją rozwinąć wyłącznie w oparciu o mocne wartości duchowe. Nazbyt zrytualizowane ideologie nie są w stanie ich ugruntować. I dlatego w Polsce odczuwa się nienasyconą potrzebę takiej filozoficznej mądrości, która oparłaby się sprzecznościom narzucanym przez życie. Gdzie ową mądrość znaleźć?

Aleksander MATEJKO

Technika a polityka

W okresie pamiętnych wydarzeń marcowych w 1968 r., w działalności partii występowały dwa nurty polityczno-policyjnych represji przeciwko inteligencji.

Oprócz tradycyjnego i dobrze znanego w historycznych doświadczeniach komunizmu ostrza, wymierzonego przeciwko inteligencji humanistycznej, po raz pierwszy pojawił się także na większą skalę nurt wymierzony wyraźnie i niedwuznacznie przeciwko inteligencji technicznej.

O ile dawniej — jak w przypadku wydarzeń związanych z ogłoszeniem listu 34 intelektualistów do Cyrankiewicza — partia mogła przeprowadzić rozgraniczenie pomiędzy humanistyką a techniką, to obecnie, w marcu 1968, nie potrafiono już zatrzymać działalności skrajnych ekstremistów partyjnych, wymierzonej przeciwko każdej zawodowo wykształconej inteligencji. Była to chyba jedyna niespodzianka typu socjologicznego w całych wydarzeniach marcowych. Poza tym mechanizm walki partyjnego ciemnogrodu ze społeczeństwem, wbrew pozorom, nie był dla nikogo rozczarowaniem czy przykrą niespodzianką. Od dawna bowiem narastał proces wyobcowania się władzy z jakiegokolwiek bliższego i rzeczowego kontaktu ze społeczeństwem. „Wysokość” władzy żądającej i karzącej była w ostatnich latach przed wypadkami marcowymi dogłębnie ugruntowana i ukształtowana. Inaczej niż w czasach stalinowskich, działał jednak bez zmian

stary mechanizm zastraszania i moralnego zniewalania społeczeństwa. „Techniczna” niespodzianka o tyle zaskoczyła, że ludzie o wykształceniu technicznym i z nauk ścisłych zawsze mieli wśród społeczeństwa opinię obojętnych na to, co się w Polsce dzieje; uważano nawet, że niektóre mniejszościowe koła techników w sposób zbyt czołobitny akceptują nowy ustrój.

Inteligencja techniczna w Polsce posiada znacznie rozbudowane zaplecze szkół i warsztatów pracy, jak również — jak na warunki ustroju komunistycznego — dogodną i korzystną sytuację materialną. Marzenie każdego Polaka — wielokrotnie opisywane i przedstawiane w prasie krajowej: własne mieszkanie i samochód — najlepiej uwidacznia się na przykładach inżynierów i techników. Ich możliwości materialne stoją dość blisko najbogatszej warstwy w Polsce, tzn. rządzących i przylegających do nich ogniw pośrednich (przykładowo: dyrektor szpitala MSW nie posiada żadnej władzy politycznej, korzysta natomiast z przywilejów materialnych dostępnych tylko grupie rządzącej). Wynikają one niewątpliwie z autentycznej pracy, racjonalnie słusznego preferowania prawdziwych twórców industrializacji lecz mają także jeszcze i inny aspekt.

Wzorem inteligenta w ustroju komunistycznym — skoro już taki tam musi być — ma zostać kreowany przez partię człowiek, umiejący prowadzić maszynę, we właściwe miejsce wkręcić śrubkę, stale wytyczać permanentne budowle przemysłowe, lecz nie myślący szerzej. Grad zaszczytów i honorów, który zawsze spada z okazji święta 22 lipca i podczas przesadnie rozbudowanych świąt zawodowych na ludzi techniki, ma na celu wytworzyć przeświadczenie o skuteczności i podwójnej opłacalności pracy człowieka, który znowu pomógł społeczeństwu w uzyskaniu jakiegoś korzystnego wytworu materialnego. Inżynier i technik przedstawiają swoimi osobami liczące się sukcesy socjalizmu zwłaszcza że antysocjalistyczna — w opinii partii — humanistyka sieje bez najmniejszego zastanowienia nihilizm i zwątpienie ideologiczne. Były minister spraw wewnętrznych PRL, W. Wicha, występując na spotkaniu z naukowcami uczelni technicznych w Krakowie bezpośrednio po ogłoszeniu listu 34 intelektualistów, wyraźnie zorientował swoje audytorium o co chodzi partii w tym, tak widocznym, przeciwstawieniu techniki humanistyce. Jego ówczesny wywód dałoby się streścić następująco.

Partia, świat techniki i klasa robotnicza — w takiej kolejności przedstawił te grupy — stale pomnażają dobra materialne kraju. Budują dom dla wszystkich, który humaniści chcą rozbić przechodząc na stronę imperializmu amerykańskiego w najwulgarniejszym wydaniu, bo mocarstwowych rządów J. Kennedy. Chcemy żeby było jeszcze lepiej, byście między innymi mogli mieć coraz to nowsze samochody, tymczasem inteligencja humanistyczna, która w wartości swojej produkcji w stosunku do świata techniki jest zerem, stale wam przeszkadza w tak efektywnej pracy — przekonywał dalej Wicha.

Trudno powiedzieć jak wielu ze zgromadzonych w auli Akade-

mii Górniczo-Hutniczej inżynierów i techników przyjmowało za całkowicie prawdziwe wypowiedzi Wichy. Na pewno jednak nie jeden z nich pomyślał, że nudni pisarze i profesorzy przedmiotów humanistycznych protestują wyłącznie z powodu swoich nieprodukcyjnych dziwactw¹.

Prymitywna wypowiedź, o własnym samochodzie i możliwościach zmieniania go, wcale dla większości tych ludzi, nie musiała oznaczać grubą nicią szytej prowokacji i wbijania klina między społeczeństwo.

Samochód w świadomości tych ludzi, będąc wytworem materialnym i jako taki spełniający funkcję kompleksu kulturowego, może również zupełnie dostatecznie zaspakajać jakieś inne potrzeby kulturowe. Stanowi on może rekompensatę za wysiłek, który trzeba było dać chcąc budować rzekomo nowoczesny przemysł.

Wykształceni w warunkach i w atmosferze rozwoju nauki technicznej w Polsce Ludowej — gdzie technika spełnia rolę ściśle usługową wobec partii będąc jednym z pierwszych jej elementów zaciskania społeczeństwa w obrożę — technicy nie potrafili myśleć historycznie ani retrospektywnie. Ich świadomością społeczną pierwszego stopnia staje się wyprodukowany przez nich wytwór materialny, tak krzykliwie przez propagandę partyjną święcony. Stopniem wyższym tej dorywczej świadomości społecznej jest wytwór materialny, który posiadają sami.

Zasada: ja mam, ja posiadam, ja wytwarzam najwięcej, ja jestem na pierwszym miejscu w zasługach — wcale nie oznacza żeby przeciętny inżynier w Polsce wierzył w komunizm. Zdaje sobie on bowiem dobrze sprawę z faktycznej nicości tego ustroju, gdy chodzi o prawdziwe podniesienie kultury materialnej narodu. Niejeden z nich widzi chroniczną indolencję władz, gdy chodzi o programowanie rozwoju przemysłu w Polsce. Inżynier związany bezpośrednio z produkcją musi, oczywiście, całkowicie orientować się w ogromie marnotrawstwa wartości materialnych społeczeństwa, wynikającego z błędnych decyzji i „samodurstwa” najwyższych w górze, i najmniejszych kacyków partyjnych — w zakładach pracy na dole. Tenże inżynier często sam pada ofiarą arbitralnych i sprzecznych ze zdrowym rozsądkiem decyzji bylejakiego dygnitarza partyjnego. Wielu z nich zdaje sobie oczywiście sprawę — muszą to odczuwać jako czołowi producenci gospodarki kraju — że Polska jest rządzona w imię celów i potrzeb gospodarki sowieckiej. Widzą zapewne lepiej aniżeli każdy przeciętny obywatel, jak trud ich pracy przechodzi gdzie indziej. Wiedzą doskonale o trudnościach jakie stawia partia przed wszelkim nowatorstwem. Te trudności dotyczą zaś także specyficznych rozwiązań, jakie dla potrzeb gospodarki wynajdują przedstawiciele

1. Gwoździ przypomnienia — na liście 34 intelektualistów protestujących wobec Cyrankiewicza przeciwko braku wolności myśli i słowa w Polsce — znalazł się tylko 1 przedstawiciel świata techniki: prof. matematyki U.W., W. Sierpiński.

świata techniki. Ileż to wynalazków i patentów poszło do kosza, ponieważ partia ich sobie nie życzyła.

Musi również do nich docierać generalnie istniejący w makrostrukturze subiektywizm rządów partii, brak logicznego myślenia — cechy tak obce ludziom pracującym na polu techniki i produkcji.

Ponad jednak tymi faktami większość inteligentów technicznych godzi się na wszystko co partia robi. Są oni bowiem w przeważającej części nastawieni konsumpcyjnie, spodziewają się, że wbrew wszelkim trudnościom będą mogli utrzymać swoją autonomię zawodową oraz swój standart materialny. Wierzą w swoją apolityczność jako szansę że nikt ich nie będzie politycznie prześladował. Uważają również, że fakt iż aparaczczy partyjni nie znają dziedzin tak specjalistycznych jak nauki techniczne pozwoli im zachować pewną niezależność sądu i działania przynajmniej wobec niektórych decyzji partii. Na pewno tak jest. Partia, jeśli w ogóle, w ograniczonym zakresie, szuka u kogokolwiek porady — czyni to w świecie techniki. Niestety inżynierowie wpływają tylko i wyłącznie na pewne szczegóły techniczne zamierzonej inwestycji czy produkcji. Gdy chodzi o stwierdzenie opłacalności społecznej podejmowanych przez partię inwestycji i działań społecznych, to nawet w zakresie ścisłej techniki inżynier nie jest dopuszczany do jakiegokolwiek głosu doradczego. Pomimo tych wszystkich ujemnych cech, wzór inżyniera, działającego w życiu społecznym, dość łatwo i niepokojąco był łączony w szerokiej opinii publicznej ze wzorem działacza społecznego, opartego przecież na typie funkcjonariusza partyjnego. Sytuacja ta wynika stąd, że także i funkcjonariusze partyjni snobizują się w „dorabianiu” sobie wyższego wykształcenia na inżynierów, ci ostatni zaś, jako jedna z nielicznych grup inteligentnych, często biorą udział w tzw. partyjno-państwowej pracy społecznej². Faktem jest, że na każde zawołanie partii szybko biegną do pracy we Froncie Jedności Narodu, w Komisjach Wyborczych, czy też innych, zupełnie nierzeczywistych ciałach społecznych, istniejących w ustroju komunistycznym.

Inteligencja techniczna w Polsce, wcale nie będąc szczególnie upartyjniona, zdaje się przecież w wielu przypadkach wierzyć zapewnieniom partii o konieczności rozwoju społecznego, kierowanego i kontrolowanego tylko przez partię.

Karykaturalność tego poddania świata techniki partii tkwi dodatkowo w tym, że w większości wypadków mamy do czynienia z inżynierami, którzy znani są z pięknej postawy moralnej

2. Mówiąc o funkcjonariuszach partyjnych, którzy studiują — a takich w okresie gomułkowskim było tysiące — stwierdzamy fakt, iż robią to przede wszystkim na politechnikach. Zaczynając od obecnego I-szego sekretarza KC PZPR, który jest inżynierem-metalurgiem, zdecydowana większość z nich zabiega, jako o swoją nobilitację, o uzyskanie dyplomu z nauk ścisłych. Ten pęd może oznaczać między innymi jeszcze jedną pogardę dla „zgniłej i burżuazyjnej” humanistyki.

i zawodowej. Po prostu oportunizm powoduje, że godzą się bez żadnych wewnętrznych sprzeciwów na uczestnictwo w Dniu Skupienia dla techników „w kościele” z dobrowolną, w gruncie rzeczy, służbą dla partii.

Inteligencja techniczna ponad wszystko zdaje się cenić tradycję — obojętnie jaką — spokój oraz własną wygodę myślową. Robi wrażenie zupełnie świadomie zagubionej w dzisiejszej mozaice ideologicznej świata.

Pomimo przedstawionych powyżej dość znacznych powiązań świata techniki z partią, ta ostatnia w okresie marca 1968 roku rozprawiła gorąco, nie gardząc straszeniem, o niebezpieczeństwie technokratyzmu w Polsce. Zarzucano ludziom techniki, że uniemożliwiają wprowadzenie do zakładów pracy demokracji robotniczej. Mieli oni być także „kozłami ofiarnymi” za niewłaściwe stosunki międzyludzkie, panujące w zakładach pracy, jakoby mieli niedostatecznie szerzyć postęp techniczny wśród załogi danej fabryki. Te zarzuty sprowadzały się do bezideowości oraz braku wyrobienia politycznego i niedostatecznego zaangażowania w sprawę socjalizmu. Oczywiście inżynierowie i technicy mieli być również wrogo nastawieni do klasy robotniczej.

Warszawski tygodnik *Argumenty* długo o tym wszystkim pisał, specjalizując się w tej problematyce grubo po wydarzeniach marcowych.

Bez przerwy próbowano na jego łamach stworzyć jakąś sztuczną sytuację, która miałaby być okazją i pretekstem do rozprawy z szerzej pojętą inteligencją. Tworzono teorie o nadchodzącym zagrożeniu technokratycznym w zakładach pracy. Wyraźnie sugerowano drugi etap rozprawy z inteligencją. Tylko tym razem, skoro inteligencja humanistyczna była już powalona na ziemię, próbowano znaleźć nowego wroga.

Przyznać trzeba, że publicyści z *Argumentów*, tak brutalnie dyskutujący o technokratach, mieli wyjątkowo przeczucie wydarzeń grudniowych 1970 roku. Przewidując dalsze narastanie konfliktów społecznych w Polsce, szczególnie zaś tych, które są chroniczne w związku z ogólną sytuacją gospodarczą w kraju, chcieli zapewne mieć z góry przygotowanego przyszłego wroga klasowego. Rzecz jasna nie partia, jednostronnie rządząca gospodarką, ale jej wykonawcy; świat techniki miał odpowiadać za wadliwą produkcję, niedostatki robotników i ogólny kryzys gospodarczy.

Podobno na osobiste żądanie Gomułki całą tę akcję — na razie tylko prasową — w końcu zawieszono. Krótkość jej trwania wcale nie zmienia faktu, że partia także i inteligencji technicznej zaczyna coraz mniej wierzyć. Również wypadki grudniowe z 1970 roku wskazują, że lokalne władze partyjne chciałyby się bronić przed napierającą klasą robotniczą rzucając oskarżenia na personel techniczny i zarządzający w zakładach pracy. Jednak w obliczu zasadniczego kryzysu pomiędzy partią a klasą robotniczą — partia będzie zapewne próbowała obecnie — przez pe-

wien okres czasu — czynić pewne „awanse” inteligencji technicznej. Ważną rzeczą będzie, jak ta ostatnia ustosunkuje się do nowej gry partii.

Inteligencja techniczna na etapie strukturalnego kryzysu komunizmu sowieckiego, ma do spełnienia w Polsce ważną rolę. Zapewne ważniejszą nawet od inteligencji humanistycznej.

W momencie gdy świadomość społeczeństwa jest już całkowicie i jednoznacznie uformowana — społeczeństwo nie wierzy więcej w żadną poprawę sytuacji ze strony partii — inteligencja techniczna powinna wpływać na „produkcyjne” podbudowanie walki politycznej robotnika. Wskazanie robotnikowi na przyczyny zahamowań w jego własnej pracy produkcyjnej, pokazanie braku kompetencji partii i rozwianie w tej dziedzinie wszelkich mitów, że w przyszłości będzie lepiej — mogłoby zdecydowanie wesprzeć klasę robotniczą w jej aktualnej walce z partią.

Przed wszystkim zaś inteligencja techniczna powinna zerwać ze ślepych posłuszeństwem wobec partii, wobec jej absurdalnych poleceń gospodarczych. Nie podporządkowując się abstrakcyjnym koncepcjom gospodarczym partii, inteligencja techniczna będzie w stanie wyrabiać w całym społeczeństwie poczucie własnej siły i znajomości spraw istotnych dla przyszłości kraju. Ostatnim mitem partii jest bowiem problem pozytywnego rozwiązania zagadnień zarządzania i kierowania gospodarką narodową. Stara się ona wmówić w społeczeństwo, że tutaj tkwią przyczyny wszystkich bolączek socjalizmu w Polsce. Inteligencja techniczna, wykazująca że komunizm nie jest w stanie nigdy w żaden sposób rozwiązać problemów gospodarczych w Polsce — ostatecznie zachwiałaby policyjnym systemem ciemniącym kraj. Jej kompetencja i umiejętności fachowe powinny stać się ważką argumentacją i siłą polityczną.

W momencie gdy nowe kierownictwo partii próbuje ukazywać kolejną „magiczną perspektywę” rozwoju, skazanego z góry na niepowodzenie, obowiązkiem inteligencji technicznej staje się wypracowanie alternatywnej przeciw-koncepcji, która — opierając się o cele walki przemysłowo-produkcyjnej robotników, łączonej dziś korzystnie z celami politycznymi — byłaby w stanie dążyć do zmniejszenia w Polsce kierowniczej roli partii nad gospodarką kraju. Ta droga, w przypadku wejścia na nią, służyć powinna stopniowym przestawieniom strukturalnym w całokształcie funkcjonowania społeczeństwa globalnego. Może ona bowiem, poprzez zmiany w życiu gospodarczym, otworzyć proces rzeczywistej demokratyzacji stosunków społecznych w Polsce.

Nie przeceniając roli „technokratów” w przekształcaniu ustroju socjalistycznego w Polsce, trzeba przecież zauważyć, że są oni potrzebnym ogniwem, które może dać pożądane zmiany. O ile w Związku Radzieckim czołowi przedstawiciele nauk ścisłych od dawna podjęli wraz z inteligencją humanistyczną walkę z panującym systemem, to w Polsce takiego sojuszu nie widać. W Rosji, inteligencja opozycja działa w zasadzie w zupełnej pustce i osamotnieniu gdy chodzi o poparcie szerszych warstw społecz-

nych. W Polsce odwrotnie — walcząca inteligencja humanistyczna posiadając nareszcie wsparcie pozostałych warstw społecznych — w tym najważniejszej z nich, bo klasy robotniczej — ciągle nie może znaleźć porozumienia z inteligencją techniczną, którą nawet dziś, po najnowszych zmianach w Polsce, partia potrafi dalej trzymać w kleszczach swojej polityki. Może jednak w końcu technicy w Polsce zrozumieją, że pożar domu, w którym wszyscy mieszkają, prędzej czy później musi dotrzeć i do tych, którzy udają, że go nie widzą.

W dzisiejszym świecie rozbrat pomiędzy polityką a techniką został już dawno przewyższony i przekroczony. Od czasu udziału A. Einsteina w wynalazku pierwszej bomby atomowej i wypadków, które się z tym faktem łączyły, żaden przedstawiciel świata techniki — o ile nie jest osobiście zakłamanym — nie może twierdzić, że jego dyscyplina naukowa jest dalej wolna od wszelkich uwarunkowań politycznych.

Współczesny, nadmiernie szybki rozwój techniki i jej różnorodnych kierunków technologicznych przeobraża polityczne myślenie człowieka. Technika, przyczyniając się do lepszego i pełniejszego zaspokojenia materialnego społeczeństwa, tworzy również ramy dla życia politycznego danego kraju. O tych dwóch ostatnich sprawach ludzie techniki w Polsce nie powinni zapominać. Niechaj wiedzą, że prawdziwa wartość ich pracy będzie w przyszłości oceniana na podstawie osiągnięć technicznych, które sprzyjały rozwojowi materialnemu społeczeństwa. Skoro o tym odcinku życia społecznego w Polsce raczej nie da się nic pozytywnego powiedzieć, technicy powinni czym prędzej wyciągnąć właściwe wnioski na polu polityki. Zmieniając ją, będzie można znowu wrócić do tego by inżynier i technik polski nie pozostawali w tyle w stosunku do czołówki światowej dążącej do rzeczywistego rozwoju kultury materialnej.

Aleksander ZABRZESKI

Żale Machejka

— Ma pan możliwości podnieść w Sejmie? To podnieś pan! Niech znikną fory, plecy, łapówki. Ustawę przeciw łapówkom i korupcji uchwalic o — to pójdziemy szybciej do socjalizmu. Znaczą... jeśli jeden drugiego będzie załatwiał po obywatelsku, gdy wszyscy będziemy po równo cierpieli i będziemy bici — gdy bieda — jednym batem...

Tyle tęsknot na raz w jeden worek wrzucono, że zgroza spięta człowieka za stołem prezydyjnym. Uchwalic w Sejmie? Proszę bardzo — i co dalej? Szyderczy śmiech rozlegnie się na ziemi i na niebie. Ale MY nie śmiejmy się. Oto słyszysz:

— Buciki chłopięce i dziecięce ciągle można dostać raczej za wziontki. Panienska nie boi się wziąć pięćdziesiątki wprost z lady. Rozbestwienie.

— Jakie świństwo z tym rozporządzeniem, żeby chłop, skoro już ubłaga przydział, dostawał kwitek wprost do cegielni lub pustaczarni. Jedź sto i dwieście kilometrów. Tam już nie ma chłop żadnej obrony, wtykają mu szajs... albo daj do łapy za towar do użytku.

— Jeśli napiszemy skargę na urzędnika albo na gospodarkę, to kontrola przyjeżdża najpierw do tych, na których skarżymy się. Wszystko wybiela, ręka ręce myje. Nie będzie szczerości.

— Wprowadzić skrzynki zażaleń, anonimowe.

— A po co? Nie słyszałeś, co przedtem powiedziano o kumoterstwie od góry? — Kominarz przychodzi co sześć tygodni i bierze swoją „dole” za wejście do domu, komina nie sprawdza, bo po co tak często?

— Jakim prawem wrzepiają podatek od „wzbogacenia” gdy chłop wybuduje dom? Przecież ja podatki płacę, więc reszta powinna być moja bez reszty... Ale gdy pogadam „do ręki”, to ustawy już nie ma...

— Chciałem se chlewy wybudować. W GS nie ma żelaza, odsyłają do PZGS, tam z powrotem do GS. Nonsens! Wreszcie poszukałem innego źródła, znalazłem. Ale do źródła towar przepływał z PZGS, jak woda.

— Założyliśmy wodociąg, zapłaciliśmy naszymi pieniędzmi. Ale w zimie woda nie szła, zamarzała. Nas winili za to, ci w przedsiębiorstwie. Żeśmy nie przykrywali rur — pierzynami, czy jak? Ale rada się znalazła. Posmarowało się, przyjechali, doprowadzili do porządku.

— Żadnej sensacji nie ma we wsi gdy przyjedzie sekretarz partii albo przewodniczący PRN. Ale gdy zjawi się pełnomocnik od opłacalnej kontraktacji np. nasion, to jest wielkie święto. Był taki czas, że w niektórych wsiach budowano bramy triumfalne dla wjeżdżających sankami panów z miasta...

Litania zarzutów i skarg na „wzientki” dopiero rozpoczęta. Na jej korzyć można tylko tyle powiedzieć, że litania przeciw nonsensom w naszym życiu gospodarczym i społecznym jest o wiele dłuższa... Jeszcze są naiwni, którzy wierzą, że potworny zestaw zła można tak rozbić jak to zrobił z Tablicami Mojżesz. Że można krzyknąć jak w „Panu Tadeuszu” za przykładem Gerwazego — „wymieść śmiecie” — i już stanie się.

Część przyczyn korupcji zasadza się na deficytowości pewnych towarów np. przemysłu lekkiego, chociaż nikt zdrowy na umyśle nie może zrozumieć, dlaczego produkujemy dużo butów na skład, buble, natomiast permanentnie brakuje bucików dziecięcych i młodzieżowych.

Dlaczego gacie pojawiły się akurat teraz... Niewątpliwie trudności z brakami w towarach — za przykładem rynku mięsnego — będą rozwiązywane po kolei. Niestety, istnieją poza tym łapówkarze zaokrąglający swoje oficjalne wynagrodzenie niezależnie od braków towarów. Tu już chodzi o niedostatki moralne i nadmiar zbrodniczości. Często w urzędach legendy się snuje o wielkich i mizernych niekiedy sprawach w „górze”, a przy sposobności nie zauważa się, że „król jest nagi” w dole. Gąszcz nieczytelnych przepisów sprzyja łowcom „wzientków”, którzy świetnie wyczuwają rybę w sieci...

Życie Literackie, Nr 1007, z 16 maja 1971.

Sprawy i troski

Kolegium Związkowe

„Przeciętny Amerykanin, w wieku powyżej 25 lat” — informuje *US News and World Report* — „posiada 12 lat nauki w szkołach”. Poniżej tej przeciętnej znajdują się narodowości słowiańskie i nie-europejskie (kolorowi). Wśród ludności białej Polacy zajmują ostatnie miejsce ze średnią 9 lat nauki szkolnej. Jesteśmy w tyle za Rosjanami (10 lat) i Ukraińcami (11 lat). Natomiast wyprzedzamy Murzynów o 2 lata (dane z 1968 roku). Murzyni poprawili się teraz. A jak Polonia w USA?

Na to pytanie działacze polonijni z dumą wymieniają nam Kolegium Związkowe w Cambridge Spring (Pa), założone w 1912 roku oraz Seminarium Duchowne St Mary's College w Orchard Lake (Mich) — dwie polonijne wyższe uczelnie, którymi chlubi się Polonia amerykańska. Bez wątpienia to są najpoważniejsze osiągnięcia polonijne w dążeniu do zapewnienia wykształcenia naszej młodzieży, do wywyższenia się polskiej grupy etnicznej w Ameryce przez zdobywanie wiedzy.

Działalność Kolegium Związkowego — o czym tu będzie mowa — wymaga skrótownego choćby przedstawienia położenia szkolnictwa polskiego w Ameryce, różnych stopni. Bowiem istnienie wyższego zakładu naukowego i jego rola jest zawsze uwarunkowana od jakości zaplecza w postaci szkolnictwa powszechnego i średniego, gdzie młodzież przysposabia się do studiów wyższych. Nie bez znaczenia jest również profil kulturowy środowiska, z którym to szkolnictwo jest związane.

Prof. E. Kusielewicz, prezes Fundacji Kościuszkowskiej w Ameryce, w swojej pracy pt. „Reflections on the Cultural Condition of the Polish American Community” rozróżnia następujące grupy w tzw. starej Polonii, tej sprzed 2-giej wojny, która stanowi ok. 90 % elementu polskiego w Stanach Zjednoczonych A.P. (łącznie z jej młodzieżą).

a) Pierwsza generacja — przewaga emigrantów bez elementarnego wykształcenia, z dużym odsetkiem niepiśmiennych.

- b) Druga generacja — wykształcenie przeważnie na poziomie szkoły elementarnej lub powszechnej, zwanej tu *High School*. Do wyjątków należą studenci uniwersytetów.
- c) Trzecia i czwarta generacja — pełne wykształcenie podstawowe (8 lat), większy odsetek młodzieży w szkołach licealnych i na wyższych uczelniach.

Czy można to przeliczyć na cyfry? Nie. Bowiem płynne jest samo pojęcie „Polonia Amerykańska” i nie dająca się ściśle określić jej liczebność. Prof. E. Obidziński, socjolog z Uniwersytetu Stanowego w New Yorku, w pracy przygotowanej na II Polski Zjazd Naukowców w Ameryce (kwiecień 1971), rozróżnia następujące człony polskiej grupy etnicznej w USA:

- 1) Polacy zamieszkali w Stanach Zjednoczonych A.P.
- 2) Polacy amerykańscy,
- 3) Amerykanie polskiego pochodzenia,
- 4) Amerykanie — praktycznie nie poczuwający się do żadnych związków pochodzeniowych, choć noszą np. polskie nazwiska, albo pochodzą z małżeństw mieszanych.

Odpowiednio do tego ile z tych członów zaliczać będziemy do Polonii amerykańskiej dostaniemy cyfrę młodzieży polonijnej w wieku szkolnym (do 25 lat). Orientacyjnie może to być od pół do 2½ miliona. Ja bym wybrał 750 tysięcy jako cyfrę młodzieży, która może okazać zainteresowanie dla swojego dziedzictwa kulturowego, z ambicjami traktowania tej schedy narodowej jako własnego wkładu do pluralistycznej kultury amerykańskiej. Może? — Jeśli wiele się zmieni w życiu zorganizowanej Polonii, jeśli nawyki w pracy społecznej z czasów getta polonijnego zostaną zastąpione czymś, co by odpowiadało warunkom w jakich dziś żyje młodzież polonijna, będąca jak najdalej od wszystkiego co przypomina stosunki gettowe. Bo jak do tej pory, młodzież polonijna jest poza zorganizowanym życiem polonijnym, zaś starsze pokolenie działaczy polonijnych znajduje się w takiej sytuacji, iż nie wie komu przekazać stworzone przez siebie instytucje, cały swój, blisko 100-letni, dorobek społeczno-narodowej pracy. „Jestem przekonany, że gdyby nie było tego rozdziału generacji — nigdy by nie doszło do takiego upadku Kolegium Związkowego czy Muzeum Polskiego, jak to ma miejsce teraz” — pisze prof. E. Kusielewicz.

W 1969 roku powstał na Uniwersytecie Illinois w Chicago Związek Studentów Polskich, którego organizatorzy ustalili, że na tym uniwersytecie jest około 3.000 studentów polskiego pochodzenia (około 10 % całości), ale do Związku Studentów Polskich przystąpiło tylko 80-ciu. W ogólno-amerykańskim Związku Akademików Polskich, który posiada kilka oddziałów w różnych stanach, nie ma więcej niż 500 członków. Przykłady te podałem dla zilustrowania tezy, że awans społeczny polskiej grupy etnicznej, zdobywany przez kształcenie młodzieży polonijnej, odbywa się — jak dotąd — *poza strefą wpływów* zorganizowanej Polonii. Ta młodzież garnie się do nauki bardziej przez wpływ jaki wywiera na nią środowisko amerykańskie, aniżeli wskutek zachęty ze

strony własnego środowiska etnicznego, które albo nie docenia potrzeby kształcenia młodzieży, albo traktuje ten problem tak samo jak w czasach getta polskiego w Ameryce, kiedy sobotnia szkoła parafialna lub związkowa uczyła czytać i pisać po polsku, wyczerpując tym wymagania edukacyjne wielu z najstarszej emigracji. „Dorobiłem się w Ameryce nie nauką, tylko pracą i niech młodzi tak jak my zaczynają, to też dojdą do czegoś” — jest to typowa odpowiedź jaką słyszę od lat, gdy zachęcam starszych emigrantów, aby naruszyli swoje oszczędności na kształcenie dzieci, czy wnuków. To nie jest z ich strony skąpstwo, tylko środowiskowy nawyk biedoty wiejskiej w Polsce, w której zwyczajach było, że dzieci od najmłodszych lat pracują i zarabiają na chleb. Jest w tym i pewien konserwyzm amerykański, gdyż 50 lat temu panowała w Ameryce moda na *self made man*ów. Dzisiaj w Ameryce liczy się więcej wykształcenie, niż dorobkiewiczostwo, ale to nie dotarło jeszcze do wielu spośród Polonii. Nie należy do rzadkości, że spory organizacyjne, czy też osobiste różnice zdań, rozstrzyga się na zasadzie — bogatszy ma rację. Bo majątek jest miarą rozumu!

Oto jest obrazek stosunków środowiskowych w których mamy zmieścić problem szkolnictwa polonijnego w Ameryce i zastanowić się nad jego przyszłością.

Zaplecza edukacyjne

Skąd brać studentów do polskiej uczelni uniwersyteckiej, skoro nie ma polonijnego szkolnictwa powszechnego i średniego?

Kiedy w 1912 roku powstawało Kolegium Związkowe w Cambridge Spring problem naboru studentów nie przedstawiał się tak groźnie jak dziś. Po pierwsze istniały jeszcze wówczas prócz szkółek sobotnich polskie szkoły katolickie o pełnym wymiarze godzin nauczania. Po drugie Kolegium Związkowe — przez wiele lat — nie było wyższym zakładem naukowym, tylko szkołą techniczną, w której młodzież polonijna przyuczała się do zawodów technicznych, mając ukończoną przedtem polską szkołę powszechną. Skromna liczba uczniów — od 200 do 300 — nie stwarzała zbyt wielkich trudności, by ich pozyskać. Była to więc, do pewnego stopnia, prawidłowa struktura edukacji. Przygotowaniem narybku zajmowało się szkolnictwo kościelne (polskie parafie i zakony) którym nauczycieli dostarczało Seminarium Duchowne w Orchard Lake i specjalne Studium, zorganizowane w Polsce przez kardynała Hlonda dla duszpasterstwa emigracyjnego. Pomocne w tym były również organizacje polonijne z ich szkołkami sobotnimi..

Po drugiej wojnie światowej stary układ stosunków zmienił się zasadniczo. Hierarchia Kościoła Katolickiego w Stanach Zjednoczonych włączyła się do polityki integracji społeczeństwa amerykańskiego i przestała popierać parafie etniczne oraz kościelne

i klasztorne szkolnictwo obcojęzyczne. Chicago było kiedyś największym ośrodkiem powszechnego szkolnictwa polskiego. Dziś nie ma tu ani jednej polskiej szkoły o *pełnym* wymiarze godzin. Dawne polskie szkoły katolickie istnieją nadal jako amerykańskie szkoły katolickie, gdzie nie uczą już przedmiotów polskich, po polsku. Hierarchia kościelna popiera kierunek *melting pot* i stara się aby istnieli tu tylko Amerykanie-katolicy, bez różnic pochodzeniowych, przeciwko czemu protestował w Watykanie, u Papieża, prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, adw. Mazewski.

Co nie zostało zlikwidowane, albo przekształcone na powszechne szkolnictwo amerykańskie, to się ostało jako polskie szkoły sobotnie, utrzymywane ze składek rodzicielskich lub z donacji większych organizacji polonijnych. Są to skromne resztki, zważywszy że nauka polskiego i historii Polski prowadzona jest tam raz na tydzień, w wymiarze 3 godzin, nie rzadko przez ideowy ale nie zawodowy personel nauczycielski. Upoważnia to do stwierdzenia, że struktura szkolnictwa polonijnego w USA została zwichnięta od podstaw. Ze szkoły sobotniej nie ma drogi do Kolegium Związkowego, tym bardziej, że to Kolegium przestało być zwykłą szkołą techniczną a uzyskało w 1948 roku akredytację jako Kolegium z prawami uniwersyteckimi.

Mamy więc pięknie położony i dobrze wyposażony polski wyższy zakład naukowy w Stanach Zjednoczonych i nie wiemy co z nim zrobić. Skąd brać studentów? Jaki nadać kierunek studiom? Z jakiego źródła pokrywać wydatki tej uczelni? Jak dotąd, nie wiadomo o co właściwie idzie w polonijnym szkolnictwie? Czy stawia sobie ono za cel przygotować młodzież naszą do lepszego startu życiowego w jej amerykańskiej ojczyźnie? Czy zmierza do umocnienia więzi kulturalnych z krajem pochodzenia? Czy — jak mówi sen. E. Muskie — ma być ogniskiem moralnego przywództwa dla polsko-amerykańskiej społeczności? Czy ma kultywować wartość i znajomość kultury polskiej wśród Amerykanów polskiego pochodzenia dla zrozumienia samego siebie? Albo może ma się przekształcić w kursy szkolenia akwizytorów dla polonijnych organizacji ubezpieczeniowo-społecznych — co nie jest moim wymysłem.

Mistrza sądzi się po dziele — zakład naukowy po karierach jego wychowanków. Toteż pierwszym pytaniem, jakie zadałem dr. W. Dworakowskiemu, który jest przewodniczącym Rady Zarządzającej Kolegium, było — ilu absolwentów Kolegium wypuściło w świat, w ciągu swojej z górą półwiecznej działalności, oraz ilu z nich osiągnęło jakiś wyróżniający sukces życiowy? Otrzymałem odpowiedź, że z Kolegium wyszło do tej pory około 5.000 absolwentów, z czego żyje około 3.000, ale nie znalazł się ani jeden o bardziej wyróżniającej karierze naukowej, politycznej czy zawodowej. Wprawdzie podano mi kilka nazwisk np. sędziego federalnego, pisarza, który kiepsko zakończył swoją karierę, profesora i jeszcze jednego sędziego. Ma to swoją wymowę, ale raczej na minus, gdyż dowodzi, że zakład naukowy w ciągu 50 lat istnienia nie przydał lotów żadnej wyróżniającej się osobo-

wości na skalę ogólnoamerykańską. Inaczej to wyglądało w takim Liceum Krzemienieckim, którego uczniowi nawet w Kanadzie stawiano pomniki (Gzowski).

Teraźniejszość Kolegium Związkowego

Studentów w Kolegium Związkowym przybywa. Tak, przybywa, ale nie ze środowiska polonijnego. Na 581 studiujących w roku akademickim 1970/71 jest tylko 295 pochodzenia polskiego. Tylko 20 % profesorów i personelu naukowego należy do polskiej grupy etnicznej. Studenci pochodzą z różnych stron Ameryki, bo aż z 30 stanów. Ale *de facto* 85 % studiujących pochodzi z najbliższych stanów — z Pensylwanii, New Jersey, New York, a z pozostałych 27 stanów jest zaledwie po kilku.

Odwiedziłem Kolegium Związkowe w dniu kiedy rozpoczęło się przyjmowanie kandydatów na nowy rok akademicki. Skorzystałem więc z okazji, aby dowiedzieć się bezpośrednio od rodziców studentów czym się oni powodowali wybierając Kolegium Związkowe? Oto odpowiedzi jakie dawały mi rodziny polskiego pochodzenia:

- „Przyjemnie tu, blisko i nie drogo kosztuje nauka”.
- „Jestem członkiem Związku Narodowego Polskiego, więc mojemu synowi przysługuje tu zniżka w opłatach”.
- „Mam mały dom a dzieci dorastają. Musiałem zdecydować, albo kupić dla rodziny większy dom, albo oddać syna na Campus (stancję) do szkoły. Wolałem zachować dom, bo dzieci i tak pójda na swoje”.

Zdecydowana mniejszość zapytywanych wspominała coś o zainteresowaniach kulturą lub historią Polski, o studiach polonistycznych. Odniosłem wrażenie, że kandydaci na studentów traktują Kolegium Związkowe jako jedno z 2.000 kolegiów amerykańskich a swój wybór uzasadniają w pierwszym rzędzie niższymi opłatami, następnie bliskością do domów rodzicielskich a w dalszej kolejności brana jest pod uwagę możliwość studiów polonistycznych. Potwierdza to liczba studentów, którzy zapisując się do Kolegium Związkowego obierają kierunek studiów polonistyczno-slawistycznych. W Kolegium Związkowym istnieje (na statusie ubogiego krewnego) Wydział Slawistyczny, gdzie prowadzone są wykłady z polonistyki i rusycystyki. Na tym Wydziale nie ma więcej niż 25 do 30 studentów. Dodajmy, że na 100 do 120 absolwentów, którzy każdego roku opuszczają Kolegium, jest zaledwie dwóch do czterech z dyplomami „Slavic Studies”. Upoważnia to chyba do postawienia zarzutu, iż kierownictwo Kolegium Związkowego nie zdołało zainteresować swoich wychowanków (nawet tych pochodzenia polskiego) wykładami z polonistyki. A przecież można było oczekiwać, że zakład naukowy, utrzymywany z dotacji polonijnych, powinien sens swojego istnienia upatrywać w tym, by swoich studentów pozyskiwać dla studiów nad historią i kulturą polską, i nie tylko tych z rodzin polskiego pochodzenia.

Tymczasem stan rzeczy jest taki, że zaledwie około 10 % studentów z rodzin polskich interesuje się studiami polonistycznymi a cała reszta młodzieży studiującej traktuje Kolegium Związkowe jako zwykły amerykański zakład naukowy. Różnica polega tylko na tym, że jest to amerykańskie Kolegium prowadzone jest za polonijne pieniądze.

Od dwóch lat Kolegium Związkowe, we współpracy z Fundacją Kościuszkowską, wysyła corocznie kilku studentów na studia uzupełniające do Polski. Wysyłani są studenci po dwóch latach nauki na Wydziale Slawistyki w Kolegium, aby trzeci rok studiów polonistycznych odbyć na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Z listów, jakie od nich nadchodzą wynika, że wielu z nich uważa swoje dwuletnie studia polonistyczne w Kolegium za czas stracony, w porównaniu do korzyści jakie dały im wykłady w Krakowie. Treść tych listów jest znana władzom Z.N.P.

Nasuwa się przypuszczenie, że kierownictwo Kolegium zbyt łatwo uległo wobec trudności zorganizowania u siebie studiów polonistycznych na właściwym poziomie, czego nie rekompensuje wysiłek włożony w zorganizowanie kursów wakacyjnych, przy wydatnej pomocy sił naukowych z zewnątrz. Nie rekompensuje tego własny, folklorystyczny zespół taneczny „Kujawiaki”, którego występy w barwnych strojach ludowych mają osłaniać ubogość Wydziału Slawistyki w Kolegium.

Brak koncepcji

Wiele przyczyn składa się na ten stan rzeczy i nikogo nie należy podejrzewać o brak dobrej woli, a raczej o brak koncepcji dla tej placówki polonijnej. Rezultat jednak jest ten, że Kolegium Związkowe, powstałe z patriotycznych potrzeb Polonii amerykańskiej, jak głosi uchwała Związku Narodowego Polskiego — „dla zapewnienia młodzieży polonijnej lepszej przyszłości i otwarcia jej drogi do wyższych stanowisk w życiu amerykańskim przez wyższe wykształcenie” — tego zadania nie wypełnia, podobnie jak nie wywiązuje się z zadania pogłębienia wiedzy o Polsce i jej kulturze wśród młodzieży polonijnej.

Działu tu splot obiektywnych trudności, występujących wespół z błędną koncepcją szkolnictwa polonijnego w USA.

Do trudności obiektywnych zaliczam brak zaplecza młodzieży z polskiego szkolnictwa powszechnego i średniego. Skąd — w takich okolicznościach — brać kandydatów do polskiego wyższego zakładu naukowego? Chyba tylko z Polski (!) albo — jak to się dzieje — z namowy patriotycznie nastawionych rodziców. W ostatnim roku akademickim w Kolegium było 20 studentów urodzonych w Polsce, ale większość z nich do szkół średnich chodziła w Ameryce. (N.B. eksperyment z Polskim Uniwersytetem w Londynie był udany, jak długo istniało rozbudowane polskie szkolnictwo w Anglii).

W stosunkach amerykańskich nie można ignorować faktu, że

dostęp do *Establishment*'u uzyskuje się albo przez majątek, albo przez studia w jednym z wielkich, tradycyjnych uniwersytetów amerykańskich. Dlatego założenie, iż Kolegium Związkowe ma otworzyć młodzieży polonijnej „drogę do wyższych stanowisk w życiu amerykańskim” jest błędne. Spośród 5.000 dotychczas wypuszczonych absolwentów naszego Kolegium ani jeden nie dotarł do decydujących ośrodków amerykańskiego świata politycznego, naukowego czy też gospodarczego. Dodajmy, że na palcach obu rąk można zliczyć tych absolwentów Kolegium Związkowego, którzy po ukończonych studiach zainteresowali się życiem społecznym Polonii i poświęcili swój czas i doświadczenie, aby ożywić organizacje polonijne. Gdy prosiłem, aby mi podano znanych w Polonii działaczy, którzy byli studentami Kolegium Związkowego, zdołano sobie przypomnieć cztery nazwiska. Może jeszcze paru się znajdzie. Oto jest rezultat milionów dolarów wyłożonych przez Polonię amerykańską ze Związkiem Narodowym Polskim na czele, na wychowanie przodującej kadry Amerykanów polskiego pochodzenia, mających umocnić więzi kulturowe Polonii z krajem pochodzenia i predysponowanych do przywództwa w walce o awans społeczny dla polskiej grupy etnicznej w Stanach Zjednoczonych.

Problemów tu poruszonych nie da się rozwikłać w kategoriach pytania: — kto tu zawinił, lub kto miał rację? Można teoretyzować, że zawiniła cała Polonia, ponieważ każda nowa generacja ma swoje odrębne problemy, posiada inną strukturę socjalną i innymi drogami zmierza do wywalczenia dla siebie lepszej pozycji w życiu amerykańskim. Można dojść do wniosku, że zawiniło przywództwo polonijne, które za tymi pokoleniowymi przemianami Polonii nie nadąży. Dopiero w tym kontekście można mówić o błędach kierownictwa Kolegium Związkowego, jako o zjawisku wtórnym ogólnego kryzysu, jaki przeżywają organizacje polskie w USA. Ale nie jest się zbyt odległym od prawdy, przyjmując, że młodzież polonijna znalazła się po jednej stronie wartkiego nurtu życia amerykańskiego, a zorganizowana Polonia z jej archaicznymi instytucjami po drugiej stronie. Tkwi ona tam gdzie się poczęła w swojej historii — w kulturowo-obyczajowych tradycjach polskiego folkloru z epoki Bojki i Stapińskiego, w tradycjach wsi polskiej chronionych na obczyźnie murami getta narodowościowego. Mury już się wykruszyły — pozostały nawyki obyczajowe i myślowe z tamtych czasów, których ciężar — jak kula u nogi — nie pozwala ruszyć z miejsca. Ani ku związkom z owocującą i twórczą kulturą polską, ani ku dynamicznej społeczności amerykańskiej. W tym intelektualnym zastoju żargon, nazwijmy go „ampolski”, spełnia rolę więzi narodowej a związki z życiem amerykańskim załatwia propaganda konsumpcyjna. Młodej Polonii to nie odpowiada.

Mógłbym przytoczyć dziesiątki wypowiedzi przywódców polonijnych, którzy oświadczają, że ich głównym celem jest, aby zorganizowane życie Polonii szło kursem wytkniętym 50, 70 czy nawet 100 lat temu. Czy to nie jest jedna z przyczyn stagnacji?

Kolegium Związkowe mogło tylko częściowo poddawać się inercyjnym wpływom przywództwa polonijnego. Bowiem życie zmuszało do rozglądania się za studentami spoza środowiska polskiego, jeśli Kolegium miało egzystować. Potrzebne też były fundusze na renowację budynków szkolnych, na dormitoria itp., których Polonia nie mogła już dostarczyć. Odwołano się więc do kredytów rządowych a rząd daje pomoc pod warunkiem, że zakład naukowy nie będzie stosował żadnych ograniczeń rasowo-pochodzeniowych. I tak, krok po kroku, ten pomnik kultury polskiej w Stanach Zjednoczonych stawał się Kolegium amerykańskim, z przewagą profesorów niepolskiego pochodzenia, z przewagą studentów spoza polskiej grupy etnicznej, z przewagą przedmiotów nauczania jednakich we wszystkich kolegiach amerykańskich. W Bibliotece Kolegium, liczącej 50.000 tomów, książek polskich jest tylko 5.000.

Amerykanizowanie się Kolegium Związkowego jest procesem nieuniknionym i nie o to idzie, aby go sztucznie hamować, tylko o to, aby odbywał się on z zachowaniem szacunku dla naszych tradycji narodowych i naszej kultury. Niestety tak nie jest. Od szeregu lat Prezydent Kolegium Związkowego zaniechał wystąpień, które mogłyby przypominać młodzieży studiującej, że znajdują się w zakładzie naukowym, zawdzięczającym swoje powstanie i istnienie patriotycznej Polonii amerykańskiej. Nawet obchód rocznicy Konstytucji 3 Maja nie jest organizowany przez Kolegium Związkowe. Dla różnych uroczystości polsko-narodowych służy studencki Klub Polski przy Kolegium i ten Klub urzęduje w swoim lokalu np. obchód rocznicy Konstytucji 3 Maja, dla wąskiego grona swoich członków, bez angażowania się w tym władz uczelni i bez udziału ogółu studenckiego. Jest to niewątpliwie przejaw kompleksu niższości i zachęta dla studentów z innych grup etnicznych do lekceważenia polskich tradycji narodowych. Skoro kierownictwo polskiego Kolegium okazuje tak lekceważący stosunek do własnych tradycji narodowych, czemuż inni mają nas szanować i liczyć się z naszą odrębnością kulturową? Jest to przykład zbyt daleko posuniętej uniżoności wobec polityki *melting pot* — polityki tygla amerykańskiego.

Pęknięty melting pot

Dość długo utrzymywało się przekonanie, że amerykański tygiel stopi wszystkie odrębności kulturowe „narodu emigrantów” — używając określenia prezydenta Kennedy. Ale tygiel pękł i wzburana fala etnicznych odrębności odżywa. Dyrektor Urbanistycznego Planowania, Irving Levine, przyznał, że „etniczna przynależność okazała się bardzo ważnym zjawiskiem w naszym kraju i stanie się jeszcze ważniejszym dla nowych pokoleń”. Prof. Rudolf Vecoli z Uniwersytetu Minnesota powiedział na naradzie konsultacyjnej w sprawach etnicznych, która miała miejsce w Chicago, że „tożsamość etniczna nie może być ignorowana ani

prześladowana”, natomiast powinna być „konstruktywnie potraktowana”. Według prof. ks. Greely „teoria *melting pot* stała się martwa”. Nie warto więc pchać się na ochotnika do tygla. Nie warto również cofać się do czasów i stosunków getta narodościowego. Natomiast warto być dziedzicem kultury swojego kraju pochodzenia i z tym wkładem do pluralistycznej kultury amerykańskiej sięgać po należne polskiej grupie etnicznej miejsce w społeczeństwie amerykańskim.

Dlatego przyszłość Kolegium Związkowego nie leży w upodabnianiu się do innych kolegiów amerykańskich, lecz przeciwnie, w odróżniającą specyficie naukową, która służyłaby procesom integracyjnym, ale wolnym od przymusu i zatrąty własnej osobowości oraz narodowego dziedzictwa kulturowego. Społeczne zapotrzebowanie na wiedzę o Polsce i o jej kulturze będzie wzrastać w polskiej grupie etnicznej w miarę jej awansu w narodzie amerykańskim, podobnie jak to miało miejsce w innych grupach etnicznych (np. Irlandczycy, Niemcy, Skandynawowie). Oczywiście, jeśli podjęty zostanie wysiłek upowszechnienia tej wiedzy wśród młodzieży polonijnej, a poprzez nią wśród społeczeństwa amerykańskiego. Bowiem płonne byłyby pretensje o obojętność i ignorancję ze strony obcych, gdyby sama Polonia nie była odbiorcą wartości, które ofiarowuje jako swoje wiano Ameryce.

Często słyszy się zdanie, że inne grupy etniczne, np. Murzyni, są bardziej agresywni w walce o lepszą pozycję w społeczeństwie amerykańskim. Jest w tym tylko część prawdy, ponieważ oprócz ugrupowań bardzo agresywnych, których działalność jest widoczna i dokuczliwa społecznie, murzyński wysiłek emancypacyjny jest szczególnie znamienity w dziedzinie edukacji. Polonia w USA, która podobno liczy 10 milionów, posiada zaledwie dwa wyższe zakłady naukowe — Kolegium Związkowe w którym jest 295 studentów polskiego pochodzenia i St. Mary's College w Orchard Lake (Mich.), w którym studiuje około 130 osób. Natomiast Murzyni, których jest około 20 milionów, stworzyli Fundusz Popierania Kolegiów Murzyńskich, który wspiera działalność 36 murzyńskich wyższych zakładów naukowych, gdzie nauki pobiera 42.000 młodzieży murzyńskiej. Nam do tego bardzo daleko, ale kierunek na szkolenie powinien być ten sam.

Nasuwa się tylko pytanie czy nie jest już za późno? Czy da się odrobić lata stracone na potępięńczych swarach, zabawach w przyjęcia i bankiety, na permanentne celebrowanie różnych rocznic, jubileuszy, okolicznościowych akademii itp. udawanie pracy społecznej, w czym ciągle jeszcze lubuje się wielu działaczy polonijnych, zamiast zająć się pracą społecznie użyteczną.

Czy nie jest już za późno? Bowiem kryzys dotknął całe prywatne szkolnictwo kolegialne w Ameryce. Z roku na rok nie tylko wzrastają koszty nauki i utrzymania studenta, lecz również powiększa się rozpiętość między kosztami nauki w uniwersytetach publicznych i prywatnych. Obecnie rok pobytu studenta w publicznym kolegium kosztuje średnio (czesne i utrzymanie) od 2.998 do 3.398 dol., zaś w prywatnych od 4.122 do 5.272 dol. rocznie.

W rezultacie tego obserwujemy znaczny spadek kandydatów do nauki w prywatnych kolegiach. Dr M. Upton, który jest prezydentem Beloit College, twierdzi, że za 10 do 20 lat nie będzie już prywatnych uczelni w Ameryce, ponieważ upadają z powodu trudności finansowych. Dr Upton przewiduje, że prywatne kolegia zostaną albo zlikwidowane, albo wchłonięte przez kolegia stanowe, jak to już miało miejsce z uniwersytetami prywatnymi w Pittsburgu, Houston i Buffalo.

Zasoby finansowe Kolegium Związkowego nie są zadawalające. Z opłat wnoszonych przez studentów za naukę i utrzymanie Kolegium pokrywa zaledwie 60 % swoich wydatków. Związek Narodowy Polski uczestniczy w 25 % kosztów utrzymania Kolegium przeznaczając roczną subwencję w sumie 225.000 dol. oraz 35.000 dol. na stypendia indywidualne dla studentów z rodzin należących do ZNP. Pozostałe 15 % pokrywają dobrowolne składki grup związkowych oraz osób prywatnych, daniny różnych fundacji, dopełniane pożyczkami rządowymi. Wydatki rosną szybciej niż wpływy. Gospodarka nie należy do najoszczędniejszych. Na przykład wybudowano nowy, okazały dom mieszkalny dla Prezydenta Kolegium, którego wartość fachowcy oceniają na około 250.000 dolarów i przyrównują do najokazalszych rezydencji prezydentów wielkich, bogatych uniwersytetów amerykańskich.

Według oceny Cenzora W. Dworakowskiego, głównego opiekuna Kolegium z ramienia Z.N.P., tereny i budynki należące do Kolegium Związkowego przekraczają wartość 10 milionów dolarów. Kolegium jest pięknie położone, dobrze utrzymane i prócz wartości materialnej stanowi obiekt dumy i umiłowania ze strony całej Polonii, która nie szczędzi grosza na utrzymanie tej czołowej polskiej placówki naukowej w Stanach Zjednoczonych, mimo jej wątpliwej obecnie użyteczności narodowo-społecznej.

Próby odmiany

Poszukiwania lepszych rozwiązań idą w dwóch kierunkach.

Tradycjoniści godzą się łączyć w dalszym ciągu na utrzymanie Kolegium, uznając potrzebę przeprowadzenia reform programu nauczania, co miałyby uczynić z niego specjalistyczną placówkę naukową w dziedzinie studiów slawistycznych, ze szczególnym wyróżnieniem wiedzy o Polsce. Ponieważ Kolegium jest małe, nie może pomieścić więcej niż 800 studentów, a młodzieży polonijnej są setki tysięcy, należy zapomnieć o postulacie, by to Kolegium mogło „młodemu naszemu pokoleniu otworzyć drogi do wyższego stanowiska w życiu amerykańskim przez wyższe wykształcenie” i zastąpić to niemożliwe — postulatem kształcenia kadr przyszłych naukowców-slawistów posiadających kwalifikacje i uprawnienia do nauczania w kolegiach amerykańskich historii, literatury, ekonomii, socjologii i polityki krajów rejonu wschodnio-europejskiego. Tego rodzaju koncepcja naukowego programu studiów w Kolegium Związkowym może uczynić zeń ośrodek

oddziaływania na kierunek i poziom studiów slawistycznych wielu uniwersytetów amerykańskich, jak również pozwoli docierać pośrednio do młodzieży polonijnej, studiującej na uniwersytetach amerykańskich, która w olbrzymiej większości jest poza zasięgiem wpływów zorganizowanej Polonii.

Nie ulega wątpliwości, że wyprowadzenie Kolegium Związkowego z kręgów getta i zbliżenie go do amerykańskich instytucji naukowych przez kooperację w dziedzinie studiów slawistycznych i „produkcję” specjalistycznych sił naukowych jest przedsięwzięciem, którego nie da się wykonać bez poparcia poważnych uniwersytetów amerykańskich. Ale to mogłoby wyjść tylko na dobre naszej placówce naukowej i całej Polonii, gdyby Kolegium Związkowe zsynchronizowało swój program nauczania z programem studiów slawistycznych jakiegoś uniwersytetu amerykańskiego o dużej reputacji.

Rezygnacja dotychczasowego Prezydenta Kolegium, dra Parcińskiego, wskazuje, że propozycje gruntowniejszych reform w działalności Kolegium dojrzały do realizacji. Będą one przedmiotem dyskusji na Sejmie Związku Narodowego Polskiego, który został zwołany na połowę września 1971 roku do Pittsburga. Rezygnacja dra Parcińskiego może oznaczać, że przyhamowany będzie proces mechanicznego upodobniania Kolegium Związkowego do innych kolegiów amerykańskich i że podjęte zostaną wysiłki określenia takiego profilu studiów specjalistycznych, by współpraca z uniwersytetami amerykańskimi służyła emancypacyjnym dążeniom polskiej grupy etnicznej, dawała jej możliwość powiększenia własnego wkładu kulturowego do mozaiki kultur tworzących pluralizm amerykańskiej społeczności.

Za tym kierunkiem reform przemawiają tradycje i sentymenty Polonii amerykańskiej, która — mimo wszystko — roztacza troskliwą i serdeczną opiekę nad Kolegium, pragnie jego zachowania dla własnej chwały i pożytku pokolenia które dojrzeewa.

Reforma czy rewolucja?

Prócz rozważań o reformie, wyłaniają się również projekty zmian zasadniczych: z natury rzeczy są one bardziej kontrowersyjne, co nie znaczy, że zasługują na przemilczenie. Wychodzą one z założenia, że Kolegium Związkowe istnieje w Ameryce i nie można dyskutować o jego przyszłości w oderwaniu od perspektyw całego szkolnictwa amerykańskiego. Wiadome jest, że dalsza egzystencja małych prywatnych kolegiów w Stanach Zjednoczonych jest zagrożona. Młodzież odpływa od wielkich uniwersytetów, w których koszt nauki są niższe, gdzie są lepsze wyposażenia naukowe i wybitni profesorowie. Uniwersytety te są poważnie dotowane subsydiami rządowymi, donacjami wielkich fundacji i milionowymi zapisami testamentowymi. Jest to zbyt silna konkurencja dla małych, prywatnych kolegiów.

Również polityka finansowania szkolnictwa wyższego przez rząd amerykański nie wróży nic dobrego mniejszym, prywatnym kolegiom. Dotychczasowy system udzielania pomocy zakładom naukowym ma być zamieniony na system przyznawania stypendiów indywidualnym studentom. W tym przypadku student zyskuje swobodę wyboru uczelni i — w większości przypadków — jego wybór padnie na duży uniwersytet, mający zasobne zaplecze naukowe i rekreacyjne oraz wysoką lokatę reputacyjną. Będzie pusto w uczelniach prywatnych, natomiast powiększy się jeszcze przepełnienie w dużych kolegiach publicznych. Tyle od strony amerykańskiej.

Ocena sytuacji od strony polonijnej prowadzić może do wniosku, że inwestycje i dotacje Związku Narodowego Polskiego, z których korzysta Kolegium Związkowe nie dają oczekiwanych rezultatów wychowawczo-społecznych.

Wszystko to stawia pod znakiem zapytania celowość utrzymania Kolegium.

Dyskutuje się więc następującą alternatywę: — stworzyć polonijny fundusz stypendialny dla wyróżniających się studentów polskiego pochodzenia, studiujących w czołowych uniwersytetach amerykańskich, skąd odbywa się nabór kandydatów do karier rządowych, naukowych, w gospodarce i polityce. Na ten fundusz miałyby się złożyć spieniężony majątek Kolegium Związkowego — 10 milionów dolarów, coroczne dotacje Z.N.P. w sumie 250.000 dolarów (jak dla Kolegium) i około 100.000 dolarów rocznych dotacji z grup związkowych oraz od bratnich organizacji społeczno-ubezpieczeniowych. Z miejsca więc fundusz stypendialny wyniósłby 10.350.000 dolarów i wzrastałby każdego roku o dalsze 350.000 dolarów. Najbardziej ostrożna lokata tych kapitałów dawałaby 6 % rocznie, czyli sumę 621.000 dolarów do rozdziału pomiędzy polonijnych stypendystów. Niewielkie koszty administrowania tym funduszem pozwoliłyby udzielić rocznie około 200 stypendiów, po 3.000 dolarów każde. W Kolegium Związkowym posiadamy niewiele ponad 200 studentów polskiego pochodzenia, którzy ukończą tam studia i rozplyną się w masie pracującej zawodowo ludności, nie rzadko zrywając łączność z życiem zorganizowanej Polonii i jej dążeniami. Koszt tego bezowocnego często wysiłku finansowego i społecznego jest prawie ten sam, co utrzymywania 200 polonijnych stypendystów w najlepszych uniwersytetach amerykańskich, stypendystów świadomych pomocy jaką otrzymali od Polonii, zobowiązanych moralnie do obrony interesów polskiej grupy etnicznej w swoich przyszłych karierach zawodowych i naukowych, a może i zobligowanych do spłaty otrzymanych stypendiów, dla dalszego powiększania liczby stypendystów polskich.

Koncepcja Kolegium Związkowego — to koncepcja doprowadzenia młodzieży polonijnej do tego co organizacyjnie wyrosło ze stosunków getta polskiego. Koncepcja funduszu stypendialnego — to koncepcja wyjścia starych organizacji polonijnych na spotkanie młodzieży polskiego pochodzenia, która poza instytu-

cjonalną Polonią zdobywa awans społeczny. Jest ich po wielokroć więcej niż tych młodych i kształcących się członków organizacji polonijnych.

Najbliższy Sejm Związku Narodowego Polskiego zapoczątkuje dyskusję w sprawach Kolegium Związkowego i współpracy z młodzieżą polonijną. W toku dalszych dyskusji ulegną zmianie dotychczasowe projekty. Niezmienna pozostanie potrzeba poszukiwania nowych koncepcji i rozwiązań w walce o należne Polonii miejsce w jej amerykańskiej ojczyźnie.

Edward PUACZ

Wstęp do studium o polonikach

Już samo pojęcie studium obecnego stanu i przyszłych możliwości poloników w Ameryce sugeruje brak równowagi pomiędzy tym co jest, a tym co powinno być, czyli niedostateczną uwagę Amerykanów dla tak złożonego zjawiska jakim jest Polska. (Umyślnie unikam ograniczania się do spraw polskiej kultury lub geograficznego pojęcia Polski, ponieważ studium, które nie zwróciło uwagi na polską mniejszość w USA i polskie uchodźstwo, zwłaszcza we Francji, byłoby niepełne i ograniczone w sposób prowincjonalny). Jako rodzaj *outsider'a* lecz jednak jako ktoś, kto zarówno studiował polonistykę jak i zwiedzał Polskę, podzielam zdanie ludzi uważających, że Polska jest mało znana w Ameryce i że ten stan powinien być potraktowany jako rzecz poważniejsza niż brak wiedzy o polskiej kuchni i kostiumach narodowych — chodzi bowiem o perspektywy historyczne a nie turystyczne. Konieczne jest tu jednak i zastrzeżenie, że nie należy przesadzać również w przeciwnym kierunku, bo niewielka jest szansa na intelektualną wymianę, kiedy jeden etnocentryzm napotyka na drugi.

Gdy raz ustali się, że Polska ma wiele wartości do zaoferowania Ameryce i większość tych wartości dotychczas do Ameryki nie dotarła, należy ustalić jaki to rodzaj wartości i jakie siły sprzyjają, a jakie utrudniają ich docieranie do USA.

Ażeby zbadać stan poloników i znaczenie Polski dla Amerykanów, trzeba zwrócić uwagę na sytuację w jakiej znajduje się współczesna Ameryka. Ameryka jest dzisiaj nieszczęśliwym krajem. A jest to kraj, który — niezależnie od trudności jakich doświadczał w przeszłości — nie jest przyzwyczajony do nieszczęść, zwłaszcza tego rodzaju nieszczęść, jakich doświadcza obec-

nie. Niestety dzisiejszej Ameryki jest — konfrontacja z historią. Z biegiem dwudziestego wieku Ameryka odczuwa coraz bardziej, że pionierska mentalność, która ją uczyniła wielką, już nie wystarcza. Pionierska mentalność oparta była o poczucie obfitości przestrzeni, czasu i bogactw naturalnych i była w swej istocie głęboko ahistoryczna; знаła ona tylko jeden kierunek — naprzód. Wyrzucił to najlepiej Henry Ford twierdząc: „Historia to bzdura!”. A tymczasem nadchodzą rachunki z przeszłości: od Murzynów, Indian, nadużytej przyrody i — domagają się spłacenia. Poza tym od czasu pierwszej wojny światowej Ameryka jest coraz bardziej zaangażowana na arenie międzynarodowej, gdzie rozgrywki mają coraz bardziej wyrafinowany charakter, zwłaszcza w miarę kurczenia się świata, w którym broń nuklearna uczyniła ostateczną rozgrywkę rzeczą nie do pomyślenia. Innymi słowy, sama logika okoliczności narzuciła Ameryce potrzebę świadomości historycznej. To przejście od świadomości pionierskiej do historycznej jest przedsięwzięciem trudnym i niebezpiecznym, nie więc dziwnego, że niektórzy myślą tę transformację z apokalipsą.

W takiej sytuacji Polska ma wiele do zaoferowania Ameryce. Wiele czynników, z których geograficzny nie jest pośledniego znaczenia, związało Polskę z głównymi prądami historii nowożytnej. Ameryka otoczona jest dwoma wielkimi oceanami, Polska zaś dwiema wrogimi wobec siebie potęgami. Kontrast ten sugeruje Polsce rolę nauczyciela, lub przynajmniej ważnego wzoru, nad którym Ameryce warto się zastanowić. W naszych czasach te dwa oceany otaczające Amerykę nie są już tak wielkie jak dawniej, w początkach dziewiętnastego wieku. Na amerykańskim kontynencie widoczne są dziś rosyjskie cienie. Rosjanie łowią o dwaście mil od naszego wybrzeża i coraz to któryś z nich dostaje ataku ślepej kiszki i jest śpiesznie przewożony do amerykańskiego szpitala, gdzie każdy ma okazję przekonać się o ich bliskości. Stali się naszym cieniem, naszym *Doppelgänger*em, naszym antagonistą. Amerykanie zaś nie wiedzą czy starać się tego antagonistę zniszczyć, czy obłąskawić, czy — co najtrudniejsze — pogodzić się z obecnym stanem rzeczy. Fiasco wietnamskie wykazało przynajmniej jedno: że niemądrze jest rzucić się w wojnę, gdzie w grę wchodzi ideologia połączona z pasją narodową. Nasze niepowodzenie w Wietnamie jest niepowodzeniem historycznym, wynikającym z ignorowania zasady, aby nigdy nie dać się wciągnąć w wojnę azjatycką, jak też z nieznaomości rewolucyjnej psychologii, zwłaszcza w połączeniu ze wschodnią mentalnością. Lecz jakkolwiek krwawa i tragiczna wojna wietnamska wydaje się dobiegać końca to głównymi adwersarzami Ameryki będą w ciągu najbliższych lat nadal Chiny i Związek Sowiecki. Nadal trwać będzie zimna wojna (choć termin ten uważany jest za przestarzały) z jej przenoszącymi się ośrodkami napięcia, współzawodnictwem finansów, wpływów, chwytów taktycznych i nerwów. Tutaj doświadczenie Polski, jej bliska znajomość z Rosją, mogą być bardzo przydatne Ameryce. Mówiąc ściślej, jest wielu Polaków, którzy znają Rosjan jak mało kto we Wschodniej

Europie, nie mówiąc już o Europie Zachodniej. Rosja jest tym mniej egzotyczna im dalej się jedzie na wschód Europy, a jej bliskość wytwarza tam uboczny produkt, o większym znaczeniu niż pogarda, a mianowicie — wiedzę. Niedawne wydanie esejów *Kultury* dało dowód tego wyjątkowego orientowania się polskich intelektualistów w labiryncie Rosji i komunizmu. Zaś fakt, że publikacja nie znalazła większego oddźwięku prowadzi wprost do dyskusji nad praktycznym aspektem porozumienia we współczesnym świecie.

Biorąc pod uwagę dwa główne środki komunikacji, prasę i telewizję, można zastosować proste prawo: artykuły o górze Etna znajdują zapotrzebowanie, gdy następuje wybuch wulkanu. Rewolta polskich robotników w grudniu miała całkowity priorytet przez ponad tydzień, a amerykańskie środki masowego przekazu wprost łaknęły wszelkiego informacyjnego materiału o Polsce. Telewizyjny dziennik o szóstej trzydziści oglądany przez miliony Amerykanów podawał nagle reportaże o Zakopanem, o Śródmieściu Warszawy. Lecz w tydzień później ośrodek światowego zainteresowania przeniósł się gdzie indziej i Polska zniknęła z serwisu wiadomości. Ów tydzień intensywnej informacji wniósł jednak Polskę, na krótko lecz w sposób dramatyczny, do świadomości Amerykanów. Wprawdzie pozostaje tajemnicą do jakiego stopnia współczesny człowiek uczy się czegośkolwiek oglądając telewizję i wizerunki polskich stoczniovców zostały, być może, całkowicie splukane przez reklamę deodorantu, która ukazała się w sekundę potem na ekranie. Ale mówiąc o telewizji warto wspomnieć, że ciesząc się wielkim powodzeniem nowa komedia telewizyjna „All In The Family” („Wszystko w rodzinie”) ześrodkowana jest wokół rodzinnego życia pewnego fanatyka, którego zięć jest Polakiem. Wybranie przez autora i reżysera Polaka było bardzo słusznym posunięciem, bo Polacy są w Ameryce ostatnią już białą mniejszością, która nie przeszła procesu pełnej amerykańskiej asymilacji. Ojciec, czyli teść naszego Polaka, jest wiązką etnicznych i rasowych, stereotypowych przesądów. Dla niego zięć jest a dump *Polack*, choć chłopiec ten, studiujący jeszcze w *college*u, nie jest wcale ani głupi, ani szczególnie polski. Jest on bardzo w typie młodego Amerykanina z długimi włosami i postępowymi poglądami społecznymi i, co typowe dla Amerykanów, cierpi właśnie na spłowienie tradycji etnicznych. Ważny jest sam fakt, że, z takich czy innych powodów, telewizja amerykańska od czasu do czasu przypomina Amerykanom o obecności Polski i o żyjących wśród nich Amerykanach polskiego pochodzenia.

Inaczej ma się sprawa w świecie książek, gdzie działają dwa główne trendy, z których żaden nie jest szczególnie sprzyjający dla szerzenia wiadomości o Polsce. Recesja gospodarcza uderzyła i w rynek księgarski i uczyniła wydawców bardzo ostrożnymi na tak ryzykownym terenie jak debiuty książkowe, przekłady itp. Po drugie, świat wydawniczy zmienia się z operacji, w której zysk mieszał się z dobrym smakiem, w gigantycznego wytwórcę i rynkowca, dla którego książki są produktem jak każdy inny.

Trzeba jednak przyznać, że rewolucja, jaką wywołały tanie wydania kieszonkowe (*paperback*), pomogła rozbudzić zainteresowanie dla polskiej literatury. Do nabycia w tanich wydaniach są Mrozek, Gombrowicz, Herbert i inni. Jest to istotne zwłaszcza dla nauczania polskiej literatury w przekładzie na uniwersytetach amerykańskich. Prowadzenie tego rodzaju kursów bez możliwości nabycia utworów w tanich wydaniach książkowych jest rzeczą niemożliwą. Już dzisiaj są w małych miasteczkach na kalifornijskim wybrzeżu poeci amerykańscy, którzy nie znają polskiego, a jednak przyznają się do wpływu poezji Herberta i Różewicza na ich twórczość. Postęp daje się zauważyć również w innych dziedzinach, na przykład w muzyce. Prace Pendereckiego są w całej rozciągłości dyskutowane na łamach gazet i magazynów, zaś amerykański debiut polskiej sopranistki, Krystyny Jamroz, spotkał się z szerokim oddźwiękiem w prasie. UNESCO opublikowało ostatnio obszerny i piękny album reprodukcji polskiego malarstwa religijnego, a magazyn *Poland* znajduje zainteresowanie w kioskach, choć wydaje mi się, że zainteresowanie to jest raczej czysto wizualne — pismo to miało większe wzięcie jako materiał do dekoracji ścian w okresie, gdy modne jeszcze były kolaże.

Wszystko to, co zostało wyżej wspomniane, należy omówić szczegółowo. Szkic ten ukazuje tylko powierzchnię skomplikowanych i interesujących zagadnień. Zostaną one w całej swojej rozciągłości potraktowane w studium, do którego niniejszy artykuł jest tylko najkrótszym ze wstępów.

Richard LOURIE

(Przełożył z angielskiego Henryk Grynberg)

Dr Richard Lourie
University of California, Santa Cruz

PLAN STUDIUM O POLONIKACH

1. Wstęp.
2. Ankieta — wyniki ankiety dotyczącej wiedzy o Polsce, jaką rozprowadziłem wśród moich studentów, oraz analiza wyników tej ankiety.
3. Amerykanie pochodzenia polskiego — analiza stosunku współczesnych Amerykanów do żyjących wśród nich Amerykanów pochodzenia polskiego. Prawdopodobne zmiany zachodzące w tym stosunku. Wyobrażenie Amerykanów pochodzenia polskiego o samych sobie.
4. *Homage à Miłosz* — rola Czesława Miłosza w kładzeniu pomostu między Polską a Ameryką. Osobiste reminiscencje o nim jako o moim nauczycielu.
5. „Pan Tadeusz” w Ameryce — badanie problemów i osiągnięć polskiej literatury w Ameryce.
6. *Kultura* — badanie reakcji na dwutomowe angielskie wydanie esejów i prozy *Kultury*.
7. Polska jako okno na Rosję.

8. Przyszłość — zagadnienia, przypuszczenia, propozycje rozwiązań praktycznych.

Redakcja „Kultury” zwraca się z prośbą do swych czytelników w USA, by dla ułatwienia pracy dr. Richarda Lourie zechcieli nam awizować wszystkie książki — w najszerszym tego słowa znaczeniu — aż do komiksów i romansów kryminalnych włącznie — o tematyce polskiej lub zawierające polonika. Jeśli przesłanie samej książki będzie trudne czy kłopotliwe to wystarczy szczegółowa nota bibliograficzna (autor, tytuł, wydawca, rok wydania).

2-gi Kongres Naukowców Polskich w Ameryce

Na końcowym, plenarnym posiedzeniu Drugiego Kongresu przewodniczący Komitetu Organizacyjnego, inż. Damian Wandycz, zamknął obrady następującym podsumowaniem (tłum. z angielskiego):

Kongres zakończył swoje obrady. Wypada przeto rzucić retrospektywne spojrzenie na ostatnie tezy dni, będące wynikiem wielomiesięcznej pracy i wysiłków. Jest to drugi zjazd zwołany przez Polski Instytut Naukowy w Ameryce i niejako automatycznie narzuca się chęć porównania jego przebiegu ze Zjazdem poprzednim; ułatwi to ocenę obecnego.

Analiza frekwencji uczestników, wykazuje liczbę zarejestrowanych w tym roku — około 500. W roku 1966 — 462. Liczbę niezarejestrowanych, ale biorących częściowo udział można określić jedynie w przybliżeniu: tym razem około 150, w 1966 roku — około 100 osób. We wspólnym obiedzie uczestniczyło 380 osób; poprzednio — 320. Cyfry wykazują nieznaczny tylko wzrost. To samo da się powiedzieć o liczbie prelegentów: 144 w tym roku w stosunku do 141 w roku 1966. Należy jednak dodać, że ta ostatnia liczba byłaby w roku bieżącym wyższa, gdyby można było zaakceptować wszystkie zgłoszone referaty. Wprawdzie dzięki gościnności uniwersytetu Columbia mieliśmy wszelkie ułatwienia lokalowe, i wykłady odbywały się w sześciu salach równocześnie, tym niemniej byliśmy ograniczeni zarówno miejscem, jak i czasem. W rezultacie liczba osób, które zgłosiły swój czynny udział w zjeździe była wyższa, niż to miało miejsce poprzednim razem.

Przy analizie liczby czynnych uczestników zjazdu nasuwa się następujące pytanie: ilu czynnych uczestników z roku 1971 brało już udział w 1966 roku. Chciałbym tu podkreślić, że pytanie to

nie należy do gatunku igraszek statystycznych, ale wiąże się ze sprawą bardzo istotną, a mianowicie, jak wielki jest rezerwuuar intelektualistów polskich w Ameryce, którzy pragną reprezentować polski nurt w nauce amerykańskiej? Czy liczba ich ogranicza się tylko do tych, którzy odpowiedzieli pozytywnie na apel Instytutu w roku 1966? Odpowiedź na to pytanie jest obiecująca: spośród 144 prelegentów obecnego Kongresu 45 brało udział w roku 1966. Pozostali (99) zgłosili swój akces po raz pierwszy. Jeżeli dodatkowo uwzględnić tych wszystkich, którzy nie mogli wziąć bezpośredniego udziału, ale wyrazili żywe zainteresowanie zjazdem, to można wyrazić przypuszczenie, że jesteśmy jeszcze daleko od pełnej mobilizacji naukowców polsko-amerykańskich gotowych do poparcia inicjatywy Polskiego Instytutu Naukowego. Według mego przekonania, Instytut, kontynuując tego typu konwencje, może spodziewać się, że udział nowych uczestników będzie wzrastał.

Dalsza analiza szuka odpowiedzi na pytanie: do jakiej generacji należą uczestnicy Drugiego Kongresu? Czynni i bierni. Spotykało się osoby w różnym wieku: od młodych, jeszcze nie dyplomowanych studentów do sędziwych, emerytowanych profesorów; większość jednak należała do średniej i młodej generacji. Jest to niewątpliwie drugi, bardzo istotny element naszych rozważań. Kontynuacja i dalszy rozwój działalności Instytutu rozpoczętej 29 lat temu zależy od naszych następców. My, ludzie starszego pokolenia, mieszkający w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, musimy szukać tych, co zechcą w spadku po nas przejąć nasze zadania. Liczny udział młodej generacji w Drugim Kongresie napawa nas nadzieją, że tacy spadkobiercy się znajdą. W sprawie uczestnictwa chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na inny aspekt, a mianowicie udział i wkład naukowców nie-polskiego pochodzenia. We wrześniu ubiegłego roku odbył się podobny Kongres w Londynie. Była to świetna manifestacja kultury polskiej na oczymy, ale w dużym stopniu sprawa rodzinna. Zadania, jakie my sobie stawiamy są nieco odmienne: staramy się oddziaływać również na nasze nie-polskie otoczenie.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że mimo tysiącletniej polskiej tradycji kulturalnej, mimo poważnego wkładu polskiego do cywilizacji świata, wciąż w zachodniej hemisferze pozostajemy mało znani, a często oglądani w krzywym zwierciadle. Do zadań Polskiego Instytutu Naukowego od jego początków należało przedstawianie obcym prawdziwego obrazu Polski. Podkreślam słowo „prawdziwego”. Intelektualiści nie powinni interesować się propagandą, ale prawdą. A kreślenie prawdziwego obrazu bardziej jest skuteczne, jeśli czynione jest przez naukowców nie-polskiego pochodzenia, którzy zajmują się tematyką polską, kierowani wyłącznie własnymi zainteresowaniami. Toteż wysoko sobie cenimy udział w Kongresie, czynny i bierny, naszych przyjaciół innych narodowości.

Kończąc tę część analizy, pragnę jeszcze dodać, że czynni uczestnicy reprezentowali siedemdziesiąt cztery uniwersytety w

Stanach Zjednoczonych, jedenaście w Kanadzie i dwa w Europie. Ponadto dwadzieścia różnych ośrodków badawczych, jak szpitale i instytuty specjalne.

Przechodząc do strony programowej, należy na wstępie zaznaczyć, że drugi zjazd różnił się od pierwszego tematyką. Przy organizowaniu pierwszego starano się swoim zasięgiem objąć możliwie największą liczbę potencjalnych uczestników, pozostawiając im pełną swobodę wyboru tematu. Tym razem ustalono główny temat: Udział Polski w cywilizacji świata w okresie 1918-1970. Mimo, że nie stosowano w tym względzie sztywnych reguł, większość referatów wiązała się z ustaloną tematyką. Stwarzało to możliwość szerszego omawiania poszczególnych problemów i rozpatrywania ich pod różnym kątem. Dla przykładu: rozwój polskiej matematyki był omawiany przez trzech matematyków, z których każdy poświęcił swój wykład innemu okresowi. W sekcji socjologicznej kilku prelegentów poświęciło swoje referaty temu samemu problemowi, a mianowicie zmianom w strukturze społecznej, jakie zaszły w Polsce po roku 1945.

Ogólna liczba zgłoszonych prelekcji — jak wspomniałem — wyniosła 144. Najliczniej reprezentowana była sekcja historyczna (cztery sesje), następnie: literatury i nauk przyrodniczych (po trzy sesje), prawa, psychologii i socjologii (po dwie).

Bez względu na ilość zgłoszonych referatów, wszystkie sekcje, a więc architektury i sztuki, ekonomii, filozofii, geografii, historii, literatury, matematyki, medycyny, nauk politycznych, nauk przyrodniczych, psychologii, prawa, socjologii, teologii i nauk technicznych dały bogaty przegląd polskiego dorobku naukowego w ciągu minionego półwiecza, wliczając w nie ostatnie osiągnięcia naukowców polskich w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Jest to w dużej mierze zasługą przewodniczących sekcji, którzy ofiarne, ze znanstwem przygotowali swoje programy. Niezależnie od indywidualnie zgłoszonych referatów, niektóre sekcje były zorganizowane jako „dyskusje okrągłego stołu”. Mam na myśli sekcje: socjologiczną, psychologiczną i literatury. Ta ostatnia jedno ze swych posiedzeń poświęciła dyskusji nad twórczością Stanisława Ignacego Witkiewicza (Witkacego), jako prekursora współczesnego teatru awangardowego.

Duże zainteresowanie wywołała dyskusja w sekcji psychologicznej na temat: „Problems Related to a Psychological Explanation of Polish History” („Psychologiczne podłoże historii Polski”). Nie jest to, oczywiście, problem nowy. Swego czasu podjęty został — bardzo jednostronnie — przez Szkołę Krakowską z Bobrzyńskim, Kalinką, Szajnochą i Szujskim na czele. Podjęcie tej sprawy na świeżo obecnie, kiedy Polska po wojnie znalazła się znowu w dramatycznej sytuacji politycznej ma swoją wymowę. Interesująca dyskusja została potraktowana przez słuchaczy jako zapoczątkowanie rozpracowania tego tematu w szerokiej skali. Przebieg dyskusji został utrwalony na taśmie magnetofonowej. O ile tylko, ze względów technicznych, okaże się to możliwe, znajdzie się w księdze pamiątkowej zjazdu.

Nie chciałbym pominąć referatów zawierających dokumenty dotąd nieznane, lub znane jedynie w niekompletnej wersji. Do takich należy po raz pierwszy ogłoszony tekst memoriału złożonego przez Ignacego Paderewskiego prezydentowi Woodrow Wilsonowi w czasie pierwszej wojny światowej. Niedawno odnalezione sprawozdanie lekarza amerykańskiego, który brał udział w powstaniu 1831 roku w Polsce i został odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*. I wreszcie nieznane listy Cypriana Norwida.

Poza stroną naukową Kongresu należy wspomnieć o jego stronie artystycznej: o recitalu fortepianowym znakomitego artysty, Mieczysława Horszowskiego i o pośmiertnej wystawie rysunków zmarłego niedawno Zdzisława Czermańskiego. Obie te imprezy, zorganizowane w ramach Kongresu, świetnie uzupełniły jego stronę naukową.

Starając się ocenić tę ostatnią z maksymalną obiektywnością, sądzę, że zgłoszone prace, wydane w zbiorowej publikacji świadczą będą o poważnych i trwałych osiągnięciach naukowców polskich w Ameryce.

Publikacja taka ma tym razem znacznie lepsze szanse na ukazanie się, niż po pierwszym Kongresie. Instytut ze swej strony z pewnością uczyni wszystko, aby ten Pamiętnik Zjazdu ukazał się jak najwcześniej. Ale szybkość ukazania się będzie zależała również od referentów; od dostarczenia przez nich manuskryptów na czas i w formie przygotowanej do druku.

Po zakończeniu pierwszego kongresu byłem przekonany, że Instytut uczynił krok we właściwym kierunku. Po drugim — jestem pewien, że znajdujemy się na właściwej drodze.

Komunikaty

DEKLARACJA

POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ I POLSKIEGO STRONNICTWA LUDOWEGO W ZWIĄZKU Z WYDARZENIAMI W POLSCE

Ulice miast: Gdańska, Gdyni, Sopot i Szczecina, na Bałtyckim Wybrzeżu w Polsce, spłynęły w pamiętnym grudniu 1970 roku robotniczą krwią. Od kul milicji i wojska, którym rząd rzekomo robotniczy wydał rozkaz strzelania do upominających się o swe prawo do ludzkiego bytu, zginęło kilkaset osób, w tym kobiety i dzieci.

Składamy hołd serdeczny ofiarom robotniczej walki, oświadczamy pełną solidarność z klasą robotniczą Polski w jej walce z dyktaturą komunistyczną o chleb i wolność, te dwa nierozdzielne i od Października 1956 poprzez Marzec 1968 wysuwane żądania. Nie ma bowiem chleba — bez wolności i wolności — bez chleba.

Stwierdzamy przy tym, że wśród demonstrujących, którzy wyszli na ulice miast Wybrzeża, było wielu synów chłopskich; za chlebem i pracą przywdędownali oni ze wsi i znaleźli się w szeregach klasy robotniczej.

Domagamy się zwolnienia demonstrantów, trzymanych jeszcze w więzieniach; domagamy się odszkodowania dla wdów i sierot, które straciły swych jedynek żywicieli; domagamy się ukarania wszystkich winnych grudniowej masakry, wszystkich tych, którzy wydali zbrodniczy rozkaz strzelania do bezbronnej ludności. Ich miejsce jest w więzieniach, a nie na fotelach władzy.

Przelana na Wybrzeżu krew robotnicza i ofiary życia nie były daremne. Grudniowa rewolucja robotnicza wstrząsnęła światem. Zaktualizowała w opinii publicznej, w prasie, radio i telewizji sprawę wolności narodu polskiego, nieprzedawnioną mimo 25 lat rządów komunistycznych okupantów Polski.

Rewolucja robotnicza w Polsce wstrząsnęła międzynarodowym ruchem robotniczym, ukazując prawdziwe oblicze dyktatury PZPR.

Rewolucja robotnicza w Polsce wstrząsnęła sowieckim imperium. Wykazała, że dążenia do wolności i sprawiedliwości społecznej są silniejsze niż lęk przed groźbą interwencji Armii Czerwonej.

Rewolucja robotnicza w Polsce zmusiła reżym sowiecki oraz sąsiednie reżymy satelickie do powstrzymania podwyżek cen na produkty żywnościowe, obniżenia ich cen i zrewidowania planów gospodarczych w kierunku podniesienia stopy życiowej mas robotniczych i chłopskich. W Związku Radzieckim znalazło to wyraz w uchwałach XXIV Zjazdu i w hasłach 1-majowych KPZR.

W Polsce rewolucja robotnicza zmiotła z powierzchni znieprawdzonego Władysława Gomułkę, który dopuścił się zdrady październikowych obietnic demokratyzacji systemu i zerwania ze stalinowskimi praktykami władzy. Jest w tym zarazem przestroga dla nowych władców z Gierkiem na czele, że pamięć robotnicza jest czujna, że obietnice poprawy bytu muszą być dotrzymywane, jeśli bowiem okażą się znowu oszustwem, spotka go los Gomułki.

Rewolucja robotnicza na Wybrzeżu, a po niej strajk robotniczy przemysłu włókienniczego w Łodzi zmusiły reżym do cofnięcia drakońskich podwyżek cen, do usunięcia z funkcji kilkunastu wojewódzkich sekretarzy partyjnych, do liczenia się z postulatami załóg robotniczych i Komitetów Strajkowych.

Bezpośrednią przyczyną gniewu i buntu robotniczego był brak podstawowych produktów żywnościowych, jaki w ostatnich latach coraz bardziej dawał się ludności miast we znaki. Głód, jaki powstał w Polsce po 25-ciu latach rządów komunistycznych, to świadectwo bankructwa polityki rolnej partii i głębokiego kryzysu, w jaki polityka PZPR wtrąciła chłopów i rolnictwo.

Wbrew zobowiązaniom i przyrzeczeniom, przyjętym wspólnie przez PZPR i ZSL po Październiku 1956 roku, mającym zapewnić intensyfikację produkcji rolnej w oparciu o gospodarstwa chłopskie, PZPR celowo i świadomie realizowała metodami administracyjnymi politykę niszczenia gospodarstw chłopskich, aby na ich masie upadłościowej urzeczywistniać koncepcję pęgeeryzacji. Cały ten system odgórnej, biurokratycznej polityki, bez liczenia się z elementarnymi potrzebami rolnictwa, musiał spowodować załamanie się produkcji rolnej i hodowlanej, jej nieopłacalność, masową ucieczkę młodzi ze wsi do miast, podupadanie gospodarstw, powiększanie się odłogów. W ten sposób rolnictwo, żywiciel narodu, znalazło się na krawędzi bankructwa.

Rewolucja robotnicza uprzytomniła wszystkim skutki polityki rolnej PZPR, współzależność miast i wsi, przemysłu i rolnictwa w gospodarce narodowej. Ona to przyczyniła się do pilnych reform, aby zaradzić ostatecznej katastrofie. Stąd zapowiedź zniesienia kontyngentów, rujnujących rolnictwo i znienawidzonych przez chłopów, bo przypominających hitlerowskiego okupanta; stąd podwyżka cen żywności, zresztą problematyczna w skutkach wobec równoczesnej podwyżki cen paszy, węgla i materiałów budowlanych; stąd wreszcie zmiany w kontraktacji zbóż, które mają przywrócić ich opłacalność.

Czy te wszystkie środki przyniosą poprawę sytuacji gospodarczej kraju? Nie mogą jej przynieść bez zasadniczych zmian modelowych, bez głębszych reform w polityce gospodarczej, bez decentralizacji gospodarki i wprowadzenia rzeczywistego samorządu robotniczego i rolniczego, bez wprowadzenia rachunku w całokształcie życia gospodarczego. Co więcej, poprawa zaopatrzenia, dostarczenie więcej chleba narodowi nie rozwiązuje zagadnienia głodu wolności, o którą upominali się robotnicy Wybrzeża, a przed nimi robotnicy Poznania w 1956 roku i młodzież polska w marcu 1968 roku.

O zaspokojenie tej największej potrzeby całego narodu toczy się i toczyć się musi walka dziś i w przyszłości. Walka ta wymaga solidarności i wzajemnego wsparcia robotników, chłopów i inteligencji pracującej, szerokiego frontu mas pracujących w mieście i na wsi. Od zwartości tego frontu, od siły jego naporu, od jego mocy uderzeniowej zależeć będzie wynik walki i przyspieszenie zwycięstwa.

Tę solidarność we wspólnej walce miast i wsi, ten naturalny sojusz braterski robotników i chłopów przeciwko niewoli i uciskowi, sojusz wspólnej walki z dyktaturą o niepodległość, wolność, sprawiedliwość społeczną, postęp i demokrację — postanawiają urzeczywistniać na każdym kroku:

POLSKIE STRONNICTWO LUDOWE (PSL)
POLSKA PARTIA SOCJALISTYCZNA (PPS)

Londyn, 20 maja 1971 r.

30-TOLECIE POLONIA TECHNICA, INC.

W dniu 8 maja odbył się bankiet jubileuszowy Polonia Technica, Inc., Stowarzyszenia Polskich Inżynierów i Techników w New Yorku. Bankiet ten z okazji 30-LECIA istnienia stowarzyszenia miał miejsce w hotelu Waldorf Astoria.

W uznaniu wybitnego wkładu polskiej wiedzy technicznej w technologię Stanów Zjednoczonych A.P. i za zasługi oddane stowarzyszeniu Polonia Technica, przez zawodowe osiągnięcia w technice inżynierskiej, wręczone zostały dyplomy honorowe sześciu członkom lub ich zastępcom. Wręczenia dokonał prezes Z.M. Legutko w towarzystwie dwu wiceprezesów K. Eljaszńskiego i W. Szenderowicza.

KRÓTKI RYS HISTORYCZNY

Mysł założenia Stowarzyszenia Inżynierów Polskich w Stanach Zjednoczonych powstała w początkach lat trzydziestych wśród nielicznej grupy inżynierów polskiego pochodzenia, przebywających w owym czasie w Stanach. Projekt został jednakże zrealizowany dopiero w okresie drugiej wojny światowej, kiedy to grupa około stu pięćdziesięciu polskich inżynierów przybyła do Nowego Jorku poprzez Francję i Wielką Brytanię.

Świadectwo zarejestrowania Stowarzyszenia w Stanie Nowy Jork nosi datę 16 maja 1941 roku.

Stowarzyszenie uzyskało status organizacji dobroczynnej i jako takie zostało zwolnione od opodatkowania.

Od szeregu lat działalność Polonia Technica skupia się w czterech sekcjach:

1) Odczytowej i socjalnej, 2) Zatrudnienia i samopomocy, 3) Stypendialnej oraz 4) Pomocy naukowej Polsce.

Sekcja odczytowo-towarzyska organizuje odczyty i dyskusje, spotkania

towarzyskie oraz tradycyjny doroczny bal. Działalność tej sekcji w ciągu wielu lat rozwijała się pod przewodnictwem p. K. Eljaszńskiego przy wydatnej pomocy p. W. Matławskiego. Dział odczytowy w ciągu ostatnich dwóch lat spoczywa w rękach p. W. Klimkiewicza.

Sekcja zatrudnienia i samopomocy przy współpracy całego zarządu aktywnie pomaga nowoprzybyłym i pozostającym bez zatrudnienia kolegom w poszukiwaniu pracy, jak również udziela pożyczek osobom znajdującym się w trudnej sytuacji materialnej. P. W. Szenderowicz kierował tą sekcją w ostatnich latach.

Sekcja stypendialna opiera swą działalność na dochodach z dorocznego balu. Dotychczas Polonia Technica udzieliła 35 stypendiów Polakom studiującym w Argentynie, Australii, Austrii, Belgii, Kanadzie, Wielkiej Brytanii, Francji i Hiszpanii. Dzięki tej pomocy wiele osób mogło ukończyć studia i otrzymać dyplomy inżynierskie. Przez wiele lat sekcja była kierowana przez p. J. G. Holma. Na ten cel wydano w ostatnich latach ok. 10.000 dol.

Sekcja pomocy naukowej Polsce, również pod przewodnictwem p. Holma, prowadziła szeroką działalność wysyłając wiele publikacji bibliotekom uniwersyteckim, Politechnikom i osobom prywatnym w Kraju. Polonia Technica wysyła rocznie do 900 publikacji rozmaitych wydawnictw, otrzymując w zamian polskie. W sumie wysłano około 70.000 książek.

Koło Pań, działające pod energicznym i sprawnym przewodnictwem pani Matławskiej, skupiające żony członków Stowarzyszenia, zajmuje się wydatnie organizacją imprez urządzanych w ramach Polonia Technica.

Przez ostatnich 6 lat sekretarzem Stowarzyszenia był p. W. Szenderowicz.

CZŁONKOWIE HONOROWI POLONICA TECHNICA

Inż. Zbigniew, Maciej ROEHR, były generalny dyrektor hut Wspólnoty Interesów na Śląsku przed 2-gą wojną światową, wynalazł lekařskie strzykawki i igły plastikowe parę lat po przybyciu do Stanów Zjednoczonych A.P. Wynalazek ten opatentował w całym świecie przemysłowym. Te tak zwane *disposable siringe* produkował w trzech swoich fabrykach w Waterbury, Conn, w De Land, Floryda i w Norfolk, Nebraska, zajmując 1-sze miejsce w dostawie tego sprzętu lekařskiego dla armii Stanów Zjednoczonych. American Medical Association uznała ten wynalazek w roku 1964 jako jedno z wybitnych ulepszeń medycznych ostatniego okresu 25 lat, na równi z „polio vaccine”. Inż. Z. M. Roehr zmarł w grudniu 1970 roku.

Inż. Jan Grzybowski Holm, były asystent profesora na politechnice warszawskiej w dziale wysokich napięć elektrycznych w latach 1922-1923, opatentował w Stanach Zjedn. dwa wynalazki na nowy materiał magnetyczny i na metodę badania izolatorów wysokiego napięcia. W latach powojennych opracował w Stanach Zjedn. szereg projektów w dziedzinie elektryfikacji w Turcji, Libii, Peru, Ekwadorze, Chile, Columbii, Panamie, Iranie, jako też w okręgu Nowego Jorku. Był członkiem komitetu Narodowego-Federalnego w Stanach Zjedn. dla spraw energii elektrycznej w latach 1952-1956. W ciągu 30 lat istnienia Polonia Technica był czynny w zarządzie stowarzyszenia.

Inż. Stanisław, Wojciech Rogalski, były profesor politechniki warszawskiej i jeden z trzech założycieli fabryki samolotów „RWD” w Polsce przed 2-gą wojną światową, przyczynił się wybitnie do postępu technicznego w dziedzinie lotnictwa w Polsce. Samolot sportowy „RWD 13” wygrał dwukrotnie dla Polski puchar zwycięstwa w Berlinie w roku 1934, i w Warszawie w roku 1936. Po wojnie pracuje w Stanach Zjedn. jako główny inżynier w Chase Aircraft Corporation, a następnie do chwili obecnej jako główny inżynier oddziału „aerodynamics” w Gruman Aerospace Corp. W latach 1952-1958 inż. Rogalski wykładał na Uniwersytecie w Princeton, N.J.

Inż. Jerzy S. Rudlicki, skonstruował już w roku 1910 szybowiec, za co otrzymał dyplom uznania od Izby Przemysłowo-Handlowej w Odessie. W Polsce, w Lublinie, projektuje i buduje 11 prototypów samolotów, oraz opatentował specjalny napęd do wentyli silnika lotniczego i specjalne stery ogonowe „V”. Samolot typu Lublin R XIII wykonuje długodystansowe loty po Azji i Afryce w roku 1932 i lot z Polski do Singapore w roku 1935. W czasie drugiej wojny światowej zatrudniony był przez Lockheed Overseas Corp., w Irlandii gdzie zgłosił 8 patentów, wśród tych nowy wyrzutnik dla latających fortec B 17, umożliwiający szybkie załadowanie i równoczesne zrzućenie 298 bomb. Po wojnie pracował w biurze studiów technicznych Republic Aviation Corp. w Stanach Zjedn., przechodząc na emeryturę w roku 1960.

Inż. Tadeusz Sendzimir, założył fabrykę drutu i gwoździ w Szanghaju w czasie I-szej wojny światowej. Tamże wynalazł sposób produkcji ocynkowanego drutu specjalną metodą galwanizacji. W Polsce uruchomił w latach 1933-1934 dwie fabryki doświadczalne, jedną produkującą blachę ciągłym sposobem zimnego walcowania, i drugą galwanizującą tę blachę. W roku 1939 przybył do Stanów Zjedn., gdzie założył firmę w Waterbury, Conn. konstruującą walcownie wytwarzające jednym ciągłym procesem pas galwanizowanej blachy z gorącej stali. Metodę tę i poprzednią opatentował we wszystkich krajach przemysłowych świata które teraz stosują tę metodę fabrykacji blachy. Sprzedając fabrykę w roku 1968 inż. Sendzimir stworzył fundusz pomocy finansowej polsko-amerykańskim instytucjom kulturalnym w wysokości 400.000 dolarów.

Inż. Wacław Szukiewicz, zaprojektował produkcję gliceryny dynamitowej z masy cukrowej w Gnieźnie w roku 1928. Prowadząc prace badawcze w Chemicznym Instytucie Badawczym w Warszawie doprowadził do wynalazku katalizatora dla produkcji butadienu, surowca dla sztucznego kauczuku. Na tej podstawie została uruchomiona pierwsza fabryka sztucznego kauczuku w Polsce, w Dębicy w roku 1938. W czasie 2-giej wojny światowej, po przybyciu do Stanów Zjednoczonych, inż. Szukiewicz próbował uruchomić fabrykę sztucznego kauczuku opartą na polskiej metodzie. Dopiero pod koniec wojny fabryka została uruchomiona przez Publicker Alcohol Co., w Eddington, N.J. W późniejszym okresie aż do roku 1965 inż. Szukiewicz był czynny jako doradca techniczny wielu przedsiębiorstw chemicznych w Stanach Zjednoczonych i rządu w Argentynie.

TABLICA DLA GEN. SOSNKOWSKIEGO

W dniu 4 kwietnia 1970, na cmentarzu Wielkiej Emigracji w Montmorency pod Paryżem, złożona została urna z prochami Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych z okresu 1943-1944 Generała Broni Kazimierza Sosnkowskiego. Urna ma być tam przechowywana do czasu, gdy — zgodnie z ostatnią Jego wolą — będzie przewieziona do wolnej Ojczyzny.

Urna znajduje się w zbiorowym i prowizorycznie urządzonym grobie (na prawach koncesji wieczystej) Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu. W obecnym stanie tego grobu nie ma warunków na umieszczenie na nim tablicy.

Aby wykonać konieczne prace utworzył się w Paryżu Komitet, który uzyskał zgodę Towarzystwa Historyczno-Literackiego na zbudowanie grobowca i umieszczenie na nim odpowiedniej tablicy. Projekt architektoniczny opracował bezinteresownie architekt Stanisław Korytkowski. Według wstępnego kosztorysu wykonanie zamierzonych prac wymagać będzie sumy około 2.000 dolarów.

Aby móc podjąć prace Komitet zwraca się więc z apelem do wszystkich, którym droga jest pamięć Gen. Sosnkowskiego, aby zechcieli swymi darami przyczynić się do zrealizowania tego zamierzenia.

PARYSKI KOMITET UCZCZENIA PAMIĘCI GENERAŁA KAZIMIERZA SOSNKOWSKIEGO

Skład: Przewodniczący — gen. Jan Kruszewski; Wiceprzewodniczący — gen. Józef Jaklicz; Członkowie — płk dypl. Marian Czarnecki (Wiceprezes Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu); Tadeusz Święcicki; płk Gustaw Tysowski (skarbnik); Władysław Żeleński (Wiceprezes Towarzystwa Opieki nad Polskimi Zabytkami i Grobami Historycznymi we Francji).

Datki prosimy przysyłać na adres:

- czeki bankowe *barré (cross)* na adres skarbnika: Mr. G. Tysowski, 20, rue Legendre, Paris 17°.
- na CCP N° 6365-22 Association d'Entraide des Anciens Combatants Polonais en France (z zaznaczeniem Fonds du Gén. Sosnkowski), 20, rue Legendre, Paris 17°.

W wypadku gdyby zebrana kwota przewyższyła koszty projektu, pozostała nadwyżka przekazana zostanie Towarzystwu Historyczno-Literackiemu na konserwację i utrzymanie grobu.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 196 — TADEUSZ NOWAKOWSKI

HAPPY - END

Powieść znanego pisarza na tle rzeczywistości Polski Ludowej.
Str. 208

Cena F. 18,50 (dol. 4; sh. 32)

TOM 197 — SERIA „DOKUMENTY”

GŁOSY STAMTAŃ

ZSSR I PRL

(OD OPOZYCJI DO REWOLUCJI)

Materiały otrzymane z Kraju oraz tłumaczenia z „samizdatu”: S. Zorina i N. Aleksiejewa *Czas nie czeka* oraz *Program Ruchu Demokratycznego w Związku Sowieckim*. Wstęp Juliusza Miroszewskiego.

Str. 176.

Cena F. 18,50 (dol. 4; sh. 32).

Kronika kulturalna

Po śmierci Igora Strawińskiego

Kiedy po premierze „Ognistego Ptaka” w roku 1910 nazwisko Strawińskiego wypłynęło na szersze fale międzynarodowego życia muzycznego, muzyka europejska przeżywała wprawdzie okres fermentu, ale tkwiła w sposób, zdawałoby się, niezachwiany na postumencie wiekowego systemu tonalnego. Poza kilkoma młodymi muzykami wiedeńskimi, nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, że kryzys rozpoczęty wagnerowskim „Trystanem”, doprowadzi w swoich odległych konsekwencjach do kompletnego zburzenia tradycyjnej konwencji. Nie brak było wówczas wielkich talentów i przewodników: od Debussy’ego, poprzez Mahlera i Ryszarda Straussa, aż po Rimskiego-Korsakowa i Skrijabina. Ale szeroki wachlarz bardzo różnorodnych tendencji estetycznych pozwał jednak na wspólny język i umożliwiał syntezę.

W 60 lat później, w chwili śmierci wielkiego mistrza, słowo „kryzys” byłoby zbyt słabym określeniem tego, co przeżywa dzisiejsza sztuka muzyczna. W gruzach leży nie tylko stary system tonalny, nie tylko zakwestionowane zostały wszystkie dotychczasowe podstawowe składniki konwencji muzycznej, ale zmianie uległo nawet samo pojęcie „czasu muzycznego”. W roku pańskim 1971 „młody” kompozytor — piszę młody w cudzysłowie, ponieważ awangardowość-za-wszelką-cenę poraża dziś niekiedy i siwe głowy — używa już jedynie z rzadka znaków nutowych, raczej komponuje diagramy lub rysuje po prostu fantastyczne zawiązki na ciepłym papierze, układa *happening*’i, zostawia absolutną swobodę wykonawcom, a wedle ostatniej mody hojną ręką cytuje fragmenty muzyki klasycznej i romantycznej przepuszczone przez krzywe zwierciadło elektroniki.

Usytuować dorobek twórczy takiego artysty jak Igor Strawiński na tle coraz szybciej zmieniającej się estetyki — to zadanie

niezmiernie trudne, choć skądinąd pasjonujące. W każdym razie w ciągu kilku pierwszych tygodni po śmierci autora „Symfonii Psalmów” można było stwierdzić zupełną konfuzję poglądów krytyków i muzykologów. Jeśli pominąć stereotypowe nekrologi — taktowne ale pozbawione jakiegokolwiek profilu — to bogaty plon artykułów pośmiertnych zawierał właściwie szeroki wachlarz zastrzeżeń, pretensji i spóźnionych „dobrych rad”. Jedni uważali, że wielki kompozytor zmieniał się niczym kameleon i wobec tego trudno sprowadzić jego dorobek do wspólnego mianownika, inni mieli pretensje o to, że porzucił styl folklorystyczny swoich wczesnych baletów, które przyniosły mu sławę światową. Niektórzy posunęli się jeszcze dalej: jeden z niewczesnych krytyków postawił w swoim wspomnieniu pośmiertnym pytanie „czy Strawiński umiał w ogóle komponować?”, inny twierdził, że autor „Święta Wiosny” zeszedł w drugiej połowie życia na manowce artystyczne, a to dlatego że wyjechał z Rosji, porzucił kraj rodziny, a przecież wiadomo, że artysta marnieje i wiednie bez bezpośredniego zaplecza ojczystego. Twierdzeniu temu — jeśli już ograniczyć się wyłącznie do terenu muzyki — przeczą kariery takich kompozytorów jak Händel, Lully, Gluck, Chopin czy Liszt... Na koniec sporo było takich, którzy, czcząc zmarłego zdawkowymi superlatywami, konkludowali, że dorobek ostatnich dwudziestu lub dwudziestu pięciu lat życia Strawińskiego jest podejrzenie kontrowersyjny, a jeden z bardziej krewkich „krytyków” napisał po prostu, że „dla niego osobiście wszystko co Strawiński napisał po „Symfonii Psalmów” może nie istnieć”. A „Symfonia Psalmów” powstała, jak wiadomo, w roku 1930.

Oczywiście wszystkie te wypowiedzi stanowią swego rodzaju almanach nonsensu, w czym zresztą nie ma nic dziwnego, zważywszy wyjątkowo niski poziom tekstów ukazujących się na temat muzyki w całej światowej prasie codziennej i periodycznej.

Ale można też z tego wyciągnąć wniosek odmienny: oto, jeśli śmierć Strawińskiego nie wywołała jednomyślniej fali zdawkowych wyrazów uwielbienia, to znaczy, że nie przeszedł on jeszcze do historii muzyki i stanowi pozycję jak najbardziej aktualną, budzącą kontrowersje zasadniczej natury. Z tego punktu widzenia niektóre ataki pośmiertne stanowią właściwie największy hołd jaki w ósmym dziesiątku lat naszego stulecia może spotkać artystę, który rozpoczynał swą twórczość w zamierzchłej epoce przed pierwszą wojną światową.

W ciągu 60-ciu lat zaskakiwał Strawiński swoich wielbicieli najrozmaitszymi zmianami stylistycznymi, robił ciągle nieoczekiwane wolty estetyczne. Taki jest nieomal powszechny pogląd

muzyków. Z grubsza biorąc, te zmiany pokrywają się jednak ze zmianami, jakie zachodziły w całej muzyce europejskiej. Tyle, że w pierwszej połowie swego życia twórczego był Strawiński ich protagonistą, promotorem, a w drugiej szedł drogami zbliżonymi do szlaków wytyczonych przez innych. Ale nawet w ostatnich latach nigdy niczego nie naśladował — był zawsze sobą i w każdym takcie, który wychodził spod jego pióra, wyczuwało się zawsze jego potężną indywidualność.

Światowy start dały mu, jak wiadomo, trzy balety: „Ognisty Ptak”, „Piotruś” i „Święto Wiosny”. Pamiętny skandal na premierze tego ostatniego dzieła w paryskim Théâtre des Champs-Élysées, stanowi zasadniczą cezurę w historii muzyki naszego stulecia. Te utwory, podobnie jak późniejsze „Wesele” i „Mawra”, stanowią niejako wyciągnięcie ostatnich konsekwencji na drodze nakreślonej przez szkołę młodo-rosyjską i grupę Rimskiego-Korsakowa. Stając dzięki tym dziełom na czele ówczesnej awangardy, rozumiał jednak Strawiński, że dalej niesposób kroczyć po tej linii, Spiętrzenie środków orkiestrowych, harmonicznym i rytmicznym idzie w „Święcie Wiosny” tak daleko, że zostawia już pole wyłączenie epigonizmowi.

Dopiero z perspektywy czasu ukazał się w pełni rewolucjonizm „Święta Wiosny”: nowy stosunek do przebiegu formalnego utworu, uwolnienie obrazu rytmicznego od wszelkiej konwencji, często nawet nowy stosunek do agogiki i dynamiki. Ale najważniejsze jest w tym wypadku, że to dopiero inni poodkrywali i skatalogowali te cechy. Sam Strawiński zachowywał się zawsze tak, jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, czego dokonał. Podkreślał wielokrotnie, że nie interesują go nawet w najmniejszym stopniu jakiegokolwiek spekulacje teoretyczne. Podobnie, jak nigdy nie stawiał sobie pytania czy posiada zespół własnych, przez siebie stworzonych środków. Przeciwnie, uważał że wszystkie środki techniczne — od najstarszych, przed-klasycznych aż po najnowsze — są dobre, pod warunkiem że najlepiej realizują to, co kompozytor chciał w danym utworze wyrazić.

W tym założeniu tkwił załazek wszystkich późniejszych nieporozumień z krytyką i ono właśnie zaprowadziło Strawińskiego na drogę swobodnego korzystania z doświadczeń historii muzyki w najrozmaitszych jej epokach. Ten okres jego twórczości nazwano „neoklasycznym”, jako że żyjemy w czasach, które mają skłonność do łatwych etykietek i skrupulatnego szufladkowania.

Ale rozróżnienie klasycyzm-romantyzm jest na terenie muzyki mało istotne. W muzyce bardziej niż w innych dziedzinach sztuki razi owa dydaktyczna linia podziału, a to dlatego, że sam materiał muzyczny rozwija się i zmienia w myśl pewnych ściśle technicznych wymagań, które nie zawsze pokrywają się z czysto este-

tycznymi tendencjami epoki. I tak na przykład sam materiał muzyczny zmienił się niewiele w okresie pierwszej generacji romantycznej. Pozostał raczej w stylistycznej sferze klasyków. Wielu romantyków, goniąc za mirażem ekspresji, używało do tego celu języka niekiedy nawet bardziej konserwatywnego od języka klasyków. Istnieją utwory, w których Mozart jest bardziej romantyczny od Chopina, a Weber czy Schubert bardziej „klasyczni” niż Beethoven.

W rezultacie pojęcia klasycyzmu i romantyzmu mogą być dla nas przydatne raczej jako określenie pewnej ogólnej postawy psychicznej kompozytorów na przestrzeni całej historii muzyki. Probiezmem jest w tym wypadku stosunek do tego elementarnego czynnika muzycznego, jakim jest czas. Istnieją dwa zasadnicze typy kształtowania czasu muzycznego. Jeden — klasyczny — stosuje stałą formę podziału czasu, opiera się na zasadzie podobieństwa poszczególnych części i wytwarza w słuchaczu poczucie euforii, zadowolenia, poczucie płynące z pełnej zgody między sposobem upływu czasu muzycznego i czasu ontologicznego. Następuje wówczas rozładowanie energii nagromadzonej w muzyce i satysfakcja słuchacza pochodzi z poczucia, że temat został wyczerpany, wszystko zostało powiedziane.

Drugi typ czasu muzycznego — romantyczny — to czas, który polega na omijaniu sekundnika naszego zegara, na wyprzedzaniu lub opóźnianiu czasu fizycznego, a to za pomocą oddalania się od podstawowego metrum frazy i bardziej wyrafinowanego dozowania dźwięku i ciszy. Taki sposób dozowania czasu, sprzeciwiając się naszym przyrodzonym pojęciom, wytwarza w nas poczucie zaskoczenia, poczucie, że mamy do czynienia z fenomenem nowości, niesamowitości. Stąd charakter ekspresyjny, nadający się do wyrażania emocji oraz kontrastów wyrazu.

Kompozytorzy, którzy uważają dzieło muzyczne za oderwany od rzeczywistości *objet d'art*, za czystą grę dźwięków i form, za dyscyplinę wyrażającą jedynie ściśle muzyczne treści, posługują się — zresztą bezwiednie — klasycznym pojęciem czasu, natomiast czas romantyczny to domena kompozytorów, którzy za pomocą sztuki dźwięków wyrażają uczucia i treści poza-muzyczne, niekiedy literackie, kiedy indziej malarskie. Ze sprzeczności, z antynomii między tymi dwoma tendencjami, z ich walki i przeciwieństwa wyrosła cała wielkość muzyki europejskiej.

Artyści, którzy w swej sztuce wyrażają treści poza-muzyczne, literackie, muszą oczywiście zawsze poszukiwać nowych muzycznych środków wyrazu, ponieważ za każdym razem mają nowe treści do wyrażenia. „Klasyki” natomiast, dbając jedynie o piękno doboru samych elementów czysto muzycznych, posługują się chętnie językiem wypróbowanym i wykształconym już przez poprzed-

ników. Dlatego język muzyczny romantyków jest bardziej osobisty — a klasyków doskonalszy i mniej problematyczny. Ale najważniejsze jest, że te dwie postawy nie są bynajmniej związane z jakąś epoką czy momentem historycznym. Aczkolwiek w każdym okresie historycznym jedna z nich dominuje nad drugą, to jednak w zasadzie współistnieją one obok siebie stale i zawsze, niezależnie od epoki i czasów, w których przyszło żyć i działać temu czy innemu kompozytorowi.

Jeśli Strawińskiemu zarzucano — i wciąż jeszcze się zarzuca — brak konsekwencji rozwojowej w jego twórczości i rzekomą chaotyczną ewolucję kompozytorską, to pochodzi to stąd, że druga połowa XIX wieku stanowiła triumf postawy romantycznej w muzyce. Wagner nie da się odłączyć od podłoża schopenhauerowskiego, Debussy znalazł odpowiednik poetycki swojej sztuki w Maeterlinck'u, Mahler rozbijał nawet formę czysto symfoniczną w poszukiwaniu przesadnej ekspresji, a w czasach już bliższych nam Alban Berg skąpał „Wozzeck'a” w ekspresjonizmie najczystszej wody, dając w każdym akordzie i każdej nutce skondensowany komentarz do psychologicznego przebiegu perypetii scenicznych.

Otóż Strawiński w całej swej twórczości — bez względu na takie czy inne zmiany stylistyczne — był zawsze „klasykiem” w tym sensie, w jakim powyżej użyłem tego pojęcia. Muzyka była dla niego zawsze ściśle określoną dyscypliną techniczną, której celem jest zamknięcie w możliwie najdoskonalszym kształcie pewnej ilości piękna. Nie interesowała go nigdy w sposób bezpośredni ekspresyjna linia muzyki. Uważał, że muzyka nie służy wyrażaniu jakichkolwiek idei, uczuć czy nastrojów — jej cel to stworzenie zespołu dźwięków, ułożonych w sposób możliwie najdoskonalszy, zespołu wyczerpującego bez reszty założenia tematyczne utworu i dającego słuchaczowi pełną satysfakcję estetyczną.

Do osiągnięcia tego celu używał Strawiński środków tradycyjnych: pewnej ilości interwałów w wyraźnie sprofilowanych tematach, harmonii i rytmu. Rzeczą muzykologów jest określić wzajemny stosunek tych elementów w dorobku twórczym Strawińskiego — dla nas ważne jest w tej chwili stwierdzenie, że do żadnej z tych dziedzin autor „Święta Wiosny” nie wniósł w gruncie rzeczy żadnych nowych rozwiązań ściśle technicznych. Jeśli mówiłem o rewolucjonizmie „Święta Wiosny”, to miałem na myśli właściwości inwencji kompozytorskiej, a nie implantację jakiegoś nowego systemu. Bo jakież „system” mógł mieć artysta, który w swoim, jak najbardziej osobistym, dorobku potrafił twórczo przetrawić Pergolesiego, Czajkowskiego, Rossiniego, Bacha, Gesualdo da Venosa — i jeszcze kilku innych? Ale wszyscy ci kompozytorzy przeszłości służyli mu jedynie za punkt wyjścia,

taki czy inny cytat z nich stanowił swego rodzaju kokieterię, dla wykazania jak ogromną ilość nowego, aktualnego piękna można wykrzesać z ich przeważnie zwiędłych już tematów.

Krytyka muzyczna, zdezorientowana ciągłymi nowościami, mówiła już od wielu lat o „wyschnięciu źródeł inspiracji” i o „braku własnego stylu” w drugiej połowie życia wielkiego kompozytora. Te sądy — rozpowszechniane dziś coraz bardziej — wydają się dość płytkie i banalne. Rzeczywistość przeczy im najzupełniej. Bo dla muzyka „rzeczywistością” jest jedynie partytura i jej realizacja dźwiękowa. Otóż jeśli w „Pulcinelli” znajdujemy tematy Pergolesiego, w „Pocałunku Wróżki” kilka fragmentów Czajkowskiego, a w balecie „Gra w karty” temat z uwertury do „Cyrulika Sewilskiego”, to jednak te trzy — pozornie tak odległe od siebie — utwory posiadają wszystkie najbardziej osobiste cechy Strawińskiego. Nie trzeba ich nawet wysłuchiwać, wystarczy otworzyć partytury, aby w nich znaleźć wszystkie charakterystyczne właściwości jego techniki. Siła geniuszu wielkiego kompozytora sprawia, że choć posługuje się on tradycyjną hierarchią elementów, choć nigdy nie jest rewolucjonistą — w sensie niszczenia tradycji — choć używa chwytów podpatrzonych na przestrzeni całej historii muzyki, — to jednak zawsze jest wyłącznie sobą, zawsze rozpoznajemy bez najmniejszej wątpliwości jego indywidualność, jego nieomylną siłę i niesłychaną inwencję twórczą.

Mozart też nie stworzył żadnych nowych środków wyrazu. Posługiwał się techniką wykształconą przez zapomnianych dziś nie bez racji drugorzędnych kompozytorów tzw. szkoły mannheimskiej. Pomimo tego jego biografowie, Wyzewa i Saint-Foix, naliczyli w jego krótkiej, niespełna trzydziestoletniej, twórczości 36 czy 38 różnych okresów twórczych — czyli znacznie więcej niż u Strawińskiego. Ale dla nas dziś jest to całkowicie nieważne — ważny jest jedynie fakt, że każdy odróżni utwór który wyszedł spod pióra Mozarta, od dzieł mannheimskich *petits maitres*.

Podobnie jest ze Strawińskim. Nie stworzył „nowych środków”? Nie miał „własnego języka”? Być może. Ale kiedy na skutek jego ewolucji rozlała się w latach 20-tych i 30-tych po całym świecie fala epigonizmu neo-klasycznego, można się było najlepiej przekonać, na czym polegała jego wyższość nad tłumem epigonów, powtarzających w nieskończoność jego formuły formotwórcze, harmoniczne, a przede wszystkim rytmiczne. Wszelka krytyka staje oczywiście bezradnie wobec faktu, że jeden kompozytor przerasta o głowę drugiego i że jeden, pod zewnętrznym pozorem powtarzania starych formuł, wnosi niesłychanie wiele nowego, a inny nie. Problem prawdziwej, istotnej nowości w sztuce — jeśli już przyznać mu tak dużą wagę — jest niezmiernie trudny. Bo chodzi o odczucia niesłychanie subtelne i wiedział

o tym Pascal, pisząc: „*Qu'on ne dise pas que je n'ai rien dit de nouveau: la disposition des matières est nouvelle*”... Ta nowa *disposition des matières* stworzyła wielkość Igora Strawińskiego.



Kiedy się czyta „*Chroniques de ma vie*”, uderza najbardziej ciągly głód „poznania artystycznego”, jaki cechował wielkiego kompozytora. Chodzi mu o coraz to nowe formy, choćby „klasyczne”, ale nie wypróbowane jeszcze przez niego osobście, o coraz to nowe obsady i zespoły instrumentów. Chwilami odnosi się wrażenie że chciał wzbogacić każdy dział muzyki, bez względu na to, czy gatunek jego talentu nadawał się do tego. A jeśli uważał któryś ze swych utworów za specjalnie udany, wówczas porzucał definitywnie jego formułę techniczną i w następnym dziele szukał innej. Opuszczał szybko pole bitwy na którym odniósł zwycięstwo. Stąd też i w obrębie pozornie tego samego okresu „neo-klasycznego” zmieniał się ciągle i rozwijał w kierunkach nieoczekiwanych. Jeśli start neo-klasyczny Strawińskiego rozpoczął się od świadomego, a niesłychanie rygorystycznego, odrzucenia wszelkiej kolorystyki dźwiękowej w Sonacie fortepianowej, Koncercie fortepianowym czy balecie „*Apollo Musagete*” — to któż mógł przypuścić, że w kilka lat później z pozornie tej samej inspiracji powstaną utwory takie jak „*Oedipus Rex*” czy „*Symfonia Psalmów*”, należące niewątpliwie do najlepszych dzieł naszej epoki? Wrzucając do wspólnego worka wszystkie utwory powstałe mniej więcej w latach 1919-1947 i przyczepiając im tanią etykietkę „neo-klasycyzmu”, popełnia się błąd niewybaczalny. W tym okresie działo się w twórczości Strawińskiego bardzo wiele rzeczy, o których nie pisze się w esejach i monografiach poświęconych wielkiemu artyście. W tym czasie doszła do szczytu jego wirtuozeria formotwórcza. Technika jego z tego okresu polega na skrajnym samoograniczeniu. Żadnej zbędnej kolorystyki, żadnej ekspresji osiągananej za pomocą wzmacniania lub osłabiania dynamiki. Frazy są ostro przycięte, ożywione jedynie pulsacją synkop i niesymetrycznych akcentów. Stosunkowo najmniej zainteresowania ma Strawiński w tym okresie dla problemów harmonicznych, nie ma wówczas mowy o dalszej emancypacji dysonansu, zresztą wszystkie pisane w tych latach utwory mają charakter *par excellence* tonalny i z ostrego przeciwstawienia tonacji wydobywają niejeden znakomity efekt muzyczny.

Tymczasem bezpośrednio po drugiej wojnie światowej nastąpił powszechny zwrot w kierunku techniki dwunastotonowej, stworzonej przez Arnolda Schönberga. Młodzi odkryli nagle dorobek szkoły wiedeńskiej i odwrócili się zdecydowanie od jasnych,

precyzyjnych konstrukcji muzycznych Strawińskiego. Nastął okres wielkiego eksperymentu, okres fermentu i poszukiwania za wszelką cenę czegoś nowego. W pierwszych latach zaczęto pracować stosować ściśłą dodekafonię, dopiero znacznie później przyszyły lata „dyscypliny rozluźnionej”, okres utworów krótkich, niezmiernie cienkich w instrumentacji, pozbawionych szkieletu formalnego, a kładących główny nacisk na nastrój i ekspresję. Z dnia na dzień Strawiński znalazł się w osamotnieniu, niemal w postawie reakcjonisty zagradzającego drogę postępowi. Z pierwszych lat powojennych datuje się jego sławna butada w odpowiedzi na pytanie czy nie pociąga go technika dwunasto-tonowa. Strawiński odpowiedział zdecydowanie: „Jeśli o mnie chodzi, to mam dosyć roboty z siedmioma dotychczasowymi stopniami gamy”.

Ale minęło kilka lat i stary mistrz zaskoczył jeszcze raz swoich wielbicieli — dokonał jeszcze jednej wolty, zresztą i tym razem wyłącznie w dziedzinie języka muzycznego. Bo poczynawszy od „*Septetu*” z roku 1952 i baletu „*Agon*”, zaczął coraz konsekwentniej stosować technikę serii i w poszczególnych ogniach tego etapu widać było wyraźnie wysiłek jakiego dokonywał, aby przyswoić sobie te nowe dlań środki. W roku 1955, zapytany co sądzi o muzyce Boulez’a, Strawiński odpowiedział: „Nie znoszę jej serdecznie, ale gdybym miał jego lata, komponowałbym jak on”. Cóż za zmiana w porównaniu z dawnym Strawińskim, zapatrzonym w ideał jasności formalnej, funkcyjnej harmoniki i żelaznego, pulsującego rytmu!



Spotykane dziś często twierdzenie, że w swoim akcesie do dodekafonii i techniki serialnej poszedł Strawiński jedynie za głosem mody i dla zdobycia poparcia ze strony młodych — stanowi oczywiście zarzut wyjątkowo nietaktowny i nielojalny. Wydaje się że należy zachować pewne elementarne względy dla psychiki i postawy starego artysty, który ma poczucie pełnej sprawności swego aparatu twórczego, a jednocześnie nie może nie zauważyć, że epoka przegoniła go już, że poszła naprzód w tempie żywszym aniżeli jego własny dorobek twórczy. Strawiński nie jest w tym wypadku wyjątkiem — znamy przecież i innych, równie wybitnych twórców, którzy, dźwigając ósmy czy dziewiąty krzyżyk, usiłują dotrzymać kroku płynnym i zmieniającym się dziś z dnia na dzień kanonom kapryśnej estetyki. Fenomen jest nowy, przeszłość nie znała tej gonitwy starych za osiągnięciami młodych. Dotychczasowe doświadczenia w tej dziedzinie dowodzą, że wybitni starzy artyści potrafią na ogół bez trudu przyswoić sobie język i technikę artystyczną młodych — w czym ostatecznie nie ma nic dziwnego jeśli zważyć, że wsparci są na olbrzymim

doświadczeniu całego długiego życia twórczego. Czego nie mogą — to odmłodzić dzięki temu swej inwencji twórczej, ożywić swej sztuki polotem i temperamentem młodości. Ostatnie lata Strawińskiego przyniosły — szczególnie w dziedzinie muzyki religijnej — szereg utworów doskonałych pod względem kunsztu formalnego. Jest to muzyka niezmiernie skupiona, statyczna, jak zawsze u niego skąpa w ekspresji i pozbawiona efektu zewnętrznego. Czy którekolwiek z tych dzieł może stanąć obok „Symfonii Psalmów”, „Orfeusza”, „Króla Edypa” czy „Święta Wiosny” — oto pytanie, na które odpowie dopiero przyszłość.

Cały ten ostatni okres twórczości wielkiego kompozytora pełen był zresztą nieporozumień, które niesposób pominąć. Jak wiadomo, schönbergowski system komponowania za pomocą serii dwunastu tonów stanowi ostatnie ogniwo wiekowego rozwoju temperowanego systemu tonalnego. Nie jest zaczątkiem nowej techniki, lecz ostatnim słowem starej. W tym sensie, że wyciąga ostateczne konsekwencje z długiej historii rozwoju naszej muzyki: od kadencji rozszerzającej się coraz bardziej, aż do wagnerowskiego chromatyzmu i ciągłego modulowania. Dalsza droga w emancypacji poszczególnych dźwięków, związanych dawniej systemem zależności tonalnych, musiała prowadzić jedynie do ich zupełnego równouprawnienia. I właśnie tego dokonał Schönberg. Oparta na jego systemie technika komponowania posiada cały szereg luk, nieściśłości i niekonsekwencji, ale ma dwie ogromne, kardynalne zalety. Pierwsza, to wyeliminowanie przypadkowości, wprowadzenie rygorystycznego uzasadnienia każdego przebiegu linearnego czy harmonicznego w muzyce. Zakończony został dzięki temu długi okres kiedy kompozytorzy, odrzucając dawny akademicki system harmoniczny, dobierali akordy wedle własnego widzimisie, w sposób najzupełniej arbitralny. Dzięki użyciu techniki serialnej każdy przebieg frazy muzycznej daje się precyzyjnie uzasadnić, z pełnym wyeliminowaniem dawnej antynomii konsonans-dysonans. Te pojęcia przestają istnieć.

Drugą zaletą tej techniki jest fakt, że jej użycie pozwala w najprostszy sposób uniknąć wszelkich zależności tonalnych, jest najłatwiejszym sposobem kompozycji integralnie chromatycznej, atonalnej.

Dzięki tym podstawowym zaletom stała się technika dwunastotonowa muzycznym językiem obiegowym drugiej połowy naszego stulecia i nie ma dziś kompozytora, który by się nią nie posługiwał — jeśli nie stale, to przynajmniej dla pewnych określonych celów. Nie ma żadnego dostatecznie ważnego powodu, aby Strawiński nie miał być skorzystał z dobrodziejstw tego systemu, skoro korzysta z niego legion innych.

Ale tu właśnie zaczynają się nieporozumienia. Dodekafonia

i serializm nie są postawą estetyczną — jest to jedynie dyscyplina ściśle techniczna. Daje ona artyście do ręki instrument, ale nie zajmuje się problemem, w jaki sposób i w jakim celu ten instrument będzie użyty. Aczkolwiek rygory tej techniki narzucają — z grubsza biorąc — pewien swoisty, łatwy do rozpoznania typ muzyki, to jednak nie są one w stanie określić postawy estetycznej kompozytora. I oto przedstawiciele tzw. szkoły wiedeńskiej — Schönberg, Berg i Webern — wprowadzając w użycie nową, zdawałoby się rewolucyjną, technikę, zachowali jednocześnie — szczególnie dwaj pierwsi — w swej twórczości po-wagnerowską, post-romantyczną estetykę. Ich muzyka porusza się w skali głębokich przeżyć emocjonalnych, pełna jest ekspresji, ekstatycznych napięć, a ich stosunek do czasu muzycznego jest typowo romantyczny. Z punktu widzenia szerszego aniżeli czysto techniczny, z platformy estetycznej, muzyka „dawnego” Strawińskiego, zarówno z okresu „Święta Wiosny” jak i z późniejszego okresu neoklasycznego, była znacznie mocniejszym i wyraźniejszym przeciwstawieniem się późno-romantycznej postawie estetycznej, aniżeli muzyka Schönberga lub Albana Berga. Z tego punktu widzenia była niewątpliwie współczesniejsza. Nic dziwnego, że przechodząc na teren dodekafonizmu, Strawiński nawiązał raczej do Weberna, u którego nie ma takich ekscesów ekspresji, jak u Schönberga i Albana Berga.

Zresztą wielki kompozytor był stale i niezmiernie ostro zwalczany przez zwolenników Schönberga. Największy atak przeprowadził Wiesengrund-Adorno w swojej znanej książce o filozofii nowej muzyki, w której próbował zburzyć doszczętnie to, co nazwał „mitem Strawińskiego”. Za pomocą efektownej dialektyki starał się udowodnić, że Strawiński reprezentuje w muzyce współczesnej wsteczność i regres, podczas kiedy sztuka Schönberga wnosi postępowy ewolucjonizm i zapewnia sztuce muzycznej piękny dalszy rozwój. Całe to rozumowanie przeprowadzone jest z niesłychaną wirtuozerią dialektyczną, ale i fanatyzmem godnym lepszej sprawy. Niestety Adorno nie potrafił doprowadzić swej operacji do końca i wołał nie precyzować zbyt dokładnie pojęć takich, jak „nowa muzyka”, „postęp” czy „regres”. W rezultacie nie udało się rozbić „mitu”. Może i dlatego, że nie chodzi tu w gruncie rzeczy o żaden „mit”, ale o olbrzymi dorobek największego kompozytora pierwszej połowy naszego stulecia, dorobek, który wywarł niezatarty wpływ na całą muzykę współczesną.

Nie wiemy jakimi drogami pójdzie dalszy rozwój muzyki, nie wiemy jakie będą jej formy konsumpcji, nie wiemy nawet czy istnieć ona będzie w przyszłości w postaci zespołu dźwięków przeznaczonych przez kompozytora na określone instrumenty.

Wszystko to jest w tej chwili pod znakiem zapytania. Ale jedno jest pewne: niezależnie od nieznanych dróg przyszłości, istnieje wspaniały, wielowiekowy fenomen muzyki europejskiej, od jej odległych monodycznych początków aż po definitywny rozkład systemu temperowanego. W ramach tej wspaniałej budowli dorobek Igora Strawieńskiego zajmuje poczesne miejsce, dominując nad swoją epoką i w dużej mierze określając jej wyraz artystyczny.

Roman PALESTER

Giovanni Maver (1891-1970) i jego szkoła

Śmierć Giovanniego Mavera przypieczętowała koniec ważnego okresu w dziejach sławistyki, a w szczególności polonistyki dwudziestego wieku na Zachodzie. Kto miał przywilej być uczniem tego Mistrza, równie fascynującego jak enigmatycznego, czuje teraz potrzebę raczej refleksji charakteru historyczno-krytycznego, niż emocjonalnej wypowiedzi w granicach stylistycznych, określonych gatunkowi literackiemu nekrologu. Adekwatna charakterystyka osobowości Mavera wymagałaby subtelного studium z filologii duchowej, zrobionego przez biografa, gruntownie zorientowanego w życiu człowieka i jego zapleczu kulturalnym: od starej habsburskiej Austrii po Włochy i od Dalmacji po Polskę. Nie wchodząc zbyt w te kwestie, wystarczy powiedzieć, że życie Giovanniego Mavera było splotem osobistych klęsk i akademickich sukcesów. Maver umarł osamotniony i na progu ubóstwa, w pokoju o klasztornej nagich ścianach swego domu na Awentynie, po miesiącach pełnego godności i niezamąconej świadomości oczekiwania na śmierć oraz przeżywania na nowo w pamięci długiej agonii żony i tragicznej śmierci obu synów.

Dobiegał osiemdziesiątki i poprzez jego opanowane słowa wy-czuwało się zdziwienie na myśl, że przeżył tyle klęsk. Dyscyplina humanistyczna wdrożyła go do patrzenia prawdzie prosto w oczy: był świadom wyjątkowej bystrości swej własnej inteligencji, wiedział również, że to co napisał, dawało bardzo niepełny obraz jego możliwości. Z latami wzrastały się opory przeciwko pisaniu, które w pewnej mierze pojawiły się jeszcze w młodym wieku jako reakcja nerwowa na nieuleczalną chorobę żony. Dawał co mógł: skondensowane artykuły zamiast książek, fragmenty badań zamiast syntez, i godziny rozmów z uczniami i przyjaciółmi. W europejskim świecie uniwersyteckim wcześniej spopularyzował

się obraz Mavera, pełnego polotu rozmówcy i skąpego pisarza. Ten topos biograficzny, rezultat w znacznej mierze autokrytycznych wypowiedzi samego protagonisty, nie powinien zbyt ciężko na jego ocenie. Jeśli jest prawdą, że po człowieku takiego kalibru intelektualnego (który sprawił, iż był jednym z wielkich mistrzów współczesnej krytyki) można było oczekiwać bardziej zobowiązujących dzieł, nie wolno równocześnie nie doceniać jego dorobku, który posiada zasadnicze znaczenie dla sławistyki naszych czasów.

Kiedy pisma Mavera zostaną zebrane w tomach (co jest już zadecydowane, ale opóźnia się z powodu trudności finansowych), wielu czytelników zdziwi bogactwo i rozległość tematyki tego wydania, które, pomijając recenzje i wzorowe artykuły encyklopedyczne, obejmie pokątną liczbę 170 prac (por. jego bibliografię w *Studi in onore di Ettore Lo Gatto e Giovanni Maver*, Rzym 1962, str. XXIII-XXXI). Nie tylko sławiści, ale i romaniści znajdą cenne sugestie i wskazówki w pismach Mavera. Tak więc tomik opublikowany przez Wiedeńską Akademię w roku 1914 (idzie tu o tezę doktorską, która przyniosła młodemu romaniście, uczniowi Meyer-Lübckego, tytuł doktora *sub auspiciis Imperatoris*), *Einfluss der vorchristlichen Kulte auf die Toponomastik Frankreichs*, pozostał po z górą pół wieku podstawową pracą na temat wymieniony w tytule. W dziedzinie zaś sławistyki Maver poruszył gamę tematów, które potrafią zainteresować różnego rodzaju czytelników. Lingwiści będą często musieli sięgać w przyszłości do takich artykułów jak *Parole croate di origine italiana o dalmatica* (1922), *Parole serbocroate o slovene di origine italiana (dalmatica)* (1923), *Intorno a due parole serbocroate di Dalmazia* (1924), *Intorno alla penetrazione del lessico italiano nel serbocroato della Dalmazia e dei territori vicini: criteri metodologici* (1925), *La pronuncia della ci latina nei riflessi slavi meridionali* (1930), *Kanata* (1950), *Dal Tirreno all'Adriatico: considerazioni intorno ad alcuni termini marinareschi* (1952), *Kleiner Beitrag zur Lehnwortkunde Dalmatiens* (1956), *Maver* (oryginalne studium onomastyczne na temat nazwiska autora, bogate w nowe sugestie metodologiczne, 1957).

W dziedzinie literatury komparatyści nie będą mogli pominąć syntezy *Le letterature slave* (w *L'Europa nel secolo XIX*, 1927), rozpraw teoretycznych *Lo studio delle traduzioni come mezzo d'indagine linguistica e letteraria* (1930) oraz *Il problema della storia comparata delle letterature slave* (1938), rzeczy specjalnych *Esiste una letteratura jugoslava?* (1922), *Vrchlicky e Leopardi* (1929), *Leopardi presso i Croati e i Serbi* (1929), *Słowacki-Solomós* (1938), *La letteratura croata in rapporto alla letteratura italiana* (1942), *Mickiewicz i Włochy* (1944), *Le rayonnement de Mickiewicz in Italie* (1958). Wkład Mavera w rusycystykę jest nie do zlekceważenia, np. „*Meditazione*” di Lermontov (1929), *Elogio dell'arte di Puskin* (1937), *Gogol in Italia* (1942). Specjaliści od literatur południowosłowiańskich dobrze znają artykuły Mavera: *Ivo Vojnović* (1924) i *Un secolo di lirica slovena* (1941), podobnie

jak i zwięźle tomy historii literatury: *Letteratura serbo-croata* (1960) i *Letteratura slovena* (1960). Także i bohemiści będą musieli sięgać do Mavera dzięki studium *Un poeta romantico ceco-slovacco: Karel Hynek Mächa* (1925) oraz drobniogowi *Eine Neuausgabe von Karel Hynek Mächas Werken* (1927).

Sławista w pełnym znaczeniu tego słowa, filolog zdolny zharmonizować w odpowiedniej perspektywie metody analizy lingwistycznej i krytyki literackiej całego terenu słowiańszczyzny, Giovanni Maver był jednak przede wszystkim wybitnym polonistą. W roku 1921 został w Padwie profesorem pierwszej we Włoszech katedry filologii słowiańskiej. W roku 1929 przeszedł na Uniwersytet Rzymski jako profesor języka i literatury polskiej. To „nawrócenie się” na polonistykę oznaczało równocześnie uznanie nowej tendencji, która w Rzymie doszła do głosu dzięki Romanowi Pollakowi, i uwieńczenie intensywnych studiów Mavera w Krakowie, do którego przyciągnęła go renesansowa architektura i przyjaciel, Stanisław Kot. Przez około czterdzieści lat Maver znany był w Europie nie tylko jako najwybitniejszy na Zachodzie polonista, ale również jako najbardziej polonocentryczny uczony spośród wszystkich filologów słowiańskich. Był nie tylko profesorem literatury polskiej, ale wziął jednocześnie na siebie funkcje profesora filologii słowiańskiej, jako też i dyrektora *Istituto di Filologia Slava* Uniwersytetu Rzymskiego. W nauczaniu jego obie dyscypliny w sposób naturalny zmierzały do syntezy.

Pierwszym wybitniejszym płodem studiów polonistycznych Mavera był tomik *Saggi critici su Juliusz Słowacki*, ogłoszony w Padwie w roku 1925. Na wyborze Słowackiego zaważył w sposób oczywisty klimat ówczesnej Polski. Świadczył on o upodobaniu krytycznym, potwierdzonym później przez inne studia o tym poecie: *Juliusz Słowacki nell'ultimo decennio* (1927), *Juliusz Słowacki* (w *Enciclopedia Treccani*, 1929), *Słowacki — Solomós* (1937), *Juliusz Słowacki* (po angielsku, 1949), *Da Napoli a Zante: osservazioni marginali sul „Viaggio in Oriente” di J. Słowacki* (1951), *Il messaggio poetico di Juliusz Słowacki* (1961). Liczne również studia poświęcone Mickiewiczowi (w szczególności romantycznym związkom z Włochami Risorgimento) nie zmieniają wrażenia, iż w swoich zainteresowaniach epoką romantyczną w Polsce (zob. np. *Alle fonti del romanticismo polacco*, 1929) Maver był zdecydowanie „Słowackologiem”.

Innym pisarzem, którym Maver — badacz Polski humanizmu i Odrodzenia — szczególnie się interesował, był Jan Kochanowski: spośród różnych studiów, poświęconych temu poecie, najbardziej znane pozostało to, które przedstawił po polsku w roku 1930 na krakowskim Zjeździe Naukowym pod programowym tytułem *Oryginalność Kochanowskiego*.

Tuż po wojnie Maver — wierny przyjaciel Polski także i w najtrudniejszych latach — publikował artykuły w *Orle Białym*, oraz ogłosił antologię, wydaną przez Polaków na emigracji, *Podróże pisarzy polskich do Włoch* („Biblioteka Orła Białego”, Rzym, 1946). Idealną syntezą całego życia, poświęconego studiom nad

literaturą polską, był wydany w dziele zbiorowym *Storia delle letterature moderne d'Europa e d'America* profil historyczny, *La letteratura polacca*: około stu pięćdziesięciu stron, które zawierały ekstrakt jego rozległych przemyśleń krytycznych i nad którymi żaden polonista nie może przejść do porządku dziennego.

Nie miejsce tu na szczegółowy rozbiór wkładu Mavera w sławistykę XX wieku. Ma się prawo stwierdzić — i nie jest to żaden pochwalny entuzjazm, dyktowany normami stylistycznymi nekrologu — że Giovanni Maver był przez dziesięciolecie polonistą o najszerszych na Zachodzie kompetencjach, dzięki temu że bardziej niż „specjalistą” od polskiej literatury i historii kultury był „sławistą”, którego rozległość perspektyw gwarantowało solidne ogólne przygotowanie humanistyczne oraz specyficzne doświadczenie w wielkich dziedzinach filologii nowożytnej, romanistyce i germanistyce. Osiągnięcia Mavera w Rzymie przyczyniły się chyba bardziej, niż studia któregośkolwiek bądź z wybitnych polskich polonistów, do wpisania literatury polskiej w żywy europejski kontekst krytyczny naszych czasów.

To ostatnie stwierdzenie skłania do serii refleksji na temat dzisiejszej sławistyki, którą we Włoszech już dziś nazywa się „po-maweriańską”, a która tak w Europie jak i w Ameryce ma często tendencję do rozwoju w kierunku innym od tego, jakiego przykładu dostarczała profesura Mavera. W miejsce „humanisty” i filologa w szerokim znaczeniu tego słowa, który poświęcając się sławistyce przyczynia się do zapewnienia tradycjom słowiańskim należnego miejsca w szerokiej perspektywie historyczno-krytycznej, zbyt często zjawiają się postacie specjalistów, dla których jedna poszczególna dyscyplina (czy poddyscyplina) stanowi rodzaj zamkniętego w sobie światka. *Sztukę* krytyka czy historyka zastępuje w ten sposób *kompetencja techniczna* rzemieślnika krótkowzrocznego i o na wpół biurokratyzowanej mentalności. Nie tylko uparcie (wbrew najcenniejszym sugestiom współczesnych metodologii) oddziela się (jeśli nie wprost przeciwstawia) język i literaturę czy historię, ale coraz bardziej skupia się uwagę na wąskim polu narodowych literatur. Jest rzeczą nieuniknioną, iż podobna orientacja, która prawdę mówiąc jest zaprzeczeniem tradycji humanistycznych, zaczyna przeważać w studiach na temat literatur pisanych w językach, które uważa się dzisiaj za ważne (bardziej ze względów politycznych i ekonomicznych niż w rezultacie uważnej oceny dziedzictwa literackiego). „Wszechrosyjskość” jest, być może, najbardziej bijącym w oczy aspektem tego pseudotechnicznego i w gruncie rzeczy naiwnego ujęcia sławistyki. Trzeba jednak podkreślić, iż niemniej absurdalne byłyby zakusy „wszechpolskie”, „wszechczeskie”, „wszechserbskie”, „wszechukraińskie” czy „wszechbułgarskie” itd. Kryzys studiów polonistycznych w różnych uniwersytetach Europy i Ameryki jest, ściśle mówiąc, negatywnym rezultatem tych nacjonalistycznych tendencji w studiach humanistycznych i filologicznych. A tymczasem trudno jest być dobrym polonistą bez odpowiedniej orientacji, np. dla wieków XVI i XVII, w klasykach

łacińskich i włoskich (ta sama baza kulturalna jest niezbędna, na przykład, dla studiów, powiedzmy, francuskiego renesansu i okresu elżbietańskiego), ale niemniej prawdą jest, iż trudno o dobrą znajomość rosyjskiej tradycji bez orientacji, dla tychże wieków XVI i XVII, w polskim dorobku humanistycznym. Problem polega nie na decyzji, gdzie jest stosowniej położyć nacisk (każda krytyka czy inna działalność slawistyczna może być pożyteczna, tak w ujęciu „polonocentrycznym”, jak „rusocentrycznym” czy „kroatocentrycznym”), ale w zapewnieniu wszelkim badaniom uniwersalnej postawy, charakteryzującej każdą pracę humanistyczną.

Tymi kryteriami, które, jak sądzę, zachowują dziś pełną wagę programową, Giovanni Maver kierował się w swojej wzorowej pracy uczonego. Tymiz kryteriami kieruje się dziś grupa jego uczniów, chcących kontynuować i rozwijać „szkołę Mavera”. Giovanni Maver wyraził zasadnicze pojęcia tej neohumanistycznej tendencji studiów slawistycznych w różnych pracach specjalnych, bardziej zaś jeszcze uczynił je aktywnymi i żywotnymi w swoim bezpośrednim nauczaniu. Periodyk *Ricerche Slavistiche*, założony przezeń w Rzymie w roku 1952, jest po dziś dzień najsukcesowniejszym organem tego ruchu krytycznego, w którym tradycja polska dzięki swym tradycjom humanistycznym często zajmuje pozycję przodującą.

Riccardo PICCHIO

(Przełożył z włoskiego Wiktor Weintraub)

NOTE BIOGRAFICZNA

Riccardo PICCHIO, slawista włoski, ur. w roku 1923, studiował slawistykę w Rzymie, gdzie otrzymał doktorat w r. 1946. W latach 1947-49 był w Warszawie lektorem języka włoskiego i prowadził wykłady z literatury włoskiej. W r. 1950 otrzymał dyplom *l'Ecole Nationale des Langues Orientales Vivantes* w Paryżu. W r. 1952 współpracował z Maverm w założeniu periodyku *Ricerche Slavistiche*, którego obecnie jest redaktorem. Habilitowany w roku 1952, w latach 1953-61 był docentem na Uniw. Florenckim, a w latach 1959-1961 także profesorem w Pizie. W r. 1961 objął po Mavrze katedrę w Rzymie, jak i dyrekturę *Istituto di Filologia Slava*. Od czterech lat jest profesorem Yale University w Stanach Zjednoczonych. Ogłosił szereg studiów z polonistyki: *Il sarmatismo polacco* (1951), *De l'utopie aristocratique au messianisme polonais et russe* (1951), *Le Courtisan selon Górnicki* (1952), *Tradizione sarmatica e slavismo polacco* (1953), *Gli Annali del Baronio-Skarga e la Storia di Paisij Hilendarski* (1954), *Mickiewicz e Puškin* (1956), *Genesi ed evoluzione del pensiero di A. Mickiewicz* (1956), *Al. Schlözer's Nestor-Kritik und ihr Einfluss auf die quellenkritischen Untersuchungen J. Lelewels zur polnischen Geschichte* (1956), *La narrativa polacca contemporanea* (1964), *E. M. Manolesso, A. Vimini e la Polonia* (1965), *Struktura stylistyczna „Gofreda” na tle tradycji polskich* (1970). Polski dotyczy też częściowo ostatnia jego książka, *L'Europa Orientale dal Rinascimento all'Età Illuministica* (1970). Inne jego książki to: *Storia della letteratura russa antica* (1959, 2-gie wyd. 1968) oraz *I racconti di Czechov*.

Teatr Wielki w Warszawie

Nie wiadomo dlaczego od kilku lat, a ściśle biorąc od chwili objęcia dyrekcji Teatru Wielkiego przez Jana Krenza, umilkł zupełnie dotychczas na ogół zgodny chór recenzentów i publicystów muzycznych w Polsce. Czyżby wyeliminowano jaskrawe nonsensy administracyjne, a Opera Warszawska stała się znów sceną, którą chlubić można się przed światem? Obawiam się, że ludzie pióra znudzili się po prostu bezskutecznym atakowaniem nieporadnego i dziwnie obojętnego na sprawy poziomu artystycznego kierownictwa warszawskiego teatru, że dojrzeni bezsens swoich publicystycznych usiłowań. Krytykowanie bowiem kolejnych dyrektorów, dyrygentów, solistów, orkiestry, scenografów i reżyserów stało się z czasem przysłowiowym gadaniem do obrazu, ba, w pewnym okresie złe pisanie o Teatrze Wielkim obarczało krytyka obowiązkiem spowiedzi i kajania się w Wydziale Kultury KC. Sytuacja się obecnie zmienia. Można, a nawet wskazane jest krytykowanie i wytykanie błędów, ciągle jednak o Teatrze Wielkim w prasie polskiej — nie licząc elukubracji Gontarza na łamach *Prawa i Życia* — głucho. Co dzieje się więc na Placu Teatralnym, jakimi osiągnięciami pochwalić może się aktualna dyrekcja i zespół artystów? Sądzę, że kilka uwag na ten temat zainteresować może Czytelników. Z góry zastrzegam, że szczegółowe omówienie problemów Teatru Wielkiego wymagałoby co najmniej cyklu artykułów, z konieczności więc ograniczę się do najbardziej rzucających się w oczy, najprzykrzejszych, najbardziej bolących.

Kiedy w 1965 roku oczekiwaliśmy na premierowe przedstawienie na deskach odbudowanego z wojennych zniszczeń Teatru Wielkiego, z nadzieją i ufnością spoglądaliśmy w przyszłość. Melomani całej Polski przyzwyczajeni zostali przez Bohdana Wodiczkę do tego, że Opera Warszawska jest nie tylko najlepszą sceną muzyczną w kraju, lecz jedną z najciekawszych i najambitniejszych scen operowych w Europie. Na małej, ciasnej, bez technicznego zaplecza scenie „Romy” Wodiczko w okresie swej dyrekcji wyczyniał rzeczy przedziwne. Zaskakiwał niezwykle interesującymi, a niekiedy fascynującymi premierami, porzucając utarte drogi tradycyjalnie myślących dyrekcji operowych szokował nowatorstwem repertuaru i śmiałością rozwiązań inscenizacyjnych. Zmobilizował do współpracy najlepsze siły: śpiewaków, tancerzy, reżyserów i scenografów — mała salka „Romy” zasługiwała na nazwę „Wielkiej”. Doszło do tego, że mniej udane pozycje repertuarowe publiczności i krytyka kwitowały twierdzeniem: „to nieco mniej udana premiera wspaniałego teatru”.

W okresie przygotowań do przeprowadzki Wodiczko (któremu obiecano dyrekturę z nieograniczonymi artystycznymi kompetencjami na Placu Teatralnym) pracował po dwadzieścia godzin na dobę. Dopiął celu: przygotował kilkanaście premier. Chciał z nimi wejść do gmachu Teatru Wielkiego. Publiczność oczekiwała z niecierpliwością na wydarzenie artystyczne najwyższego lotu. Aliści wtajemniczeni przebąkiwać rychło zaczęli, że Wodiczko komuś tam naraził się i objęcie przez niego dyrekturki stoi pod znakiem zapytania. Te ponure przepowiednie niestety rychło sprawdziły się. Wsławiony później sprawą warszawskich „Dziadów” Balicki z Ministerstwa Kultury poczuł się ponoć mocno dotknięty stanowczymi i — dziś dopiero dostrzec można — słusznymi żądaniem Wodiczki, a Rowicki, sprytny karierowicz uważający się za światowej sławy dyrygenta, wylansowany przez swego osobistego przyjaciela Kraśkę, zdołał powtórzyć swój wyczyn sprzed kilku lat. Kiedyś intrygował tak długo, aż wygrzył Wodickę z Filharmonii Narodowej, teraz uczynił to w Teatrze Wielkim.

Oczywiście do magazynów poszły kostiumy i dekoracje do przedstawień przygotowanych przez Wodickę. Trud solistów, orkiestry, chórów i *corps de ballets* zmarnował się bezpowrotnie. Wrzuceniem w błoto kilkudziesięciu milionów złotych nie zainteresował się nikt. Nieśmiałym usiłowaniom publicystycznym ukrecała łeb rozpanoszona wszechwładnie cenzura prasowa, a winni popełnianych felietonów i artykułów długo musieli się tłumaczyć ze swych niezdrowych zainteresowań.

Nie na tych wszakże milionach złotych polegała wyrządzona przez KC i Ministerstwo krzywda. Na Nowogrodzkiej Wodiczko stworzył styl pracy nowoczesnego teatru. Korzystał ze swoich niemal dyktatorskich uprawnień ze stanowczością, konsekwencją i żelaznym uporem. Nie brakowało i tam malkontentów, w rezultacie jednak Wodiczko narzucił swój styl pracy, porwał zespół bezprzykładnym oddaniem sprawom teatru, umiał przekazać mu swój entuzjazm. Rezultaty podziwiali wszyscy.

Współczesny teatr muzyczny o dużych ambicjach ma przed sobą dwie drogi. Pierwszą z nich wybrał np. Hamburg, którego Opera słynie z nowatorstwa repertuarowego i inscenizacyjnego. Nie chodzi tu zresztą o wystawianie nowych, często radykalnie eksperymentalnych dzieł operowych, nowocześnie potraktować można również Mozarta i Verdiego, starą muzykę oprawić w ramy nowoczesnych pomysłów scenograficznych, reżyserskich itp. Druga droga, to nieco konformistyczne ograniczenie się do tradycyjnego, wielokrotnie ogranego repertuaru i prezentowanie go w sposób równie tradycyjny i powszechnie znany. Taka polityka dyrekturki teatru muzycznego wiązać się jednak musi nieuchronnie z codzienną prezentacją wybitnych kreacji aktorsko-wokalnych. Aby korzystać z tej drugiej drogi, dyrektura opery — aby zapewnić sukces artystyczny — musi dysponować pokaźnymi fundusza-

mi. Jest to droga dużo droższa od pierwszej, lecz za to niewspółmiernie łatwiejsza. Wydawałoby się, że teatr warszawski, nie dysponując kapitałami mogącymi się równać choć w przybliżeniu z La Scala lub Metropolitan Opera wybierze — kierując się zdrowym rozsądkiem — ów pierwszy kierunek polityki repertuarowej. Niestety zdrowy rozsądek nie towarzyszył kolejnym dyrektorom Teatru Wielkiego: Rowickiemu, Górczyńskiemu i Krenzowi. Kolejni dyrektorzy szli po najmniejszej linii oporu: do znudzenia eksploatowano tradycyjny, obracający się w kręgu dziewiętnastowiecznej estetyki, repertuar.

Na nic zdały się plany repertuarowe, prezentowane z dumą podczas kolejnych konferencji prasowych — po prostu ich nie realizowano.

Absurdalna kołomyjka na stanowisku dyrektora Teatru Wielkiego na przestrzeni sześciu ostatnich lat, przestała bawić, stała się niebezpieczeństwem nie pozwalającym na jakąkolwiek politykę repertuarowo-artystyczną, dezorganizowała pracę, demoralizowała do ostatnich granic zespół. Nie pamiętam nawet ilu mieliśmy na Placu Teatralnym naczelnych dyrektorów, chodzą jednak słuchy, że aktualny, trzeci z kolei kierownik artystyczny zamierza zmienić miejsce pracy... To już nawet nie tylko opera, ani nawet operetka, a raczej żalosna farsa.

Dziś Teatr Wielki dysponuje zaledwie dwudziestu kilkoma (sic!) stałymi pozycjami repertuarowymi. Kolejni szefowie, nie mogąc widocznie podjąć przygotowań premier, postępowali nader chytrze: wystawiali jako nowe, pozycje przygotowane kiedyś na Nowogrodzkiej w „Romie”. Oczywiście w takim przypadku mówi się o nowej inscenizacji, odkrywczej reżyserii itd. Każda zaś „autentyczna” premiera Teatru Wielkiego rodzi się w niezmiernych bólach. Przesuwane są wielokrotnie terminy, a prace przygotowawcze trwają niekiedy ponad rok. Po cichu wszyscy narzekają, nazywają Teatr Wielki „Strasznym Dworem”, nikomu jednak nie przychodzi do głowy, że winien nie jest Krenz, a Wodiczko! Po co przyzwyczał nas do znakomitych premier co dwa, trzy miesiące?

Przeciętnemu bywalcowi Teatru Wielkiego rzucają się w oczy przede wszystkim rezultaty artystyczne. Dotyczy to zwłaszcza solistów — śpiewaków, nieco mniej tancerzy i orkiestry.

Na Placu Teatralnym utarł się zwyczaj dęcia w największe surmy z okazji premiery. Na widowni zasiadają wówczas muzycy z całej Polski, krytycy, pedagodzy, przedstawiciele Rządu. Mobilizuje się wszystkie siły, aby premierowa gala wypadła jak najbardziej okazale. Soliści przed premierą odpoczywają, starają się oszczędzać swoje struny głosowe; orkiestra, chóry i *corps de ballets* ćwiczą nieustannie. Oczywiście złego przedstawienia nie zdołać uratować, kwituje się go więc zdawkowymi recenzjami (było się nikomu nie narazić!), zaś spektakl przeciętny urasta na owym bezrybiu do rangi wydarzenia. Trzeba przyznać, że pierwsza pre-

miera, jaką prowadził Krenz — „Otello”, była spektaklem zupełnie przyzwoitym. Zaangażowano do niej specjalnie śpiewaków spoza Warszawy (okazało się, że partii Otella i Jagona nie mogli podołać stali soliści Teatru Wielkiego), zapewniono dobrego reżysera i scenografa. Trzeba było jednak obejrzyć to przedstawienie w pół roku po premierze! Doprawdy wstyd ogarniał. Ze starannego przygotowania orkiestry, chóru i baletu nie zostało niemal nic, soliści-śpiewacy markowali, opuszczali w ensamblo-owych partiach najtrudniejsze, najmniej wygodne miejsca — przedstawienie „rozlażło się” kompromitującą. I to jest prawda: niko- go w Teatrze Wielkim nie interesują spektakle inne, niż premie- rowe. A przecież właśnie owe dziesiąte, pięćdziesiąte, setne, prze- znaczone są dla szerokiej, masowej publiczności. Widza lekcewa- ży się tu jawnie i bez skrępow. ◆

Głośno mówi się w kularowych rozmowach o fatalnej formie głosowej czołowych solistów Teatru Wielkiego, nie czyni się jed- nak nic, by zapobiec marnowaniu talentu, manierowaniu głosu, przedwczesnemu kończeniu artystycznej kariery.

Wyliczył ktoś z polskich krytyków, że wyszkolenie dobrego śpiewaka operowego kosztuje w Polsce około 1.200 tys. złotych! Postaram się ukazać w jaki sposób owe pieniądze w usankcjo- nowany prawnie sposób wyrzuca się w błoto.

Wiadomo, iż głos ludzki — sędzę, że wie o tym również dyrek- cja Teatru w Warszawie — jest instrumentem bardzo delikatnym. Jedynym sposobem zabezpieczenia go przed zniszczeniem jest umiejętna eksploatacja. W teatrach muzycznych, których dyrek- cji zależy na dobrej formie śpiewaka, w rygorystyczny sposób przestrzega się podziału na kategorie głosowe np. koloraturę, dyspozycje liryczne lub dramatyczne, każdy z tych gatunków głosu to po prostu inny instrument, z każdym z nich odmiennie należy postępować. Nieprzestrzeganie tej elementarnej reguły doprowadzić może do zniszczenia najlepiej wyszkolonego głosu. Nie tylko w Warszawie, lecz niemal we wszystkich polskich tea- trach operowych owej żelaznej zasady się nie przestrzega.

W Teatrze Wielkim na porządku dziennym istnieje śpiewanie dziesięciu, dwunastu, a nawet więcej wielkich, trudnych, ciężkich partii miesięcznie przez jednego solistę. Ośmielę się twierdzić, że takiego obciążenia nie jest w stanie wytrzymać żaden głos. Zbyt hojne szafowanie siłami śpiewaków nie może wpłynąć korzystnie na ich formę wokálną i interpretacyjną wyobraźnię. Soliści nie protestują przeciwko nadmiernej eksploatacji własnych sił — ostatecznie można nie śpiewać pełnym głosem, a markować, opuszczać co bardziej wyczerpujące fragmenty partii: nie zależy im widać na publiczności, a na rezultacie finansowym. Pamiętać należy, że praca solisty Teatru Wielkiego to nie tylko spektakle i próby na Placu Teatralnym, to również recitale estradowe, na- grania radiowe i telewizyjne, udział w koncertach symfonicznych,

a w niektórych przypadkach nawet pospolite „chałtury” pio- senkarskie! Trudno wymagać, by ta „uboczna” dziedzina działal- ności artystycznej była niedostępna dla śpiewaka operowego, wy- daje się jednak, iż Dyrekcja Teatru powinna ją ściśle kontrolo- wać i koordynować z planem prób i przedstawień operowych. Zdarzają się w Warszawie — i to wcale nie rzadko — wypadki, kiedy śpiewak po nocy spędzonej w radiowym studio, przychodzi rano na próbę operową, by w nocy śpiewać dużą, wyczerpującą partię.

Takie bez troskie przymykane oczu przez Dyrekcję na nad- mierną eksploatację głosu doprowadziło wokalne dyspozycje kil- korga znakomitych jeszcze przed kilku laty śpiewaków do ka- tastrofalnej ruiny.

Warszawska scena dysponuje bogatą i utalentowaną bazą solistów, z niewiadomych jednak przyczyn w sposób nieogranic- zony szafuje się tu siłami grupy śpiewaków o najgłośniejszych nazwiskach, nie dając pozostałym, młodszym, okazji do wykona- nia niewielkiej normy miesięcznej! ◆

Młodzi, uzdolnieni soliści Teatru Wielkiego nie bardzo wiedzą od kogo się uczyć, bowiem kopiowanie aktualnych dyspozycji wokalnych starszych kolegów przynieść mogłoby rezultaty opła- kane. Brak występów gościnnych w Teatrze Wielkim wybitnych solistów, o światowym rozgłosie, wydaje się grubym nieporo- zumieniem. Byłaby to nie tylko niezastąpiona atrakcja dla pu- bliczności, lecz także kapitalna szkoła aktorstwa i sztuki wokal- nej dla mniej doświadczonych solistów Teatru. Zdaję sobie spr- awę, że kasy Teatru Wielkiego nie stać na sprowadzenie Callas, dlaczego jednak nie angażuje się na występy gościnne polskich artystów, którzy osiągnęli światowy rozgłos? Nina Stano, Teresa Żylis-Gara, lub Andrzej Saciuk z pewnością nie odmówiliby kilku występów gościnnych, ba, mam wrażenie, że nawet zależałoby im na tym. Nikt nigdy nie zwrócił się do nich z propozycjami...

Zupełnie niezrozumiałym zjawiskiem dla mnie jest to, że za pulpitem dyrygentkim w orkiestrowym kanale Teatru Wielkiego, stoją jedynie jego etatowi dyrygenci. Regułą stało się, że do muzycznego przygotowania spektaklu nie tylko nie zaprasza się nikogo zza granicy, lecz również z innych miast kraju. Dlaczego nie powierzyć kolejnej premiery Latoszewskiemu, dlaczego nie zainteresować warszawską sceną Semkowa? Jak długo jeszcze naj- większy znawca muzycznego teatru w Polsce Bohdan Wodiczko nie będzie miał prawa wstępu do orkiestrowego kanału Teatru Wielkiego?

Zaczynam wierzyć w to, co tłumaczył mi kiedyś pewien zna- ny muzyk. Udowadniał on, że maleńka grupa dyrygentów polskich, ze wspomnianym już Rowickim na czele, celowo ułatwiała najwy- bitniejszym kapelistrzom podpisywanie długotrwałych kontrak- tów zagranicznych. W ten to przemyślny sposób pozbyto się po-

ważnej konkurencji Skrowaczewskiego, Semkowa, Wodiczki, ostatnio Satanowskiego, „unieszkodliwiono” częściowo Czyża i Wisłockiego. Faktem jest, że w kraju nie ma po prostu komu dyrygować!

Ośmielę się zresztą twierdzić, że wspomniane wyżej metody pozbywania się niewygodnych osób są typowe dla stosunków panujących w całej polskiej muzyce. Kliki, koteryjki, a przede wszystkim znajomości „na najwyższym szczeblu” znakomicie ułatwiają artystyczne kariery, tłumaczą mechanizm powodzenia. To dzięki „odpowiedniej” przyjaźni istnieje w Polsce dyrygencki jednoosobowy monopol, dzięki „właściwej” pozycji rodzinnej egzystują w Teatrze Wielkim niektóre „czołowe” sopran, dzięki partyjno-rodzinnym koneksjom obecna primabalerina decyduje o wszystkim, co dzieje się w balecie przy Placu Teatralnym... Wstrętne, prawdziwe, i niestety bardzo typowe.



Dyrektor Wodiczko powiedział kiedyś w prasowym wywiadzie: „Opera to moloch. To instrument nadzwyczaj skomplikowany, czuły i trudny w prowadzeniu. Wymaga samozaparcia, poświęcenia i entuzjazmu. Nie pomogą rządy kolegalne. Wśród środowiska artystycznego konieczna jest mądra dyktatura. Wydaje się, że w wielkim teatrze muzycznym jest ona nieodzowna”. Podpisać się można obydwoma rękami pod tymi słowami. Niestety o poszczególnych propozycjach repertuarowych w Teatrze Wielkim nie decyduje jedynie kierownik artystyczny, musi on konsultować się z zespołem, teatralną organizacją partyjną, tzw. „radą artystyczną”, Ministerstwem i czekać na akceptację KC. Liczyć się należy z kaprysami ustosunkowanych sopranów i primabaleriny, starać się nie powodować zdrażnień, ważyć każdy gest i każde słowo, liczyć się z portierem, który zasiada w radzie zakładowej. Walczyć i zwyciężać w tych warunkach mógł czołwiek kalibru Wodiczki — tytan i entuzjasta pracy, nie liczący się z nikim i niczym, umiejący swą całą karierę postawić dla dobra teatru na szale.

Przyznać się muszę, że współczuję Krenzowi. Otrzymał w spadku instytucję w stanie ostatecznej degrengolady, stara się on jak może usuwać błędy Rowickiego i Górzyńskiego, obawiam się jednak, że będąc dobrym dyrygentem, nie jest człowiekiem teatru. A bez tego ani rusz. Sądzę, że ma on po prostu tego wszystkiego (wcale mu się nie dziwię) szczerze dosyć, myślę też, że wiele prawdy tkwi w plotkach o zamiarze jego odejścia. Lecz czy znajduje się kolejny naiwny spadkobierca tego monstrualnie rozдутego śmietnika? Choć wydawałoby się, że gorzej niż dziś być w Teatrze Wielkim nie może, poważnie obawiam się, że dno jeszcze nie zostało osiągnięte.

Najsmutniejszą rzeczą w aferze Teatru Wielkiego jest brak perspektywy wyjścia z impasu. Nie pomogą półśrodki w postaci zmian personalnych. Źródła zła szukać należy głębiej — w praw-

nych podstawach systemu społeczno-politycznego. Zmienić należałoby obowiązujące od lat przepisy prawno-finansowe, ograniczyć ingerencję czynników pozartystycznych, wdrożyć tradycję solidnej pracy — są to zresztą problemy ogólnonarodowe; sądzę, że nie prędko doczekamy się ich rozwiązania. Stąd też mój pesymistyczny stosunek do przyszłości Teatru Wielkiego w Warszawie.

Jerzy KOWALSKI

Krzemieńskie zbiory w Kijowie

W miesięczniku Ukraiński Istorycznyj Żurnal, w numerze z czerwca 1970, ukazał się artykuł E. O. Kolesnyka, pt. „Książkowe zbiory krzemienieckie”. Miesięcznik ten jest organem Instytutu Historii Akademii Nauk w Kijowie. Zgodnie z warunkami pokoju w Rydze, zbiór powinien być wrócić do odrodzonej Rzeczypospolitej. Przypominam, jak przez mgłę, że swego czasu były czynione odpowiednie starania i poszukiwania. Dlaczego nie doszło do przeprowadzenia rewindykacji, nie wiem.

(Przypisek tłumacza)

Wśród licznych księgozbiorów na Ukrainie Sowieckiej jednym z najstarszych i najbardziej cennych jest księgozbiór krzemieniecki. Stanowi on część biblioteki dawnego uniwersytetu Świętego Włodzimierza i został kiedyś przewieziony z Krzemieńca do Kijowa. Zarówno sam księgozbiór, jak i historia jego powstania są nadzwyczaj interesujące.

1 października 1805 roku w wołyńskim Krzemieńcu otwarte zostało gimnazjum klasyczne, na podstawie dekretu Aleksandra I, z 29 lipca tegoż roku (oryginał dekretu zachował się w archiwum rękopisów Akademii Nauk). W styczniu 1819 roku gimnazjum przemianowano na liceum, które w pierwszych dziesiętkach lat XIX wieku stanowiło wyższy zakład naukowy na Wołyniu. Podczas polskiego powstania w latach 1830-1831 większość uczniów liceum przystąpiła do powstańczego ruchu. Carat rozprawił się z nimi w okrutny sposób. Wszystkie zakłady naukowe, w których wykładano w polskiej mowie, zostały zamknięte. Liceum wołyńskie nie należało do wyjątków: zlikwidowano je w roku 1832. Cenny księgozbiór, który, według świadectwa pisarza i historyka XIX wieku, S.W. Rusowa, „mógłby być ozdobą niemal każdego uniwersytetu”, wraz z innymi zbiorami zlikwidowanych wyższych zakładów naukowych w Królestwie Polskim, przewieziony został

w całości do Kijowa i włączony do jego biblioteki uniwersyteckiej.

Za sowieckiej władzy, podstawową bibliotekę Uniwersytetu Kijowskiego przekazano, zgodnie z uchwałą Kolegium NKO URSR z 2 sierpnia 1926 roku, Powszechnej Bibliotece Ukraińskiej przy Ukraińskiej Akademii Nauk. W ten sposób książkowe skarby liceum Wołyńskiego trafiły do zbiorów CNB AN URSR.

Jak świadczą katalogi, sporządzone jeszcze w Krzemieńcu, a zachowane po dziś dzień, biblioteka powstała ze zbiorów, zakupionych w różnych czasach, darowanych, lub przekazanych w licznych zapisach.

Podstawową część zbiorów stanowi tak zwana „Biblioteka Królewska” („Collectio Regia”) — sławny w XVIII wieku księgozbiór ostatniego polskiego króla, Stanisława Augusta Poniatowskiego (1723-1798), znajdujący się uprzednio w Warszawie. Po śmierci króla biblioteka przeszła drogą spadku w ręce rodziny i w roku 1805 została sprzedana krzemienieckiemu gimnazjum. Jego założyciel, Tadeusz Czacki, pisał w liście z 19 maja 1805 r., do polskiego postępowego działacza oświatowego, Hugo Kołłątaja, że „za piętnaście tysięcy czerwonych złotych kupiłem dla wołyńskiego gimnazjum Królewską Bibliotekę, zbiór medali, obserwatorium astronomiczne i gabinet przyrodniczy”.

„Biblioteka królewska” kompletowana była z intencją utworzenia księgozbioru o charakterze uniwersalnym. To jeden z najlepiej dobranych prywatnych zbiorów drugiej połowy XVIII wieku. Wchodził w jego skład inkunabuły, paleotypy i wydania z XVII i XVIII wieku. Reprezentowana jest literatura ze wszystkich dziedzin wiedzy, w języku polskim, łacińskim, greckim, francuskim, włoskim, angielskim, niemieckim, czeskim i rosyjskim. Jest dziesięć głównych działów, które z kolei rozbite są na poddziały, a każdy z nich nosi odpowiednią nazwę po łacinie.

W zbiorze znajduje się duża ilość wielotomowych wydań Akademii Naukowych, uniwersytetów, naukowych towarzystw, reprezentujących liczne kraje; traktaty polemiczne i historyczne, kroniki kościelne, literatura prawnicza i dotycząca filozofii prawa; prace źródłowe, komentarze, kodeksy; książki o tematyce filozoficznej, wojskowej, geograficznej, przyrodniczej (zoologia, botanika, mineralogia, chemia); prace z dziedziny filologii klasycznej, krytyki literackiej, historii, studiów archiwalnych, dyplomacji, paleografii, genealogii, heraldyki, numizmatyki, chronologii; ponadto dokumenty, statuty. Osobny dział to „Polonica”.

W roku 1805 bibliotekę krzemieniecką uzupełnił jeszcze jeden wartościowy zbiór — „Collectio Jablonoviana”. Chodzi o część biblioteki rodzinnej, która uprzednio była własnością księcia Jabłonowskiego (1711-1777). Był to jeden z najbardziej oświeconych ludzi tamtego okresu, namiętny bibliofil, który stale poszukiwał

2. H. Kołłątaj, *Korespondencya listowna z Tadeuszem Czackim*, tom III, Kraków, 1844, str. 100-101.

ciekawych i rzadkich wydawnictw. Katalog tego księgozbioru składa się z czterech tomów³. Po śmierci Jabłonowskiego zbiór przeszedł w spadku najpierw na syna, księcia Dobrogosta Jabłonowskiego, a i gdy ten zmarł, na starszą siostrę, księżnę Teofilę Sapieżynę, która księgozbiór umieściła w swoim majątku na Wołyniu, Teofilopolu. Część tych książek podarowała krzemienieckiemu gimnazjum. „Co najważniejsze inkunabuły (stare księgi, drukowane przed rokiem 1520) Czacki otrzymał w darze od księżny Teofili Sapieżyny; pochodziły one z biblioteki jej ojca, Jabłonowskiego”⁴.

W zbiorze tym znajdują się książki polskie, łacińskie, francuskie, włoskie, angielskie, niemieckie, rosyjskie; z dziedziny historii, archeologii, heraldyki, genealogii, teorii prawa i z innych dziedzin naukowych. Wśród nich niemało bardzo rzadkich wydań. Zwłaszcza cenny jest komplet prac archeologicznych.

Ponadto bibliotekę krzemieniecką wzbogacały niewielkie księgozbiory prywatne, pochodzące od różnych osób.

W skład darowizny Mikoszewskiego weszły książki z dziedziny historii, geografii, matematyki, fizyki, chemii, przyrodoznawstwa, medycyny, lingwistyki i literatury pięknej, w języku łacińskim, francuskim, polskim, włoskim i niemieckim. Z daru hrabiego Moszyńskiego pochodzi zbiór książek geograficznych i literackich w językach zachodnioeuropejskich.

Pani Czacka, stryjenka Tadeusza Czackiego, złożyła w darze niewielki zbiór książek o tematyce historycznej i filozoficznej, oraz utwory literackie autorów zachodnioeuropejskich.

U E. Scheidta, inspektora szkół w gubernii podolskiej, zakupiono wiele książek, które znakomicie wzbogaciły bibliotekę krzemieniecką w dziale nauk przyrodniczych. Prócz wyliczonych zbiorów doszły jeszcze podręczniki naukowe ze zlikwidowanego kolegium jezuickiego w Krzemieńcu.

Własnym staraniem dyrekcji liceum, w okresie między 1805-1830, stworzono nowy księgozbiór, pod nazwą „Collection Nova”.

Zbiory Czackiej i Scheidta, przewiezione do Krzemieńca, rozplynęły się w ogólnych księgozbiorach i przestały istnieć jako osobne całości. Co do innych zbiorów, nie były one w owym okresie „skamielinami”, gdyż stale się rozwijały i ciągle były uzupełniane. Joachim Lelewel, znany polski historyk i działacz społeczny, który korzystał z książek biblioteki krzemienieckiej, napisał w roku 1826, że „dział medyczny 'Królewskiej Biblioteki' pozostawiał wiele do życzenia, ale obecnie bardzo się wzbogacił”⁵.

Nieodłączną część królewskiej biblioteki stanowią białe szafy, mające już ponad dwieście lat. Ozdobione na powierzchni wytworną rzeźbą, reprezentują wyjątkową wartość artystyczną.

3. F. Z. Witzleben, *Catalogus Bibliothecae Jablonovianae studio Witzlebeni*, tom I-IV, Lipsia, 1752-1755.

4. N. I. Teodorowicz, *Miasto Krzemieniec w Guberni Wołyńskiej. Kościelno-historyczny szkic*, Poczajów, 1890, str. 32.

5. Joachim Lelewel, *Bibliograficznych ksiąg dwoje*, tom II, 1826, str. 150.

W roku 1927 szafy te, wraz z całą biblioteką kijowskiego uniwersytetu przeszły do CNB AN URSSR. W tym samym czasie stwierdzono, że chodzi o meble o wyjątkowej wartości muzealnej. Znajdują się obecnie w osobnej sali, zdobiąc dział książek wyjątkowego znaczenia.

Księgozbiór krzemieniecki cieszy się w granicach administracji bibliotecznej pełną autonomią. Kolejność rozmieszczenia książek na półkach jest identycznie taka sama, jak kiedyś w Krzemieńcu. Po powrocie z ewakuacyjnej podróży, książki znajdują się w filii centralnej biblioteki na Podole. Na początku Wielkiej wojny Ojczyźnianej zbiór „Królewski”, jak również Jabłonowskiego, Moszyńskiego i Mikoszewskiego wywiezione zostały, wraz z innymi rzadkimi zbiorami, do Ufy.

Cały księgozbiór jest dokładnie skatalogowany, opisany i dostępny dla czytelników. Książki są uporządkowane i opisane w dwóch katalogach biblioteki kijowskiego uniwersytetu świętego Włodzimierza: w pięciotomowym drukowanym katalogu⁶ i w kartkowym katalogu, ułożonym w porządku alfabetycznym. Ten drugi stanowi część składową ogólnego katalogu alfabetycznego CNB AN URSSR. Poza tym zachowały się rękopiśmienne katalogi wymienionych powyżej, poszczególnych zbiorów, ułożone jeszcze w Krzemieńcu.

Biblioteka krzemieniecka to unikat wśród prywatnych zbiorów książkowych, prawdziwa skarbnica i swoisty zabytek historyczny. Jej wartość polega głównie na tym, że składają się na nią książki i dokumenty niezmiernie rzadkie, dostarczające mnóstwo materiałów dla naukowego zbadania i opracowania historii, ekonomii, politycznego i kulturalnego życia Ukrainy w XVI-XIX stuleciu. Również stanowi źródło wiadomości o sytuacji bibliotecznej na Ukrainie w owym okresie.

E. O. KOŁESNYK

(Przełożył z ukraińskiego Józef Łobodowski)

6. Katalog książek biblioteki cesarskiego uniwersytetu świętego Włodzimierza, tomy I-V, Kijów, 1854-58.

Krzemienieckie post-scriptum

Artykuł E. O. Kołesnyka zasługuje na bliższą analizę z dwu powodów: 1) wnosi nowe dane do historii zbiorów krzemienieckich, w skład których wchodziła wartościowa część zbiorów Stanisława Augusta z Zamku Królewskiego w Warszawie, 2) wymaga uzupełnień i sprostowań.

Tak np. w początku artykułu czytamy, że księgozbiór został „kiedyś” przewieziony z Krzemienia. Datę i okoliczności łatwo sprecyzować. Nie „kiedyś”, ale w jesieni 1833 roku na skutek decyzji władz carskich z 13 lipca 1832 roku. W latach 1834 i 1837 dołączono do Biblioteki zbiór numizmatów i medali.

Dalej: 1 października 1805 nastąpiła istotnie w Krzemieńcu inauguracja szkoły. Nie było nią jednak „gimnazjum klasyczne” ale szkoła ogólnokształcąca o programie nauk rozłożonym na okres dziesięcioletni i dającym szerokie możliwości specjalizacji. Oficjalna nazwa późniejszego Liceum brzmiała „Gimnazjum Wołyńskie”.

Historia narastania zbiorów bibliotecznych nakreślona jest przez Kołesnyka na ogół wiernie. Dodać można, że zbiory Stanisława Augusta zakupił Czacki od księcia Józefa Poniatowskiego i że pierwotnym ich pomieszczeniem był Zamek Królewski w Warszawie.

Dalsze sprostowania i uzupełnienia: stryjenką Czackiego była Kunegunda Czacka; książki przyrodnicze zakupiono u spadkobierców prof. Franc. Scheidta — a nie E. Scheidta. Był to botanik, były profesor Akademii Krakowskiej, zmarły w Krzemieńcu w roku 1807. Joachim Lelewel, słusznie określony jako „znany polski historyk” — związany był z Krzemieńcem blisko, gdyż w roku 1809 wchodził w skład ciała pedagogicznego Gimnazjum Wołyńskiego, jako profesor historii.

Szczegółem bardzo wymownym jest drobna na pozór wzmianka o szafach bibliotecznych. Znaczna ich część pochodziła z Zamku Królewskiego w Warszawie. Były „roboty snycerskiej, koloru perłowego, lakierowane”, opatrzone zamiast szyb ochronnymi siateczkami miedzianymi prawdopodobnie złocnymi. Fakt, że dopiero w roku 1927 (tj. w czasie, gdy zbiory, wraz z szafami, powinny wrócić do Polski na mocy postanowień Traktatu Ryskiego) zauważono, że „reprezentują wyjątkową wartość artystyczną”, nie najlepiej świadczy o kijowskich „opiekunach” Biblioteki. O zaniedbaniu w latach wcześniejszych świadczy wymownie anegdota opowiadana przez teścia niżej podpisanej Dra Jana Danilewicz, który do spółki z przyjacielem Drem Leonardem Chomiczem, podzuceł do magazynów bibliotecznych Uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie około roku 1900 głodne koty, by polowały na dewastujące zbiory myszy.

Łuką zastanawiającą w artykule Kołesnyka jest brak wzmianek o bibliotekarzu i współtwórcy Biblioteki, Pawle Jarkowskim, przyjacielu rodziny Januszeuwskich i Słowackich, który przewoził zbiory do Kijowa. Był on autorem rzeczowej „Wiadomości o Bibliotece Liceum Krzemienieckiego”, którą ogłosiłam w rękopisie w t. IV „Rocznika Wołyńskiego” w roku 1935.

Brak także obrazu starań polskich o odzyskanie zbiorów krzemienieckich w ramach akcji rewindykacyjnej. Pełną ich dokumentację zawierają „Dokumenty dotyczące akcji Delegacji Polskich w Komisjach Mieszanych Rewindykacyjnej i Specjalnej w Moskwie”, t. I-IX (Warszawa 1921-3) oraz „Referat ekspertyzy polskiej w sprawie żądania zwrotu Biblioteki i zbiorów b. Liceum Krzemienieckiego”, opracowany przez Emila Wierzbickiego. Żądanie zgłoszono 31 stycznia 1922 roku; sprawę rozpatrywano na plenum Mieszanej Komisji Specjalnej w dn. 7, 11 i 12 września 1923 roku. Strona sowiecka sprzeciwiała się wydaniu zbiorów, motywując to przynależnością formalną własności licealnej do Kuratorii Wileńskiej. Wobec braku umowy granicznej polsko-litewskiej nie wiadomo, komu zwrócić zbiory! W roku 1923 sprawę przekazano obu rządów do załatwienia na drodze dyplomatycznej. W latach trzydziestych i w przeddzień wojny w roku 1939 sondowano parokrotnie możliwości wznowienia starań. Jednym z argumentów dziś szczególnie aktualnych było przypomnienie faktu, że znaczna część zbiorów pochodziła z Zamku Królewskiego w Warszawie. Odnosi się to nie tylko do Biblioteki i zdobiących ją mebli i popiersi, ale także zbioru numizmatów i medali, kolekcji

minerałów, narzędzi astronomicznych z Obserwatorium królewskiego, kolekcji okazów zoologicznych itp. Stanowią one autentyczną, cudem uchowaną część zbiorów Zamku Królewskiego i spodziewać się należy, że tymczasowi ich kijowscy gospodarze zdobędą się na gest zwrócenia ich Warszawie.

M. DANILEWICZOWA

Bóg

Nakładem YMCA-PRESS ukazała się w Paryżu po rosyjsku nowa powieść Sołżenicyna *Awgust Czetyrnadcatogo — Sierpień 1914*. Dołączone do niej postowie Sołżenicyna do rosyjskiego wydania zagranicznego zaczyna się następująco:

„Ta książka nie może być teraz wydana w naszej ojczyźnie inaczej niż w *samizdacie* z powodów cenzuralnych, nie dostępnych normalnemu ludzkiemu rozsądkowi, a także z tego powodu, że należałoby w niej pisać słowa Bóg nieodmiennie z małej litery. Takiemu poniżeniu nie mogę się już poddać. Dyrektywa pisania Boga z małej litery jest tanią ateistyczną meskinerią, małostką. I wierzący i niewierzący zgodzą się, że kiedy *Oblastnoje Uprawlenie Zagotowok* pisze się z dużych liter początkowych, a KGB czy ZAGS wyłącznie z dużych, to dla pojęcia oznaczającego wyższą twórczą siłę Wszechświata można by przepuścić jedną dużą literę. Nie mówiąc już o tym, że w ustach i wyobrażeniach ludzi 1914 roku „bóg” z małej litery raziłby historycznym fałszem”.

BIBLIOTEKA POLSKA W PARYŻU

W dniu 5 maja rb. odbyło się w Bibliotece Polskiej w Paryżu doroczne zebranie Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Szczegółowe sprawozdanie z działalności Towarzystwa odczytał zastępca Sekretarza Generalnego, p. Maciej Morawski. Daje ono obraz pracy, wykonywanej przez mały zespół: prof. Irenę Gałęzowską, p. Borkowską, dr. W. Kreta, p. Zbyszewskiego i wiceprezesa płk. M. Czarneckiego.

THL w ciągu ostatniego roku liczyło 408 członków. Na Francję przypada 245. Reszta zamieszkuje: Szwajcarię (40), Anglię (31), Włochy (9), NRF (7), Belgię (5), Holandię (1), Hiszpanię (2), Szwecję (4), USA i Kanadę (50), Amerykę Południową (4). W ciągu roku sprawozdawczego Towarzystwo straciło 8 członków. THL odbyło 5 zebrań publicznych i 10 zebrań naukowych oraz zorganizowało trzy wystawy malarskie. W roku sprawozdawczym czytających w Bibliotece było 3.512 osób, a książek w ruchu 58.946. Rękopisów Muzeum i Biblioteki tomów 1.125, czasopism tomów 931, map 871, rycin 1.385.

Książki

Sprawy cieniiste

Nowa książka Stalińskiego¹ jest na pierwszy rzut oka literackim odpowiednikiem filmu Felliniego „8½”. Jest to powieść o niemożności napisania powieści, meta-powieść, narastająca nad nie dającymi się uporządkować elementami powieści „przedmiotowej”, przy pomocy której zamierza „wzruszyć ramionami na historię” jej niedoszły autor, 50-paroletni Roman Zaleski, literat i dziennikarz, mieszkaniec Polski i świata współczesnego, i tym samym lokator platońskiej jaskini cieni. „Tym samym” — ponieważ Roman znajduje się „między dwiema Polskami, a więc w istocie nigdzie”; Polska jego młodości, sprzed „ery Sekretarzy”, stanowi czasoprzestrzeń utraconą, jest wspomnieniem dla niego, a cieniem dla przedstawicieli młodszych generacji; zaś nowa Polska jawi mu się nasycona po brzegi „wszechobecną wszechdziwnością”, której to dziwności niebagatelnym elementem jest fakt, iż coraz mniej ludzi ją dostrzega.

Witkacy utrzymywał zawsze, że zdziwienie światem, refleksja nad „takością a nie innością” rzeczy, objawiająca się jako „dreszcz metafizyczny”, jest wspólnym źródłem sztuki, religii i filozofii; utrzymywał też, że „powieść jest workiem, do którego można wepchnąć wszystko” i czynnie wspierał ten pogląd pisząc powieści „metafizyczne”, pełne dziwności przedziwnie trafiających w sedno — choć „sedno” to miało objawić się dopiero następnej generacji czytelników.

Meta-powieść Stalińskiego jest w zbliżony sposób „metafizyczna”, chociaż dzieje się wśród dziwności spełnionej: witkacowskie groteski w rodzaju Syndykatu Zbawienia Narodowego, Generalnego Kwatermistrza, rządów PeZetPep-u z Gnębomem Puczymordą na czele, i sytuacji politycznej, w której „wszystko trzymało się jak zawieszona z tartych wszy w letniej wodzie, z lekka ocukrzonej” (*Nienasycenie*) przeszły w realny (otóż to: realny

1. Tomasz Staliński, *Cienie w pieczarze*, Biblioteka Kultury, tom 199. Instytut Literacki, Paryż 1971, str. 368.

czy „cienisty”?) świat Frontu Jedności Narodu, Pierwszego Sekretarza i niepewności

„... gdzie właściwie mieści się owa kuźnia czarów, mitów, zaklęć, jacy ludzie to robią, przemysłnie konstruują, wypróbują, wydoskonalają? Roman mieszkał w Warszawie, obracał się niedaleko Centrali, a przecież nie wiedział kto — można by czasem sądzić, że naprawdę wszystko staje się i dzieje samoczynnie, gdyby nie nagle, gwałtowne, wyraźnie przez kogoś zaplanowane skrety 'ideologiczne', kiedy to hasła wczoraj zakazane stawały się z dnia na dzień polecany, zaś ludzie przed miesiącem wychwalani i noszeni na sztandarach spadali na samo dno uświęconej proletariackiej pogardy. Tak gwałtowne skurcze w systemie politycznym, gdzie nie nie działa się bez pozwolenia, nie mogły być organiczne, ktoś je wywoływał i reżyserował. Ale kto i dlaczego?! Tajemnica”.

Podobieństwo tego fragmentu do „Informacji”, jakie umieszczał Witkacy między jedną tyradą swych bohaterów a drugą, jest niewątpliwie przypadkowe — ale wiele innych zbieżności wywodzi się ze wspólnoty „kręgu spraw”: Witkacy przeżył rewolucję w Rosji i to spowodowało, że stał się polskim — w sensie: „dyktatura złagodzona przez bałagan” — Orwellem. Natomiast „spełnienie dziwności” pociągnęło za sobą przemieszczenie punktu ciężkości „metafizyki”: podczas gdy u autora *Pożegnania jesieni* dziwaczność ustroju stanowi jeszcze tylko tło dla „jednostkowych” rozważań bohaterów o filozofii, sztuce i religii, ta „nadbudowa” staje się u Stalińskiego rzeczywistością: bo stała się powszechną płaszczyzną odniesienia w obecnej Polsce, przenika stosunki międzyludzkie, krajobraz i nastroje („*ustroj i nastroj*”), jest siłą, kształtującą świadomość zanurzonych w niej ludzi. Wydaje się, że w odniesieniu do *Cieni w pieczarze* liczba mnoga nie jest całkiem właściwa: powieść ta ma tylko jednego bohatera, reszta postaci to też tylko cienie, projekcje spraw, dziejących się za plecami Romana, kartezyjczyka w platońskiej grocie szukającego odpowiedzi na pytania *quis sum? i quid est?*.

Wobec bogactwa książki ta prezentacja jest na pewno krzywdząca („*skrót jest zawsze zafałszowaniem*”) — mogłoby się bowiem wydawać, że chodzi o jeszcze jedną solipsystyczną antypowieść, czy jak to się tam obecnie nazywa; także zestawienie z filmem Felliniego odnosi się tylko do podobieństw formalnych. W istocie *Cienie w pieczarze* są jedną z najgłębszych refleksji o Polsce obecnej, jakie kiedykolwiek zostały napisane. Ta refleksja jest nie-naiwna, tzn. jest oparta na koncepcji rzeczywistości jako relacji: to co jest, jest tym dla kogoś; zarówno owo „co” jak „ktoś” winny być określone — choć łatwiej taki postulat sformułować, niż go wypełnić. Wspomniana „metafizyka”, to m.in. poszukiwanie punktu stałego wśród płynności, relatywizmu, zmian kątów widzenia, które stanowią wspólną materię filozofii i literatury.

Nienapisana powieść Romana, pretekst „meta-powieści politycznej” Stalińskiego, miała się zacząć pieczołowitym opisem krajobrazu: konkretnie pejzażu („*Polska to także krajobrazy, nawet*

przede wszystkim one”) zdawał się świadczyć, że stałego gruntu pod nogami jest dosyć, że namacalność świata jest wystarczającą gwarancją jednoznaczności; lecz rychło okazało się, że nawet ten element rzeczywistości jest tylko jedną z wielu zmiennych w relacji:

„... krajobrazu dzisiejszej Polski nie da się traktować jako krajobrazu obiektywnego, niejako ponadczasowego, na którym można by przeprowadzać ponadczasowe również doświadczenia pisarskie, bowiem ostentacyjnie, wręcz natrętnie prezentuje się on jako KRAJOBRAZ SOCJALISTYCZNY (komunistyczny — sprostowałby z oburzeniem ojciec Romana). A jeżeli tak, to jakże tu poruszać się wśród tego tła, pozostając w kategoriach obiektywnie uniwersalnych? Wielkie to złudzenie, żywione przez kilku uzdolnionych zresztą, staroświeckich, parnasowskich pisarzy, że o dzisiejszej Polsce pisać można pomijając sprawę komunizmu. Nie można, skoro zaś o komunizmie nie wolno pisać literacko lecz tylko agitacyjnie, wobec tego Polska zwana Ludową nie posiada swej literatury, tak jak nie posiada dziennikarstwa. Komunizm wraz ze swą historią jest tu w różnych zabawnych powieściach wstydliwie przemilczany, tymczasem samo nawet tło krajobrazowe nieodparcie nasuwać musi myśl o nieszczęsnej czy też szczęsnej, bo wybranej przez historię Polsce, rzuconej wraz z garstką innych krajów na pastwę rozgorączkowanych swą koncepcję utopistycznych filozofów władzy, i uzyskującej w ten sposób absolutnie nową w dziejach jakość. Jakość złą, jakość dobrą, jakość pośrednią, sytuację beznadziejną czy jednak rozwojową, nudną i smutną, czy jednak ciekawą i na swój sposób prężną? Cóż by tu odpowiedzieć na te pytania, i to w sposób prosty, pewny, jednoznaczny?

Jednoznaczność — i w logice i w życiu — uzyskuje się drogą umowy, nawet jeśli jest to umowa automatyczna; umowa dokonuje się zaś między podobnymi osobnikami, w podobny sposób zakreślającymi kontury przedmiotów — nawet, jeśli przedmioty są tylko cieniami. W konfrontacji z ludźmi, widzącymi świat inaczej, rodzą się wątpliwości: i co do wspólnoty z nimi, i co do własnych kategorii postrzegania. Innymi słowy, rodzi się problem — centralny w omawianej książce — mianowicie: co jest NORMALNE? Konfrontacja Romana z odmiennym widzeniem odbywa się na dwóch płaszczyznach: różnicy wieku (nieudany, „posezonowy” romans z młodszą o 20 lat Bluzeczką) i różnicy wartościowania „spraw cienistych” (rozmowy z prawie-równieśnikiem Kazikiem). Jest jeszcze trzecia konfrontacja, „generalna”, tocząca się przez całą tę książkę-rozmyślanie: konfrontacja z obserwowalną Polską „w ogóle”, z faktem zmian, budowy, *mobility* społecznej; żaden z tych czynników nie jest opatrzonej wyraźnym plusem czy minusem, domaga się oceny „w ramach”, miejsca w hierarchii, czyli znów: osądu.

Dylemat Romana: poczucie fikcji, „cienistości”, umowności, lipy — mówiąc po prostu, zawartej w instytucjach, układach społecznych i działalności pozornie „takich jak wszędzie” urzędów („*niby-katedry niby-universytetów*”), napotyka przy tej konfrontacji na „dialektyczną” przeciwwagę: dla dorosłej już po wojnie Bluzeczki sprawy te są najnormalniejsze w świecie, są codzienną rzeczywistością, kategorie takie, jak „nieubłagana wal-

ka z imperializmem", „niewzruszona przyjaźń pomiędzy narodami" czy „zdecydowana odprawa wrogom" nie budzą w niej zastrzeżeń, mimo że desygnaty owych imperializmów, narodów i wrogów zmieniają się w sposób, nasuwający wątpliwości co do precyzji tzw. marksistowskiego spojrzenia na świat.

Postawa Kazika — naukowca „zaangażowanego", należącego, zasiadającego i popierającego — jest daleka od naiwnej (ale — zastanawia się Roman — może właśnie naturalnej, bo młodej) spontaniczności Bluzeczki; Kazik traktuje rzecz „metodologicznie": Polska jest w orbicie Wschodu, Wschód pozostaje w tyle (w technice, produkcji, akumulacji wiedzy „przedmiotowej") za Zachodem, zatem należy stworzyć coś *innego*, bo o przeskoczeniu dystansu nie ma co marzyć. Ergo: należy „robić komunizm", bo tylko to da się w tym układzie zrobić — popierać to co się dzieje, nawet jeśli oznacza to początkowo „iść przeciw sobie", tzn. sobie jednostkowemu, z dawnymi nawykami, pamięcią („*pamięć — element wyobcowania*", notuje w pewnym momencie Roman), z odruchami sprzeciwu.

Obydwie kontr-postawy łądzą pozytywizmem, podszytym heglowską dwuznacznością: „wszystko co istnieje, jest rozumne". Skoro Polska Ludowa istnieje, i nowe pokolenia żyją w niej bez poczucia fikcji, po prostu to może Romanowa pamięć jest tylko nieumiejętnością adaptacji, refleksją „posezonową", tak jak posezonowa (= nie w swoim czasie) była jego miłość do Bluzeczki? W istocie:

„... jeśli chodzi o Bluzeczkę i Kazika, to Romanowi wydawało się czasem, jakby ich w ogóle nigdy nie spotkał, jakby byli tylko upersonifikowaniem jego niektórych myśli czy przypuszczeń lub chwilowych uczuciowych skłonności, jakby rozmawiając czy walcząc z nimi toczył w istocie imaginacyjny dialog z samym sobą, oni zaś stanowili tylko pomocnicze twory formalne".

Karol Irzykowski (często i ciepło w powieści wspomniany „krytyk R...") zdefiniował kiedyś utopię jako stan rzeczy, który nie jest niemożliwy, lecz niewprowadzalny; coś, co gdyby już zaistniało, zostałoby uznane za „normalne" i mogło trwać dalej. W Polsce przez noc — na skutek zbiegu okoliczności historycznych — powstał stan rzeczy, „nowa jakość", która jeszcze poprzedniego dnia wydawała się niewprowadzalna. Roman (podobnie jak wielu Polaków) znalazł się w sytuacji, opisanej w pewnej amerykańskiej *science-fiction*: na Ziemi spada inwazja dziwnych żab z kosmosu, lecz nikt temu nie przeciwdziała, ponieważ żaby nieznanym na Ziemi sposobem (można by więc rzec: „czarami") zmieniły ludzką pamięć: wszystkim się wydaje, że owe żaby chodziły po ulicach ludzkich miast od zawsze; jedyny człowiek, który dzięki jakiemś przypadkowi uniknął działania czarów, zostaje uznany za wariata i skutecznie odizolowany. Sytuacja polska jest oczywiście mniej skrajna, zdziwienie nie jest jeszcze równoznaczne z wariactwem, bo zdziwionych jest więcej — izolacja Romana wydaje się przerysowana dla jasności obrazu — niemniej sprawa pamięci i czarów jest

realna. Człowiek nie-zaczarowany, racjonalista („*Racjonalizm nie jest oczywiście prawem, obowiązującym świat, ale jest ludzkim wzorcem, do którego można przymierzać rzeczy, lub przynajmniej próbować przymierzać...*"), obdarzony pamięcią, czuje się straszliwie bezradny, a więc upokorzony: uczucie, które Roman nazywa „szmacianością". Świat się toczy dalej, ale właśnie się, *poza i obok*:

„... Polska przemieszana, przetworzona, złożona teraz z ludzi młodych i nowych, z racji chemicznego unicestwienia niedawnej historii zgola na nie pamiętliwych, ta Polska nie była już w stanie zdobyć się na jakiś prawdziwy masowy ruch, asystując jedynie zbiorowo w coraz to mnożących się [...] obchodach i uroczystościach, gdzie masowe audytoria stawały się wielką, posłuszną maszyną, uruchamianą przez sprawnie pociągających za utojony sznurek ludzi z rządzącego krajem Klubu Sekretarzy, czyli owego sprzysiężenia wyszkolonych w swym procederze czarowników władzy. Jedną z właściwości czaru polegała na tym, że był gołym okiem niewidoczny: towarzysze Sekretarze po cichu ujmują wszystko w garść, ale jest to proces utajony, na zewnątrz, na zebraniach, wiecach, mityngach, w telewizji, w radio wygląda niby [...] że to lud samorzutnie i jednogłośnie podejmuje decyzje i postanowienia, a choć wszyscy wiedzą, że cała rzecz jest z góry ukartowana, nikt tego głośno nie powie, woląc się łudzić, niż przyjąć oślepiającą prawdę o olbrzymiej masie ludzkiej, mogącej być bez trudu formowaną i reżyserowaną przez grupę czarnoksiężników. Z czasem złudzenia stają się nawykiem i potrzebą, ludzie zaczynają wierzyć, że inaczej działać się nie może, skoro zaś nie może i nie będzie, to wszystko co jest — jest prawdziwe; heglowska hipnoza działa. Nie mówi się już o Rosjanach, zapomniano o nich, wrogiem jest nadal hitlerizm, choć już dawno pogrzebany, utożsamia się go teraz z Ameryką [...] zwąc wszystko w czambuł imperializmem, później znów zacznie się utożsamiać Żydów z Niemcami, ba, hitlerowcami niemal, choć jeszcze niedawno sam pomysł tego rodzaju wydawałby się szczytem obłędu. Stuchacze, pozabawieni innej strawy, pozabawieni alternatywy, przyjmą wszystko — przewidział to Orwell...".

W innym miejscu sprawa zostaje ujęta jeszcze krócej: „*Słowo, głoszone oficjalnie [...] powtarzanie w kółko tego samego, to właśnie owe skuteczne [...] zaklęcia czarowników*". Filozofia książki przerasta z wolna w technikę, czy raczej: w filozofię techniki „psychopolitycznej". Z tej perspektywy zarówno Bluzeczka jak i „zdumiewający Kazik" okazują się ofiarami czarów, kazuistyki wielowarstwowej, bo owładającej zarówno tymi, którzy biorą słowa *prima facie* (Bluzeczka), jak i tymi, których oczarowuje sam „system podejrzeń" (termin Irzykowskiego), tzn. przekonanie, iż rzeczywistość jest zawsze odmienna od tego właśnie, co się *prima facie* wydaje; dla Kazika istniejąca sytuacja jest w dalszym ciągu bzdurą, lecz bzdurą głęboką, bo kryjącą jakąś (jaką?) „alternatywę". Obosieczna broń, zmieniająca i rzeczywistość i instynkt rzeczywistości. Roman przeziiera sekret jej działania („*akceptacja zmienia akceptującego*"), lecz to nie zmienia w niczym jego osobistej sytuacji; dzieje się tak dzięki prostemu prawu psychologicznemu, mianowicie „... *śpiewanie w chórze podnieca, bez względu na to co się śpiewa, boczenie się rozgorycza, choćby się miało rację*".

Rozgoryczenie, bezradność, „szmacianość” są ceną, jaką płaci się za wystąpienie z tej nie-chrześcijańskiej unii jedności, za przewyżczenie pola grawitacyjnego, wytwarzanego przez całą — bądź co bądź istniejącą — rzeczywistość (*also das Vernünftige* — znów Hegell!), mimo że szwy na niej są dostrzegalne: wrażenie całości uzyskane jest przez izolację od świata („Wielką Prowincją” nazywa Staliński Rosję), izolację od innych sposobów myślenia (programowanie umysłów dzięki „nowomowie”), wreszcie przez izolację człowieka w społeczeństwie („chorobliwie zatomiowane i naprężone stosunki społeczne”).

Bohater *Cieni w pieczarze* jest zbyt świadomy, by wyrzec się własnej rzeczywistości: cienie pozostają więc cieniami, czary się go nie imają, lecz „wzruszenie ramionami nad historią”, książka którą planował, nie zostaje zrealizowana, mimo — czy może: właśnie dlatego — że udaje mu się rozwiązać paradoks, jaki by zawierała:

„... istnieje tu [...] niebezpieczeństwo, że wzruszenie z tak dużym nakładem pracy i ryzyka ramionami nad historią okaże się pośrednim uznaniem jej rządów, co oznaczałoby mimowolną akceptację taktyki owych czardziejów, którzy cały swój system magicznych sztuczek konstruują po to, by wmówić ludziom, że za nimi stoi właśnie bezosobowa i nieodparta logika dziejów. Za dużo to dla nich zaszczytu dostarczanie im jeszcze jednego laurowego listka, zbędną rzeczą też jest dobrowolnie uprawdopodobnianie czyjejs mistyfikacji. Można jednak przecież znaleźć wyjście zarówno zbiorowo jak i indywidualnie interesujące: pojąć historię jako niewyjaśnialny (nie potrzeba go wyjaśniać!) splot poszczególnych osobowych losów widzianych od środka, od psychiki, te zaś, jak wszystko co psychiczne, na pewno są realne, realniejsze bez wątpienia od rzekomych praw rządzących zbiorowością. Wyjątek jest zawsze konkretem, reguła natomiast może się okazać hipotezą, domysłem czy właśnie mistyfikacją zgoła lub szantażem”.

Tu właśnie jest punkt, w którym dokonuje się przeskok między nienapisaną powieścią fikcyjną, a napisaną powieścią Stalińskiego: *Cienie w pieczarze* są bowiem osobowym losem, widzianym od środka — nic dziwnego, że bohater jest tylko jeden. Los ten jest reprezentatywny, bo ów człowiek jest przejęty, wręcz optany Polską, a zarazem obdarzony zmysłem realizmu. „Pejzaż psychiczny” i po prostu „taki pejzaż” (jak brzmi śpiewana w krakowskiej Piwnicy piosenka) „takiej Polski” są dwoma konkretnymi — ich nieprzystawalność jest trzecim. Czy ta nieprzystawalność jest „normalna”? Odpowiedź jest cierpka — i niewesoła:

„... co właściwie jest normalne, a co nie jest normalne? Może Polacy uwikłali się w starą, inteligentną czy szlachecką koncepcję ojczyzny, przekazywaną im w przeróżnych romantycznych powstaniach czy innych okazjach, i dlatego teraz nie mogli pojąć ojczyzny normalnej, choć uwarunkowanej Eurazją, do której wreszcie w sposób jawny i bezapelacyjny ich wcielono? Naród okrzepł i zagnieżdżał się w tej Eurazji, a że sfilistrzał, spłaszczyl się, zbaraniał — to i lepiej dla niego, lżej mu przyjdzie przejść transformację. W innym świecie niż komunistycznym Polski konkretnej nie będzie, chyba że komunizm upadnie, na co wszakże, jak na każdy racjonalny ewenement w historii, czekać można nawet wieki: na razie jest tu Rosja, Ameryki tu

nie zaznamy, choć wszyscy tak lubią oglądać westerny i dostawać dolary czy kolorowe ciuchy. Trzeba więc zmienić swoją wizję Polski, swoje marzenie o niej albo też — emigrować i żyć sobie za granicą, hodując krzepiącą moralnie fikcję, ale w takim wypadku nie skomleć już [...], że odebrano [...] ojczyznę. Co mają robić małe narody, którym kazano być patriotami narodów wielkich? Ano — przetrwać, kosztem zapomnienia, przystosowania, zmaturalizowania, udawania, przetrwać; a że to się nudzi literatom, nie mającym okazji snuć na piśmie swych fantazji o narodowym życiu, lub przypominania o tym, co było?! Cóż z tego — Polska to nie zabawka dla igrających piór, prawda nieużyteczna czy zgoła szkodliwa traci rację bytu, po cóż przypominać wciąż grzech pierworodny i zatruwać jeszcze bardziej polskie życie, skoro ono jakoś już się ułożyło, a cały naród nie może wegetować w wiecznej frustracji i pokutnictwie za nieswoje grzechy. Polska jest ludowa, dziwnego nowego ludu, nie jej tamte stare i „klasowo obce” porachunki nie obchodzą, przeważnie zresztą o nich nie wie i nie chce wiedzieć, trzeba więc pohamować zbędne zapędy twórcze, tudzież wspominkowe czy polemiczne, i milczeć — ewentualnie czekać. Na co? Na przyszłe pokolenia, nie obciążone nadmierną, bolesną wiedzą o dwuznacznej i tragicznej przeszłości tego kraju, którym Eurazja znudzi się na nowo, gruntownie a inaczej: może bolszewicy, ani o tym wiedząc, wzbudzą po latach i nakłonią do życia nowy polski patriotyzm; tak jak durni Niemcy chcą zniszczyć wzbudzili Polskę (*der böse Geist*). Na razie, w epoce Trzech Światowych Kół, małym narodom przeznaczono surowy reżym wydzielanego porcjami konkretnego, owego patriotyzmu ograniczonego (w nowym języku zwanego „internacjonalizmem”), oraz realistycznej dyscypliny — wszelkie próby wyłamania kończą się w sposób wiadomy, jako że Wielcy, choć z sobą rywalizując, okazują się solidarni, gdy chodzi o poskramianie Małych. Nie każdy ma takie szczęście jak Izrael, któremu po tysiącach lat rozbicia, prześladowań, upokorzeń i degeneracji, dane zostało odzyskać swój legendarny patriotyzm heroiczny, ba, swoją religię nacjonalizmu zgoła. Ale na to trzeba mieć lud osobliwy, zarazem mistyczny i praktyczny, zakochany w życiu lecz zdolny do wyrzeczeń i fantastycznej ofiary krwi na codzień, gdzie zaś szukać takich ludów w dzisiejszej Europie — wysmiano by cały pomysł w owych najpierw umęczonych, a potem umaterialnionych ludowych ojczyznach. Wiedzą o tym czarodzieje i nie boją się niczego — chyba cudu”.

Twarde słowa. I nie do pogodzenia z moralnym imperatywem, rządzącym jednostkowym losem ludzi (a przynajmniej jednego: bohatera-autora; bo w końcu bohater jest *alter ego* autora) — inaczej jakże wyjaśnić niedwuznacznie pogardliwy opis „nawróceń”?

„... bohaterowie konspiracji krajowej czy walk na frontach Zachodu, więzieni, katowani, absurdalnie oskarżani, po wyjściu z cel i po 'rehabilitacji', po niedocieczonych przemianach umysłu i nieznanych nikomu przeobrażeniach i walkach wewnętrznych, nagle, heroicznie rzucali się głową w dół, wstępowali do Partii czy organizacji pokrewnych, a potem już wszystko szło normalnie: małe kompromisy, duże kompromisy, małe, na pozór niewidoczne sprzeniewierzenie się przeszłości, później stopniowo mniej lub więcej świadoma akceptacja kłamstw drobnych, średnich, większych, wielkich, ogromnych, wreszcie jawne już bzdury, intrygi, afery — istny korkociąg małości, szkoła małości, tak toczy się ten świat, obowiązuje wszak moralność rewolucyjna, nie zaś przestarzała i zgrana moralność mieszczańska”.

Więc jednak — w meta-powieści Stalińskiego — dokonuje

się „wzruszenie ramionami nad historią”: ów „niewyjaśnialny spłot” składa się bowiem z indywidualnych wyborów moralnych, od których codzienność (niecodziennej nawet) historii nie zwalnia; rozumieć nie zawsze znaczy: wybaczyć, a w każdym razie nie: *wybaczyć sobie*. Samotność — czy też „jedyność” — bohatera *Cieni* ma znaczenie poza-formalne, jest przekazem: że nawet w platońskiej jaskini znajduje się coś więcej niż tylko cienie — odpowiedzialny za siebie człowiek.

Conradowska moralność. I conradowska książka. Według Conrada zadaniem literatury jest *to render justice to the visible universe*, co w polskim obyczaju literackim zakorzeniło się w szumnym, choć błędnym tłumaczeniu „wymierzać sprawiedliwość widzialnemu światu”. Zgodnie z angielskim i — zapewne — intencją Conrada znaczy to raczej „oddawać sprawiedliwość”. *Wymierzać sprawiedliwość* — to stać *ponad* światem, ferować wyroki, sądzić; *oddawać sprawiedliwość* — to starać się uchwycić świat w całej jego złożoności, zrozumieć, *sprostować*.

Książka Stalińskiego oddaje sprawiedliwość polskiej rzeczywistości.

M. BROŃSKI

W malstroemie epistolografii Krasińskiego

LISTY DO ADAMA SOŁTANA

Tegoż dnia zdążyliśmy jeszcze przed zmierzchem do Waplewa, ażeby przez chwilę napawać się pięknem jego parku i rzucić okiem na dzieła sztuki, istotnie bezcenne, zgromadzone w starym pałacu. Jak piękny sen z dalekiego regionu ukazał się nam świat zamknięty w drewnianej szkatułce z listami Zygmunta Krasińskiego do Adama Sołtana.

Żeromski, *Inter arma*.

W Bibliotece Prozy i Poezji PIWu pojawił się w ub. roku okazały tom listów Krasińskiego do Adama Sołtana¹. Wydał je Zbigniew Sudolski, któremu zawdzięczamy odkrycie i wydanie w roku 1965 ponad dwustu listów do Zdzisława Lubomirskiego² i który w trzy lata później opracował monografię bibliograficzną, *Korespondencja Zygmunta Krasińskiego*, przynoszącą precyzyjnie

1. Krasiński, *Listy do Adama Sołtana*. Opracował i wstępem poprzedził Zbigniew Sudolski. Biblioteka Poezji i Prozy. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1970. Str. 849 i 3 nl. i 1 il.

2. Zob. o tej korespondencji *Kulturę* z września 1966 roku, str. 109-120.

opracowany chronologiczny rejestr niespełna trzech tysięcy listów, poprzedzony omówieniem dzieł ich wydawnictw.

Listy do Sołtana znaliśmy już z wydania Kraszewskiego z roku 1883. Była to jednak *editio castrata*, oczyszczona z wszelkich drażliwych ustępów. Dzięki szczęśliwie zachowanym autografom wydanie Sudolskiego mogło przynieść teksty listów pominiętych przez Kraszewskiego — jest ich około czterdziestu — oraz przywrócić w listach już wydanych te liczne ustępy, na których druk przed dziewięćdziesięciu laty było jeszcze za wcześnie. Zawiera też ono ponad sto stron aneksów. Wielka tam materii rozmaitość: teksty utworów Krasińskiego tak czy inaczej związanych z Sołtanem, kilka listów Krasińskiego do różnych adresatów, podanie gen. Wincetego Krasińskiego do Paskiewicza z prośbą o utworzenie ordynacji, piętnaście listów przyjaciół Krasińskiego do Sołtana i wreszcie teksty, które wyszły spod pióra samego Sołtana: pięć jego listów, krótką autobiografię oraz wspomnienia o jego krewnych i przyjaciółach.

Sporo z materiałów tego aneksu nadawałoby się raczej do specjalnej publikacji źródłowej, takiej jak *Archiwum Literackie*, a nie do serii, która ma ambicję polskiej „Biblioteki Plejady”, a więc przeznaczona jest nie tylko, i nawet nie w pierwszym rzędzie dla badaczy literatury. Ale ostatecznie od przybytku głowa nie boli.

Listy zaopatrzone zostały w obfite i starannie opracowane przypisy. Są one wielką pomocą przy lekturze tekstu, niejednokrotnie trudnego, bo aluzyjnego. Tylko tak jak i przy listach do Lubomirskiego wydawca nie zawsze daje sobie radę z cytatami obcojęzycznymi. Jedno takie potknięcie jest zabawne. List z 20 lutego 1839 roku Krasiński zakończył słowami: „Bądź zdrow *ed ora i sempre*”, co znaczy „Bądź zdrow i teraz, i zawsze”, wydawcy zaś nie w porę przypomniała się tu łacina i przetłumaczył to jako „i módl się, i to zawsze”. Tu i ówdzie brak potrzebnych objaśnień. Jeśli Krasiński w roku 1836 mówi o „dyplomacji z portfolio” (str. 102), to ma na myśli ogłoszenie wtedy przez Urquharta w *Portfolio* tajnych rosyjskich dokumentów dyplomatycznych, wywiezionych przez Polaków w roku 1831 z Warszawy. Szczegóły znów diatryby przeciwko Walerianowi Krasińskiemu (str. 304-305) dałoby się w oparciu o biogram M. Paszkiewicza z Polskiego Słownika Biograficznego czy to wyjaśnić, czy sprostować. Krajowe wydania tekstów literackich grzeszą nieraz przerostem komentarza. Odstraszającego przykładu dostarczają tu *Dzienniki czasu wojny* Nałkowskiej: wydawczyni przemyciła w komentarzu słownik bibliograficzny wszystkich wspomnianych tam ludzi pióra. W wydaniu Sudolskiego takich jaskrawości nie ma, ale i tu trafiają się komentarze zbyt liczne. Jeśli np. Krasiński skarży się, że w Mediolanie brak jest poza katedrą architektury gotyckiej, to nie ma potrzeby zaopatrywania takiej skargi w zawieszisty przypisek, informujący czytelnika o perypetiach średniowiecznego Mediolanu. Tekst i bez tego jest jasny.

Wszystko to jednak tylko marginalia. Na ogół przypisy te są wzorowo opracowane i świadczą o doskonałej orientacji wydawcy

w czasach i ludziach. Nie marginalnego charakteru jest natomiast inne nieporozumienie. Już komentując listy do Lubomirskiego, Sudolski protestował przeciwko wieściom, jakoby Krasiński chorował na syfilis, mimo że źródłem tych wieści, jak to sam stwierdzał, była rodzina, a więc środowisko chyba dobrze poinformowane i najprawdopodobniej nie zainteresowane w rozsiewaniu fałszywych plotek takiego właśnie charakteru. W listach do Sołtana Krasiński sam stwierdza, że choruje na chorobę „amerykańską” (str. 154), jak podówczas syfilis nazywano. Kilkakrotnie też wspomina o tym, że leczą go rtęcią. Wydawałoby się więc, że nie może tu być żadnej wątpliwości. Tymczasem Sudolski w dalszym ciągu upiera się przy twierdzeniu, że to diagnoza błędna, powołując się jako na rozstrzygający autorytet na nieogłoszoną rozprawę współczesnej lekarki, która przecież mogła auskultować tylko teksty i która, analizując objawy chorobowe, opisane przez Krasińskiego po raz pierwszy w roku 1842, w pięć lat po owym przyznaniu się do „choroby amerykańskiej” i przezeń samego scharakteryzowane jako „wcale nie syfilityczne” (str. 435), twierdzi, że objawy te wskazują na kamnicę nerkową, gruźlicę nerek czy stany zapalne dróg moczowych, tak jakby jeden i ten sam człowiek nie mógł w roku 1837 chorować na syfilis, a w roku 1842 cierpieć na jakieś dolegliwości dróg moczowych.

Z tekstów aneksu szczególnie cenne są te, które wyszły spod pióra Sołtana, dając bowiem wgląd w osobowość tego korespondenta Krasińskiego. Urodził się on w roku 1792 w starej arystokratycznej rodzinie litewskiej. Ojciec jego był marszałkiem litewskim, który w roku 1794 odmowę przystąpienia do Targowicy opłacił wywiezieniem do Rosji, a w roku 1812 został z nominacji Napoleona prezesem Rządu Narodowego na Litwie. Miał lat jedenaście, gdy wysłano go z guwernerem do Wilna. Uczył się w domu, ale zapisano go też i na uniwersytet. Gdy w roku 1807 w rezultacie awantury z synem gubernatora wileńskiego musiał opuścić miasto, otrzymał — liczył sobie wtedy lat piętnaście — stopień kandydata filozofii „po egzaminie — jak pisze w autobiografii — bardzo lekkim, zapewne przez wzgląd na mego ojca, szanowanego ogólnie, który był wprzód panów profesorów na suty obiad do siebie zaprosił”. W roku następnym wstąpił do wojska Księstwa Warszawskiego, od razu w stopniu podporucznika, podobnie jak w rok później równie młodziutki Fredro. Fredro skończył kampanię napoleońską w randze kapitana: Fredrowie zostali hrabiami dopiero w roku 1822. Sołtan już w roku 1812, a więc w wieku lat dwudziestu, awansował na pułkownika. Kiedy na życzenie ojca zgłosił się potem do armii Królestwa Kongresowego, wielki książę Konstanty przyznał mu rangę majora tylko. Píše w swej autobiografii o tym obniżeniu rangi z pewną goryczą. Dla postronnego obserwatora z XX wieku wygląda ono na rozsądną decyzję. W trzy lata później podał się do dymisji. Był już wtedy podpułkownikiem. Ożenił się, osiadł na wsi. W roku 1826 spędził kilka miesięcy w więzieniu za udział w Związku Patriotycznym. Do powstania przystąpił „w 30 mniej więcej koni”.

Dano mu dowództwo brygady w korpusie Giełguda i z korpusem tym przekroczył granicę Prus Wschodnich.

Za udział w powstaniu zapłacił słono. Rząd rosyjski skonfiskował mu majątki, synowie zostali z rozkazu carskiego wcieleni do korpusu kadetów w Petersburgu, córki umieszczono w klasztorze wizytek. Ani w autobiografii, ani w ogłoszonych tu listach nie ma słowa skargi na te drakońskie represje.

Listy te pisane do Domeyki z Hamburga, który był pierwszym jego postojem emigracyjnym, rysują go w świetle bardzo sympatycznym. Jest trzeźwy, opanowany, dużo czyta, intensywnie uczy się angielskiego i włoskiego, przygotowując się w ten sposób do życia emigracyjnego. Do paryskiej polityki emigracyjnej odnosi się krytycznie. Przeciwny jest zwołaniu na emigracji sejmu, bo nie wierzy, aby sejm taki mógł zapobiec rozłomom, a dla utrzymania ducha narodowego większe znaczenie będzie miała część trzecia *Dziadów*. Dzisiaj takie twierdzenie może wyglądać na oklepankę, ale przecież pisane to było w roku 1832, kiedy ludzie nie oprzytomnieli jeszcze po klęsce i kiedy *Dziadów* część trzecia była nowością wydawniczą.

Z Krasińskim poznał się w Rzymie w roku 1834. Szybko związała się między nimi przyjaźń, bliska, serdeczna i, sądząc z korespondencji, wolna od zgrzytów. A przecież dzieliła ich duża różnica wieku. Kiedy się poznali, Krasiński był dwudziestodwuletnim młodzieniaszkiem, Sołtan zaś mężczyzną po czterdziestce. Z listów Krasińskiego nie wyczuwa się tej różnicy wieku. Brzmiały one tak, jakby były pisane do rówieśnika. Poza dalekim pokrewieństwem (matki ich obu były z domu Radziwiłłównami) łączyło ich upodobanie w przygodach miłosnych. W tej zaś dziedzinie Sołtan czuł się jeszcze młodym, a Krasiński był już doświadczonym weteranem.

Wybrał sobie poeta Sołtana na powiernika w romansie z Joanną Bobrową. Jednego z wielu powierników. Pełno o tej miłości w listach do Reeve'a, do Gaszyńskiego, do Jaroszyńskiego. A także i do ojca. Zachowały się też listy poety do pani Bobrowej z wstępnej fazy tego romansu, listy pisane po francusku, bo w tym języku pani Bobrowa lepiej rozumiała miłosne niuansy. Brzmiały one jak antycypacja *Dziennika uwodźciciela* Kierkegaarda. W liście do Reeve'a chełpił się poeta, że przeżywa teraz „sprawy poważne, uroczyste (*de choses graves, solennelles*), takie jak uwiedzenie, szal miłosny, wyrzuty sumienia cnotliwej kobiety, która się oddała, nienawiść do tego, który jest jej mężem, tysiące obaw zaskoczenia i zemsty, tysiące nadziei na szczęście, sto razy zawiedzionych, raz spełnionych”. Twierdził, że romans ten znakomicie poprawił stan jego zdrowia: „*Mes nerfs ont repris de la vigueur*”. Ale przewidywał też, że przyjdzie mu za ten romans wycierpieć.

Nie omylił się. W miarę jak romans się przeciągał, pani Bobrowa robiła wszystko co mogła, a mogła wiele, aby kochanek jej odczuł, w jak fałszywej znalazła się sytuacji i jak bardzo jest nieszczęśliwa. Można na listach tych prześledzić, jak z upływem

czasu miłość przeradza się w litość, przemieszaną ze zniecierpliwieniem.

Jak wiadomo, Słowacki po zerwaniu pani Bobrowej z Krasińskim postanowił raz w życiu zabawić się w Don Juana i zając przy niej miejsce opróżnione przez arystokratycznego kolegę po piórze. Wiadomo też, że dostał rekę. Sołtana musiały we Wiedniu dojść jakieś plotki na temat ich dwójga. Krasiński plotki te dementuje w liście z 10 listopada 1841 roku: „Co do pani B., więcej jest pozorów w tym wszystkim niż prawdy. Widziałem ją przeszłego roku, właśnie gdy z listem była w Frankfurcie, i wiem, że mnie prosiła, bym ją uwolnił od jego natręctw, co też po części zrobiłem” (str. 407).

List z 10 listopada znany był nam już z wydania krakowskiego z 1883 roku. Ale ustęp o Słowackim i pani Bobrowej został w wydaniu tym opuszczony, mimo iż rzuca nowe światło na cały ten galimatias miłosny.

Krasiński wiedział od początku o planach miłosnych Słowackiego, który w niedochowanym liście powiadomił go lojalnie, iż udaje się do Frankfurtu, aby zdobywać serce pani Bobrowej. W odpowiedzi z 10 kwietnia 1841 roku upewniał przyjaciela, że mu wiadomością tą „nie zakrwawił serca”. Ba, oddawał wspinałomyślnie byłą kochankę pod opiekę Słowackiego: „Julu, ty broń, co boskiego w niej znajdziesz, od zaguby”. Upominał tylko, że nie wolno takiego romansu wszczynać „na zabawę”. I zaraz dodawał, że upomnienie takie jest przecież niepotrzebne: „Szlachetnąś się duszą urodziłaś — masz kryształową naturę — biały marmur, nie gips, wchodzi w skład kości twoich. — Ty mnie pojdziesz — ty mnie pojdziesz! A zatem raz jeszcze powiadam ci, zbaw, jeśli możesz”.

W następnych jednak listach stanowisko Krasińskiego radykalnie się zmienia. W obszernym wywodzie tłumaczy Słowackiemu, że pani Bobrowa przeżyła już swój wielki romans, taki jaki się przytrafia kobiecie raz tylko w życiu. Teraz „już w trumnie” i w nowym romansie byłaby tylko „upiołem”. Słowacki może zostać jej przyjacielem, ale nie kochankiem. Potem zaś uderza w inny ton. Pani Bobrowa nie jest godna Słowackiego, bo to „dziwna Madonna”, nie Rafaelowska, ale Rubensowska, co było nie tylko aluzją do pełnych kształtów pani Bobrowej, ale oznaczało, że to kobieta przyziemna, nie dość uduchowiona. Ta sama nuta, tylko w dosadniejszym sformułowaniu, powtarza się i w następnym liście: „zrzucić z piersi nogi Rubensowych Madonn”.

Czy Słowacki domyślił się spoza tych rozpoetyzowanych słów gorzkiej prawdy? Czy może sprawnie funkcjonująca na emigracji plotka poinformowała go, że pani Bobrowa prosiła Krasińskiego, aby uwolnił ją od jego „natręctw”? Pogardliwa wzmianka z listu do Sołtana pozwala snuć domysły, że w związku z tymi niewczesnymi planami romansowymi przeżył dotkliwsze upokorzenie, niż się to dotychczas sądziło.

Reakcją na to upokorzenie był *Fantazy*. Modelowany na wzór Krasińskiego bohater tego dramatu kupuje sobie w małżeństwo

pannę, o której wie, że zakochana jest w kim innym i że jeśli wyjdzie za niego, to tylko dlatego, aby za jego pieniądze wyratować rodziców z bankructwa. Rzeczywistość okazała się zjadliwsza od złośliwej fantazji Słowackiego. To Krasińskiego, zakochanego w innej kobiecie, kupiła sobie swoim milionowym posagiem dziedziczka magnackiej fortuny Branickich.

Przypomina się też przy lekturze listów do Sołtana refleksja Rzecznickiego z *Fantazego*: „dziwnie ten Fantazjusz żyje: Z babami się jak na pałasze bije”, kiedy w jednym z nich czytamy: „Z babami to tylko przykro, że nawet walczyć z nimi nie warto, a kiedy się bić, to się bić z całych sił lubię” (str. 157). Musiał chyba Krasiński użyć podobnego sformułowania i w rozmowie ze Słowackim.

Dla romansu z Delfiną Potocką Krasiński wybrał sobie innego powiernika. Ale w pierwszych tygodniach znajomości z nią, kiedy jeszcze nie uświadamiał sobie, że był na nowo zakochany, skreślił w liście do Sołtana z przełomu 1838 i 1839 r. charakterystykę Delfiny, która należy do arcydzieł jego sztuki epistolograficznej. Charakterystykę tę znaleźliśmy już z wydanej w roku 1966 antologii *Stu listów do Delfiny*. Wydawca poprzedził nią teksty tych listów, w przypisku zaznaczając, iż przedrukował ją z wydania Kraszewskiego z roku 1883. Przypisek ten jest mistyfikacją. W wydaniu z roku 1883 bowiem charakterystyki owej nie znaleźć i ogłoszenie jej wtedy byłoby obyczajowym nieprawdopodobieństwem.

Kiedy Krasiński poznał Delfinę Potocką, miał niecałych 27 lat. Ona zaś przekroczyła już wtedy próg wieku balzakowskiego. Osławą jej gorszyły się polskie salony od Paryża po Berdyczów. Krasiński wiedział oczywiście o jej burzliwej przeszłości. Osądził ją jednak wówczas wcale krytycznie. Mówił w związku z nią o „próżności fashionu”, pisał, że jest „podobna znarowionemu dziecku, źle wychowanej dziewczynce lub Don Juanowi w spółnicy”. Drażniły go jej wybuchy wesołości. Pociągała go, kiedy objawiała się w niej kobieta nieszczęśliwa. Przypominała mu wtedy panią Bobrową.

I oto budziła się w nim refleksja. Stroni od panien, od piękności o „niczym nie zatrutej duszy”, a pociągają go kobiety nie pierwszej młodości (pani Bobrowa również o pięć lat była od niego starsza), napiętnowane nieszczęściem: „ta przekwitłość serca wywiera silniejsze wrażenie na mnie niż świeżość młodości”. Tłumaczył sobie te skłonności odruchem litości, impulsem przyjścia z pomocą cierpiącej kobiecie. Nie ma się prawa nie wierzyć w szczerść tego stwierdzenia. Odnaczał się przecież rzadkim darem spontanicznego, czynnego współczucia. Ale nie trzeba też specjalnej zaprawy psychoanalitycznej, żeby spostrzec, że to daleko nie cała prawda tego upodobania w przekwitłych różach, nadgryzionych przez robaka grzechu.

Nic z tych przemyśleń nie dostało się do jego koturnowej i konwencjonalnej liryki miłosnej. Gdyby było inaczej, mielibyśmy w nim polskiego Baudelaire'a. Ale trudno też w całej polskiej dziewiętnastowiecznej powieści o przykład analizy psycho-

logicznej, która wnikliwością i finezją mogłaby się mierzyć z uwagami tego listu.

O perypetiach romansu z Delfiną milczy ta korespondencja. Romans z panią Bobrową stał się skandalem towarzyskim i nieśczęsnych kochanków roznośli na językach. O jednej z takich dam napisze Krasiński w chwili irytacji, że jest „wszetcznicą cnoty”. Teraz był więc dużo ostrożniejszy. A poza tym Sołtan z 1839 roku nie był już Sołtanem z roku 1834. Dobiegał pięćdziesiątki. Dzięki staraniom księżnej Lubomirskiej udało się sprowadzić do Wiednia jego nieletnią córkę. Przeniósł się tam tak dla opieki nad córką, jak i dla dopilnowania zapisu testamentowego księżnej, od którego przyszłość tej córki zależała. I jedno, i drugie wymagało już innego trybu życia. Pozostał do końca bliskim przyjacielem Krasińskiego, ale przestał być już jego powiernikiem w sprawach miłosnych.

Zlikwidowanie swych rzymskich afer miłosnych zlecił Krasińskiemu, który zabrał się do wykonania tego polecenia z wielkim gustem. Opisom, jak się z zadania tego wywiązał, zawdzięczamy karty tej korespondencji o zacięciu komediowym.

Było takich spraw dwie, na różnych piętach. Sołtan mieszkał na Due Macelli z jakąś prostą dziewczyną włoską. Najwyraźniej odważniej stawiał czoła Moskałom niż tej Włoszce, bo przenosząc się do Wiednia, nie powiedział jej całej prawdy, a tylko potem zlecił Krasińskiemu, aby wręczył kochance list od niego i wypłacił na otarcie łez 50 skudów oraz odebrał jego rzeczy. Kiedy dziewczyna zaczęła rozpaczać nie na żarty, Krasiński zostawił większość rzeczy i — co wartościowsze książki Sołtana, aby utrzymać ją w złudzeniu, że to jeszcze nie ostateczne zerwanie. Relacjonując drugą wizytę, pisze z imponującą szczerością: „Przysięgam Ci się, że tu jadąc, miałem pewną pokusę, myślałem sobie, że dziewczyna się puściła, a wiedząc, żeś przestał o to dbać, roilem sobie z nią godzinę cielesności” (str. 243). A więc istniały i takie godziny. I chyba nie liczyły się w buchalterii innych miłości, tych górnych i społeczną pozycją amantki, i diapazonem emocjonalnym.

Nic z tej „godziny cielesności” wtedy nie wyszło, a byłoby o nią chyba nie trudno. Dziewczyna okazała się bowiem szantażystką i nierządnicą, próbowała wyłudzać pieniądze od Krasińskiego i ostatecznie — nie zapominajmy, iż rzecz dzieje się na terenie Państwa Kościelnego — za niemoralne prowadzenie się zamyknięta została w klasztorze. Sporo o niej w listach.

Górnij kochał się Sołtan w ks. Zenaidzie Lubomirskiej. Krasiński miał jej posłać na waletę bukiet heliotropów. Zadanie okazało się nie łatwe do wypełnienia, bo w całym Rzymie heliotropy znaleźć można było tylko w cieplarni Villa Borghese, podówczas jeszcze w prywatnym posiadaniu. Przyszło przekupywać ogrodnika i odźwiernego. Zdobył kwiatów nie mało, trzy donice i bukiet. Cały ten ładunek, zaopatrzony w bilet, że to od Sołtana, zanieśli we dwu ze służącym do mieszkania Lubomirskich. Uciekali potem, sadząc po kilka stopni schodów, żeby ich kto z domo-

wników nie zobaczył. O wyczynie tym pisze Krasiński przyjacielowi szczegółowo i z przejęciem. Sprawilo mu wyraźnie dużą satysfakcję, że tak z gestem, po pańsku mógł się wywiązać z polecenia.

A oto inna scena komediowa, która jakby żywcem wywinęła się z powieści Cervantesa. Oddajmy głos Krasińskiemu:

„Wyobraź sobie szlacheica, dziedzica wsi Kożangródek, pana całego kluca Szczytowszczyzną zwanego na Litwie, namówił proboszcz tamtejszy, by jechał do Rzymu prosić Ojca Św. o pozwolenie na mszy mówienie w dworze kożangródzkim, zależnym w tym od innego parafialnego proboszcza. Szczyt się wybrał jakby do Wilna lub Nowogródka, sam jeden zupełnie, tu przybył, podał prośbę, otrzymał i zaraz chciał wrócić do Kożangródku, do domu. Miał bzika w głowie. W Kożangródku nie to nie zawadzało, i owszem, tu go za wariata poczytali, bo sypał dukatami za lada co, sypiał w stajni przy koniu, dwa osły kupił w Tivoli, dwóch obszarpanców wsadził na nie i sam przodem konno uwił się po Kampanii, szukając wsi i domu na wsi do najęcia, gdyż miasta nie cierpi. Otóż te obszarpance, te Szansy go za wariata donoszą urzędnikom bramy di Popolo. Przytrzymują szlacheica, przez dwa dni go męczą, gwałtów niesłychanych na nim się dopuszczają sodomskich, gomorskich, z kieski mu wszystkie holendry wykradają, potem z bzikowatego przerobiwszy go tam na wściekłego, raport piszą do władzy. Władza doktorów szle, on doktorów kpa, grozi im nożem. Doktorzy za wariata go ogłaszają, wiążą go i prowadzą do S. Spirito. Tam byłem u niego. Dumny jak hidalgo, nieugięty jak Litwin, wspaniały jak szlacheic z czasów kiedy Rzeczpospolita nierządem stała, podejrzliwy jak każdy nieszczęśliwy, dziwaczny jak Radziwiłł Panie Kochanku, pełny ciasnych wyobrażeń i bzików, ale, Mospanie, nie wariat. Pytam się, czy pisać do krewnych na Litwę? — „Dziękuję, nie potrzeba, ja przecież dziedzic, gdy Ojciec Święty się dowie, każe tę intrygę skarać, a mnie uwolnić”. — Pytam się, wiele mu ukradli pieniędzy? — „Nie liczę nigdy moich pieniędzy”. — Pytam się, czy nie przysłać książek lub czego innego. — „Niczego mi nie potrzeba, jedno wolności, zresztą za wszystko dziękuję”. I odszedł w ciemne korytarze, pełne wariatów, taki spokojny, taki swój, taki pyszny, jak gdyby w Kożangródku szedł z strzelcami i psianią na niedźwiedzia do boru” (str. 376-377).

Relacja o rzymskich tarapatach Szczyta interesująca jest z innego jeszcze względu. Po przytoczonym tu ustępie mamy nieoczekiwaną w liście gorącą apostrofę do litewskiego Don Kiszota, a w niej znamienne słowa: „Czuję, że mógłbym być twoim Cervantesem”. Urzeczony literackimi możliwościami tematu Krasiński jakby zapomniał o swoim adresacie i proza listu spontanicznie przeradza się tu w literacką. Jakże wyraziście uświadamia nam ten przykład, że motorem epistolomanii Krasińskiego była pasja pisarska, która w części tylko mogła się wyżyć w twórczości przeznaczonej do druku.

Korespondencji z późniejszych lat przyjaźni brak już tej intymności, jaką znaleźć można było we wcześniejszych listach do Sołtana. Dużo w niej wywodów politycznych, których Krasiński na ogół unikał w korespondencji z Lubomirskim, prawdopodobnie dlatego, że obce mu było słowianofilstwo Lubomirskiego. Sołtana poglądy polityczne musiały być Krasińskiemu dużo bliższe, stąd brak w tych rozważaniach jakiegokolwiek nuty polemicznej.

Dużo też jest tutaj, jak i we wszystkich innych listach poety, skarg na rozliczne choroby. Trafiają się tam też i wymowne przykłady hysterii Krasińskiego, emocjonalnych sądów, łatwo przeskakujących z jednej ostateczności w drugą. W roku 1847 Sołtan przynosił się do córki, która wyszła za mąż za Sierakowskiego, właściciela Waplewa w Prusiech Wschodnich. Krasiński z tej okazji najniespodziewaniej rozserdeczył się na temat króla pruskiego: „Jeszcze Ci raz winszuję, najdroższy, żeś się dostał pod rządy ludzkie, mądre, pojmujące dążenia czasów i sprawiedliwość nie mające za utopię szaloną! Gdzie tylko szlachetne serce i wzniosły umysł na tronie, tam powietrze płucom oddychającym łube i zdrowe” (str. 514). Wkrótce potem będzie na rządy pruskie pomstował.

Jeszcze jaskrawszego przykładu takiej huśtawki sądów dostarczą wypowiedzi o Mickiewiczu. Do najcenniejszych stron listów do Delfiny należały te, w których Krasiński na gorąco i szczegółowo opowiadał o swoich rzymskich starciach z Mickiewiczem w roku 1848. Sołtanowi o tych spotkaniach napisał króciutko, ale z jaką pasją: „Do tego szatańska postać koło mnie w owych dniach była. Towiańszczyzny wyobraziciel, a towiańszczyzna niczym innym jedno Rzeczpospolitą Czerwoną, odzianą w mistycyzmu barwy. I ta postać (imiennik Twój, Adam, Improvizacji autor, dawny kochanek nasz) rozkładała mi swymi kłamstwami i ohydny okrucieństwem, i szatańską wewnętrzną” (str. 537). Zauważmy jakże znamienne — anno 1848 — metaforykę tego sformułowania: utożsamia ona Mickiewicza z rezunami rabacji. Kilkadziesiąt zaś stron dalej czytamy o Mickiewiczu, iż „stał się arcyszalbierzem i kłamcą nieskończonym” (str. 559). I oto w roku 1855 na wiadomość o śmierci Mickiewicza napisał Krasiński do tego samego adresata pamiętne słowa, które są najwspanialszym hołdem pośmiertnym, złożonym Mickiewiczowi: „Pan Adam już odszedł od nas — na tę wieść pękło mi serce. On był dla ludzi mego pokolenia i miodem, i mlekiem, i żółcią, i krwią duchową. — My z niego wszyscy” (str. 617).

Zanim Krasiński został wyświęcony na wieszcz, w szerokim kręgu swych znajomych i znajomych tych znajomych sławny był jako autor pięknych, poetycznych listów. Koronnym świadkiem jest tu *Fantazy*. Tytułowy bohater dramatu sprezentowany tam został jako poeta. Ale jest to taki osobliwy poeta, który wstawił się przede wszystkim swymi — listami. Już u samego wstępu dramatu, kiedy Rzecznicki oponuje, że *Fantazy* nie będzie mógł u Respektów, tak jakby chciał, udawać symplaka i usunąć się w cień, bo jest przecież znakomitością, *Fantazy* wybucha:

Cóż? Że kilka listów,
Które w gorące można było spłodzić,
Przepisać nawet przez płatnych kopistów,
Samemu nawet pisać nie umiejac,
Że kilka listów, które na Podolu
Panny czytały wyuczone mdlejąc...

*I krzycząc: Ach! ten list na Kapitolu
Był napisany... a ten z Wezuwiusza
Leciał jak gołąb aż na Ukrainę!”
Że wykrzykniki te: „Ach, co za dusza,
Ach, co za długie o(.....)”³
Brzmiały tu stokroć razy... to ja, hrabia
Fantazjusz, głupim być... już nie mam prawa?*

I rzeczywiście, kiedy w chwilę potem Respektowa będzie witać swego zięcia *in spe*, zacznie powitanie od wyrazów zachwytu nad jego stylem epistolograficznym:

Pana opisaniom
Rzymu winniśmy bardzo miłe chwile!
Znamy go dobrze... taki ogień w piórze
I tyle serca, entuzjazmu tyle!
Ach, listy pana... te są na marmurze
Pisane lawą...

Ten motyw poety-epistografa, tak mocno zarysowany w ekspozycji, nie zostanie już w dalszych scenach podjęty. Nie był potrzebny do rozwinięcia intrygi dramatu, a tutaj użyty został w charakterze znaku rozpoznawczego Krasińskiego. Miał informować, z kogo to będzie się w tym dramacie drwiło.

Dzisiaj, kiedy wieszczka poezja Krasińskiego to martwa dziedzina jego twórczości, wróciliśmy na pozycję jego współczesnych. Jest on dla nas wielkim pisarzem jako autor *Nieboskiej* i listów. Kłopot z tym tylko taki, że tego Krasińskiego, znakomitego epistografa, trzeba w masie listów wyszukiwać. I to w jakiej masie! Kiedy zebrano niedawno w okazałym tomie eseje i listy Bolesława Micińskiego, prof. Tatarkiewicz wystąpił w *Tygodniku Powszechnym* z propozycją, by ogłoszono teraz w wyborze co najcenniejsze szkice Micińskiego. Tylko taki wybór, dowodził, może tego pisarza spopularyzować, bo mało komu starczy cierpliwości na czytanie sześćsetstronicowego tomu. A przecież całość znanej dzisiaj korespondencji Krasińskiego z trudem zmieściłaby się w dziesięciu takich tomach. I ileż to razy Krasiński w korespondencji swej się powtarza, ileż jej stron zajęły nużące skargi na choroby, jak często osiadamy tu na mieliźnie plotek i komeraży towarzyskich. Nie mówiąc już o tym, że przychodziło też Krasińskiemu pisać listy, tak jak każdemu z nas, dla załatwienia różnych doraźnych spraw, dziś interesujących w najlepszym razie tylko jego biografów.

Stąd potrzeba wyboru tych stron, które po dziś dzień są pisarsko żywe i ciekawe. Pierwszy krok już zrobiono. To wspomniany wyżej tom, *Sto listów do Delfiny* (a więc mniej więcej jedna siódma całego wydanego zespołu), w zgrabnym wyborze Jana Kotta z 1966 roku. Nie ma wątpliwości, że w korespondencji Krasiń-

3. W tym miejscu tekst uszkodzony.

skiego listy do Delfiny to najcenniejsza pozycja. Ale przebogatą amplitudę jego prozy pokazać może tylko wybór, który by uwzględnił wszystkie dochowane po dziś dzień listy. Krasieński niejednokrotnie inaczej przedstawiał te same sprawy, pisząc do różnych korespondentów, i konfrontacje takie otwierają nam nowe perspektywy psychologiczne, dramatyzując człowieka i sprawy przezeń omawiane. Jak w dobrej powieści psychologicznej bohater jest tu zawsze sobą, jedynym w świecie, niepowtarzalnym indywiduum i jest uwikłany w sprzeczności, trudny do zdefiniowania, ma swoje rezerwy i nieoczekiwane reakcje.

Opracowanie takiego wyboru to szczególnie pilny dezyderat wydawniczy. Na pewno nie będzie to sprawa łatwa. Wymaga taktu, wyczucia dobrej prozy, znajomości epoki, tak zżycia się z epistolografem, jak i umiejętności spojrzenia na niego z dystansu. Ale za to wydawca taki będzie akuszerem jednego z arcydzieł literatury. Czyż istnieje wdzięczniejsze zadanie dla historyka literatury?

Wiktor WEINTRAUB

Przyczynki do historii Polonii Kanadyjskiej

Ciągle jest brak historii Polonii Kanadyjskiej, natomiast opublikowano już zarówno kilka dobrych opracowań specjalnych, jak np. o prasie polonijnej, stanie demograficznym, szereg szkiców o strukturze socjalnej, wyczerpującą bibliografię Polonica Canadiana i wreszcie zestawienia bio-bibliograficzne. Dwie prace o charakterze ogólnym W. B. Makowskiego i L. Kos-Rabcewicza-Zubkowskiego, omówiliśmy po ich ukazaniu się.

Pod koniec ubiegłego roku, ale z datą 1969 roku, ukazała się praca Andrzeja Wołodkowicza pt. *Polish Contribution to Arts and Sciences in Canada*. Jest to rozszerzona praca magisterska Autora, złożona na wydziale sławistycznym Uniwersytetu Montreal prof. Kos-Rabcewiczowi-Zubkowskiemu. Jest to również niewątpliwie najobszerniejsza praca bio-bibliograficzna, lecz mimo to nie jest pełna. Nie jest to zresztą zarzut, gdyż aby opracować zebrany materiał trzeba w jakimś czasie powstrzymać się od dalszych poszukiwań. Źle natomiast się stało, iż p. Wołodkowicz oparł się o dane z 1966 i początku 1967 roku dopiero pod koniec 1970 roku mógł ogłosić swoją książkę. Wiele więc danych po prostu zdezaktualizowało się.

Autor prezentuje nam swojego rodzaju „Who is who” w oparciu o dane, które uzyskał, ściślej wyszperał, z roczników uniwersy-

teckich, publikacji okolicznościowych, spisów i opracowań oficjalnych oraz organizacyjnych, publikacji bibliograficznych i bio-bibliograficznych Polsko-Kanadyjskiego Instytutu Badawczego w Toronto i danych uzyskanych z ankiet. Autor bowiem starał się uzyskać dane personalne od tych osób, które miały się znaleźć w jego księdze. Zapewnia wprawdzie iż starał się każdemu przydzielić taką samą ilość miejsca i od tej zasady odstępował jedynie w stosunku do tych, których uznał za szczególnie wybitnych i zasłużonych, ale nawet powierzchowne kartkowanie pozwala na wyciągnięcie nieco odmiennego wniosku, a mianowicie iż o rozmiarach not decydowały nie tylko zasługi ale i dane jakie uzyskał bezpośrednio od zainteresowanych. Co zresztą jest stosowanym zwyczajem w publikacjach „Who is who?”.

Wolno jednak było oczekiwać, że p. A. Wołodkowicz pokusi się o podmurowanie owego „polskiego wkładu” a więc nie ograniczy się do zestawienia nazwisk, wymienienia prac czy publikacji i biografii, obliczenia ilości pracowników naukowych polskiego pochodzenia na uczelniach, w zakładach badawczych itp. Niestety tego nie uczynił.

W bardzo zwięzłym zarysie historycznym będącym prezentacją czołowych, zdaniem Autora osobistości, znajduje się kapitalny błąd. Píše on iż „ponad połowa 330.000 Polaków przybyła do tego kraju po drugiej wojnie światowej”. Twierdzenie to jest sprzeczne ze stanem faktycznym. Po pierwsze nie było w 1961 roku — a więc podczas spisu ludności — 323.517 Polaków, a jedynie tyleż osób „polskiego pochodzenia etnicznego”. Według oficjalnych danych ogólna ilość imigrantów polskich w okresie powojennym, do 1967 roku włącznie, wyniosła 102.376.

W bardzo skrupulatnym zestawieniu artystów brak wśród muzyków najwybitniejszego, jedynego autentycznego kompozytora kanadyjskiego pochodzenia polskiego, a mianowicie Waltera Buczyńskiego. Brak tym bardziej uderzający, zważywszy pozycję jaką zajmuje w świecie muzycznym i fakt, że na każdym festiwalu muzyki kanadyjskiej grane są jego utwory. Gdy mowa o wkładzie — tym prawdziwym a nie nominalnym — to jest nim twórczość Buczyńskiego, kompozytora urodzonego w Toronto, syna imigrantów polskich.

Wiktor Podoski był pierwszym posłem i ministrem pełnomocnym R.P. w Kanadzie a nie ambasadorem, jak podaje p. Wołodkowicz. Zaś W. A. Wyszkowski był czarującym człowiekiem i doskonałym inżynierem, ale nie architektem. Nie on więc projektował Scarborough College tylko znakomity młody Australijczyk, który skończył studia w Harvard a pracował w Toronto. Projekt tej uczelni uczynił go sławnym i wziętym na całym świecie a inż. Wyszkowski odpowiedzialny był za obliczenia i wykonanie prac. Czy konieczne było np. powtarzać nazwiska poszczególnych osób kilkakrotnie, a więc wymieniać je przy każdej uczelni w której pracowały?

W aneksach p. Wołodkowicz zamieścił pełny spis członków Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce (oddziały kanadyj-

skie), spis członków Polsko-Kanadyjskiego Instytutu Badawczego, Stowarzyszenia Techników Polskich a wreszcie przedrukował w całości Szósty Rejestr pracowników naukowych, opracowany przez T. Krychowskiego i opublikowany w 1968 roku, zaznaczając, iż te dane mają „zaktualizować niektóre jego dane biograficzne”. Zastrzega się jednak, iż „nazwiska zamieszczone w Rejestrze to niekoniecznie te, które zostały uznane przez autora niniejszej pracy”.

Takie zastrzeżenie trzeba uzasadnić; oczywiście Autor może kwestionować obce zestawienia, ale jeśli nie wyjaśnia swego stanowiska to chyba słuszniej byłoby z takiego kwestionowanego materiału nie korzystać. Interesującym uzupełnieniem są 32 strony ilustracji prac artystycznych oraz technicznych i architektonicznych polskich artystów i inżynierów.



Tadeusz Krychowski opublikował nowy Rejestr — siódmy z kolei — wydawany przez Polsko-Kanadyjski Instytut Naukowy, zawierający ponad 230 nazwisk pracowników, pisarzy i artystów. Rejestr poprzedza esej niżej podpisanego pt. „Polski wkład do kanadyjskiej kultury”, w którym uwzględniono niemal wyłącznie twórczość literacką, zamieszczając dla jej zobrazowania, w oryginale polskim i przekładzie, strofy poetów polskich, zamieszkających w Kanadzie. Twórczość, względnie działalność artystyczna, innych dziedzin została właściwie jedynie zarejestrowana. I to nie wszystkich.



Pierwszą terenową pracą socjologiczną, opartą na materiale ankietowym jest praca magisterska p. Henryka Radeckiego o powojennej imigracji polskiej w Toronto. Niestety jest ona zbyt wąska, by można uznać ją za reprezentatywną. Autor zdołał bowiem przebadать tylko 60 osób zamieszkających w jednym pasie Toronto, w którym znajduje się polska parafia św. Kazimierza. Jest to zresztą rejon o dużym nasileniu powojennej imigracji. Radecki chciał ustalić jakie zmiany zaszły w obyczajach i zwyczajach imigrantów, jakie jest nastawienie ich dzieci, stosunek do organizacji polonijnych. Słowem chodziło mu o ustalenie procesu integracji.

To co ustalił nie jest zaskoczeniem. I tak np. widzimy poważne różnice między nastawieniem młodzieży a rodziców wobec spraw polskich. Podczas gdy rodzice utrzymują kontakt z krajem, znaczny odsetek młodzieży zainteresowanych jest Kanadą. Jakkolwiek 78,4 % dzieci respondentów należało do polskich organizacji młodzieżowych to tylko 48,3 % znało dostatecznie język polski. 85 % respondentów abonoowało obydwa polskie pisma i angielskie.

Te dane potwierdzają naszą uwagę, że wynik ankiety nie jest reprezentatywny. Podobnie zresztą i inne dane.

Ale tym niemniej praca jest interesująca. Autor przygotował

bowiem obszerną i szczegółową ankietę i zanalizował ją wszechstronnie. Omówił wszystkie aspekty swej pracy i tekst uzupełnił tablicami. Ankieta została przeprowadzona wiosną 1970 roku a praca została złożona na wydziale socjologicznym w York University. Warto może dodać, że dr Anthony H. Richmond, profesor socjologii na tej uczelni, jest autorem klasycznej pracy „Post-War Immigrants in Canada” i „Immigrants and Ethnic Groups in Metropolitan Toronto” a obecnie przygotowuje — wraz z zespołem swoich współpracowników naukowych — obszerne studium o grupach etnicznych w Toronto.

Benedykt HEYDENKORN

Andrzej Wołodkiewicz: *Polish Contribution to Arts and Sciences in Canada*. With Preface by Profesor Tadeusz Romer, Montreal, 1969, pp. 363.

Polish Canadian Scholars, Scientist, Writers and Artists: 1. Polish Contribution to Canadian Culture by Benedykt Heydenkorn; 2. The register of persons actively engaged scholarly pursuits or scientific research compiled by T. Krychowski, Toronto 1970, pp. 32.

Henry Radecki: *Polish-Canadian, Canadian-Polish, or Canadian? The Post-War Polish Immigrants*, pp. 86 (maszynopis nieopublikowany).

Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewiczowa na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie

Biblioteki, muzea, archiwa

15. WALKA O DOBRĄ KULTURĘ. WARSZAWA 1939-1945. Księga zbiorowa pod redakcją Stanisława LORENTZA. T. I-II. Warszawa, 1970, Państwowy Instytut Wydawniczy, t. I, str. 585 (3); t. II, str. 636 (2), ilustr., faks. (W serii: Biblioteka Syrenki).

Na dwa sążniste tomy składają się dzienniki i relacje uczestników i świadków walki o dobrą kulturę tj. najszerzej ujęte muzealia, zbiory biblioteczne i archiwalne, księgozbiory prywatne, zasoby księgarń i składnic itp. Jak żywe istoty chroniono je przed ogniem i chłodem, wodą, rabunkiem, pleśnią i szkodnikami; jak żywe istoty były przedmiotem oskarżeń o nieprawomyślność — to też ukrywano je i przebiegano w cudze okładki. Ci, którzy ich strzegli i ratowali, pracownicy bibliotek, muzeów, archiwów, księgarń, zbieracze i bibliofile, w większości znani piszący te słowa, w relacjach niezbladłych mimo upływu czasu, urastają do miary wielkich a niedocenionych bohaterów okupacji. Warto uprzytomnić sobie, na jaki wysiłek fizyczny zdobywać się musieli wędrowni, chorowici, kalecy, tacy jak Tadeusz Makowiecki, Wacław Borowy, Józef Grycz, ładujący się co ranka o świcie na ciężarówkę w Pruszkowie w codziennych wyprawach ratunkowych po powstaniu w podpalanej już Warszawie. Z kilkunastu relacji wymienić warto przykładowo najbardziej dramatyczne: Adama Słomczyńskiego „W warszawskim Arsenale”, Mariana Toporowskiego „Strop”, Antoniego Trepieńskiego „Jak ratowano do-

bra kulturalne w domach prywatnych", zapiski i listy do żony Wacława Borowego, Moniki Żeromskiej „Dzieje rękopisów Żeromskiego”, Mariana Łodyńskiego relację o Pruszkowie. Dokumenty polskie i niemieckie zestawili starannie i przejrzyście Władysław Bartoszewski.

Trudno zrozumieć dlaczego książka tak ważna i wymowna ukazała się dopiero w roku 1970 i to z lukami, które w części tylko wymienia przedmowa. Pominęto np. lub zbyt krótkimi wzmiankami starania o ratunek zbiorów i ich opiekunów ze strony Rządu Polskiego w Londynie oraz licznych organizacji międzynarodowych (np. Conference of the Allied Ministers of Education w Londynie), uniwersytetów angielskich, szkockich (w szczególności w St. Andrews), amerykańskich — a z wydawnictw wspomniano o nielicznych. Pominęto też milczeniem pomoc paczkową i pieniężną organizowaną przez Fundusz Kultury Narodowej a obejmującą wszystkich pracowników naukowych, których adresy zdołano uzyskać.

16. LORENTZ, Stanisław: *Przewodnik po muzeach i zbiorach w Polsce*. Warszawa, 1971, Wydawnictwo Interpress, str. 345 (3), ilustr., mapa.

Główny zrab książki stanowią zwięzłe informacje o historii i zasobach muzeów, „izb pamiątek”, „muzeów biograficznych” (np. Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w Praniach, Sienkiewicza w Oblęgorku itp.). Ze wstępu autora („Cel i układ książki”) dowiadujemy się, że opracowana została nieco na wyrost — obejmuje bowiem „muzea projektowane, jeśli realizacja projektów w niedługim czasie wydawała się prawdopodobna”. Wstęp historyczny przynosi zwięzłe i cenne informacje o burzliwych losach kolekcji polskich i bezcennych skarbach sztuki światowej, które opuściły Polskę w różnych okolicznościach. Tak np. obrazy Rembrandta zakupione przez Jana Kazimierza powędrowały za Sasów do Dreżna. W zbiorach bawarskich znajdują się dotąd obrazy wywiezione przez Teresę Kunegundę, córkę Sobieskiego, — obrazy ze zbiorów Stanisława Augusta stały się załącznikiem galerii w Dulwich pod Londynem itp. Lata ostatnie wytworzyły w PRL nowe formy muzeów: w postaci „przeszłych na własność państwa” muzeów-pałaców (Wilanów, Nieborów, Gołuchów, Rogalin, Pszczyna, Pieszkowa, Skała, Baranów, Łańcut i w in.) — muzeów i punktów muzealnych w miejscowościach lub domach związanych z pamięcią wybitnych twórców — lub miłych reżymowi postaci (np. Lenina: Biały Dunajec, Kraków, Poronin, Warszawa, w sumie imponująca kolekcja fałszywych pamiątek i świadectw „kultury”). Marchlewski wypadł skromniej: ma tylko trzy muzea: w Łodzi (w ramach zbiorów Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego), Poznań (w ramach Muzeum Historii Ruchu Robotniczego im. Marcina Kasprzaka) i Włocławku (w ramach Muzeum Kujawskiego). Dalszym novum, powołanym do życia przez tragiczne wydarzenia wojenne są liczne muzea martyrologii — „pomniki walki i męczeństwa” oparte na bogatym i w pełni autentycznym materiale dokumentacyjnym (w tym szczególnie ważne w Oświęcimiu i na Majdanku w Lublinie). Odnotować także należy żywiołowy wzrost i podniesienie jakości muzeów etnograficznych i regionalnych oraz fachową opiekę jaką otacza się zbiory archeologiczne. Rozdział ostatni: „Polskie muzea i zbiory poza granicami Kraju” określić można jako zawstydzająco ubogi i kaleki. Uzasadni to w pełni wyliczenie objętych nim placówek: CHICAGO (Muz. Pol. w Ameryce), DREZNO (Muz. Kraszewskiego), GRODNO (Muz. Orzeszkowej w domu pisarki), KOWNO (Muz. Fel. Dzierżyńskiego), KRZEMIENIEC (pokój z pamiątkami po Słowackim w Muz. Krajoznawczym), LENINO (Muz. na polu bitwy), LONDYN (Muz. Inst. Historycznego im. Sikorskiego; brak wzmianki o zbiorach graficznych Biblioteki Polskiej w Londynie i Fawley-Court gdzie znajduje się m.in. cenna kolekcja broni, fragmenty rzeźb antycznych z Pergamonu itd.), NOWOGRODEK (Muz. Mickiewicza), PARYŻ (Muz. Mickiewicza), RAPPERSWIL (Pol-

skie Muz. Narodowe), RZYM (Muz. Kopernika przy Obserwatorium Astronomicznym na Monte Mario), UBIEL (Muz. Moniuszki), WILNO (Mieszkanie-Muzeum Mickiewicza mieszczące się pod adresem: Zaułek Pilies 11, oraz Muzeum Feliksa Dzierżyńskiego w Domu Pamiątkowym). W zestawieniu tym uderza brak najzwyczajniejszej nawet wzmianki o Lwowie, Łucku, Ostrogu i polonicach w zbiorach kijowskich, mińskich, berdyczowskich, winnickich, itp. Jest to najprawdopodobniej „zasługa” wszechpętłej cenzury cynicznie przekreślającej naukową wartość tego skądinąd sumiennego i wartościowego opracowania.

Wydawnictwa encyklopedyczne

16. WIELKA ENCYKLOPEDIA POWSZECHNA PWN. T. XIII: Suplement. Warszawa, 1971, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, str. 548.

Przedmowa poucza, iż celem Encyklopedii, wydawanej od roku 1957, jest, poza normalnymi funkcjami wydawnictw tego typu „kształtowanie świadomości czytelników w duchu ideologii socjalistycznej”. Wydawnictwo ma za sobą burzliwą przeszłość. W roku 1967-68 „opinia publiczna zwróciła uwagę na błędy naukowe i polityczne dzieła”. Błędy te dotyczyły hasła „obozy koncentracyjne hitlerowskie” (nb. nie mogły dotyczyć „obozów koncentracyjnych sowieckich”, gdyż drażliwy ten temat pominęto w „Encyklopedii”). Do „Suplementu” wprowadzono 1500 nowych haseł, w tym obszerny artykuł o „dywersji ideologicznej”, charakteryzujący j.n. „podział ról” między „wydziałem polskim „Radia Wolna Europa” a paryską *Kulturą*. „Podczas, gdy celem działalności „Wolnej Europy” jest oddziaływanie na szerokie masy społeczeństwa, to *Kultura* ma oddziaływać na środowiska intelektualne kraju i koncentruje się na tzw. zjednywaniu elit, upatrując zarazem jako teren infiltracji ideologicznej pewne grupy społeczne (zwłaszcza inteligencja, młodzież studencka)” (str. 117).

Publicystyka

18. BOCHEŃSKI, Aleksander: *Rzecz o psychice narodu polskiego*. (Warszawa, 1971), Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 133 (1). (W serii: Polemiki).

Książka kontrowersyjna i niepokojąca. Skoki myślowe — od krytyki sarmatyzmu do patetycznych nawoływań o przebudowę psychiki narodu w oparciu o wartości moralne „zgodne z interesem społecznym” PRL-u — są najłagodniej rzecz ujmując — karkołomne. Rozważaniom patronuje Go-mułka cytowany z nabożeństwem w przedmowie jako chwalcza „człowieka, twórcy nowej techniki”. W tym kontekście jakże słusznie skarcony został Mickiewicz za „akcenty antynaukowe” w improwizacji w „Dziadach”! Romantycy mają na swym koncie inną jeszcze winę: to oni hamowali... postępy kapitalizmu (str. 34), gdyż — jak powszechnie wiadomo — pradiadowie nasi potępiali bogacenie się i oszczędzanie a gloryfikowali romantyczne bohaterskie zrywy (exemplum: ks. Józef) i Trzech Wieszców. Było to wynikiem zgubnego wpływu literatury na psychikę narodu. Sienkiewicz narzeczył w tym względzie nie mniej od romantyków, co mu zresztą nie tylko Bocheński wypomniał. Na inny sposób broił Boy-Zeleński: odwracał uwagę społeczeństwa od istotnych zadań i problemów. Nagrzeszył też i Kościół, który od XVIII wieku „postawy produkcyjnej nie popierał” i uprawiał „patriotyzm typu romantycznego i antygospodarczego” (str. 57). Dwudziestolecie symbolizuje Wieniawa — „szczytowy produkt okresu”, niemal „model polskiego inteligenta, biurokratyczno-wojskowego”. Przeciwdziałały tej postawie, a tak-

że zgubnym wpływem *Wiadomości Literackich* jednostki, doceniające wagę postępu gospodarczego, a więc (wymienieni z nazwiska: Eugeniusz Kwiatkowski i... Melchior Wańkowicz).

Rozważania dalsze dotyczą trudności wewnętrznych PRLu. Wynikają one z urazów w stosunku do Rosji, błędów popełnionych przez Partię w stosunku do Kościoła — a we wcześniejszym okresie do AK i inteligencji przedwojennej. Z drugiej strony Bocheński gani stanowisko Kościoła w stosunku do Partii w latach 1958-68. Zastanawia go także, czym wytłumaczyć fakt, iż nowa inteligencja, rekrutująca się z ludu i robotników przejmując wraz z awansem społecznym dawne wzorce postępowania i schematy myślowe inteligencji międzywojennej.

Wśród schorzeń, hamujących rozwój PRLu, wysuwa na plan pierwszy wpływy okresu Okupacji, gdy załamały się normalne wytyczne uczciwości. Prawodawstwo powojenne wprowadziło gąszcz przepisów zniechęcających do samodzielnych poczynań. Zawiniła też literatura i to zarówno stalinowskie „produkcyjniaki”, jak i ich odwrotność — „antyprodukcyjniaki”, atakujące „somośierszczyznę” i ośmieszające patriotyzm, apoteozujące użycie i wykpiwające wstrzemięźliwość — a propagujące nihilizm i zwątpienie w sens życia. Niechęć do pracy łączy się z niechęcią do kraju.

Za zagadnienie kluczowe uważa Bocheński problem interesowności i bezinteresowności w rozwoju gospodarczym dwu ustrojów: kapitalistycznego i socjalistycznego. Na Zachodzie i w USA wytworzył się typ ciułacza i inwestora — w PRLu typ „konsumpcyjny”, życie z dnia na dzień. Z przeszłości wyłania się „model ascetyczny” (à la Judym), szlachetny przeżytek, cynicznie wykpiwany przez „cwaniaków”, nadających ton życiu w PRL.

Bocheński uważa, iż rządy komunistyczne osiągnęły dobre wyniki w zakresie forsownej industrializacji kraju. „Trzeba by bardzo wielkiego epika — pisać na str. 70 — by przedstawić sumę ofiarności, zapалу, entuzjazmu i wysiłku społeczeństwa”. Fakt, że industrializacja odbywała się kosztem obniżenia poziomu życia odbił się jednak negatywnie na psychice społeczeństwa, domagającej się obecnie „przebudowy” w świetle nowej sytuacji. Temu właśnie celowi: nagięciu społeczeństwa do obojętnego wykonywania planów rządowych służyć ma książeczka Bocheńskiego. Wierzyć można w dobre intencje autora, ale niepodobna podpisać się pod jego zaleceniami.

Literatura piękna (utwory dramatyczne)

19. NOWAK, Alina: *Oratorium Oświęcimskie*. Rapsod teatralny. Warszawa, 1970, Instytut Wydawniczy „Pax”, str. 27.

Tekst dramatu poetyckiego (na dwa głosy z chórem) o dzieciach urodzonych w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Autorka oparła się na autentycznym raporcie położonej, więźniarki Nr 41355, Stanisławy Leszczyńskiej. Prapremiera utworu odbyła się w Muzeum Martyrologii w Oświęcimiu w 25-tą rocznicę wyzwolenia obozu 25. I. 1970.

20. TRZEBIŃSKI, Andrzej: *Aby podnieść różę...* Poezje i dramat. Wstęp i opracowanie: Zdzisław Jastrzębski. Warszawa, 1970, Instytut Wydawniczy „Pax”, str. 239 (1), front. portr.

Rozstrzelany przez Gestapo w roku 1943, zaledwie pełnoletni, miałby dziś 49 lat. Znałe z fragmentów dzienniki zapowiadały pisarza na miarę Andrzeja Bobkowskiego. Obecnie — z co najmniej ćwierćwiekowym opóźnieniem, ukazuje się próbka twórczości poetyckiej, prozaicznej i scenicznej Trzebińskiego. Wiersze rozczarowują; rewelacją jest natomiast witakowski dramat „Aby podnieść różę...”, którego przedmiotem jest — jak ujmuje to Jastrzębski — „konfrontacja liberalizmu i totalizmu”, pozorne starcie dwu dykta-

torów potraktowane groteskowo, rozwijające się pod naciskiem przypadkowych, irracjonalnych sytuacji. Nieoczekiwanej aktualności dodaje fakt, że tem dramatu jest gra w ping-ponga.

Literatura piękna (eseje)

21. HELSZTYŃSKI, Stanisław: *Dobranoc, miły książę*. Ludzie-prace-wspomnienia. Warszawa, 1971, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, str. 539 (3).

Prof. Helsztyński jest znanym, dziś już emerytowanym, anglistą, rodem z Wielkopolski, co stało się czynnikiem decydującym w wyborze drugiej specjalności naukowej: badaniach historyczno-literackich nad Przybyszewskim, Kasprowiczem i mieszczącymi się w kręgu ich oddziaływania pisarzami Młodej Polski. Wydany obecnie tom szkiców samy już tytułem, nawiązującym do „Good night, sweet Prince” (z „Hamleta”) nasuwa analogie z pigoniowskim „żegnaniem ze światem”. Książka rozpada się na trzy części: „Nad Obrą” (wspomnienia z dzieciństwa i sylwety pisarzy wywodzących się ze stron rodzinnych Skorupki-Helsztyńskiego), „W Warszawie” (— tu wartościowy szkic o „Anglistyce polskiej, 1944-1964” i polskim wielbicielu i korespondencie Ezry Pound’a — Stanisławie Wiktorze Jankowskim) i „Na Kujawach i Pomorzu” (zbiór szkiców obracających się wokół Przybyszewskiego i jego tragicznie zmarłej a bardzo utalentowanej córki, Stanisławy, autorki „Sprawy Dantona”). Mimo dużej rozpiętości tematów książka wysoce czytelna i ciekawa, przynosząca cenne uzupełnienia biografii Edmunda Naganowskiego, ks. Antoniego Szandlerowskiego, Stanisławy Przybyszewskiej i in.

22. PRZYBOŚ, Julian: *Zapiski bez daty*. Warszawa, 1970, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 424.

„Są to — jak w przedmowie określił autor — spostrzeżenia, myśli, dywagacje, przypomnienia, zarysy wierszy i rozprawek — zapiski doraźne i w większości wypadków pozostawione w takim stanie, w jakim je rzuciłem na papier: *in crudo*”. Wbrew tym zapewnieniom jest to tom starannie uporządkowanych, opatrzonych tytułkami, oszlifowanych poprawkami zapisków z dziennika intelektualnego, ubocznego produktu twórczości poetyckiej. Autor przygotował książkę, nie doczekawszy jednak jej wydania.

Historia literatury polskiej

23. KAPEŁUŚ, Helena i KRZYŻANOWSKI, Julian, wyd.: *Dzieje folklorystyki polskiej, 1800-1863*. Epoka przedkolbergowska. Pod redakcją... Wrocław, 1970, Ossolineum, str. 528, ilustr., bibliogr. (Instytut Badań Literackich PAN).

Książka zbiorowa, wykazująca, iż poważne zainteresowania folklorem wyprzedziły o wiele lat prace Kolberga i objęły całokształt ziem dawnej Rzeczypospolitej. Wśród wczesnych badaczy folkloru znajdujemy np. filomatów i emigrantów polistopadowych. Jeden z nich, Aleksander Rypiński, znany nadto jako założyciel pierwszej Oficyny Poetów w Londynie, uważany jest za ojca folklorystyki białoruskiej.

24. WEISS, Tomasz: *Cyganeria Młodej Polski*. Kraków, 1970, Wydawnictwo Literackie, str. 217 (8), ilustr.

Autor, znany dotąd jako sumienny wydawca pism Zapolskiej i Sygietyńskiego i studiów o Nietzschem w piśmiennictwie polskim, zatrzymał się obecnie na badaniu zjawiska cyganerii, wiązanej automatycznie z okresem Młodej Polski, ale mającej ciekawą i długą XIX-wieczną prehistorię. W sposób

interesujący zarysował konflikt postaw cygana i filistra, wydobyl analogie między obyczajowością cyganerii młodopolskiej a obecnymi „hippies”ów i w sposób bardzo wnikliwy omówił „Requiem dla cyganerii” na kartach „Próchna” Berenta. Za istotę cyganerii uważa Weiss nie tyle bunt przeciw środowisku, w którym wpadło im żyć i działać, ile niemożność uświadomienia sobie, w jakim kierunku winna iść reforma działalności artystycznej i społecznej, czym powinno się stać mgliste postulowane „nowe”.

Zyciorysy i wspomnienia

25. WAWRZYKOWSKA-WIERCIOCHOWA, Dioniza: Emilia Szaniecka. Opowieść biograficzna. Warszawa, 1970, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, str. 626 (2), ilustr., bibliogr.

Zyciorys, oparty na opracowanych po raz pierwszy archiwaliach i korespondencji rodzinnej. Omawia szczegółowo działalność polskiej „Florence Nightingale” w lazaretach wojskowych w 1831 roku, jej współpracę z Klaudyną Potocką, działalność charytatywną w Wielkopolsce i na Emigracji, powrót do szpitali w 1848 i 1863 roku — i udział w walce o polskość w zabiorze pruskim — aż do zgonu w dn. 11 maja 1896. Na piersiach zmarłej znaleziono medalion z miniaturą i lokiem Klaudyny Potockiej.

26. TREPIŃSKI, Antoni: *Romans Kraszewskiego z Wiedenką*. Warszawa, 1970, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 186 (2), ilustr.

W roku 1884 sąd lipski skazał 72-letniego J. I. Kraszewskiego na trzy i pół roku twierdzy za szpiegostwo na rzecz Francji. W podnoszonych przeciw niemu zarzutach powracało stale oskarżenie o współpracę z wywiadem francuskim, co w świetle najnowszych badań Trepińskiego, Danka i Kirkora okazało się prawdą. W okresie poprzedzającym aresztowanie Kraszewski, zawsze kochliwy, nawiązał romantyczne stosunki z 29-letnią Wiedenką, Christą del Negro. Była to dziennikarka, współpracująca jako korespondentka z *Frankfurter Journal* i *Augsburger Allgemeine Zeitung*. W roku 1930, po utracie wzroku, podyktowała pamiętniki, w których znajduje się obszerny rozdział poświęcony Kraszewskiemu. Trepiński wysuwa hipotezę, iż Christa i jej otoczenie mogło przyczynić się do aresztowania pisarza, denuncjując jego kontakty z Paryżem.

27. STANISŁAWA MICHALSKIEGO AUTOBIOGRAFIA I DZIAŁALNOŚĆ OŚWIATOWA. Opracowanie: Helena Radlińska i Irena Lepalczyk. Słowo wstępne: Tadeusz Kotarbiński. Wrocław, 1967, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, str. 329 (3). (Komitet Nauk Pedagogicznych i Psychologicznych PAN, Źródła do dziejów myśli Pedagogicznej, t. IX).

Z przyczyn, nie dających się wytłumaczyć angielskim strajkiem pocztowym ani innymi logicznymi przeszkodami, książka, której druk ukończono w kwietniu 1967, dotarła do Londynu dopiero w maju 1971. Przynosi, niestety, tylko fragment zyciorysu późniejszego dyrektora Funduszu Kultury Narodowej, i dotyczy działalności oświatowej przed rokiem 1918. Kulminacyjnym jej punktem był projekt i realizacja „Poradnika dla samouków”, który odegrał olbrzymią rolę w pozbawionym wolnej uczelni wyższej zaborze rosyjskim i skupić zdołał grono znakomitych współpracowników. Na książkę składają się fragmenty autobiografii Michalskiego i — także fragmenty — obszerniejszego studium o nim dyktowanego przez Helenę Radlińską w czasie okupacji Irenie Lepalczyk. Wśród wspomnień o Michalskim wyróżnia się sylweta wyłaniająca się ze słowa wstępnego prof. Kotarbińskiego: „zełant i asceta, spalający się w żarach entuzjazmu”, nie ukrywająca słabych punk-

tów działalności Michalskiego np. stosunku do uczonych pochodzenia żydowskiego. Dodajmy: kobiet, którym z reguły odmawiał stypendiów.

28. KORZENIEWSKA, Ewa: *Maria Dąbrowska*. Kronika życia. Warszawa, 1971, Czytelnik, str. 383 (6), ilustr.

Ważny i interesujący komentarz twórczości Dąbrowskiej, oparty na rękopiśmiennych dziennikach i korespondencji znajdujących się obecnie w Muzeum im. Mickiewicza w Warszawie. Autorka „Kroniki”, Ewa Korzeniewska, prosi czytelników o uzupełnienia i sprostowania. Zastrzega się równocześnie, że „ze względu na krótki okres dzielący nas od jej (= Dąbrowskiej) śmierci zestawiała tylko wydarzenia znane, o których pisarka sama mówiła w swych wspomnieniach, artykułach, wywiadach i rozmowach”. Dlatego właśnie „celowo nie wychodziła poza ten zakres ani w dziedzinie jej przeżyć osobistych, ani w sferze przemysłów i reakcji w sprawach ogólnych, zwłaszcza jeśli chodzi o lata ostatnie”.

Nadesłane nowości wydawnicze

MIREWICZ (Jerzy, ks. T.J.). *Prorok i tancerka*. Str. 174. (Wyd. Księży Jezuici, Londyn, 1971, cena £1,50).

JANTA (Aleksander). *Pamiętnik indyjski*. Str. 103 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1970).

JENNE (Beniamin Józef). *Materia prima*. Str. 186 i 6 nlb. Nakładem Autora. (Londyn, 1971).

Katalog czasopism polskich i dotyczących Polski oraz innych krajów słowiańskich, wydanych poza Polską po dniu 1. IX. 1939 roku. Wydanie drugie. Str. 126. Powiełacz. Opracowały Maria Danilewiczowa i Barbara Jabłońska. (Biblioteka Polska, Londyn, 1971, cena £ 2).

MYKUŁA (W.). *La religion et l'église en Ukraine*. Str. 80, liczne fotografie. (Edition de l'Est Européen, Collection „Etudes Historiques et Politiques”, Paryż, 1971, cena F. 5,00).

Appel de la gauche pour le Juifs d'U.R.S.S. Str. 39 i 1 nlb. Przemówienia wygłoszone 7. I. 1971 w Salle de la Mutualité w Paryżu przez: Jacques Madaule, M. Gont-

charoffa, Beate Klarsfeld, Laurent Schwarta, Jean-Paul Sartre'a, Daniela Mayera, Vercorsa, oraz apele lewicy i Żydów ze Związku Socjalistycznego.

BIENKOWSKI (Władysław). *Crisi nell'agricoltura*. Str. 113-148 w Nrze 1 kwartalnika L'EST z 31. III. 1971. (Przekład na język włoski „Kryzysu rolnego” Ryszarda Landaua. Wyd. CESES, Mediolan).

BLIT (Lucjan). *The Origins of Polish Socialism*. The History and Ideas of the First Polish Socialist Party, 1878-1886. Str. 160. (Wyd. Cambridge University Press, Londyn, lipiec 1971, cena £3).

WEERAPERUMA (Susunaga). *The Role of Conferences in Further Education of Librarians*. A Scrutiny of the Present Situation with Proposals for Reform. Str. 34 i 2 nlb. (Wyd. Poets' and Painters' Press, London, 1971).

WEERAPERUMA (Susunaga). *In-Service Training in Librarianship*. A Scrutiny of Current Practices with Proposals for Reform. Str. 40. (Wyd. Poets' and Painters' Press, London, 1971).

Alliance of Friendship. Bulletin No. 2, Grudzień 1970. Str. 35 i 1 nlb. (Wyd. Executive Committee of the Czechoslovak - Polish - Ukrainian Alliance of Friendship, Czikago).

WOLHODYMYR. *The Ballad of the Broken Windows*. Str. 15. (Wyd. „Svitannia” — the Dawn, Londyn, 1971).

LUCIW (Theodore). *Father Agapius Honcharenko, First Ukrainian Priest in America*. Przedmowa Walter Dushnyck, Ph. D. Str. 233 i 1 nlb. (Wyd. Ukrainian Congress Committee of America, New York, 1970).

FISZMAN (Joseph J.). *Poland — Continuity and Change*. Str. 40-88 i 353-4. (Odbitka z „The Changing Face of Communism in Eastern Europe”, The University of Arizona Press, Tucson, Arizona, 1970).

GASIŃSKI (Tadeusz Z.). *A Creation Poetic Echo of King John III Sobieski's Victory at Vienna*. Str. 8. (Odbitka z „The Polish Review”, Vol. XV., No 1, Zima 1970, New York).

GASIŃSKI (Tadeusz Z.). *Signs of Dissent and Detachment in Recent Polish Poetry*. Str. 29-37. (Nadbitka z „Michigan Quarterly Review”, Vol. X., No 1, Zima 1970).

KRZYŻANIAK (Marian). *Transformation of Polish Agriculture from 1920 on: A Historical Perspective*. Zeszyt 13 serii „Program of Development Studies”. (Rice University, Houston, Texas, Wiosna 1971).

WYRWA (Tadeusz). *Governmental Tort Liability in Poland*. Str. 229-256. (Fotokopia pracy zamieszczonej w „Law in Eastern Europe”, Vol. 17, Leyden, Holandia, 1970).

FOSTUN (Swiatomyr M.). *Plemię nepokirnych*. Powist' iz czasiw dekabryjskoho ruchu w Ukraini. Str. 117 i 3 nlb. (Wyd. Association of Ukrainian Former Combatants in Great Britain, Londyn, 1971).

KRZYŻANIAK (Marian). *Factor Substitution and the General Tax on Profits*. Str. 489-512 i 2 nlb. (Odbitka z „Public Finance” International Quarterly journal founded by J. A. Monod de Froideville. Vol. XXV, No 4/1970, Haga, 1970).

BYKOWSKYJ (Łew). *Waimarski czasy*. Spomyny. 1945. Str. 52. Powielacz (Denver, Colorado, 1970).

Zapisy, Kniha 5. Scoringiana 1517-1967. Str. 168. (Wyd. Biełaruskij Institut Nauki i Mastactwa, Monachium, 1970).

SHAYAN (Wolhodymyr, Prof.). *Najwyższa Swiatist*. Studia pro Swantewita. Str. 143 i 1 nlb. (Wyd. Ordien, London - Toronto, 1971). *Cerkownyj kalendar almanach na 1971 rik*. Str. 216. (Wyd. Bratstwa Swiatoho Andrija Perwozwanno, Chicago, 1971).

Kalendar „Słowo” na rik 1971. Str. 144. (Wyd. „Wilne Słowo”, Toronto, 1971).

Kalendar - Almanach Ukrainśskoho Holosu na 1971 rik. Str. 207. (Nakładem Wydawnyczoji Spiłky „Tryzub”, Winnipeg, 1971).

ALGIRDAS GUSTAITIS. *Kunigaiscio M. K. Radvilo (Naslaitelio) 1613 Metu Zemelapis amziu Perspektyvoje*. Str. 21 — odbitka z *Kario* Nr 8 i 9, 1970).

Gyldendals magasin 2. Min. opowiadania Jurijs Daniela (Arżak) pt. „Człowiek z Minapa”. Str. 127 i 1 nlb. (Wyd. Gyldendals Traneboger, Kopenhaga, 1971).

Hrvatska Revija. Kwartalnik kulturalno-literacki, Nr 4 (80), 1970. Str. 1200. (Wyd. Kroatischen Rundschau, Monachium).

Humor krajowy

PYTANIA I ODPOWIEDZI

— Jak brzmi rodzaj żeński od Gierek?
— Babiuch!



— Dlaczego w Polsce jest tak źle z mlekiem i masłem?
— Bo towarzysz Gierek jeszcze nie rozmawiał z krowami...



— Kto jest bardziej męski: Gierek czy Gomułka?
— Naturalnie, że Gomułka! On potrafił o szklance wody sześć godzin bez przerwy pieprzyć, a Gierek już po 20 minutach woła: Towarzysze! Pomóżcie!



— Jak wygląda polski import i polski eksport?
— PRL importuje maszyny i urządzenia techniczne dla przyspieszenia budowy socjalizmu, zaś eksportuje maszyny i urządzenia techniczne dla przyspieszenia zagłady kapitalizmu...

O PARTII

*Czy się leży, czy się stoi,
Partia płaci, bo się boi...*

Z NOWEGO LUDOWEGO „PŁOMYCZKA”
(Gry i zabawy dzieciinne)

*Ecik-pecik, ecik-pecik
Podpalimy komitecik,
Raz, dwa, trzy
Sekretarzem będziesz ty...*

WESTCHNIENIE POLAKA

Byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa!
Jesteśmy zadupiem socjalizmu...

Z PRASY PRŁOWSKIEJ

„Ostatnio często słyszy się i widzi nowe słowo: ADMINISTRATYWISTA. Nie jest to, jak sądziliśmy, skrzyżowanie administratora z aktywistą, tylko

uczony od teorii administrowania, która rozwija się równie pięknie jak praktyka" (bez komentarza...).

„CZERWONY TELEFON”

Dla usprawnienia współpracy pomiędzy Warszawą a Moskwą założono tzw. „hot line”. Korzystając z tego udogodnienia tow. Gierek połączył się z tow. Kosyginem; przy rozmowie obecny był Breżniew, który z uwagą przysłuchiwał się odpowiedziom Kosygina na polskie zapytania.

Kosygin mówił:

- Niet!
- Niet, niet!
- Niet, niet, niet!
- Da...
- Niet!
- Niet!
- Niet, niet, niet!
- Da.

Po czym odłożył słuchawkę.

Zaniepokojony Breżniew zawołał: — Dlaczego dwa razy powiedziałeś „Da!”?

— Eh, bo oni się pytali czy dobrze słyszą — odparł Kosygin.

Zebrła Zofia HERTZ

KRAJ — BLOK WSCHODNI

15-5-71

W Warszawie zmarła Irena Kuczborska, wybitny artysta-malarz i grafik. ■ W Sowieckiej Republice Białoruskiej przez ostatnie trzy lata można było odnotować jedynie trzy polonica. Mianowicie ukazały się książki: *Miż tych paliou... Pra ziamliu, szto natchniała Mickiewicza*. (Śród takich pól... O ziemi, która natchniała (!) Mickiewicza), Przekład na białoruski Janki Brylia. Fotografie Władzimira Kamienika. Wydawnictwo „Biełarus”, Mińsk 1968, k. 49; Adam Mickiewicz, *Ziemia nawagrudskaja, kraju moj rodny...* Red. Adam Maldzis. Wydawnictwo „Biełarus”, Mińsk, 1969, str. 184; Adam Maldzis, *Padarożża w XIX stahoddzie*. Z historii białoruskiej literatury, malarstwa i kultury. Nawukowa-papuliarnyja narysy. Wydawnictwo „Narodnaja aswiewa”, Mińsk, 1969, str. 208. ■ Zmarł w Warszawie znany scenograf Andrzej Cybulski. ■ W czterdziestoletnią rocznicę śmierci Leona Petrażyckiego, Koło Naukowe Prawników, studentów Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, zorganizowało ogólnopolskie sympozjum naukowe pod nazwą „Sesja Petrażyciana”. W sesji wzięli udział m.in. Tadeusz Kotarbiński, Władysław Tatariewicz, Maria Borucka-Aretowa, dr Janusz Reykowski, Ija Lazari-Pawłowska. ■ Dopiero teraz nadeszły wiadomości o obchodach pierwszomajowych na Wybrzeżu w Polsce. W pierwszym rzędzie złożono uroczyste wieńce na grobach zabitych w wydarzeniach grudniowych. Wieńce były zakupione przez rady zakładowe. W czasie obchodu stocznioy w Gdyni i w Gdańsku nieśli transparenty z napisami „Żądamy ukarania winnych masakry grudniowej”. W Szczecinie w pochodzie niesiono trumnę, a sztandary były owinięte krepą. Milicja nie interweniowała. ■ Biskup przemyski Tokarczuk, przemawiając w Nowej Hucie 9 maja rb. z okazji 80-ciolecia encykliki „Rerum Novarum”, oświadczył: „Zanim Lenin ogłosił Manifest w 1917 roku, już przedtem, 30 lat wcześniej, Kościół zajął się kwestią robotniczą”.

16-5-71

W Warszawie otwarto XVI Międzynarodowe Targi Książki. 2.400 wydawców z 23-ch krajów wystawia na nich 61.000 tytułów. ■ Eksport z Hiszpanii do Polski w ub. roku wyniósł 16½ miliona dolarów i był większy o 5,5 miliona dolarów w porównaniu z 1969 r. Import spadł z 18,5 miliona dolarów w 1969 roku do 7,9 milionów dolarów w 1970 roku. ■ Czołowe polskie pismo ekonomiczne *Życie gospodarcze* zamieściło na pierwszej stronie wizerunek Hamleta. ■ Rada Państwa PRL postanowiła przyznać wszystkim Powstańcom Śląskim stopnie podporuczników.

18-5-71

W powiecie puckim odkryto złoża ropy naftowej. Geologowie są ostrożni w ocenach znaleziska. W ostatnich dniach takich sygnałów było więcej. W okolicach Sieradza nastąpił wybuch zgazowanej solanki. Na ślady nafty natrafiono na obszarze przybałtyckim na tzw. wyniesieniu Łeby i obniżeniu Litewskim.

19-5-71

Na sejmowej komisji spraw wewnętrznych PRL wiceminister spraw wewnętrznych B. Stachura poinformował posłów, że w Polsce według danych szacunkowych mieszka około 500.000 osób deklarujących narodowość nie-polską. Są to Ukraińcy, Białorusini, Czeši, Słowacy, Rosjanie, Żydzi, Grecy, Litwini i Niemcy.

21-5-71

Sejm PRL przyjął rezygnację Władysława Gomułki ze stanowiska członka Rady Państwa. Ostatnią funkcją oficjalną Gomułki, która mu pozostała jest mandat poselski. ■ W Kijowie zakończył się VI Zjazd pisarzy ukraińskich. Zaskoczeniem było niewybranie na prezesa A. Honeczara. Przypisuje się to jego próbom obrony młodego krytyka Dziuby, autora głośnego memoriału „Internacjonalizm, czy rusyfikacja” skierowanego do Centralnego Komitetu Komunistycznej Partii Ukrainy. Prezesem został wybrany trzeciorzędny literat Jurij Smołycz.

22-5-71

Według obliczeń tygodnika *Polityka* przeciętny rolnik w PRL traci rocznie 60 dni w kolejkach przy punktach skupu, w urzędach i przed magazynami. ■ Naczelny Zarząd Lasów Państwowych w PRL planuje odtrząść żubrów. Cena polowania: około 5.000 dolarów za sztukę. ■ Na aukcji bibliofilskiej w Krakowie największe powodzenia miał „Polski Kodeks Honorowy” Bożewicza, który sprzedano w cenie dwunastokrotnie wyższej od wywoławczej. Równym powodzeniem cieszyły się herbarze.

23-5-71

Nagrody literackie im. Stanisława Piętaka otrzymali w b. roku: Maria Józefacka za tom wierszy „Całopalenie”, Józef Ratajczak za powieść „Gniazdo na chmurze” i Zygmunt Wójcik za powieść „Mowy weselne”. ■ Podobno w najbliższym czasie mają rozpocząć się wstępne roboty przy budowie Biblioteki Narodowej w Warszawie. Na ten cel przeznaczono kwotę 177 milionów złotych. ■ Na statystycznego Polaka przypada 3,5 egzemplarzy wydrukowanej w Polsce książki, w Niemczech Wschodnich 6,9 egzemplarzy, a w Związku Sowieckim 5,7 egzemplarzy.

24-5-71

Warszawa zgodziła się na żądanie Bonn, by przedłużyć okres przygotowywania się do wyjazdu osób emigrujących do Niemiec Zachodnich do 4-ch miesięcy. W ciągu pierwszych czterech miesięcy tego roku do Niemiec Zachodnich wyjechało 6.446 emigrantów. Natomiast Czerwony Krzyż zachodniemiecki przekazuje około 4.000 podań o repatriację miesięcznie. ■ W Rydze rozpoczął się proces przeciwko czterem obywatelom sowieckim żydowskiego pochodzenia, oskarżonym o działalność antysowiecką. ■ W Łodzi odbył się VI ogólnopolski festiwal poezji, w którym wzięło udział około 100 poetów i krytyków literackich z całej Polski. Mieczysław Jastrun, przewodniczący jury, przedstawił wyniki konkursów festiwalowych. Dwie równorzędne nagrody otrzymali: Stanisław Barańczak (Poznań) za tom pt. „Jednym tchem” i Ewa Lipska (Kraków) za tom pt. „Drugi zbiór wierszy”. Ponadto otrzymał nagrodę Jerzy Lisowski (Warszawa) za prace redakcyjno-przekładowe nad II tomem „Antologii poezji francuskiej”.

27-5-71

Marynarz litewski Simac Kudicka, który w listopadzie ub. roku próbował znaleźć azyl na amerykańskim statku przybrzeżnym i został wydany przez kapitana statku władzom sowieckim, został skazany przez sąd najwyższy w Rydze na karę 10 lat więzienia.

30-5-71

Sejm PRL uchwalił Kodeks Wykroczeń, Kodeks postępowania w sprawach o wykroczenia oraz ustawę o ustroju kolegium do spraw wykroczeń. Posłowie koła „Znak” wstrzymali się od głosowania, ze względu na odrzucenie zgłoszonych przez nich poprawek. Między innymi koło „Znak” domagało się uchy-

lenia tajności posiedzeń kolegiów. ■ Komisja zjazdowa PZPR przygotowała VI Zjazd partii wyłoniła cztery podkomisje: zagadnień ogólnopolitycznych i międzynarodowych (przewodniczący J. Tejchma), polityki gospodarczej i modernizacji systemu kierowania i funkcjonowania gospodarki (przew. J. Szydłak), kultury, nauki, oświaty, masowych środków informacji i wychowania (przew. St. Olszowski), problemów pracy partyjnej i zagadnień statutowych (przew. E. Biabiuch). ■ Rząd PRL wystąpił z *aide-mémoires* do rządów Stanów Zjednoczonych, Niemiec Zachodnich, Francji i Włoch, domagając się zamknięcia Radia Free Europe i jego oddziałów. Noty te zostały odrzucone.

2-6-71

Telewizja PRL wprowadziła nowy program pod nazwą „Trybuna obywatelska”. Będą to bezpośrednie spotkania przedstawicieli władz partyjnych z obywatelami. W studio zostały zainstalowane telefony, za pośrednictwem których słuchacze będą mogli zadawać pytania. Pierwsze spotkanie miało miejsce z J. Szydłakiem na temat gospodarki PRL, a specjalnie na temat problemów budownictwa mieszkaniowego.

3-6-71

Z 45 tys. podań o emigrację, tylko 2.500 obywateli sowieckich pochodzenia żydowskiego otrzymało zgodę na wyjazd do Izraela.

4-6-71

W Budapeszcie zmarł, w wieku 86 lat, najwybitniejszy współczesny filozof marksistowski Georges Lukacs. ■ Novotny, pierwszy sekretarz partii czeskiej przed Dubczekiem, w maju 1968 roku zawieszony w prawach członka partii, został do partii ponownie przyjęty. Tak samo zostali reintegrowani stalinowcy Sziroky i Bacilek.

6-6-71

Według londyńskiego *Observer'a* Chiny nawiązały kontakt z Watykanem w sprawie wznowienia stosunków dyplomatycznych, zerwanych w roku 1951. Oferta chińska została przedstawiona sekretarzowi stanu Stolicy Apostolskiej, kardynałowi Villot, przez księdza Louis Uei, radcę do spraw kultu religijnego przy ambasadzie chińskiej w Paryżu. Chiny stawiają dwa warunki: 1) odwołanie nuncjusza apostolskiego z Formozy i przedstawiciela Formozy przy Watykanie; 2) uznanie przez Watykan 48 biskupów katolickich, mianowanych bez zgody Rzymu w ciągu ostatnich 20 lat. Watykan jest jakoby skłonny do przyjęcia tej propozycji ze względu na możliwości roztoczenia opieki pasterskiej nad 4 milionami katolików w Chinach.

8-6-71

W Pekinie przebywa szef rumuńskiej partii komunistycznej Ceaucescu oraz Mirko Tepavac minister stanu w jugosłowiańskim ministerstwie Spraw Zagranicznych. Są przyjmowani wyjątkowo uroczysto. ■ *Głos Wybrzeża*, organ partii w Gdańsku, opublikował zarządzenie Wojewódzkiej Rady Narodowej, którym na okres czasu od 8 czerwca do 30 września wprowadzono w życie przyspieszone postępowanie karne w stosunku do elementów „aspołecznych”, zakłócających spokój publiczny, oddających się grabieżom na ulicach i w ogrodach publicznych, odmawiających zarejestrowania i pracy. Zarządzenie to odnosi się do całego województwa z wyjątkiem miasta Gdańska, które — zdaje się — zostało już poddane przepisom porządkowym. W ostatnim czasie w samym Gdańsku zanotowano kilka wypadków podpalenia samochodów. Wydaje się, że zarządzenia te zostały wprowadzone z uwagi na przewidywany napływ ludności, a w szczególności młodzieży do miast wybrzeża bałtyckiego, co ma miejsce każdego lata. Informacje te podane zostały przez

Le Monde z następującym komentarzem: Zarządzenia te są nieco niepokojące. Władze polskie mają zwyczaj obdarzać mianem „chuliganów” wszystkich tych, którzy protestują lub manifestują swoją wrogość w stosunku do reżymu. W Gdańsku sytuacja jest zresztą napięta: według rozmaitych poważnych źródeł, w pierwszych miesiącach tego roku mieli być jakoby zamordowani milicjanci. W każdym przypadku ogłaszano, że chodzi o środki odwetowe. W ostatnich tygodniach napięcie wzrosło, ponieważ niektórzy przywódcy strajków zostali zagrożeni sankcjami.

9-6-71

Władze Chin Ludowych oddały do dyspozycji obcokrajowców, przebywających w Chinach dziennik-biuletyn pt. „Nowości agencji i prasy zagranicznej”. Biuletyn ten rozprowadzany jest codziennie w wersji francuskiej i angielskiej. Przedrukowane są w nim bez komentarzy depeche opublikowane poprzedniego dnia przez wielkie agencje, oraz artykuły z dzienników takich jak *Le Monde*, *Guardian* lub *New York Times*. Dotychczas w Chinach jedynie oficjalna agencja „Nowe Chiny” rozprowadzała cytaty z prasy zagranicznej. ■ Polski Instytut Spraw Międzynar. przyznał 2 równorzędne 1-sze nagrody za prace opublikowane w r.ub.: dr. hab. Włodzimierzowi Kowalskiemu za „Walka dyplomatyczna o miejsce Polski w Europie w latach 1939-1945” oraz dr. hab. Józefowi Kukułce za „Francja a Polska po traktacie wersalskim 1919-22”. 2-iej nagrody nie przyznano; 3-cie nagrody otrzymali: Tadeusz Bartkowski i Zbigniew Dobosiewicz za pracę: „Afryka a EWG”; Zygmunt Kolczyński za pracę „Międzynarodowy system walutowy w gospodarce kapitalistycznej” oraz autor pracy „Bezpieczeństwo międzynarodowe a rozbrojenie”.

11-6-71

W Warszawie rozpoczął obrady VIII Krajowy Zjazd delegatów Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. W Zjeździe bierze udział 262 delegatów, reprezentujących 5.000 członków Stowarzyszenia. ■ W Poznaniu utworzono trzeci — po Krakowie i Wrocławiu — oddział Polskiej Akademii Nauk, który liczy 600 pracowników, w tym 174 naukowo-badawczych. ■ W Polsce nadal likwiduje się zakłady rzemieślnicze. Ogółem w I-szym kwartale r.b. zlikwidowano 2.823 zakłady. Najczęściej likwiduje się zakłady budowlane (1.267) i metalowe (641). ■ Spośród 150.000 tegorocznych maturzystów w Polsce, 72.000 będzie się ubiegać o przyjęcie na wyższe uczelnie. Także 30.000 absolwentów z lat poprzednich podejmie starania o przyjęcie na studia. Natomiast tegoroczny limit przyjęć wynosi jedynie 52.000. ■ Jak wynika z obliczeń, w końcu obecnej 5-ciolatki w PRL zabraknie w przemyśle około 30.000 inżynierów. Dotychczas do Wyższych Szkół Technicznych zgłosiło się 21.000 kandydatów, ale wiele kierunków cierpi na ich brak. Nie mają powodzenia: hutnictwo, włókiennictwo, górnictwo, matematyka, fizyka techniczna, ekonomia inżynierska. W tym roku na studia techniczne podwyższono limit przyjęć o przeszło 1.000 miejsc — do 17.010. ■ Kard. Wyszyński, przemawiając w Warszawie z okazji Bożego Ciała, stwierdził pogorszenie stosunków Kościoła z Państwem. M.in. podkreślił odmowę pozwolenia na budowanie nowych kościołów. ■ Amb. PRL w Moskwie, Ptasinski, oraz attaché militaire, gen. Jagst, zostali odwołani. Ambasadorem został mianowany Zenon Nowak. Mówi się również, że na najbliższym plenum KC partii ma być usunięty Kępa.

12-6-71

Zjazd delegatów Stow. Dziennikarzy Polskich zakończył 2-dniowe obrady, na których wybrał nowe władze stowarzyszenia. Przewodniczącym Zarządu Gł. Stowarzyszenia został ponownie Stanisław Mojkowski.

13-6-71

Z Moskwy donoszą, że przedterminowe zwolnienie Siniawskiego nastąpiło w związku z Piątym Zjazdem Pisarzy Sowieckich, wyznaczonym na dzień 29 czerwca: chodziło o nie antagonizowanie zaproszonych na Zjazd pisarzy zagranicznych, którzy uważali za skandal skazanie Siniawskiego i Daniela. Podobno przed miesiącem władze zażądały od Siniawskiego, by złożył formalną prośbę o łaskę. Autor *Lubimowa* odmówił. Zwrócono się wówczas do jego żony, Maszy. Siniawska zgodziła się napisać podanie w imieniu męża, tym więcej że nie stawiano żadnych żądań co do miejsca zamieszkania Siniawskiego po zwolnieniu: ma jakoby wrócić do Moskwy. To samo źródło donosi, że Daniel (zamieszkały po zwolnieniu w Kałudze) złożył podanie o wyjazd do Izraela. Chwilowo pozwala mu się uprawiać pracę tłumacza, dwie przełożone przez niego nowele ukazały się w wydawanym w Rydze piśmie rosyjskim. ■ Władze sowieckie postanowiły „ukarać” Mstisława Rostropowicza za jego wystąpienie w obronie Sołżenicyna: pod pretekstem że nie wolno kumulować posad, usunięto go ze stałej obsady Filharmonii Państwowej (łączył tę posadę z zajęciami stałymi w Konserwatorium Moskiewskim i dorywczymi w balecie Bolszoi). Rostropowicz podał się natychmiast do dymisji w Konserwatorium, co wywołało prawdziwą panikę. Po gorących naradach przywrócono mu etat w Filharmonii i odrzucono jego dymisję w Konserwatorium. ■ Na IX Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie nagrodzono reż. B. Kosińskiego za film „Na torach”, A. Papużńskiego za „Bykowi chwała”, M. Piwowskiego i A. Górny za „Korkociąg”. Decyzje jury zostały gwałtownie zaatakowane w *Zołnierzu Wolności* przez osławionego Ryszarda Gontarza za nie uwzględnienie filmów o tematyce patriotycznej i narodowej. A więc Moczarowi pogrobowcy ciągle funkcjonują.

15-6-71

Czterech wysokich urzędników Min. Spraw Wewnętrznych zostało usuniętych ze swoich funkcji i aresztowanych „za przekroczenie swoich kompetencji, malwersacje i kontakty z elementami kryminalnymi”. Są to Henryk Żmijewski, Stanisław Smolnik, Janusz Kawala i Jerzy Milka. Trzy dni wcześniej usunięto gen. Ryszarda Matejewskiego ze stanowiska wiceministra spraw przeprowadza się czystkę na szeroką skalę i że ok. 60 osób zostało dotąd aresztowanych.

19-6-71

Rząd Sowiecki powierzył emigrantowi serbskiemu Blazo Raspopowiczowi szkolenie komandosów, których zadaniem będzie akcja dywersyjna na terenie Jugosławii. Komandosi będą rekrutowani spośród skrajnych elementów kroackich oraz Jugosłowian, którzy po zerwaniu stosunków Stalin-Tito znaleźli się w Moskwie na emigracji. ■ Jakub Karpiński, który 24 lutego 1970 został skazany w tzw. „procesie taterników” na 4 lata więzienia, został przedterminowo zwolniony z więzienia. ■ Stanisław Kociołek, b. sekretarz wojewódzki w Gdańsku, b. premier, który odegrał ponurą rolę w masakrze robotników w Gdańsku w grudniu 1970 roku i pod naciskiem robotników musiał być zdymisjonowany przez Gierka z zajmowanych stanowisk — został mianowany ambasadorem PRL w Belgii i Luksemburgu. ■ Ryszard Frelek, dotąd dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, został kierownikiem wydziału polityki zagranicznej w KC PZPR.

22-6-71

M. Moczar został mianowany prezesem Najwyższej Izby Kontroli na miejsce Z. Nowaka. Jest to uważane za koniec jego kariery politycznej. Jednocześnie Sejm PRL wybrał Bolesława Piaseckiego, przew. org. PAX, członkiem Rady

Państwa. Powszechnie spodziewano się że zostanie wybrany przedstawiciel grupy ZNAK i wymieniano nawet nazwisko K. Łubieńskiego. Jest to traktowane jako zastrzeżenie stosunków z Kościołem. ■ Aleksander Twardowski otrzymał Nagrodę Państwową ZSSR (dawna nagroda stalinowska). Twardowski od szeregu miesięcy jest ciężko chory. ■ Główny Urząd Statystyczny w Warszawie obliczył że mieszkaniec miast w PRL traci na zakup żywności w soboty 97 minut, w inne dni nieco ponad godzinę.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-5-71

Zmarł w Londynie 14. V. rb. mjr Emil-Jerzy Czerniawski, oficer Pierwszej Brygady. ■ Prezydium Rady Naczelnej Organizacji Polskiej w Australii ogłosiło komunikat, stwierdzający że pismo *Kurier Polski*, wychodzące w Sydney, nie reprezentuje linii niepodległościowej, wobec czego nie jest wskazane kolportowanie tego pisma w polskich punktach sprzedaży. ■ Jury Związku Dziennikarzy RP w Londynie przyznało 13. V. rb. nagrody dziennikarskie prof. Adamowi Pragierowi i Wacławowi Zbyszewskiemu. ■ W Bibliothèque Nationale w Paryżu otwarto wystawę współczesnej grafiki polskiej. ■ Zarząd Zjednoczenia Osadników Polskich w Afryce Południowej uchwalił jednomyślnie, że w obecnej sytuacji nie należy popierać akcji zbiórki na odbudowę Zamku w Warszawie.

16-5-71

Na Monte Cassino obchodzono uroczystości XVII rocznicę bitwy i pierwszą rocznicę śmierci Gen. Władysława Andersa. Mszę św. odprawiał biskup Częstochowy; zwróciło powszechną uwagę, że w kazaniu nie wymienił ani razu nazwiska Gen. Andersa.

17-5-71

Premier Kanady, Pierre Trudeau, udał się do Związku Sowieckiego na 11-dniową wizytę. Jest on pierwszym premierem kanadyjskim, który pojechał do ZSSR. W charakterze lekarza przybocznego towarzyszy mu poseł dr Stanley Haidasz, znany działacz społeczny Polonii Kanadyjskiej. ■ Prof. M. Kamil Dziewanowski (Boston University oraz Institute of Russian Studies at Harvard University) przyjechał do Anglii i Francji z cyklem odczytów na temat wpływu Chin na sytuację Europy Wschodniej oraz na temat metodologii studiów sowietologicznych w krajach zachodnich.

18-5-71

Zmarł w Toronto Komandor Karol Trzaska-Durski, były dowódca lotnictwa morskiego. ■ W Paryżu, w sali „Edmond Michelet” w Cité Internationale des Arts, odbył się recital polskiego duetu fortepianowego: Marka Tomaszewskiego i Wacka Kisielewskiego.

20-5-71

W Helsinkach odbył się zjazd Międzynarodówki Socjalistycznej. Po raz pierwszy nie dopuszczono przedstawicieli polskich i łotewskich socjalistów z emigracji. Międzynarodówka, przyjmując z entuzjazmem inicjatywę sowieckie w sprawie rozbrojenia, nie zajęła stanowiska ani w sprawie sytuacji w Czechosłowacji ani w sprawie wydarzeń na wybrzeżu w Polsce.

21-5-71

Gen. Marian Kukiel otrzymał nagrodę literacką w wysokości 100 £.stg. za książkę „Generał Sikorski”. Nagroda została ufundowana przez Towarzystwo Społeczno-Oświatowe im. Gen. Sikorskiego w Glasgow. ■ W Niemczech Zachodnich ukazały się następujące książki autorów polskich w przekładzie na język niemiecki: Stanisław Jerzy Lec: *Das grosse Buch der unfrisierten Gedanken* — Aphorismen, Epigramme, Gedichte und Prosa, herausgegeben und aus dem Polnischen von Karl Dedecius, Sonderausgabe, Carl Hanser Verlag, München; 268 S., 16, 80 DM; Krystyna Nowakowska: *Das Brot der Feinde*, Roman, aus dem Polnischen von Irena Fischer, Europa Verlag, Wien/Frankfurt; 258 S., 21,00 DM.

22-5-71

W Ottawie, staraniem międzyuniwersyteckiego komitetu dla spraw kanadyjskich Słowian i innych grup etnicznych odbył się zjazd poświęcony problematyce etnicznej. W zjeździe wzięli udział obok profesorów wyższych uczelni również przedstawiciele władz federalnych i prowincjonalnych.

23-5-71

W Montmorency pod Paryżem odbyło się doroczne nabożeństwo za duszę J. U. Niemcewicza, Gen. Kniaziewicza i wszystkich Polaków zmarłych na emigracji. Biskup Monaco, Rupp, odprawił Mszę św. i wygłosił kazanie. ■ Zmarł w Londynie, w wieku lat 60, Wiktor Zdrzałka, działacz Stronnictwa Narodowego. ■ Staraniem Society of Polish Arts and Letters urządzono w Chicago bankiet dla uczczenia dra Tymona Terleckiego, prof. literatury polskiej na uniwersytecie w Chicago.

26-5-71

Na zebraniu Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu płk Mieczysław Jurkiewicz wygłosił odczyt pt. „Tragedia powstań narodowych w trakcie II-ej wojny światowej”.

27-5-71

Austria nawiązała stosunki dyplomatyczne z Chinami Ludowymi. Jest to 62-gi kraj na świecie, który uznał Republikę Chińską. ■ W Chicago odbył się 36-ty walny zjazd śpiewaków polskich w Ameryce. Uczestniczyło w nim około tysiąca osób zrzeszonych w 25 chórach.

28-5-71

W Kolonii odbyła się prapremiera II części dzieła Krzysztofa Pendereckiego „Jutrznia” — zatytułowanej „Zmartwychwstanie”. ■ Zmarł w Sete (Francja) Jean Vilar, b. dyrektor Théâtre National Populaire, założyciel i dyrektor festiwalu w Avignonie. Żył 59 lat.

31-5-71

Zmarł w Buenos Aires, w wieku lat 70, Paweł Starzeński, urzędnik MSZ Rzeczypospolitej Polskiej, jeden z sekretarzy min. J. Becka. ■ *World News of the Week* opublikował krótką statystykę w związku z zakończonym ostatnio spisem ludności USA. W ostatnim spisie 75 milionów podało „obce pochodzenie”; 20 milionów — poch. niemieckie; 13 milionów — poch. irlandzkie; 9 milionów — hiszpańskie; 7 milionów — włoskie; 4 miliony — polskie; 2 miliony — rosyjskie. Dodano też, że najwyższy dochód na głowę wykazują Amerykanie pochodzenia rosyjskiego; 11.534 dol. — a najniższy Amerykanie pochodzenia hiszpańskiego — 5.641 dol. Wszystkie liczby są zaokrąglone, bo dokładne wyniki spisu ludności nie są jeszcze podsumowane.

1-6-71

Rząd zachodnioniemiecki ogłosił, że przedłużył licencję radiostacjom Free Europe i Liberty do lipca 1972 roku. ■ Dr Władysław Śmietana został mianowany prowizorycznym rektorem Alliance College (USA). Dr Śmietana był od 1969 r. dziekanem wydziału pedagogiki i psychologii College'u. ■ W poszczególnych stanach Ameryki rozpoczęły się Sejmiki wyborcze Związku Narodowego Polskiego, na których wybiera się posłów na Sejm tej największej organizacji polonijnej, liczącej ok. 300.000 członków. Sejm ZNP odbywają się co 4 lata. W tym roku Sejm ZNP odbędzie się we wrześniu w Pittsburgu.

4-6-71

W Towarzystwie Akademickim Ukraińskim w Paryżu odbył się odczyt pana Stefana Mrozkiewicza pt. „Refleksje z pobytu w Charkowie w latach 1933-1934”. Zebraniu przewodniczył p. Aristide Wirsta. Prelegent przypomniał katastrofę głodu na Ukrainie Sowieckiej i na Kubaniu w latach 1932-1933. Na skutek zarządzonych przez władze sowieckie rekwiizycji zapasów zboża i produktów rolnych zginęło z głodu od 3 do 5 milionów Ukraińców. Wkład Ukrainy do rozwoju przemysłowego ZSSR był większy, aniżeli innych Republiki Sowieckich. Analizując cyfry spisów ludności od 1897 do 1970 roku p. Mrozkiewicz stwierdził tendencję stałego zmniejszania się ludności ukraińskiej na obszarze Związku Sowieckiego. W dyskusji brali udział pp. inż. Masłow, prof. Szumowski, dr. Musianowicz, którzy podkreślali wysiłki ukraińskie dla zachowania i rozwoju poczucia narodowego, oraz konieczność nawiązania bliższych więzów między Ukraińcami i Polakami. ■ Wybitny pisarz włoski, Ignazio Silone, otrzymał nagrodę światową Cino-del-Duca w wysokości 150 tysięcy franków. ■ Znany pisarz Julien Green, Amerykanin piszący po francusku, został wybrany członkiem Akademii Francuskiej na miejsce zmarłego François Mauriac. Julien Green nie chciał się zrzec obywatelstwa amerykańskiego i mógł być wybrany członkiem Akademii jedynie na skutek decyzji francuskiego ministra sprawiedliwości, stwierdzającej, że Greena należy traktować jako Francuza. ■ W Massachusetts w Stanach Zjednoczonych zmarł wybitny teolog amerykański Reinhold Niebuhr. ■ Zmarł w Belledyke, w Szkocji, dr Adam Mikucki, legionista, b. Konsul Generalny R.P. w Bukareszcie.

5-6-71

Rokowania między Watykanem a Polską Ludową znajdują się na martwym punkcie z powodu nieustępliwości strony polskiej. W związku z tym wizyta Papieża w Polsce w roku bieżącym nie wchodzi w rachubę, a kanonizacja O. Kolbe ma się odbyć 17. X. rb. w Rzymie. ■ W Watykanie się mówi, że Bp Rubin ma w najbliższym czasie otrzymać kapelusze kardynalski. Drugi kandydat, arcybiskup wrocławski Kominek, ma małe szanse ze względu na wiek. ■ Jury nagrody *Wiadomości* podzieliło ufundowaną przez T. Badienego nagrodę w wysokości 200 £.stg. pomiędzy Jadwigę Maurer i Pawłem Łyskiem. Następne dwie nagrody w wysokości po 50 £.stg. zostały przyznane p. Stefanii Kossowskiej i Barbarze Toporskiej.

7-6-71

W Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku rozpoczął się doroczny konkurs chopinowski. Przewidziane są nagrody w wysokości 1.000, 500 i 250 dolarów. Konkurs jest dostępny dla studentów, obywateli amerykańskich, obojga płci w wieku od 15 do 21 lat.

10-6-71

Znana instytucja międzynarodowa, Amnesty International, obchodzi 10-ciolecie swego istnienia. Dla uczczenia jubileuszu amerykański oddział A.I. zwrócił się z apelem do 7-miu rządów o wypuszczenie 7-miu więźniów, starych lub chorych, więzionych bez usprawiedliwionego powodu przez 10 lat i więcej. Apel jest skierowany do rządów: Chin, Kuby, Grecji, Paragwaju, Ruandy, Formozy i ZSSR.

15-6-71

Z opóźnieniem dotarła do nas wiadomość, że rozbiecie w Radzie Naczelnej Z opóźnieniem dotarła do nas wiadomość, że rozbiecie w Radzie Naczelnej Polskich Organizacji w Australii zakończyło się. XIV Zjazd Rady wybrał prezesem płk. Andrzeja Racięskiego. Do Prezydium weszli: J. Adamski, T. Bielski, F. Dangel, B. Kurnatowski i J. Redler. ■ W St. Zjednoczonych coraz więcej przedsiębiorstw przechodzi na 4-dniowy tydzień pracy. Robotnicy pracują 9 lub 10 godzin dziennie. Eksperti twierdzą, że w stosunkowo niedługim czasie trzeba będzie przejść na 3-dniowy tydzień pracy po 12 i pół godz. dziennie. Ma to zapewnić maksymalną wydajność i dochodowość.

18-6-71

W Paryżu w klubie inżynierów Polskiej YMCA odbyła się inauguracja wystawy artysty rzeźbiarza Floriana Rachelskiego, przebywającego stale w Stanach Zjednoczonych. Jednocześnie odbył się odczyt Edwarda Brzeskiego pt. „Zasady stereofonii”.

19-6-71

W Paryżu ujawniono, że przed trzema tygodniami pozostał na Zachodzie wysoki urzędnik sowiecki w dziedzinie badań i eksperymentów kosmicznych, Anatolij Fiedosiejew. Poprosił on o azyl na lotnisku le Bourget, w przeddzień otwarcia Paryskiej Wystawy Lotniczej. Władze francuskie w pierwszej chwili potraktowały jego prośbę z rezerwą, ale kiedy Fiedosiejew zagroził skandalem, przewieziono go pośpiesznie do Wielkiej Brytanii. Nazajutrz Moskwa odwołała 80-osobową delegację sowiecką, a jej kierownicy odmówili wzięcia udziału w oficjalnym obiedzie w Le Bourget, którego gościem honorowym był francuski minister Obrony, Michel Debré. Źródła francuskie podają, że Fiedosiejew miał rangę wiceministra do spraw badań kosmicznych, ze szczególnym poruczeniem programów „Sojuz” i „Łunika”.

20-6-71

W Oslo rozpoczęła się druga sesja tzw. Trybunału Wietnamskiego. Z ramienia Zw. Sowieckiego bierze w nim udział prezes Sądu Najwyższego RSFSR Lew rozpoczął się druga sesja tzw. Trybunału Wietnamskiego. Z ramienia Związku Sowieckiego bierze w nim udział prezes Sądu Najwyższego RSFSR Lew Smirnow. Jest to typowy przedstawiciel sowieckiego wymiaru sprawiedliwości. M.in. był on przewodniczącym sądu, który w 1966 roku skazał A. D. Siniawskiego i J. M. Daniela. Obecność Smirnowa wywołała prawdziwą konsternację wśród organizatorów i zmusiła Myrdala do opublikowania oświadczenia, że Trybunał Wietnamski nie jest właściwie trybunałem, bo taki może być zwołany jedynie przez Narody Zjednoczone — a tylko prywatnym zebraniem. Prasa światowa z wyjątkiem prasy szwedzkiej cały ten incydent przemilczała. (Stenogram procesu Siniawskiego i Daniela był wydany w „Bibliotece Kultury” w serii „Dokumenty” pt. „Sąd idzie!”).

Listy do Redakcji

Wielce Szanowny Panie!

Haan/Rhld., 8 czerwca 1971.

Pewne czynniki w Opolu kolportują przy pomocy pewnych osobników na terenie NRF wywiad „kapitana” z moczarowej łaski i mini-Sorge’go, Andrzeja Czechowicza, udzielony *Trybunie Opolskiej*. Niezależnie od tego, że w tymże wywiadzie roi się od błędów „świątecznego Niemcoznawcy” Czechowicza (m.in. odkrył w NRF radiostację „Deutsche Funk”), wywody propagandowe gieroja z ul. Rakowieckiej są wymierzone w głównej mierze przeciwko paryskiej *Kulturze* i „Wolnej Europie”. Ale tenże „bohater” zajmuje się także i moją osobą, sugerując czytelnikom, iż jestem nie tylko stałym współpracownikiem Pana poczytnego pisma, lecz mam także dostęp do „tajnych archiwów” RFE, dalej, że jestem podwójnym agentem, pracownikiem „Ost-institutu” oraz „znanym Polakożercą”.

Ponieważ nie mam możliwości obrony przed tym paszkwilanekim błotem, proszę uprzejmie o zamieszczenie następującego oświadczenia:

Jeżeli chodzi o kolporterów bredni Czechowicza, to są to ludzie pokroju ni pies, ni wydra. W PRL stali w ogonkach po wyjazd do NRF. Tutaj wstąpili do pewnej organizacji polskiej, która zapewnia im tanie i częste wyjazdy w polsko-ludowe strony. Mają nierzadko podwójne obywatelstwo i także starają się — z tych czy innych przyczyn — żyć w zgodzie z niemieckimi związkami uchodźczymi. Regularnie bywają — znów z tych czy z innych przyczyn — na ich *meeting’s* etc.

Co do mojej osoby to stwierdzam: że ani nie jestem współpracownikiem *Kultury* — co zresztą *Kultura* może potwierdzić — ani też polskiej sekcji RFE. Co nie przeszkadza być zapalonym czytelnikiem Waszego poczytnego pisma, jak też zainteresowanym słuchaczem polskich audycji RFE. Byłem tylko jeden raz w Monachium i to przejazdem do Dachau celem złożenia tam z żoną wieńca w obozie zagłady — w rocznicę uwięzienia teścia. Nie miałem jednak „zaszczytu” spotkać w Monachium Czechowicza.

Nie byłem i nie jestem pracownikiem „Ostinstitutu”. Natomiast jestem kierownikiem resortu kultury pewnego dziennika regionalnego i to ponadpartijnego w NRF. Z sugestią „asa” peerelowskiego wywiadu, iż jestem podwójnym agentem, w ogóle nie warto się rozprawiać.

Co do mego rzekomego „Polakożerstwa” stwierdzam co następuje: Byłem i jestem Niemcem, który ma swój — tzn. niemiecki — punkt widzenia na różne zjawiska polityczne. Jednak już jako jedenastoletni chłopiec pozwoliłem sobie mieć inne zdanie o Polakach, niż oficjalna wówczas wersja. Za to wydalono mnie wtedy z „Jungvolku” i jako konkluzję tego, z gimnazjum. Jestem dumny z tego, że moja żona wywodzi się z Narodu, który podziwiam, czyli z prastarego rodu śląsko-polskiego i że jest wnuczką powstańca śląskiego, córką kacietowca. Za moją wyraźną aprobatą wstąpiła do „Związku Polaków w Niemczech” i według mego wyraźnego życzenia uczy mych synów mowy jej ojców. Jeden z nich ma polskie imię — a jego chrześni to więźniarka z Ravensbrueck i b. oficer Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. To moje postępowanie oraz liczne publikacje zadają kłam szkalowaniom Czechowicza.

„Wywiadowca” Czechowicz nadaje się raczej do pisania bajek — i tutaj miałbym jeszcze wątpliwości co do jego „talentu”.

Jeszcze jedno ostatnie słowo pod adresem *Trybuny Opolskiej*: w roku 1957 napisałem m.in. w *Po prostu*, że ta gazeta jest „zwykłym szmatławcem”. W roku 1971 podtrzymuję to zdanie.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

mgr Joachim G. GÖRLICH

Melbourne, 9 maja 1971.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jako miłośnik historii ojczyzny i badacz dziejów Polaków we Wschodniej Europie, często sięgam po książki Michała K. Pawlikowskiego: „Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego” i „Wojna i sezon”. Tak było kilka dni temu. Na stronie 131-2 „Dzieciństwa...” wyczytałem ustęp, który w obliczu grudniowych wypadków w Polsce nabiera specjalnej wymowy.

Otóż 18 października 1905 roku w Mińsku Litewskim odbyła się duża demonstracja mieszkańców miasta. Przed Dworcem Wileńskim wojsko zaczęło strzelać do tłumu. „Podobno było przeszło stu zabitych na miejscu. Rannych liczono na setki. ...kierunek kul był raczej pouczający: większość śladów szła nie wprost na plac, lecz ukośnie do góry. Można sobie wyobrazić jakby wyglądała masakra, gdyby wszyscy żołnierze celowali w zbitą masę tłumu” — pisze autor.

W wypadkach grudniowych 1970 roku w Polsce, a więc 65 lat później, kiedy celność i siła ognia bardzo znacznie wzrosła, doszło do brutalnej strzelaniny aż w pięciu polskich miastach wybrzeża. Tymczasem według oficjalnych reżymowych danych zostało zabitych tylko i aż 45 osób a 178 odniosło rany w wyniku strzelaniny. Czyż to możliwe? Chyba nie! Dobrze poinformowane koła dyplomatyczne w Warszawie podają cyfrę 1.000 zabitych. Ta cyfra wydaje mi się bardziej wiarygodna. A więc aż 1.000 ludzi zginęło od kul komunistycznych — ponoć przedstawicieli klasy robotniczej — w walce o chleb. Czyż tak obfite żniwo śmierci nie zasługuje na obszerne i źródłowe omówienie? Uważam, że obowiązkiem emigracji powinno być wydanie m.in. książki „Polacy w walce z komunizmem w Polsce 1944-1971”.

Z poważaniem,

Marian KAŁUSKI

Londyn, 8 maja 1971.

Szanowny Panie Redaktorze!

Tak się złożyło, że dopiero teraz piszę ażeby sprostować wiadomość w „Wydarzeniach miesiąca” (*Kultura* nr 280/281). Konstanty Brandel, wybitny malarz i grafik zmarł w Paryżu dnia 7 grudnia 1970 roku a nie 8 grudnia jak mylnie podano. Sądzę, że warto to jeszcze ogłosić ze względu na przyszłych historyków sztuki, tym bardziej że śmierć artysty spotkała się z milczeniem prasy w Polsce.

Niewiele zmieniło się od roku 1913 kiedy warszawski *Świat* pisał na marginesie nie pierwszej wystawy Brandla w „Zachęcie”: „Nazwisko jego jako artysty prawie wcale nie jest znane w rodzinnym mieście”. Tymczasem akurat dziesięć lat później, w 1923 roku, w paryskim dzienniku *L’Intransigeant* krytyk Maurice Raynal orzekł krótko a dobitnie: „Brandel qui est célèbre”.

Jeśli wolno mi nadużyć miejsca w *Kulturze*, chciałbym jeszcze zacytować jedną wypowiedź o Brandlu. Antoni Potocki pisał w 1922 roku w *Kuryerze Warszawskim*: „Jeszcze wracam do grafiki, by wymienić prace p. Brandla. Przyszłość będzie ze skupieniem i podziwem odczytywała te ciekawe karty, zapisane jakimś hieratycznym pismem zmysłów i ekstazy. Szkoda, że nie spocznie na nich wzrok jasnowidzący Norwida”.

Czy i Brandel będzie musiał czekać długo na odkrycie przez swego Miriamę?

Łączę wyrazy powazania i dłoń ściskam,

Witold LEITGEBER

Londyn, 5 maja 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

W podwójnym nrze *Kultury* za m-ce styczeń-luty 1971 ogłoszony został artykuł „Polski Grudzień”, podpisany przez Redakcję. Adnotacja nad artykułem brzmi „Z ostatniej chwili”. Przytaczam wstęp tego artykułu: „Na ulicach polskich miast połała się krew. Robotnicza. Na ulicach polskiego Wybrzeża strzelali chłopscy synowie w mundurach do robotników, żądających praw do ludzkiego życia”.

Treść tej wypowiedzi jest z gruntu błędna i fałszywa. Piętnuję ten pogląd jako nieprawdziwy, krzywdzący chłopą polskiego i wręcz oszczerczy.

Pragnę podkreślić, że w Kraju obowiązuje powszechna służba wojskowa i w oddziałach wojskowych służą synowie całego narodu, a więc zarówno synowie chłopów, robotników jak i innych warstw społecznych. Myślę też, że Panu Redaktorowi wiadome jest, że w ostatnim 25-leciu wielu chłopów przybyło do miast, gdzie pracują jako robotnicy. Między robotnikami Wybrzeża jest dużo synów chłopskich.

Chłopscy synowie znajdowali się więc wśród tych mas robotniczych Wybrzeża, które walczyły, przelewały krew i ginęły od kul komunistycznej dyktatury i jej aparatu terroru. Taka jest prawda o „Polskim Grudniu” na bałtyckim wybrzeżu.

Jaki jest cel fałszowania tej prawdy — trudno mi zrozumieć. Trudno też zrozumieć jaki był cel judzenia robotników przeciwko chłopom. Gdyby *Kultura* była wydawnictwem komunistycznym, to byłoby to zrozumiałe. Ale *Kultura* uchodzi za wydawnictwo niepodległościowe, a jej redaktorzy winni być na tyle politycznie wyrobieni, by zdawać sobie sprawę ze szkodliwości takiego ujęcia. Myślę także, że napis „Z ostatniej chwili” nie może być usprawiedliwieniem tego, że Redakcja nie miała czasu na należyte prze-myślenie tego artykułu.

W styczniu przechodziłem operację katarakty, nie mogłem więc czytać przez pierwsze 3 miesiące i to jest przyczyną mego spóźnionego wyjaśnienia.

Łączę uprzejme pozdrowienia,

Stanisław WISZNIEWSKI
Sekretarz Naczelny
Polskiego Stronnictwa Ludowego

Prócz powyższego listu otrzymaliśmy również dwa listy, utrzymane w podobnym tonie, od pp. Skowry (ze Stanów Zjednoczonych) i Jakielaszka (Kanada). W londyńskim *Jutrze Polski*, organie PSL, obszerne pretensje

do *Kultury* zgłosił p. Bronisław Załęski. Wszystko to razem wydaje nam się przejawem niewiarygodnego wprost przewrażliwienia niektórych ludowców. „Inkryminowane” zdanie z artykułu redakcyjnego *Kultury* o Polskim Grudniu nie mogło być przez absolutną większość naszych czytelników zrozumiane inaczej, niż jako podkreślenie zawinionej przez reżym tragedii narodowej: skoro wiadomo dobrze że wśród robotników na Wybrzeżu przeważają tzw. „chłopo-robotnicy”, powiedzieliśmy w jednym zdaniu dokładnie to samo, co mówi piosenka ułożona w Gdańsku 20 grudnia ub. roku: „Płacz nad zabitymi / cały roboczy świat! / Trójmiasto jeszcze dymi! / Do brata strzelał brat”.

Naturalnie kwestia udziału synów chłopskich w organach bezpieczeństwa i administracji państwowej, w aparacie partyjnym i w wojsku, może być także rozpatrywana przez socjologa czy politologa, podobnie jak udział przybyszów ze wsi w formowaniu się współczesnej polskiej klasy robotniczej. Nie zajmowaliśmy się tą kwestią w naszym artykule o Polskim Grudniu (warto może, przy okazji, zaznaczyć że szkicowo poruszyli ją Burba-Kochański w swoim *Liście do emigranta*).

REDAKCJA

Prof. Dr E. Feuerman z Uniwersytetu w Tel Aviv zwrócił nam uwagę na kompromitujący błąd w artykule M. Lurczyńskiego (*Kultura* Nr 4/283), w którym w spisie książek wydanych w Hanowerze podano „Prus: Janko muzyka i inne nowele”. Za ten błąd bardzo przepraszamy czytelników.

M.D. (Buffalo, USA): Listu nie zamieścimy.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 3^e Trimestre 1971.

Ukazał się 2-gi specjalny numer

Kultury

w języku rosyjskim

Numer zawiera m.in. artykuły:

Hanna Kostek: *Szczere rozmowy*;

Leszek Kołakowski: *Tezy o nadziei i beznadziejności*;

Witold Gombrowicz: *Berliński dziennik*;

Jerzy Stempowski: *Polacy w powieściach Dostojewskiego*;

Czesław Miłosz: *Science Fiction i przyście Antychrysta*;

Milovan Džilas: *Nad dogmatem*;

Andrzej Stawar: *Sowiecka biurokracja*.

Ponadto: POEZJE — RECENZJE i szereg innych artykułów.

Str. 240.

Cena F. 11,00.

Вышел Второй специальный номер "Культуры" на русском языке.

В номере:

Ганна Костек: *Разговор по душам*;

Лешек Колаковский: *Тезисы о надежде и безнадежности*;

В. Гомбрович: *Берлинский дневник*;

Ежи Стемповский: *Полики в романах Достоевского*;

Чеслав Милош: *Научная фантастика и пришествие Антихриста*;

Милован Джилас: *Над догматом*;

Анджей Ставар: *Советская бюрократия*.

Кроме того номер содержит стихи, рецензии и другие материалы.

240 стр

Цена : 11 F

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.

Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-roczna roczna

	Egz. poj.	1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	R. 1,—	R. 5,85	R. 10,65
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000	\$ A. 1,50	\$ A. 8,00	\$ A. 15,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 200,00	Sch.A. 380,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23	F.B. 75,00	F. B. 400,00	F. B. 750,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 7,50	F. 40,00	F. 75,00
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 5,00	Fl. h. 28,00	F. h. 54,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 482-4673; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, 51 Oriole Parkway, Toronto 195, Ontario, Jozef Polkowski, 110 Cobourg Street, apt. 301. Ottawa 2, Telefon: 233-7212; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 1,50	\$ Can. 8,00	\$ Can. 15,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	DM. 5,50	DM. 30,00	DM. 55,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. S. 6,00	F. S. 35,00	F. S. 65,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm	K. S. 7,50	K. S. 40,00	K. S. 75,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood, Cal. 90028; Ada Dziewanowska, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W. Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, Tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; Edward Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave., Jamesburg, N.J. 08331. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5436 Chopin, Detroit, Mich 48210, Tel. 899-5165	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	12 sh.	£ 3.10.00	£ 6.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 900	L. It. 4600	L. It. 9000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F.82; półroczna F.45.
Przesyłka pojedynczego numeru: 0,70 F.

Należności można wpłacać przekazem pocztowym na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 203 - ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ODDZIAŁ CHORYCH NA RAKA

Przekład Józefa Łobodowskiego

Str. 480.

Cena F. 40 (dol. 8,50; £ 3.40)



TOM 204 - WITOLD GOMBROWICZ

TEATR

TOM V „DZIEŁ ZEBRANYCH”
(IWONA KSIĘŻNICZKA BURGUNDA —
ŚLUB — OPERETKA)

Str. 224

Cena F. 18,50 (dol. 4,00; £ 1.60)



TOM 205 - WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK (I)

1953-1956

TOM VI „DZIEŁ ZEBRANYCH”

Str. 304

Cena F. 25 (dol. 5,00; £ 2.00)



TOM 206 - SERIA « DOKUMENTY »

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

DROGI WYJŚCIA

Trzecia praca autora „Motorów i hamulców socjalizmu” (Tom 183 „Biblioteki Kultury”) i „Kryzysu rolnictwa” (Tom 193 „Biblioteki Kultury”).

Str. 88.

Cena F. 10 (dol. 2,25; £. 0,93)

Cena 11 F